

ZESZYT STO PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1993

ZESZYT STO PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1993

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 481

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0149-5

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Antoni Stefan KOPER

PRASA POLSKA W NIEMCZECH

Kiedy wyrwałem się wreszcie z niewoli, zacząłem marsz na zachód. Z tego, co wiedzieliśmy z radia wynikało, że z Zachodu zawsze będzie można wrócić na Wschód, ale to był ruch raczej jednokierunkowy — wydostać się na Zachód to nie była nawet wtedy taka prosta sprawa. A poza tym na Zachodzie kwaterowała Pierwsza Polska Dywizja Pancerna, rozprostowując kości po ostatniej bitwie tej wojny — zdobyciu Wilhelmshaven.

Szosa była pusta. Od czasu do czasu jedynie śmignął w jedną lub drugą stronę wojskowy jeep, albo z chrzęstem gąsienic i rykiem silników przejechała kolumna czołgów.

W pewnej chwili zahamował opancerzony wóz. Okazało się, że pochodził z jednostki holenderskiej.

Rozmowa miała dość skomplikowany przebieg. Załoga wozu poza holenderskim dukała parę słów mieszaniną angielsko-niemiecką, ja ze swej strony angielski znałem jedynie z widzenia, a z niemieckim rozstałem się na zawsze 1 sierpnia 1944 roku. Jakoś jednak daliśmy sobie radę, w czym okazały się pomocne naszywki „Poland” na rękawie mego lotniczego munduru, na który Niemcy zamienili mój cywilny garnitur w obozie Gross Born. Moi Holendrzy zrozumieli wreszcie, że chcę się dostać do kwatery głównej polskiej Dywizji Pancerniej. Coś mówili między sobą, uruchomili radio i powiedzieli mi „Meppen”. Podziękowałem, ale gdy zabierałem się do wysiadania — wstrzymali mnie, pokazali na mapie gdzie się znajdujemy a gdzie jest Meppen, i przy pomocy

holendersko-angielsko-niemieckiego oraz gestykulacji dali mi do zrozumienia, że mnie tam dostarczą.

W Meppen wysadzili mnie przed dowództwem żandarmerii, skąd już krótka droga do Plutonu Opieki nad Żołnierzem, gdzie zameldowałem się do Szefa Plutonu mjr Adama Łubkowskiego. Miły pan przyjął niezwykle przyjaźnie obdartaś, który — jako wieloletni dziennikarz — pragnął dostać się do redakcji *Dziennika Żołnierza* 1 Dywizji Pancernej.

Poczęstował mnie kawą i mówi:

— Niech pan poczeka. Gdzieś tu jest Kot Jeleński z *Dziennika*, to on zabierze pana do Quakenbrück. Tam już na miejscu zaopatrzą pana w sorty mundurowe. Życzę powodzenia — mjr Łubkowski zakończył rozmowę serdecznym uściskiem dłoni. Wręczył mi także egzemplarze dzisiejszego *Dziennika* i *Defilady*, jeszcze pachnące farbą drukarską, wonią przyjemniejszą niż najlepsze perfumy.

Ppor. Konstanty Jeleński okazał się równie miły w obejściu. Godzinna chyba droga jego jeepem szybko upłynęła na rozmowie. Był ciekaw życia pod okupacją, Powstania, ja ze swej strony chciałem się dowiedzieć ile się da o Dywizji. W końcu dotarliśmy do Quakenbrück i zajechaliśmy przed Oldenburger Hof Hotel, gdzie kwaterował zespół *Dziennika*, filara kwatery prasowej Dywizji. Quakenbrück, niewielkie senne miasteczko, rozsiadło się na podmokłej nizinie rozciągającej się aż po Holandię, prawie w środku terenów okupowanych przez 1. Dywizję Pancerną w ramach strefy brytyjskiej. *Dziennik Żołnierza* 1. Dywizji Pancernej oraz tygodnik *Defilada* znalazły się tutaj tylko dlatego, że poza Wilhemshaven z całej bliższej i dalszej okolicy jedynie ta miejscowość została oszczędzona przez wojnę, a niejaki Herr Robert Kleinert, zresztą były SS-owiec, miał drukarnię wyposażoną w linotypy i maszynę rotacyjną.

Hotel Oldenburger Hof mieścił się w obszernym jednopiętrowym budynku. Dół zajmował przestronny salon, który służył równocześnie za jadalnię, górę — pokoje, przeważnie pojedyncze — typowy małomiasteczkowy hotelik niemiecki.

Kasyno *Dziennika* różniło się od innych instytucji tego rodzaju, a zwłaszcza angielskich, tym, że nie uznawano tu różnic w stopniach. Przy stole obok oficera siadał kapral, albo zgoła szeregowiec. Na wprost wejścia stała długa, wygodna kanapa.

Ppor. Jeleński wprowadził mnie do tego salonu-jadalni, i przedstawił kilku obecnym tam moim przyszłym kolegom.

Usprawiedliwił nieobecność redaktora *Dziennika* por. Rolanda Węckowskiego, który miał wrócić nazajutrz z Brukseli. Wobec braku wolnego pokoju, przydzielił mnie „na waleta” do pokoju Andrzeja Vincenza, który właściwie nic nie powiedział, tylko coś mruknął.

Na drugi dzień, po powrocie red. Węckowskiego, mieliśmy długą rozmowę. Wypytywał o moje doświadczenie, rodzaj pracy. Odpowiedziałem mu, że byłem członkiem redakcji *Kuriera Porannego*, a przez ponad dziesięć lat — do września — *Expressu Porannego*. Pod okupacją pisywałem w pismach podziemnych, a podczas Powstania już w jawnych. Rozmowę zakończył powitaniem mnie jako członka redakcji *Dziennika* i zlecił kierowcy, by zawiózł mnie do magazynu, z którego wyszedłem jak stary Dywizyjniak. Najbardziej cieszyły mnie skarpetki, miałem je na nogach po raz pierwszy od wielu miesięcy. Rozpadające się buty — jeszcze z Warszawy — z prawdziwą przyjemnością wyrzuciłem.

Dziennik Żołnierza 1. Dywizji Pancernej narodził się pod koniec czerwca 1940 r. w Forfar, w Szkocji. Przechodził różne fazy rozwoju, ukoronowaniem zaś było pismo codzienne formatu gazetowego w Quakenbrück, drukowane na maszynie rotacyjnej w nakładzie 10.000 egzemplarzy, dwu- lub czterostronicowe. Poza oddziałami macierzystymi, *Dziennik* obsługiwał również oddziały 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej oraz jednostki lotnictwa polskiego pełniące służbę okupacyjną, a także obozy b. jeńców i przymusowych przesiedleńców, dla których stanowił nie tylko źródło wiadomości, ale których często bywał jedynym obrońcą.

Przez dłuższy czas po wyzwoleniu obozów pismo poświęcało sporo miejsca na poszukiwania rodzin, najpoczytniejszą chyba rubrykę. Można tam było spotkać nawet znajome nazwiska, np. „Jana Szlenkiera, który po powstaniu warszawskim wywieziony został do obozu pracy pod Wiedniem a następnie ewakuowany, poszukuje ppor. Aleksander Szejnach”, albo: „Podwiesińskiej-Orlewicz Romualdy z AK poszukuje Zahorski Witold”. W licznych wypadkach ogłoszenia te były skuteczne.

Redakcja prawie każdego dziennika ma to do siebie, że skupia raczej niecodziennych ludzi. *Dziennik Żołnierza* również nie był wyjątkiem, chociaż zespół służył w wojsku i wszyscy chodzili w mundurach.

Redaktor por. Roland Węckowski, były dyplomata, przejął *Dziennik Żołnierza* w Bredzie w 1944 roku. W ciągu lat służ-

by wojskowej nic nie stracił z polityury MSZ. Oprócz nie-nagannych manier zachował sposób myślenia urzędnika służby zagranicznej. Stale w rozjazdach a to w sprawie zwiększenia przydziału papieru, a to zakwaterowania i wyżywienia rozrastającej się wciąż trzódki, redakcję zostawiał pod opieką ppor. Mieczysława Eizenmana.

Ppor. Mieczysław Eizenman, jedyny dotychczas dziennikarz w zespole, z miejsca dał się lubić dzięki łatwemu uśmiechowi, który doskonale pasował do pełni kształtów i niezbyt wojskowej postawy. Człowiek wyprany z żółci, zawsze pogodny, miał wrodzony talent do kalamburu. W *Dzienniku Żołnierza* zdobył sławę fraszkami i felietonami, które podpisywał „Or-Si”. Czy na froncie, czy później na okupacji, żołnierz zawsze rozpoczynał lekturę swojej gazety od jego fraszki, zawierającej jakąś głębszą myśl i zaskakującą puentę, albo od jego felietonu „Mimochodem”. W Quakenbrück napisał powieść osnutą na tle życia żołnierzy na okupacji, „Między jedną bitwą a drugą”, przepojoną humorem i dowcipem. Na początku kwietnia 1947 roku postanowił zdemobilizować się i zdał redakcję Konstantemu Jeleńskiemu.

Ppor. Konstanty Jeleński, mimo młodego wieku, był nieczęsto spotykanym człowiekiem. Na długo przed inwazją dostał urlop z wojska by pójść do Oxfordu, który ukończył z dyplomem ekonomii. Po powrocie do szeregów skończył podchorążówkę. Władając pięciu językami, czytany był jak rzadko. Świetnie orientował się nie tylko w międzynarodowych sprawach politycznych i ekonomicznych, ale również w tajnikach polityki i literatury. W *Dzienniku Żołnierza* pisywał artykuły wstępne, polityczne i ekonomiczne, sygnując je „k.a.j.” Kiedyś jeden ze swych artykułów wstępnych naszpikował cytatami francuskimi, angielskimi, włoskimi a nawet łaciną. Mieczysław Eizenman, który robił wtedy numer, podchodzi do jego biurka z poważną miną i mówi: „Słuchaj Kot (tak go wszyscy nazywali), to jest świetne. Ale ilu naszych czytelników będzie wiedziało o co chodzi?” Kot powtórnie przeczytał swój artykuł i obaj z Eizenmanem wybuchnęli śmiechem. Po przeredagowaniu, następnego dnia ukazał się już tylko po polsku.

W zespole redakcyjnym wyróżniał się również Henryk Tyszyński, nie tylko znakomitą angielszczyzną. Wysoki, przystojny blondyn o niebieskich marzycielskich oczach (jak go określała była AKaczka Zofia Koper, administratorka *Dziennika*) odznaczał się niezwykle spokojem — nic nie

potrafiło wyprowadzić go z równowagi. Każdą wolną chwilę spędzał na przygotowaniu się do egzaminów dyplomowych na słynnej London School of Economics (w parę lat po zdemobilizowaniu się we wrześniu 1946 został tam profesorem).

Nad stroną techniczną *Dziennika* czuwali dwaj sierzanci, zadzierzysty linotypista Edmund Goll oraz uosobienie skromności Kazimierz Wysocki.

Najbarwniejszą postacią chyba był kierowca, kapral Paweł Kornelius. Kiedy dostał się do niewoli w 1939 roku, Niemcy wyłuskali go jako Ślązaka i zamierzali wcielić do Wehrmachtu. Ale nie wiedzieli, na kogo trafili. Paweł ulotnił się i ze swoją niemczyzną przewędrował wszecz Reich, a z łamaną francuszczyzną, złapaną po drodze, całą Francję i dotarł do granicy hiszpańskiej. Tu, schwytany na próbie przejścia granicy, osadzony został w hiszpańskim obozie koncentracyjnym Puerta del Ebro. Nie popasał tam jednak zbyt długo. Dzięki fenomenalnej zdolności do języków złapał tyle hiszpańskiego, że po ucieczce z obozu potrafił dotrzeć do Portugalii i do Lizbony. Władze polskie ułatwiły mu transport do W. Brytanii. W końcu Paweł wylądował w 1. Dywizji Pancерnej (już mówił po angielsku), gdzie dostał przydział do *Dziennika Żołnierza*, z którym odbył kampanię aż do Wilhelmshaven.

W kolekcji nie powinno zabraknąć Andrzeja Vincenza, którego sublokatozem byłem po przyjeździe do Quakenbrück. Mrukliwego i opryskliwego, nikt by nie podejrzewał o ocalenie wiekowego kościoła, okazu architektury romańskiej w pewnej miejscowości we Francji.

Dywizja siedziała Niemcom na karku. Ze szczytu wieży tego kościoła jakiś snajper dokuczał Polakom. Andrzej był radiotą w czołgu prowadzącym natarcie. Z czołgu dowódcy operacji przyszedł rozkaz, żeby z działa rozwalić snajpera razem z wieżą. Gdy dowódca czołgu spytał, jaki ma rozkaz, radiota zameldował, że zakłócenia uniemożliwiają mu zrozumienie rozkazu (zakłóceń zresztą żadnych nie było). Tymczasem kilku piechurom udało się dotrzeć już do wieży. Zanim Andrzej zdołał uporać się z aparatem radiowym i prosić o powtórzenie rozkazu dowódcy operacji, piechurzy byli już wysoko na wieży, a serie ze stenów uciszyły Niemca na zawsze i ocaliły wieżę i kościół. Vincenzowi należy się pomnik od Francuzów.

Drugim wydawnictwem 1. Dywizji Pancерnej osiadłym od czerwca 1945 roku w Quakenbrück był tygodnik *Defi-*

lada. Powołanie go do życia spowodował napływ do szeregów Dywizji nowych żołnierzy, wyzwolonych z armii niemieckiej, a częściowo z obozów jenieckich, odciętych latami wojny od świata i drukowanego słowa polskiego. Obok dostarczenia im lektury, pismo zaznajamiało z historią i charakterystyką wszystkich jednostek wchodzących w skład Dywizji. W okresie wychodzenia w Niemczech na okupacji, tygodnik przekształcił się w pismo publicystyczno-informacyjne o 4-6 stronicach, drukowane na maszynie rotacyjnej w nakładzie 10.000 egzemplarzy.

Szeroko kolportowana w obozach polskich przymusowych przesiedleńców (tak jak *Dziennik Żołnierza* w obozach b. jeńców), *Defilada* w wielu wypadkach stanowiła jedyną dostępną lekturę w języku polskim. Ale nie wszystkim pisma te przypadły do gustu. W pewnych obozach, poza terytorium okupowanym przez oddziały polskie, miejscowe Teamy UNRRA, np. Team 162, podobnie jak i inny Team 245 w Knechsteden, nakazywały konfiskatę *Dziennika Żołnierza* i *Defilady* oraz palenie ich.

Defiladę redagował ppor. Wojciech Wasiutyński, znany przed wojną działacz Stronnictwa Narodowego i popularny publicysta. W czasach studenckich, na Uniwersytecie Warszawskim zawsze stał na czele coraz to innych przeobrażeń Stronnictwa Narodowego, gotów nawet do przelewu krwi za sprawę. Lata trzydzieste cechował ferment na wyższych uczelniach, często dochodziło do utarczek wręcz. Jak każdy szanujący się student aktywista czy korporant, Wasiutyński nie rozstawał się z grubą bambusową łagą. W jakimś starciu z przeciwnikami politycznymi oberwał podobną łagą potężny cios w głowę, który uszkodził nawet kość czaszki. Lekarze zszyli przeciętą skórę, ale na miejsce uszkodzonej kości musieli wstawić srebrną płytkę.

Zastępcą Wasiutyńskiego został ppor. Sławomir Dunin-Borkowski, redaktor wydawanego przed wojną przez Dom Prasy w Warszawie popularnego dziennika *Dzień Dobry*. Wysoki, szczupły, typ intelektualisty. Sławomir ma piękną kartę z czasów Podziemia. Jako kierownik referatu prasowego Biura Informacji i Propagandy (BIP) Komendy Głównej Armii Krajowej, w kwietniu 1943 roku zapoczątkował szeroką akcję prasowo-propagandową, obejmującą cały kraj i sięgającą nawet do obozów jenieckich, a także poza granice, do Anglii i Stanów Zjednoczonych. Szef Sztabu „Kedywu” (Komendy Dywersji) organizował spotkania uczestników akcji

bojowych ze sprawozdawcami prasowymi. Po opracowaniu redakcyjnym ich relacji zostały one zebrane i dotarły do Anglii, gdzie ukazały się kolejno jako dwa tomiki: „Polska karząca”, a później „W ogniu”. W 1945 roku, połączone, wydał Światpol z notą, że jest to „Przedruk z wydania krajowego”.

Na stosunkowo krótki czas, przed powrotem do Polski, dołączył do redakcji *Defilady* Andrzej Niklewicz, dziennikarz; chlubił się, że w dzieciństwie siadywał na kolanach Romana Dmowskiego, który mieszkał u jego rodziców.

Wydawnictwa dywizyjne uzupełniał 60-stronicowy miesięcznik formatu książkowego *Salamandra*, powstały we wrześniu 1946 roku. Każdy numer, oprawny w kartonowe okładki, nosił dwukolorowy tytuł opracowany graficznie. Pismo literackie i kulturalne na wysokim poziomie gromadziło sporo utalentowanych piór; poezje swoje drukował tu m.in. Wacław Iwaniuk.

Evakuacja Dywizji do Anglii spowodowała, że po wydaniu dziesiątego numeru *Salamandra* musiała zawiesić działalność. *Salamandrę* redagował dr Mieczysław Wnorowski, do wybuchu wojny *attaché* prasowy ambasady polskiej w Berlinie. Niezbyt wysoki, raczej trochę baryłkowaty, smakosz nad smakosze, wyśmienity znawca kuchni i win. Na wspomnianej uprzednio wygodnej kanapie w salonie Oldenburger Hof uwił sobie gniazdko. Z Jeleńskim, a czasami i z Wasiutyńskim, toczyły się tu długie dyskusje na temat win, ich rodzajów, roczników, wyższości jednych wytwórców nad innymi; czasami brali w nich udział goście, licznie odwiedzający kwaterę prasową (będzie o nich mowa).

Dziennik czerpał materiały bądź z prasy angielskiej, bądź z serwisu PATa i Światpolu, ale prawdziwą kopalnią okazał się serwis Reutera. Pochodził on ze zdobycznego aparatu długofalowego Hellschreiber. Nieduże czarne pudełko wypływało dzień i noc wąską taśmę papieru z wiadomościami od korespondentów z całego świata angielskiej agencji prasowej Reutera, nadawanymi na długich falach; bardzo cenne okazały się korespondencje z Warszawy i z Polski. Zanim redakcja rozpoczynała pracę rano, niemiecka maszynistka już przepisała całonocny dorobek. Inga nie znała angielskiego ani w ząb, przepisywała tylko to, co widziała. Dobra i szybka maszynistka nie kosztowała *Dziennika* ani feniga, po prostu zażądaliśmy od Arbeitsamtu maszynistki, a urząd płacił jej w markach odpowiednią stawkę.

Mówiąc o prasie wojskowej należałoby wspomnieć redagowany przez pastora Jana Mazierskiego miesięcznik *Dobra Nowina*, organ duszpasterstwa ewangelickiego 1. Dywizji Pancerniej, który obsługiwał również Polaków-ewangelików w obozach, gdzie kolportowano go na ogół bez przeszkód.

Spadochron — Pismo 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, tygodnik, ukazywał się w Bramsche pod redakcją przedwojennego dziennikarza Jerzego Rogowicza, przynosząc wiele materiału historycznego o polskich oddziałach spadochronowych i ich udziale w wojnie.

Kupą Mości Panowie! — Miesięcznik 9 Baonu Strzelców Flandryjskich pod redakcją W. Drygasa koncentrował się na historii i sprawach oddziału.

Pisma te, podobnie jak pisma 1. Dywizji Pancerniej, uległy likwidacji gdy Dywizję i Brygadę Spadochronową ewakuowano do Wielkiej Brytanii.

Wydawnictwa pozadywizyjne

Ale w Quakenbrück osiadła nie tylko kwatera prasowa 1. Dywizji Pancerniej. Osiedliły się tutaj również dwie agencje prasowe nie związane z Dywizją: *Informacja Prasowa* oraz *Refugees Press*, dwujęzyczny serwis prasowy.

Informacja Prasowa o charakterze agencyjnym stała się cotygodniowym źródłem materiału dla olbrzymiej większości polskich pism obozowych. Jak na agencję przystało, poszczególne działy — wiadomości ze świata, sprawy międzynarodowe, w Polsce i o Polsce, wiadomości z Niemiec, życie polskie na obczyźnie, obszerny dział sprawy katolickie — odbijano na papierze w różnych kolorach (dopóki zapasy się nie wyczerpały). Artykuły i komentarze przeważnie odzwierciedlały ideologię Stronnictwa Narodowego.

Zespół składał się z b. jeńców Oflagu w Dössel koło Peckelsheim, gdzie od stycznia 1943 roku „wydawali” tajnie tygodnik polityczno-informacyjny *Komentarze*. 23 kwietnia 1945 r. tygodnik wyszedł już jawnie jako nr 14, ostatni, by ustąpić miejsca tygodnikowi *Polak*, którego pierwszy numer w nowym wcieleniu nosi datę 3 maja 1945 roku. (Tytuł ten wybrano zapewne jako nawiązanie do tradycji *Polaka*, pierwszego organu Stronnictwa Narodowego, 1896 r.). Poza tym, pod tą samą redakcją, wydawano dziennik *Kronika Dnia*.

Zespołowi, w skład którego wchodził Stanisław Jocher,

Mieczysław Kijowski, Andrzej Onyszkiewicz, Maksymilian Roguszko i Leon Sinicki, kierowali redaktorzy Adam Nechay i Witold Olszewski.

Adam Nechay, przedwojenny redaktor lwowski, świetne pióro. W zarekwirowanej dla zespołu willi niemieckiej wybrał sobie najmniejszy pokój, w którym nie tylko sypiał na spartańskim łóżku, czytał i pisał, ale również pitrasił sobie posiłki na niedużej kuchence elektrycznej o dwu palnikach. Być może ten tryb życia sprawił, że zachował sylwetkę bez grama zbędnego tłuszczu. Trudno było dociec tajników jego kuchni, w przeciwieństwie bowiem do dra Wnorowskiego z *Salamandry*, który chętnie dzielił się przepisami na wyszukane potrawy francuskiej kuchni, miał mistrzowski przepis na polski barszcz lub bigos (nadzorował nawet niemieckie kucharki, gdy któraś z tych potraw miała być podana), Nechay jeszcze bardziej nabierał wody w usta, gdy mówiono o takiej czy innej potrawie. A w ogóle otaczała go aura pewnej tajemniczości; nikt na przykład nic nie wiedział o jego rodzinie, a nawet czy jest żonaty. Również rzadko udawało się wyciągnąć go do kasyna w Oldenburger Hof. W uznaniu jego zawodowych zasług zjazd organizacyjny Syndykatu Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji 17 sierpnia 1946 roku wybrał go jednogłośnie prezesem.

Pełnym jego przeciwieństwem był drugi redaktor *Informacji Prasowej*, Witold Olszewski. Niższy i bardziej okrągły, z lekka łysiejący, przedwojenny adwokat. Ruchliwy, stale zaafierowany sprawami organizacyjnymi narodowców.

Członek redakcji Andrzej Onyszkiewicz właściwie nazywał się Andrzej Juliusz Jacyna Onyszkiewicz. Dziennikarz, przed wojną redagował *Hasło katolickie* w Płocku. Jego zaabsorbowanie sprawami religijnymi sprawiło, że nie tylko jego dział zajmował najwięcej miejsca w biuletynie, ale że wśród quakenbrückiej braci dziennikarskiej uzyskał przydomek „biskup”. Zawsze chętny do pomocy, był doradcą *Dziennika Żołnierza* w sprawach religijnych.

Druga agencja prasowa, podobnie jak *Informacja Prasowa* nie na etacie Dywizji, *Refugees Press* — *Służba Prasowa Uchodźstwa*, rozpoczęła publikację w lutym 1947 roku. 32-stronicowy miesięcznik formatu książkowego w języku angielskim, drukowany, miał charakter agencji artykułowej na tematy uchodźcze. Odbijany na kredowym papierze, wyrazy „Refugees Press” w tytule nadrukowane na niebiesko. Pod tym samym tytułem ukazywał się w nieregularnych odstępach

po polsku biuletyn dla prasy obozowej. Wydawał i redagował *Refugees Press* Jerzy Grot-Kwaśniewski. Nie podlegając wymogom służby wojskowej, red. Kwaśniewski korzystał z o wiele większej swobody ruchów, a dzięki wrodzonej dociekliwości i bystremu zmysłowi obserwacji, poznał na wylot sytuację prasy polskiej w obozach przymusowych przesiedleńców, jak i byłych jeńców. Na organizacyjnym zjeździe Syndykatu Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji 17 sierpnia 1946 roku wyczerpująco przedstawił ówczesny stan prasy polskiej w referacie „Prasa polskiego wychodźstwa przymusowego na terenie b. Rzeszy”.

Wizyty

Kwaterna prasowa 1 Dywizji Pancерnej w Quakenbrück oraz wydawnictwa pozadywizyjne stały się swego rodzaju Mekką dla dziennikarzy polskich redagujących i wydających pisma obozowe, zwłaszcza w brytyjskiej strefie okupacji. Spośród 393 tytułów pism polskich, jakie wyliczyłem w mojej większej pracy „Prasa polska w Niemczech, 1945-1947” obejmującej 402 strony, 187 ukazywało się w strefie brytyjskiej (a tylko 145 w strefie amerykańskiej, 21 w Austrii i 24 inne). Oczywiście pisma te nie wychodziły wszystkie naraz. Władze okupacyjne i UNRRA tępiły je bezlitośnie w swych strefach, jednak po zamknięciu danego pisma powstawało nowe, zatytułowane inaczej, ale pod tą samą redakcją, aż do ponownego zamknięcia.

Dziennikarze i współpracownicy pism obozowych szukali w Quakenbrück nie tyle pomocy materialnej (choć i tę często otrzymywali w skromnych rozmiarach), pragnęli natomiast zetknąć się z prawdziwą gazetą, prosić członków redakcji o wskazówki i rady.

Inną kategorię gości stanowili ludzie o nazwiskach nieobcych czytelnikom nie tylko prasy obozowej.

W listopadzie 1945 roku *Dziennik* gościł gen. Maczka, b. dowódcę 1. Dywizji Pancерnej, oraz gen. Andersa; w jakiś czas później pisarza Sergiusza Piaseckiego, poetę Wawrzyńca Czeręśniewskiego, mjrą Krybara-Odorkiewicza — jednego z dowódców Powstania. Od czasu do czasu odwiedzał redakcję gen. Klemens Rudnicki, który przejął dowództwo 1. Dywizji pancерnej z rąk gen. Maczka, oraz szef Plutonu Opieki nad Żołnierzem, mjr Adam Łubkowski. Nie zapominali o nas rów-

nież koledzy red. Antoni Bogusławski, prezes Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie, red. Bolesław Wierzbiański, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy R.P. (gościł u nas dwukrotnie), red. Jerzy Pańciewicz z Londynu. Od czasu do czasu wpadali „jak po ogień” koledzy-sprawozdawcy wojenni z British Press Camp: Ryszard Kiersnowski, Maciej Feldhuzen, Aleksander Janta-Polczyński, Stefan Kossak, Eugeniusz Romiszewski, Bolesław Piekarski, miniaturowy Roman Grzymała, Janusz Makowski.

Nie brakowało także przybyszów z Polski. Znany nam już Paweł Kornelius zorganizował konwój ciężarówek z transportem do Polski towarów głównie z przydziałów UNRRA, a w drodze powrotnej, żeby nie pędzić pustych wozów, pozbierał rodziny kolegów i znajomych. Paweł nie byłby Pawłem gdyby mu się nie udało przechytrzyć WOPu i czerwonoarmiejców, którzy pilnowali granicy między strefą sowiecką i brytyjską. Następne transporty, a było ich немало, korzystały z jego doświadczeń.

Tą drogą dotarli do Quakenbrück w październiku 1946 roku dzieci red. Sławomira Borkowskiego (córka i syn), w grudniu — żona i córeczka kierownika technicznego *Dziennika* Edmunda Golla, następnie żona red. Wasiutyńskiego z córką i synem (którego nie znał, gdyż urodził się gdy ojciec był na froncie), rodzina Ryszarda Kiersnowskiego i spora paczka innych rodzin.

Wszyscy przybysze byli bardzo zadowoleni z dotarcia do Quakenbrück. Dla rodzin skończyła się kilkuletnia rozłąka, dla nas stali się kopalnią wiadomości z pierwszej ręki o sytuacji w Kraju i nastrojach ludności.

Zdarzało się, że goście odwiedzający Quakenbrück sprawiali zawód gospodarzom. Na zaproszenie *Informacji Prasowej* przyjechał z Londynu prezes Stronnictwa Narodowego Jan Bielecki. Nasi narodowcy przyjmowali go jak mogli, ale prawdziwy bankiet miał się odbyć w Oldenburger Hof. Zaproszony do pomocy dr Wnorowski stanął na wysokości zadania. Menu, potrawy, wina i poobiednie koniaki — gość nie mógł wyjść z podziwu. Po kolacji, przy kawie, rozpoczęła się dyskusja, jednak wbrew oczekiwaniom gospodarzy, zamiast spraw politycznych, prezes Bielecki zainicjował rozmowę na tematy kulinarno-winno-koniakowe. Dr Wnorowski był w swoim żywiole, a gospodarze wrócili do siebie zawiedzeni i rozczarowani. Na drugi dzień spytałem Witolda Olszewskiego z *Informacji Prasowej*, jednego z gospodarzy, o

wrażenia z wizyty prezesa. Wzruszył ramionami. „Ech! Nie wiem co się z nim stało. Pytania o politykę zbywał krótko, natomiast najwięcej czasu traciliśmy na rozmowy o jedzeniu i trunkach”.

Ale to, co przydarzyło się Heniowi Tyszyńskiemu, nie da się porównać z niczym.

Podczas jednej ze swych częstych wizyt w Brukseli, Kot Jeleński spotkał gdzieś poetę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, który raczej cienko wówczas prządl. Jeleński zaprosił go do kwatery prasowej w Quakenbrück, gdzie będzie miał zapewniony dach nad głową i wikt, a nade wszystko całkowitą swobodę twórczą. Gałczyński z wielką ochotą skorzystał z zaproszenia i wieczorem, 18 listopada 1945 roku Jeleński wprowadził go — tak jak mnie pół roku przedtem — do kasyna hotelu Oldenburger Hof. Gość na razie miał dzielić pokój z Henrykiem Tyszyńskim, który był bardzo zadowolony i, jak zapewniał, zaszczycony towarzystwem sublokatora — znanego poety.

Rozmowy przy obiedzie nabrały rumieńców. Gość cytował poezję, często własne utwory, opowiadał dykteryjki niezadko zabarwione abstrakcyjnym humorem. Jeżeli znalazła się whisky lub gin, nie protestował gdy napełniano mu kieliszek za kieliszkiem.

Aliści sielanka nie trwała długo.

Jego gospodarz, Henio, jak mówiliśmy, uosobienie wielu cnót, do których należała abstynencja, przydziałowy alkohol pieczołowicie chował, by go zabrać do Londynu, dokąd się wybierał na bożonarodzeniowy urlop. W Anglii, wówczas, alkohol obłożony był ogromnym podatkiem. Whisky szła na wagę złota. W kantynie NAAFI (angielski odpowiednik amerykańskiego PX) przydziałowa butelka whisky czy ginu kosztowała parę szylingów, taka sama butelka w Londynie — parę funtów.

Gałczyński wypatrzył kryjówkę i zaczął dobierać się do skarbcza Henia. I tak zapas powoli zaczął się kurczyć, a gość coraz częściej bywał w zbyt dobrym humorze. To byłoby jeszcze pół biedy, ale Gałczyński, obawiając się widocznie zaskoczenia, zamykał drzwi na klucz i zostawiał go w zamku, uniemożliwiając użycie wytrycha.

Początkowo Henio po powrocie z redakcji, cierpliwie pukał i swoim cichym głosem skromnie perswadował Gałczyńskiemu, by go wpuścił, gdyż zbliża się pora obiadu. Czasami,

gdy gość nie zasnął zbyt głęboko, procedura dawała rezultaty. Ale nie zawsze. Wówczas Tyszyński musiał walić w drzwi, narabiając hałasu nie tylko na górze, ale nawet w salonie-jadalni na dole i w kuchni.

Tego dnia nic nie pomagało pukanie i perswazja, coraz mocniejsze stukanie, ani nawet walenie we drzwi. Siedzieliśmy na dole w salonie, współczując Heniowi, że nie może się umyć przed obiadem.

Tyszyński właśnie zszedł na dół i prosił nas o pomoc. Rada w radę postanowiliśmy wyważyć drzwi, skoro były zamknięte na klucz. Wspólnym wysiłkiem wyrwaliśmy niezszcześnie drzwi razem z futryną.

Staliśmy oniemiałi.

Pokój wyglądał jak inscenizacja „Teatryku Zielona Gęś”: z lewej strony od wejścia olbrzymia dziura w ścianie wskazywała, gdzie wisiała porcelanowa umywalka. Umywalka teraz nakrywała głowę Gałczyńskiego zabezpieczoną hełmem Heniowym; szeroko rozwalone nogi w zabłoconych butach leżały na poduszce; parę pustych butelek, omotanych zerwanymi z gzymsów firankami, wałało się na podłodze zasłanej warstwą rozbitego tynku i kruszywa ceglanego.

Staliśmy wszyscy w milczeniu, spoglądając to na siebie, to na pokój, to na łóżko ze sprawcą, pogrążonym w głębokim śnie. Jak on to zrobił?...

Po wielu godzinach Gałczyński wrócił o tyle o ile do przytomności, a po paru dniach — do Paryża.

Wolność słowa

Prasa dywizyjna i wydawnictwa pozadywizyjne, publikowane w Quakenbrück, korzystały z całkowitej wolności słowa i swobody redakcyjnej. W ciągu dwuletniego pobytu na okupacji Niemiec *Dziennik Żołnierza* raz tylko otrzymał polecenie dowódcy Dywizji i to na piśmie:

1) Dnia 15 [maja, 1947 — przyp. ASK] ogłosić w dzienniku rozkaz gen. Maczka z 4 VIII 44 i rozkaz mój [gen. Rudnickiego — przyp. ASK] z dnia 15 III 47.

2) Rozkaz mój z dnia 15 III 47 wyłącznie dla historii.

3) Ogłaszając te dwa rozkazy dzienne, zrobić z tego artykuł na ten temat. (...)

Poza tym jednym wypadkiem, związanym ze zbliżającą się ewakuacją 1 Dywizji Pancerniej do Anglii i jej demobilizacją

cją, dowódcy 1. Dywizji Pancерnej, gen. Maczek, a później gen. Rudnicki nigdy nie ingerowali w sprawy redakcyjne *Dziennika Żołnierza* czy *Defilady*.

Pisma obozowe również korzystały z całkowitej swobody wypowiedzi, brak było bowiem organu nadrzędnego, który mógł rościć sobie prawo do ingerencji w sprawy redakcyjne danego pisma. Każdy redaktor kierował się jedynie własnym sumieniem i dobrem swych współtowarzyszy obozowych. Nawet tak żywotną sprawę powrotu do Kraju zostawiał każdemu czytelnikowi do rozważenia i decyzji.

Repatriacja

Dziennik Żołnierza, podobnie jak *Defiladę*, kolportowano w całej brytyjskiej strefie okupacji. Okupacyjne władze brytyjskie przymykały na to oko, a UNRRA wolała unikać konfliktu z Dywizją, okupującą olbrzymi szmat strefy brytyjskiej.

We wszystkich trzech strefach okupacji Niemiec i Austrii traktowanie prasy polskiej przez władze stało się wykładnikiem ich stosunku do ZSSR. Mimo wielu rozczarowań i przykrych doświadczeń, mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, nie potrafiły otrząsnąć się z euforii czasu wojny.

Jednym z zobowiązań, które przyjęły na siebie w umowach jałtańskich, było zagwarantowanie repatriacji z zachodnich stref wszystkich obywateli sowieckich, włącznie z b. mieszkańcami republik bałtyckich, a więc uwolnionych jeńców i deportowanej na przymusowe roboty ludności cywilnej, a nawet zmuszanie ich do powrotu siłą, co Amerykanie i Anglicy systematycznie robili.

Przymusu tego nie udało się Stalinowi rozszerzyć na jeńców i deportowanych z Polski i krajów Europy środkowej, mimo że znalazły się one we władaniu Armii Czerwonej. Władze okupacyjne stref zachodnich, chociaż nie szczędziły wysiłków, by przeforsować repatriację najliczniejszej z uwolnionych grup narodowościowych — Polaków, nie uciekały się do użycia siły.

Powstającą samorzutnie prasę polską cechował patriotyzm, duch niepodległości i ideowe podporządkowanie się legalnemu rządowi polskiemu w Londynie. W sprawie repatriacji, newralgicznego zagadnienia zachodnich władz okupa-

cyjnych, wypowiadała się oględnie, zajmując postawę wyczekującą. Niezadługo, różnymi drogami zaczęły napływać wieści od tych, którzy wrócili do Kraju na własną rękę, bądź odjechali pierwszymi transportami. Wiadomości te, podobnie jak przedrukowywane doniesienia z Polski korespondentów pism zagranicznych, władze okupacyjne i UNRRA uznały za propagandę antyrepatriacyjną. Temu właśnie przypisać należy ich wrogie nastawienie do prasy polskiej: odmawianie zezwoleń na wydawanie pism, nie przydzielanie papieru, matryc i farby do powielaczy, a pisma, które powstawały mimo tych utrudnień i same zdobywały materiały — bezwzględnie likwidowano.

Liczne polskie wydawnictwa w Londynie i w Stanach Zjednoczonych oczywiście mogły zaspokoić głód wiadomości i słowa drukowanego w obozach. Tymczasem usilne starania i wydawnictw, i polskiego rządu w Londynie, napotykały na nieprzezwyciężony opór. Mieszkańcy obozów, nieświadomi istotnego stanu rzeczy, oskarżali polskie organizacje opiekuńcze, a zwłaszcza rząd w Londynie, o zaniedbywanie ich, lekceważenie i opuszczenie.

Strefa amerykańska

Najbardziej nieprzejednane stanowisko w sprawie prasy polskiej zajęły amerykańskie władze okupacyjne. Co do wydawnictw polskich w Wielkiej Brytanii, jeden z wyższych urzędników amerykańskich władz okupacyjnych, mjr Auberjonois, w piśmie do swoich zwierzchników z 22. VI. 1945 mówi:

„Przy licznych okazjach zwracano się do nas z prośbą o rozprawienie w obozach polskich pism wydawanych w Zjednoczonym Królestwie. Z uwagi jednak na dynamit, jakim podminowana jest sprawa polska, Grupy Armii otrzymywały polecenie nie angażowania się w kolportaż wydawnictw, które mogą zmierzać do wywoływania niepokoju i zamieszek w obozach D.P.” (...) [podkr. A.S.K.]

Przypuszczenie mjra Auberjonois, że pisma polskie z Londynu — *Dziennik Polski*, *Polska Walcząca*, *Wiadomości* i in. — mogłyby nawoływać do buntu przeciw amerykańskim, brytyjskim i francuskim władzom okupacyjnym nie tylko dowodzi jego cynizmu i złej woli (jeśli nie kompletnej igno-

rancji), ale wprost graniczy z absurdem. Nie był on zresztą odosobniony w swych poglądach: 9.IX.1946 szef amerykańskich władz okupacyjnych, gen. Joseph T. McNarney, wyraził podobne obawy.

Rada w radę, Amerykanie postanowili wydawać własne pismo i od 6 lipca 1945 r. zaczął się ukazywać czterostronicowy *Tygodnik Polski* formatu gazetowego jako „Pismo Armii Amerykańskiej w Niemczech”, a w dwa tygodnie później, 22.VII.1945, *Mały Polak*, czterostronicowe „Pismo Armii Amerykańskiej dla dzieci polskich w Niemczech”. Redaktorem obu pism był mjr Jerzy Ponikiewski; w skład zespołu wchodził: pchor. Elżbieta Kuczyńska, ppor. Hanna Rozner, ppor. Zofia Rutkowska.

Tygodnik Polski miał 85.000 egz. nakładu, *Mały Polak* — 3000 egz. Oba pisma z diakrytyką, drukowane na maszynie rotacyjnej.

Władze brytyjskie nie pozostawały w tyle: 24.VII.1945 ukazały się *Wiadomości*, 2-4 stronicowe, wychodzące dwa razy tygodniowo w nakładzie 30.000 egz. oraz *Nasz Płomyczek*, tygodnik dla dzieci w nakładzie 15.000 egz., 24-40 stron; oba pisma z diakrytyką, drukowano na maszynie rotacyjnej. Jako ich wydawca figurowały „Brytyjskie Władze Okupacyjne w Niemczech”. Redagował je kapitan armii brytyjskiej Henryk Giełdziński, do wojny pracownik działu ogłoszeń firmy Lilpop, Rau i Loewenstein w Warszawie.

Propaganda powrotu widocznie zawiodła Warszawę, gdyż pod jej naciskiem Brytyjczycy zgodzili się zawiesić wydawanie *Wiadomości* i udzielić Polskiej Misji Repatriacyjnej zezwolenia na tygodnik *Słowo Polskie*, którego pierwszy numer wyszedł 12.IV.1947 w Bad Salzuflen drukiem na maszynie rotacyjnej w nakładzie 40.000 egz. o czterech stronicach z diakrytyką. Podtytuł miał brzmienie: „Bezpłatny tygodnik dla Polaków w Niemczech” i zawierał dwa hasła w obramowanych okienkach: „Informuje i pomaga w powrocie do Kraju”, a w drugim: „Staje w obronie praw Polaków na obczyźnie”.

Ale ożywiona akcja wydawnicza w obozach bynajmniej nie osłabła. Aby ją wytrzebić, 9 września 1946 roku gen. McNarney zakazał jakichkolwiek publikacji przymusowych przesiedleńców w strefie amerykańskiej i zapowiedział przyznanie licencji na wydawnictwa. Tak więc Ukraińcom na 62.000 uchodźców, przyznano cztery pisma; Łotyszom — na 60.000 uchodźców przyznano licencje na trzy pisma i cztery periodyki; Litwinom — na 40.000 uchodźców — cztery pisma;

Estończykom — na 20.000 osób w obozach — dwa pisma; ba! nawet Kałmucy, których w obozach naliczono około tysiąca osób, dostali prawo wydawania jednego pisma.

Wyliczając te różne narodowości i liczbę otrzymanych przez nie zezwoleń, nie wspomniałem Polaków. W okresie, gdy gen. McNarney wydawał licencje na pisma, w strefie amerykańskiej przebywało w obozach ponad 200.000 polskich przymusowych przesiedleńców (DP); otrzymali oni zezwolenie jedynie na dwa pisma, z czego jedną licencję otrzymał Wojciech Barcz-Petters na pismo Polskiej Misji Repatriacyjnej i jedną na niezależne pismo *Kronika* Jerzy Ponikiewski.

Był to cios dla prasy naprawdę niezależnej i nie podlegającej cenzurze. Jednak jeszcze dalej idące okazało się zarządzenie gen. Luciusa DuB. Claya z 28 kwietnia 1947 roku, obostrzające cenzurę dla zapobieżenia „rozsiewaniu wiadomości informacyjnych czy w formie artykułów, które zawierają złośliwe ataki na politykę i personel (...) Alianckich Sił Zbrojnych [czytaj: Rosji, przyp A.S.K.] usiłujące zakłócić jedność Aliantów (...)”.

Na podstawie tego zarządzenia w niezależnym piśmie polskim w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec nie wolno było wspominać wkładu Polski do II Wojny Światowej, nie wolno było wymieniać słowa „Rosja”, „Sowiety” lub „ZSSR” w niekorzystnym kontekście, ponieważ uważane to było za „usiłowanie zakłócenia jedności Aliantów”. Nawet o 1. Dywizji Pancernej i oddziałach Sił Powietrznych, które w ramach British Army of the Rhine (BAOR) okupowały północno-zachodnie Niemcy, podobnie jak o 2. Korpusie, o kampanii włoskiej, o generale Andersie. Nic o wydarzeniach ostatnich lat. I oczywiście o rządzie polskim w Londynie, o sytuacji w Polsce, o prześladowaniach b. żołnierzy Armii Krajowej, kościoła, ludowców. Do wiadomości zakazanej kategorii należały także doniesienia korespondentów zagranicznych, nawet amerykańskich, akredytowanych w Warszawie lub odwiedzających Polskę.

Zarządzeniem swym gen. Clay skodyfikował i dał podstawę prawną do tępienia prasy obozowej, a zwłaszcza polskiej, które uprawiano od chwili zawieszenia broni. Do 28 kwietnia 1947 roku bowiem likwidacja pism przez agendy Zarządu Wojskowego i teamy UNRRA opierała się głównie na doraźnie wydawanych instrukcjach, nakazach i zakazach, chociaż wykazywała wszelkie znamiona akcji systematycznej, uprzednio zaplanowanej. Dla ilustracji kilka najbardziej charakterystycznych wypadków:

Dziennik Polski w Brunszwiku (miasto wówczas jeszcze podlegało Amerykanom — do czasu wprowadzenia poprawek granicznych między strefami), założony 10.IV.1945. W dniu 3 maja 1945 r. wyszedł numer okolicznościowy, trójbarny. Spotkał się on z dużym uznaniem przedstawicieli Zarządu Wojskowego i armii, urzędników UNRRA i innych osobistości obecnych w mieście na obchodzie, ale wydawnictwo zamknięto — jak informował redaktor St. Pożniak-Poznański — już następnego dnia jedynie za to, że w winiecie tytułowej, wśród sztandarów alianckich, zabrakło flagi sowieckiej.

Wielka Polska, tygodnik w Darmstadt, założony 19.IV.1945. Od pierwszego numeru redakcja zajęła stanowisko niepodległościowe. Informowała o trudnościach na jakie napotyka rząd polski w Londynie, sporo miejsca poświęcała Armii Krajowej, jej walkom w okresie okupacji i jej sytuacji w kraju — aresztowania, zsyłki, itd. Redaktor J. Wysocki i jego koledzy z zespołu — w większości AKowcy — uważali, że wolność słowa i prasy, tak wysoko ceniona w demokracjach zachodnich, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, powinna i im pozostawić swobodę wypowiedzi. Przytaczali często głosy prasy anglojęzycznej i jej warszawskich korespondentów, nazywali rzeczy po imieniu, unikali niedomówień, alegorii i symboliki, których przeciętny obozowicz, ich czytelnik, zapewne by nie zrozumiał.

Pismo miało z tego powodu wiele kłopotów, aż wreszcie jego sprawa oparła się o Combined Displaced Persons Executive (Połączona Egzekutywa do Spraw Displaced Persons, w skrócie CDPX). Był to urząd powołany przez gen. Eisenhowera 8.VII.1945 przede wszystkim dla zintensyfikowania repatriacji przymusowych przesiedleńców. Poza Amerykanami w skład CDPX wchodził przedstawiciele dowództwa brytyjskiego i francuskiego, a do personelu rozkaz Eisenhowera włączył również terenowy personel UNRRA.

W CDPX zapadła decyzja likwidacji *Wielkiej Polski*. Wysoki urzędnik CDPX w piśmie z 20 sierpnia 1945 informuje szefa Information Control Division, że:

„... Druk nr 13 WIELKA POLSKA został zatrzymany dziś po południu, a formy zdjęte z maszyny i rozrzucone. (...)”

Dochodzenie ustaliło, że redaktorem pisma jest *Displaced Person* nazwiskiem Wysocki, zdeklarowany polski faszysta (*an accepted Polish fascist*). Uważa on, że Polska wojnę przegrała.

Rozmawiałem z nim osobiście i stwierdziłem, że nic nie zdoła zmienić jego antyrosyjskiego nastawienia.

Numer z 1 lipca zawierał między innymi artykuł zatytułowany: «Dlaczego Armia Polska jest prześladowana?», którego autor twierdzi, że Rosjanie osadzają polskich oficerów i szeregowych w obozach koncentracyjnych, wywożą w głąb Rosji, a nawet przeprowadzają ich egzekucje. Rosja chce rządzić Polską według wzorów sowieckich i likwiduje wszelką opozycję.

W numerze z 8 lipca znajdujemy następujący komentarz na temat czynników polskich, pracujących podówczas nad sformułowaniem nowego polskiego Rządu Jedności Narodowej: «...polityczny dziwoląg utworzony z komunistów i obcych agentów, który ma rzekomo być «polskim rządem». Prawowici przywódcy Rzeczypospolitej nie mogą uznać takiego fałszywego rozwiązania problemu. Dla Rzeczypospolitej, rząd, nawet po cofnięciu mu uznania, pozostaje jedynym prawowitym rządem. (...)». W tym samym numerze znajduje się ostra krytyka decyzji Wielkiej Trójki w sprawie Polski.

Pismo zostało zlikwidowane nie tylko za jego antyrosyjskie artykuły, lecz również dlatego, że wiadomości ze świata przedstawiało stronnictwo, usiłując ukryć lub bagatelizować uznanie warszawskiego rządu tymczasowego przez Aliantów”.

Tygodnik *Wielka Polska* powstał 19.IV.1945. Początkowo powielany, później drukowany z diakrytyką. Nakład wzrastał, z początkowych 3200 egz. doszedł do 12.000 egz. Jedno z pierwszych pism polskich w Niemczech; założone przez b. żołnierzy AK i przez nich redagowane, od pierwszego numeru zajęło niepodległościową i antysowiecką postawę. Brutalna likwidacja przez amerykańską żandarmerię wydania drukowanego nie zraziła zespołu: powrócono do powielacza; tygodnik wychodził w tej formie do 6.X.1945. Redaktor — wspomniany wyżej J. Wysocki; zespół: J. Atys, J. Białkowska, ks. Andrzej Czełusniak, Kazimierz Grochowski, F. Kącki, W. Polak, Wiesława Saratowicz, Jerzy Walter i J. Wielogórski.

Pismo Żołnierza, tygodnik w Norymberdze założony 15.VI.1945. Jako jedno z najlepiej redagowanych wydawnictw, *Pismo Żołnierza* cieszyło się dużą poczytnością i wywierało poważny wpływ we wszystkich strefach okupacji. Dzięki poparciu wyższych (i rozsądniejszych) oficerów amerykańskiego Zarządu Wojskowego, pismo wypowiadało się z dużą swobodą na temat polityki ZSSR, omawiało sprawę polską, zamieszczało oświadczenia rządu polskiego w Londynie

(np. orędzie Prezydenta R.P. na dzień 3 maja), mimo iż podlegało bacznej obserwacji, a niektóre artykuły tłumaczono dosłownie na angielski. Uległo zamknięciu — podobnie jak wszystkie pisma w strefie amerykańskiej — na skutek zarządzenia gen. McNarneya. 21 września 1946 roku szef Press Branch, Langendorf, zawiadamiał depeszą Zarząd Wojskowy: „Wydawanie polskiej gazety PISMO ŻOŁNIERZA zostało zawieszono 16 września 46. Pismo nie będzie ponownie drukowane dopóki nie uzyska odpowiedniej licencji”.

W drugiej połowie września 1946 roku odbiorcy otrzymali następujące zawiadomienie:

W dn. 12 bm. Głównodowodzący Amerykańskich Sił Okupacyjnych w Niemczech gen. MacNarney zawiesił wydawanie pism obcojęzycznych, redaktorzy których muszą uzyskać nowe licencje na wydawnictwa.

W związku z tym w dn. 17 bm. otrzymałem zarządzenie z M.G. (Military Government) w Norymberdze nakazujące wstrzymanie wydawania „Pisma Żołnierza”. Nr 37 „Pisma Żołnierza” ukazał się więc jako ostatni w tym okresie, zamykając pierwszy rozdział działalności naszej placówki wydawniczej.

Jako redaktor „Pisma Żołnierza” z największą przykrością podaję ten fakt do wiadomości naszych Przyjaciół i Czytelników. (...) Mam nadzieję, że przerwa w wydawnictwie „Pisma Żołnierza” jest tylko chwilowa. Zgodnie bowiem z nowymi przepisami prasowymi zamierzam wystąpić o licencję na wznowienie wydawnictwa. Życzliwość zaś, z jaką odnoszą się do tej sprawy Władze Amerykańskie Mil. Gov. w Norymberdze, pozwala mi przypuszczać, że „Pismo Żołnierza” ukaże się znowu — może w zmienionej postaci — aby nadal służyć interesom naszego narodu i Rzeczypospolitej oraz interesom polskiego wychodźstwa przymusowego w Niemczech.

Czołem! Józef Białasiewicz,
Redaktor „Pisma Żołnierza”

Nadzieje redaktora Białasiewicza nie ziściły się i nie otrzymał autoryzacji. Ostatni numer *Pisma Żołnierza* nosi datę 14. IX. 1946.

Redaktor: Józef Białasiewicz, redaktor przedwojenny; zespół: dr Henryk Gacki, Tadeusz Gąsior, Tadeusz Korzyca, Antoni T. Peters.

Licencję otrzymał natomiast Jerzy Ponikiewski na tygodnik *Kronika*, do redagowania którego zaangażował Klaudiusza

Hrabyka. Pismo o nakładzie 15.000 egz., 4-8 stronicach z diakrytyką, założono 21. XII. 1946.

Było to jedno z dwóch polskich pism autoryzowanych przez amerykańskie władze okupacyjne. Artykuły dotyczące zagadnień polityki międzynarodowej, stosunków w Polsce, repatriacji i emigracji — wszystkich newralgicznych punktów polityki amerykańskiego Zarządu Wojskowego w Niemczech — podlegały skrupulatnej ocenie cenzorów, co w wysokim stopniu krępowało i ograniczało swobodę redakcji tego „Nie-zależnego Tygodnika Demokratycznego”, jak głosił podtytuł. Redakcja starała się jednak możliwie obiektywnie przedstawić ówczesną sytuację polityczną w Polsce, stosunki polsko-sowieckie, itp., przeciwstawiając się propagandzie uprawianej przez pismo drugiego licencjanta, *Wiadomości Polskie*, organu Polskiej Misji Repatriacyjnej (redaktor Bogusław M. Borowicz, a po wybraniu przez niego wolności — Bogusław Chalicki i Wojciech Peters-Barcz).

W skład zespołu *Kroniki* weszli przedwojenni redaktorzy: Józef Białasiewicz, Jerzy Jagielski i Jan Krawiec.

Strefa brytyjska

Władze okupacyjne strefy brytyjskiej do końca 1947 roku nie wydały żadnych ogólnych przepisów dotyczących prasy przymusowych przesiedleńców i b. jeńców. Polityka władz w stosunku do ukazujących się pism była analogiczna do postępowania ICD w strefie amerykańskiej przed wprowadzeniem zarządzenia o licencjonowaniu. I o ile tam pisma powielane spełniały zadania prasy lokalnej, uzupełniające obsługę przez duże pisma drukowane o wysokich nakładach, które ukazywały się od zakończenia działań wojennych, o tyle w strefie brytyjskiej, gdzie nie wychodziło ani jedno duże pismo drukowane, pismom przedrukowanym techniką zastępczą (rotaprint, powielanie, itp.) przypadły obydwie zadania, czym się właśnie tłumaczy ich mnogość. Lukę tę starały się wypełniać pisma drukowane Polskich Sił Zbrojnych przebywających tu jako siły okupacyjne, ale i one napotykały w tej misji na przeszkody.

W połowie 1946 roku w strefie brytyjskiej obozy polskich przymusowych przesiedleńców (*displaced Persons, DP*) liczyły około 180.000 osób, oraz ponad 40.000 b. jeńców (PWX), w sumie około 220.000 osób (nie licząc Polskich Sił

Zbrojnych). Jednakże wielokrotne starania bądź poszczególnych osób, bądź organizacji o uzyskanie zezwolenia na wydawanie przynajmniej jednego polskiego pisma niezależnego od administracji w Warszawie napotykały na stanowczy opór brytyjskiego Zarządu Wojskowego i innych brytyjskich czynników urzędowych, które twierdziły, że „już istnieje jedno polskie pismo autoryzowane w brytyjskiej strefie okupacji, a mianowicie *Słowo Polskie*, i że nie ma możliwości zwiększenia ilości czasopism ze względu na brak papieru. Wiadomości interesujące polskich DP's mogą być zamieszczane w *Słowie Polskim*”.

Słowo Polskie, organ Polskiej Misji Repatriacyjnej, o którym mówi w swej odpowiedzi G. Lamont-Watt z PW DP Division, przytoczonej powyżej, przejęło propagandę powrotu od pisma brytyjskich władz okupacyjnych *Wiadomości* (o obu już była mowa wyżej).

Na jesieni 1946 roku fala represji wobec prasy polskiej w brytyjskiej strefie okupacji znacznie przybrała na sile. Zarząd Wojskowy i UNRRA likwidowały jedno pismo po drugim. W tej sytuacji Syndykat Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji oraz Delegatura na Niemcy Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie wydały 26 września 1946 roku wspólną proklamację w języku angielskim i polskim, zatytułowaną: „O wolność dla prasy polskiej w Niemczech”:

W ostatnich dniach rozpoczęto w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec zamykanie polskich czasopism obozowych. Wobec braku środków prawnej obrony zarządzenia te mają charakter ostateczny, tym bardziej, że nie podaje się motywów, uzasadniających akcję represyjną. W konkretnych wypadkach chodzi o czasopisma kulturalno-społeczne, w części informacyjnej redagowane z daleko idącą ogłębnością i odpowiedzialnością.

Syndykat Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji Niemiec oraz Delegatura na Niemcy Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie uważają za swój obowiązek zwrócenie uwagi na zasadniczą stronę tej akcji oraz na jej skutki praktyczne. Wznowione zawieszanie polskiej prasy obozowej jest oczywiście sprzeczne z zasadą wolności słowa, stosowaną w szerokim zakresie wobec prasy np. niemieckiej. Jest przekreśleniem idei, w imię której niesiono wysiedleńcom polskim w Niemczech wyzwolenie. Jest naruszeniem programu demokratycznego i wnosi w miejsce porządku prawnego stan całkowitej dowolności.

Praktycznym następstwem likwidacji polskich czasopism obo-

zowych będzie powrót do warunków, w których Polacy w Niemczech żyli i cierpieli przed dniem wyzwolenia: do dezorientacji i głodu wiadomości, do palącego poczucia krzywdy, do niekontrolowanych plotek i ostatecznie do prasy konspiracyjnej. Nie mogąc ani na chwilę przypuścić, by stan taki leżał w interesie powołanych czynników, Syndykat Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji Niemiec oraz Delegatura na Niemcy Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie podkreślają konieczność zrewidowania obecnej polityki i przywrócenia warunków umożliwiających istnienie polskiej niezależnej służbie prasowej.

Odezwę rozesłano brytyjskim czynnikom miarodajnym w Londynie i w Niemczech, władzom UNRRA, organizacjom polonijnym w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych oraz prasie polskiej w Niemczech i innych krajach. Odniosła ona pewien skutek, gdyż represje wobec pism, których do tego czasu nie zamknięto, nieco zelżały.

Strefa francuska

W najmniejszej obszarze strefie francuskiej zgromadziło się nie więcej niż 30-35.000 polskich przymusowych przesiedleńców. Przychylnie początkowo nastawienie do nich francuskich władz okupacyjnych stwarzało dogodne warunki istnienia polskiej prasie, tym bardziej, że władze ograniczały działalność UNRRA wyłącznie do akcji opiekuńczej, dzięki czemu pisma korzystały w tym okresie z dużej swobody wypowiedzi.

W początkach 1946 roku sytuacja zaczęła jednak ulegać zmianie na gorsze. Od pewnego czasu toczyły się wówczas rokowania polsko-francuskie o dostawę węgla do Francji i strona polska bynajmniej nie robiła tajemnicy, że pertraktacje potoczą się o wiele sprawniej jeżeli repatriacja ze strony francuskiej nabierze żywszego tempa. (Według informacji ambasady francuskiej w Waszyngtonie, 8.V.1946 podpisano w Paryżu umowę o natychmiastowej dostawie 200.000 ton węgla z Polski).

Metody francuskich władz okupacyjnych zmierzające do ożywienia tempa repatriacji nie odbiegały od wzorów z pozostałych dwu stref, a zatem rewizje w barakach i pomieszczeniach mieszkalnych, przenoszenie obozów, aresztowania z niewiadomych powodów, itp. doprowadziły do redukcji liczby Polaków o około 40 %. Zmianę postawy władz francuskich od-

czuła również prasa. Obostrzono więc cenzurę, która teraz szła dwoma torami: władze okupacyjne i UNRRA, zlikwidowano lub ograniczono do minimum zaopatrzenie pism w papier, zamykano wydawnictwa.

Ofiarą tych represji padł tygodnik w Koblencji *Nowa Polska*: „zaprzestaliśmy go wydawać z nakazu władz francuskich”, pisał redaktor Leon Wachowiak. *Przegląd Tygodniowy* w Schramberg: redaktor Jan Chmielewski pisał, że „wobec trudności z cenzurą francuską, która spowodowała półroczną przerwę w kolportażu wydrukowanych już numerów” trzeba było przekształcić się na *Przegląd Dwutygodniowy*, co bynajmniej nie zredukowało trudności ani nadzoru cenzury. *Wiadomości Polskie*, tygodnik we Freiburgu pod redakcją Wacława Jurczyna, mimo posiadania zezwolenia władz francuskich, wychodził z przerwami spowodowanymi zmiennym natężeniem nacisku repatriacyjnego. W końcu tygodnik zaczął ukazywać się regularnie, gdyż cenzurę, na zlecenie władz francuskich, objął... oficer Polskiej Misji Repatriacyjnej.

Austria

Wśród populacji polskiej w Austrii (trzech zachodnich stref okupacji) największą bodaj grupę stanowili wyzwoleni więźniowie obozów koncentracyjnych, których kilkadziesiąt filii Niemcy rozsiadli po całej Austrii.

Z chwilą zakończenia wojny znaczna część wyzwolonych na własną rękę wróciła do Kraju, zostawiając we wszystkich trzech strefach Austrii nie więcej niż 80.000 *Displaced Persons* i b. jeńców. Liczba ta jednak szybko topniała, dane na 30.IX.1945 stwierdzają obecność już tylko 25.310 osób (w strefie amerykańskiej 15.197, w brytyjskiej — 6.525 oraz 3.588 we francuskiej).

Czynniki te wpłynęły również na liczebność wydawnictw: tylko 21 tytułów na ogólną liczbę 393 zanotowanych w moim rejestrze, przy czym ponad 50 % ukazywało się w strefie amerykańskiej Austrii.

Podobnie jak w Niemczech, amerykański Zarząd Wojskowy również w Austrii zwalczał niezależne pisma polskie. Pierwszy uległ zamknięciu *Biuletyn Informacyjny* w Ebensee, zlikwidowany 15.II.1946 na skutek interwencji Polskiej Misji Repatriacyjnej w Wiedniu.

W połowie marca 1946 roku Kwatery Główna Amerykań-

skich Wojsk Okupacyjnych w Austrii wydała zarządzenie, w którym m.in. czytamy:

Wszelkie pisma obozowe podlegają cenzurze UNRRA. Przed oddaniem materiałów do druku muszą być one skrupulatnie przejrane przez osobę wydelegowaną przez Team. W pismach obozowych nie wolno umieszczać: (...) publikacji krytykujących uznane przez USA rządy (...).

Pisma polskie w Austrii podlegały zatem w strefie amerykańskiej podwójnej cenzurze: UNRRA i Zarządu Wojskowego. Forsując repatriację, Team UNRRA w Ebensee zresztą już uprzednio wykorzystywał swe prerogatywy, by zlikwidować 26.VIII.1945 dziennik *Nasza Gazetka*. Zarząd Wojskowy ze swej strony zamknął 21.I.1947 tygodnik w Salzburgu *Głos Polski*, redagowany do tego czasu przez Zbigniewa Waruszyńskiego, mimo, że wychodził na podstawie licencji, a każdy numer miał nad tytułem grubym drukiem: *Polish Weekly authorised by Information Service Branch*. Po półrocznej przerwie pismo zaczęło wychodzić ponownie dzięki skutecznej interwencji Polonii Amerykańskiej.

Spśród pism polskich w pozostałych dwu strefach Austrii żadne nie uległo likwidacji, mimo że okupacyjne czynniki urzędowe i UNRRA również nie szczędziły im utrudnień.

Cenzura UNRRA

Stosunek Teamu UNRRA do pisma w podległym mu obozie zależał w dużej mierze od zespołu ludzi, którym powierzono opiekę nad danym obozem, ich zapatrywań politycznych, światopoglądu, wykształcenia, pochodzenia.

W jednych obozach UNRRA autoryzowała wydawanie pisma, w innych — milcząco przyzwalała na jego publikację. Z reguły w jednym i w drugim przypadku Team UNRRA rezerwował sobie prawo kontroli treści pisma, zwłaszcza gdy powiększał się nacisk na repatriację. Przy cenzurowaniu materiału każdy Team kierował się przede wszystkim własnym interesem, nie chcąc się narażać na konflikty ze zwierzchnikami oraz z Zarządem Wojskowym, któremu bezpośrednio podlegał. Teamy UNRRA wykonywały więc kontrolę wydawnictw rozmaicie: czasami w sposób rozumny, uwzględniający zarówno ogólną sytuację polityczną, jak położenie czytelników

danego pisma — mieszkańców obozu, np. jeden z obozów w rejonie Osnabrück (strefa brytyjska) wykazywał ożywioną działalność wydawniczą jedynie dlatego, że na czele Teamu UNRRA stał Polak, Wacław Bevensee. Najczęściej jednak kontroli dokonywano mechanicznie, ale nierzadko przybierała ona formy wręcz karykaturalne. Wielu redaktorom i działaczom organizacji polskich trudno było oprzeć się wrażeniu, że dany Team występuje i działa jako rzecznik interesów sowieckich lub rządu warszawskiego. Wrażenie to było w pełni uzasadnione, chociaż nikt go wówczas wolał nie formułować na głos. Dopiero gen. Sir Frederick E. Morgan, były zastępca szefa sztabu gen. Eisenhowera podczas inwazji, a następnie szef operacji UNRRA w Niemczech, po przejściu do życia cywilnego odsłonił sporo kulis tej organizacji w wywiadzie dla *The New York Times* 31 marca 1947 roku. Do wystąpienia z UNRRA i zerwania z nią stosunków skłoniło go odkrycie w niej „rozgałęzionej sieci sowieckiej. (...) NKWD ulokowało agentów w każdym dziale i na każdym szczeblu, od najwyższego, aż do najniższego. (...)”.

Nic zatem dziwnego, że tygodnikowi *Nasze Życie* w Schwäbisch Hall (strefa amerykańska) zakazano pisać o święcie Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej z uwagi na to, że — stosownie do słów cenzorki UNRRA, Amerykanki — „Polska jest obecnie demokratyczną republiką ludową i nie ma ani króla, ani królowej”, relacjonował redaktor pisma Franciszek J. Dubaj, który przedłożył do aprobaty numer trzeciomajowy w 1946 roku.

Dużego rozgłosu nabral inny wypadek (w strefie amerykańskiej), kiedy nie tylko bez uprzedzenia zamknięto pismo, gdy numer był na maszynie, ale na dodatek cały zespół redakcyjny pozbawiono przydziałowej żywności. W dniu 21 czerwca 1946 roku dyrektor Teamu UNRRA w Ludwigsburg, Malcolm A. Cook, doręczył redakcji tygodnika *Polska* pismo:

Gazeta „Polska” publikowana jest z autoryzacji UNRRA Team 91. Panowie ogłaszali w gazecie tej artykuły przeciw uznaniemu Rządowi Polskiemu, które to artykuły nawoływały przeciwko repatriacji. Z tego powodu autoryzacja UNRRA’y została odwołana i gazeta „Polska” tym samym zamknięta.

Zespół redakcyjny *Polski* rozesłał do wszystkich pism polskich w Niemczech i za granicą oświadczenie, w którym m.in. pisze:

Wskutek zakazu UNRRA, wydane bez żadnego uprzedzenia, ostrzeżenia oraz poprzednich konfiskat (...) druk został wstrzymany (...) Zakaz UNRRA spowodowany został silnymi naciskami administracji warszawskiej, która już od dłuższego czasu domagała się zawieszenia „Polski”, jak zresztą i innych pism w Niemczech. Zaznaczamy, że zachowując krytyczny stosunek do tymczasowego rządu polskiego, tygodnik „Polska” podobnie jak cała prasa polska w Niemczech, nigdy nie wystąpił przeciw repatriacji (...).

Dzięki interwencji Polonii Amerykańskiej dziennikarzom przywrócono rację żywności.

Bardziej drastyczną, a dla red. Pawła Dolińskiego bolesną represję zastosował Mr. Courtois, dyrektor UNRRA Team 267 w Emmerich (strefa brytyjska). Nie tylko bowiem tygodnik *Ogniwo*, założony w marcu 1946 roku i redagowany przez Pawła Dolińskiego, uległ likwidacji, ale jego redaktor zesłany został do brytyjskiego obozu karnego dla pospolitych przestępców, gdyż rzekomo „powstrzymywał czytelników od powrotu do kraju” — jak relacjonował red. Doliński.

Innych metod użyto w stosunku do tygodnika *Nowiny Obozowe*, założonego 2.XII.1945 w Landstuhl (strefa francuska). Przyniósł on w jednym z numerów całą stronicę skonfiskowaną w dość skomplikowany sposób. Już bowiem po wydrukowaniu nakładu miejscowy Team UNRRA doszedł do wniosku, że przymusowi przesiedleńcy w tym obozie nie powinni czytać pewnego wywrotowego artykułu. Wobec tego zakwestionowany tekst zadrukowano blokami drukarskimi, co w rezultacie dało czarny prostokąt na całą stronicę.

Kimże był ten wywrotowiec? Jakie rewolucyjne idee propagował?

Przy skośnie padającym niebieskim świetle dało się odcyfrować niektóre fragmenty tekstu i tytuł: „Apel Churchilla w sprawie stabilizacji pokojowej”...

Nie był to zresztą sporadyczny wypadek tak bezsensownej cenzury *Nowin* — pisał red. Bogdan Czarnota. Przy innej okazji nożyczkami wycięto część artykułu o możliwości emigracji do Brazylii. Całości nie można było wyciąć, gdyż ze stronicy nic by nie pozostało, wobec tego w pozostałych fragmentach zamazano farbą wszystkie skróty „UNRRA”.

Tygodnik *Czuwaj*, założony 30.VI.1945 w Dorsten (strefa brytyjska) został zamknięty 5 marca 1946 roku za zamieszczenie zdjęcia uśmiechniętego Stalina, który kordialnie ściska rękę Ribbentropa. Mimo, że to samo zdjęcie niejedno-

krotnie ukazywało się w prasie światowej, z brytyjską włącznie, żandarmeria angielska przybyła do drukarni i rozrzuciła gotowy skład następnego numeru, niszcząc przy okazji wiele materiału drukarskiego. Red. Stefanowi Kochańskiemu groziło zesłanie do obozu karnego, ale uprzedzony — zdążył zbiec i ukryć się.

Podobnych faktów można by przytoczyć znacznie więcej.

Prasa podziemna

Proklamacja Syndykatu Dziennikarzy Polskich w brytyjskiej strefie okupacji oraz Delegatury na Niemcy Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie wspomina o możliwości powstania prasy konspiracyjnej, tymczasem istnienie jej było faktem. Konspiracyjne wydawnictwa egzystowały w różnych okresach i wychodziły dłużej lub krócej zależnie od zasobów danego dziennikarza. Niektórzy redaktorzy pism politycznych, w obozach gdzie Team UNRRA wykazywał szczególną gorliwość w propagowaniu repatriacji i obronie interesów administracji warszawskiej, musieli zejść do podziemia, by uniknąć — w krańcowych wypadkach — utraty praw D.P.

Podobnie jak prasa czasów okupacji w Polsce, te podziemne wydawnictwa cieszyły się dużą poczytnością i zasięły publicystyką wydawnictwa obozowe. W większości przynosiły one komentarze polityczne w wielu wypadkach na wysokim poziomie. Rejestr mój notuje 9 tytułów pism wydawanych tajnie, chociaż zapewne było ich więcej. Z oczywistych powodów żadne nie podawało nazwiska redaktora ani nazwy obozu, a dla zmylenia śladów niektóre poszczególne numery wysyłano nawet z różnych urzędów pocztowych. Zazwyczaj, po wyczerpaniu środków, redaktor musiał zawiesić wydawnictwo.

A oto kilka z nich:

Biuletyn dla Prasy Polskiej w Niemczech — miesięcznik powstał 15.VII.1945 by wypełnić lukę po zlikwidowaniu Polskiego Radia w Londynie 5 lipca 1945 roku. *Biuletyn* wychodził do 12.XII.1946.

British & Other Views on Poland To-Day, miesięcznik, od czerwca 1946 roku przez rok zamieszczał na 6-14 stronicach przedruki lub streszczenia artykułów na tematy polskie z prasy angielskiej, komentując je z polskiego punktu widzenia.

Rozsyłane do brytyjskich władz i urzędów w strefie oraz prywatnie angielskim urzędnikom Zarządu Wojskowego i UNRRA, pismo pełniło niezwykle pożyteczną misję informowania Brytyjczyków w Niemczech o sprawach Polski i Polaków w sposób niezależny. Miesięcznik redagowała para małżeńska, oboje b. jeńcy z AK, wykształceni w Wielkiej Brytanii i znakomicie władający angielskim, wydawali swój miesięcznik własnym kosztem, wymieniając przydziały na matryce, papier, farby, opłaty pocztowe. Chociaż pismo było publikowane na terenie okupowanym przez Dywizję, redaktorzy, pragnąc zachować całkowitą niezależność, odmawiali jakiegokolwiek pomocy ze strony kwatery prasowej 1. Dywizji.

Serwis Prasowy — założony 27.VIII.1945. 14–20 stron wypełniała starannie redagowana publicystyka polityczna. Nad tytułem, z lewej strony, znajdował się znak Rodła.

W Drodze — *Głos Nacjonalistów Polskich za Krajem* — miesięcznik. Pierwszy numer nosi datę: listopad 1946 roku. Pismo propagowało nawrót do religii starosłowiańskiej oraz panslawizmu; jego krytyczna ocena papieżstwa i polityki Watykanu wobec Polski spotykała się z atakami ze strony wydawnictw redagowanych przez księży. Pismo nie podaje wprawdzie adresu, ale nie ukrywa tożsamości redaktora i zespołu, a zatem: redaktor — Sambor, zespół — Bawół, Przedpełk, Wratisław.

Cenzura lokalna

Ale nie tylko czynniki obce lub wrogie stwarzały trudności dziennikarzom i przyczyniały się do likwidacji pism. Niejednokrotnie dało się zaobserwować nadzór i kontrolę ze strony polskiego zarządu w obozach, nadzór i kontrolę, które, w surowości i metodach, nie odbiegały od wzorów UNRRA czy Zarządu Wojskowego.

Cenzura polskiej prasy obozowej, sprawowana przez te dwie instytucje, łamała elementarne pojęcia wolności słowa i była zaprzeczeniem podstawowych zasad demokracji. Zachodnie mocarstwa okupacyjne znalazły się jednak na terenie Niemiec w skomplikowanej sytuacji. W imię „appeasementu” Sowietów i źle pojętej racji stanu zadawały kłam wszystkim hasłom z okresu wojny, włącznie z „Kartą Atlantycką”.

Domorośli cenzorzy natomiast usiłowali kontrolować pismo z osobistego punktu widzenia. Zwracali zatem uwagę czy

pismo nie wyraża odmiennych przekonań politycznych niż komendant obozu, czy nie porusza zbyt szczegółowo i krytycznie zagadnień lokalnych lub czy w należycie „pozytywny” sposób oświetla działalność komendy obozu i wewnętrzne stosunki. Wskutek wrogiego nastawienia polskich władz obozowych do miejscowej prasy, kilka zespołów zmuszono do zaprzestania działalności.

Do pewnego stopnia można zrozumieć postępowanie władz okupacyjnych, chociaż nic ich nie usprawiedliwia. Ale to, co spotkało dwutygodnik *Ostoja* w Goslar (strefa brytyjska) nie przydarzyło się żadnemu z 393 pism polskich w Niemczech.

Zacznijmy jednak od początku.

Po zakończeniu działań wojennych, Kazimierz Stobiecki, wywieziony na przymusowe roboty, znalazł się w Goslar, niezbyt daleko od Brunshwiku.

Inteligentny, wykształcony, opanowany został ideą uwspółcześnienia mesjanizmu. Dla szerzenia tych idei powołał Instytut Polskiej Kultury i Pracy Narodowej. Oddany bez reszty swemu posłannictwu, założył 11 listopada 1945 roku (symbol!) dwutygodnik *Ostoja*, jako organ Instytutu. Poza łamami *Ostoi* publikował broszury w języku angielskim i niemieckim (oboma władał jak ojczystym), wydał nawet książkę. Poczytania te pochłaniały każdy grosz i dużą część przydziałów żywności.

Jego publicystykę cechowała pasja. Język niektórych artykułów pozostawiał sporo do życzenia, naszpikowany był wyrażeniami dosadnymi, a nawet wulgaryzmami. Ale językiem takim mówił jednak spory odłam jego czytelników. Prozę przeplatały partie rymowane (choć do poezji raczej nie miał zbyt wielkiego talentu).

Działalność Stobieckiego i jego publicystyka nie przypadły do gustu i działały na nerwy Klaudiuszowi Hrabykowi, redaktorowi tygodnika *Polska*, toteż nie szczędził ataków i na Stobieckiego, i na jego *Ostoję*, i na Instytut Polskiej Kultury i Pracy Narodowej, z którego usiłował zrobić pośmiewisko.

Stobiecki nie pozostawał mu dłużny. Przypominał zatem stare grzeszki „kameleonowi politycznemu” oraz niemało nowych, związanych z jego działalnością jako prezesa Syndykatu Dziennikarzy Polskich w b. Rzeszy z siedzibą w Eppstein (strefa amerykańska). Tu warto przypomnieć, że istniały w Niemczech dwa syndykaty dziennikarzy, w strefie brytyjskiej pod prezesurą Adama Nechaya i w amerykańskiej — Klaudiusza Hrabyka.

Prezes Hrabyk w końcu postanowił rozprawić się z krnąbrnym przeciwnikiem, uciekł się zatem do swego rodzaju donosu, zlecając jego realizację swemu wiceprezesowi.

W archiwum Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX wieku Polskiej Akademii Nauk w Warszawie można znaleźć dokument tej treści: „20 maja 1946 r. miała miejsce interwencja Syndykatu i b. Oficera Oświatowego Okręgu Brunszwik St. Poźniaka (St. Poznańskiego) w celu zakazania publikacji *Ostoi*” (podkr. ASK).

Domaganie się od władz likwidacji *Ostoi* okazało się przedwczesne. Po wydaniu jeszcze jednego czy dwu numerów (ostatni nosi datę 27.V.1946) Kazimierz Stobiecki zapadł poważnie na zdrowiu i musiał pójść do szpitala w Watenstadt nad kilkumiesięczną kurację.

Jak się wkrótce okazało, nienawiść nie popłaca: Tygodnik *Polska* Klaudiusza Hrabyka niebawem sam padł ofiarą — ale UNRRA — która zamknęła go 10.VI.1946, w trzy tygodnie po „interwencji” w sprawie *Ostoi*. Stanisław Poźniak-Poznański, który musiał odbyć wielogodzinną podróż z Eppstein do Brunszwiku, żeby się pozbyć niewygodnego pisma, również nie był nowicjuszem gdy chodzi o likwidację jego pism: w Brunszwiku wojskowe władze okupacyjne zamknęły mu 4.V.1945 *Dziennik Polski*, zaś 5.XI.1945 musiał zlikwidować *Głos Ojczyzny*.

Personalia

Kim byli ci ludzie, których owocem pracy, wysiłków i wyrzeczeń było owe 379 pism (po odliczeniu z 393 tytułów siedmiu wydawnictw PSZ na okupacji Niemiec i siedmiu pism władz okupacyjnych dla Polaków).

Tylko w znikomej mniejszości rekrutowali się oni spośród zawodowych dziennikarzy przedwojennych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne lub niewolę; stanowili oni jednak niewielką garstkę. Fachowcy ci od pierwszych chwil wolności przystąpili natychmiast do pełnienia swoich obowiązków i przeważnie ich dziełem są pierwsze gazety polskie w Niemczech.

Następna grupa to ludzie innych zawodów, zaprawieni do pracy dziennikarskiej w prasie podziemnej w kraju lub w prasie tajnej w obozach, gdzie spędzili lata wojny. I oni od razu podjęli wydawanie pism, które czasami były kontynuacją ich wydawnictw konspiracyjnych.

Brak fachowców, a z drugiej strony wielkie ich zapotrzebowanie w terenie, spowodowały prąd oddolny, który uformował najliczniejszą, trzecią grupę, składającą się z ludzi najrozmaitszych zawodów, wieku, poziomu wykształcenia i obu płci. Ankieta Delegatury i wywiady w terenie ujawniły na stanowiskach redaktorów i współpracowników pism: nauczycieli, adwokatów, księży, sędziów, bankowców, inżynierów i techników, rolników, ślusarzy, profesora uniwersytetu, nawet rzeźnika, nawet 15-letniego chłopca. Chociaż zupełnie laicy, jeli się trudnej i odpowiedzialnej pracy dostarczenia współtowarzyszom wiadomości ze świata.

Ludzie, którzy wydali chociażby jeden numer pisma, już nie zaprzestali dalszej pracy: gdy władze zlikwidowały im jedno pismo, nie ustawali w wysiłkach, by na jego miejsce ukazało się inne.

Redaktorów pism powielanych cechowała wielka ambicja, każdy z nich pragnął wydawać pismo „prawdziwe”, drukowane. W panujących wówczas warunkach tylko w 24 wypadkach udało się zrealizować to zamierzenie.

Działalność dziennikarza polskiego w Niemczech (a także w Austrii) wymagała poświęcenia i wielu wyrzeczeń, np. kawy, papierosów. Absorbująca każdą wolną chwilę, była to praca nie dająca żadnych przywilejów, z reguły bezpłatna (wyjątek stanowiły pisma licencjonowane). Praca nie wszędzie spotykająca się ze zrozumieniem i poparciem.

W połowie 1946 roku 20 % procent wydawnictw obozowych nie posiadało oddzielnego pomieszczenia, a 60 % pracowników nie korzystało z oddzielnych kwater. Przetłumaczone na zwykły język dane te mówią, że co piątą redakcja znajdowała się we wspólnym pomieszczeniu, zajmowanym przez kilka lub kilkanaście osób, a sześciu na dziesięciu pracowników redakcji otrzymało wprawdzie jakieś pomieszczenie na redakcję, musieli oni jednak mieszkać w izbie, gdzie stał powielacz, maszyna do pisania, radio, gdzie często leżały zapasy papieru, matryc i farby. Wywiady w terenie ujawniły, że pomieszczenia tego rodzaju nie przekraczały powierzchni pięciu lub sześciu metrów kwadratowych; w jednym wypadku Delegat na Niemcy Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie stwierdził, że lokal redakcyjny, mieszczący się na poddaszu baraku, miał nieco ponad trzy metry kwadratowe powierzchni. Było to zarazem mieszkanie redaktora.

A jak wyglądała ich praca?

Oto co wspomina Jerzy Szwede, redaktor pisemka *Czytaj-*

cie — Zapamiętajcie założonego w obozie koncentracyjnym Dachau jeszcze przed wyzwoleniem przez Amerykanów, a dziennika po wyzwoleniu:

W dzień zbieraliśmy materiały i robiliśmy reportaże z obozu, wieczorem słuchaliśmy radia, a w nocy redagowaliśmy i „drukowaliśmy” (czyt. przepisywaliśmy, przyp. ASK) przez niezliczoną ilość odbitek. Parę godzin snu rano musiało wystarczyć. Pisemko było naklejane na ustawionych przed paru blokami tablicach, które „fundował” własnymi rękoma jeden z sympatyków. Reszta odbitek wędrowała na bloki (...).

Oto co wspomina Antoni Stojanowski, redaktor wydawanego w Hanowerze (strefa brytyjska) *Tygodnika Informacyjnego Polskich Związków Zawodowych Naród i Praca*:

A praca przy jego wydawaniu była ciężka. Wychodził on w Goslar, w małym pokoiku, który był zarazem redakcją, pracownią i ekspedycją oraz... sypialnią i mieszkaniem prywatnym 4 ludzi (...).

Okazy muzealne

Wydawnictwa polskie w Niemczech, jak prasa każdego społeczeństwa, reprezentowały szeroki wachlarz zainteresowań. Poza pismami informacyjnymi lub informacyjno-publicystycznymi wychodziły pisma ideologiczne, organizacyjne, religijne, dla dzieci, młodzieżowe, harcerskie, dla kobiet, studenckie, nauczycielskie i oświatowe, literackie i artystyczne, magazyny, popularno-naukowe, a nawet humorystyczne.

Pisywali do tych wydawnictw różni ludzie. Utalentowani i beztalencia, poloniści i będący na bakier z gramatyką i składnią, ale wszystkich ożywiało poczucie obowiązku wobec społeczeństwa.

Wśród tych 393 tytułów, zanotowanych w rejestrze, nie brakło również wydawnictw zasługujących na miejsce w Muzeum Prasy Polskiej (miejmy nadzieję, że kiedyś ono powstanie). Kryterium powinna być treść, a także forma, ilustracje, jakość techniczna reprodukcji.

Na pierwszy eksponat zasłużyło skromne pismo, odpowiadające tym kryteriom, *Nasza Gazeta*, założona 15.VI.1945 w obozie Walchum IV (strefa brytyjska) o znikomym nakładzie 5–12 egz. Mimo swego skromnego nakładu poświęcało

ono — w miarę możliwości — sporo miejsca publicystyce niepodległościowej, sprawom społecznym i gromadnego współżycia. Wiadomości polityczne i bieżące czerpało głównie z biuletynu Światopoli i nasłuchu radiowego. Prawie każdy numer zdobiły rysunki ołówkowe, wiele — akwarelki, które wzbudzały podziw wysokim poziomem artystycznym i upodabniały *Naszą Gazetę* do iluminowanych inkunabułów średniowiecznych.

Ostatni numer nosi datę 25.VIII.1946. Gazety-maszynopisy nie były zjawiskiem rzadkim, ale z reguły miały one efemeryczny charakter, żadna nie mogła poszczycić się taką długowiecznością.

Twórczynią pisma, jego redaktorką, ilustratorką i maszynistką była Maria Goût, artystka z zawodu.

Również na poczesnym miejscu w Muzeum Prasy Polskiej (miejmy nadzieję, że kiedyś ono powstanie) powinien się znaleźć *Polak w Waldeck* powstały 1.V.1946 w obozie Landau (strefa amerykańska), z inicjatywy jego ówczesnego komendanta, znanego poety śląskiego Jana Kowalika. Pismo dzieliło losy swoich czytelników: w połowie maja obóz zlikwidowano, jego mieszkańców przesiedlono do obozu w Korbach, a stąd do Arolsen. *Polak w Waldeck* wyróżniał się staranną formą i językiem bez zarzutu. Zdobił go tytuł z linorytu dłuta artysty grafika Władysława Ryszki.

W myśl założyciela-redaktora wydawnictwa

postawiło ono sobie za cel być dokumentem chwili. Raczej notować przejawy życia obozowego w ich konkretnych osiągnięciach, niż zapelniać stronicie polemikami i powtarzać wiadomości polityczne. Jest ono pierwszą swego rodzaju próbą

— pisał w liście red. Kowalik. Dążył on konsekwentnie do realizacji tych założeń, toteż sporo miejsca poświęcał sprawom lokalnym, poza tym przejawom życia artystycznego i poezji. Mimo nadwątłego obozem koncentracyjnym serca — zorganizował sieć korespondentów w okolicznych obozach. Nie zaniedbywał jednak zagadnień społecznych, jak i tematyki literacko-artystycznej. W skład zespołu redaktora Kowalika wchodził: Jan Budniewski, Jan Cieszyński, Lech Kaczkowski i ks. Franciszek Wenda.

Panopticum

W Muzeum Prasy Polskiej (miejmy nadzieję, że kiedyś

ono powstanie) musi się znaleźć pismo, którego próżno by szukać wśród 393 pozycji w moim rejestrze prasy polskiej w Niemczech. Jest to tygodnik w języku polskim *Repatriant* — *Ilustrowany Tygodnik Informacyjny*, który od 21 października 1945 roku wydawany był w Polsce przez „Urząd do spraw repatriacji Polaków z zachodu”, drukowany w Polsce i szeroko kolportowany w obozach. Nakłaniając Polaków do powrotu *Repatriant* nie szczędził różowych barw opisom ówczesnego życia w Kraju.

W strefie brytyjskiej do współpracy zaofiarował swoje pióro, talent reporterski i talent poetycki niepośledni grafoman, który „wslawił się” sensacyjnym reportażem z polskiego miasteczka na terenie 1. Dywizji, Maczkowa.

Był on nie tylko reportażystą i poetą za pan brat z muzami, ba! wieszczem, który wymienia korespondencję z samym Panem Bogiem. W jednym z utworów kieruje do Pana Niebios listę żądań i prośb, za spełnienie których gotów zapłacić swoimi wierszami. Kuszące swe propozycje kończy następująco:

„Sądzę, że mnie wysłuchasz
Panie Boże. Na ciebie zdan
trwam na ziemi i nie wybucham.
Wyrazy pełnej czci. — Koprowski Jan.

Antoni Stefan KOPER

Mieczysław BIESIEKIERSKI

POLSKA AKCJA OPIEKUŃCZA WE FRANCJI W OKRESIE OKUPACJI NIEMIECKIEJ (Czerwiec 1940 — Wrzesień 1944)

WSTĘP

Po klęsce wrześniowej i zajęciu terytorium Polski przez Niemców i Sowieców, poza granicami jej znalazły się liczne rzesze obywateli polskich. Byli to przede wszystkim wojskowi z oddziałów, które przekroczyły granicę węgierską lub rumuńską i zostały tam rozbrojone i internowane. Na terytorium Rumunii udał się prezydent Rzeczypospolitej i rząd, a wraz z nimi liczni urzędnicy, częstokroć z rodzinami. Wreszcie z chwilą wkroczenia na teren Polski wojsk sowieckich wiele instytucji i przedsięwzięć zarówno państwowych jak prywatnych, które początkowo ewakuowały się z rozkazu czy z własnej inicjatywy na Wschód, chroniło się na terytorium węgierskie czy rumuńskie. Tak samo postępowali liczni uchodźcy, którzy znaleźli się na ziemiach wschodnich, chroniąc się przed inwazją niemiecką. Wśród tych uchodźców znaczną część stanowili członkowie rodzin wojskowych i pracowników państwowych, którzy przypuszczali, że unikając pozostania pod okupacją niemiecką, utrzymają nadal łączność ze swymi żywicielami. Gdy do tych rzesz uchodźczych na Węgrzech i w Rumunii dotarły wieści, że we Francji został utworzony nowy rząd Rzeczypospolitej i że tworzy się tam Armia Polska, która będzie kontynuowała walkę, Francja stała się dla nich ziemią obiecaną, do której olbrzymia więk-

szość zapragnęła dotrzeć. Nie było to rzeczą prostą. Wojskowi byli internowani, cywile musieli uzyskiwać szereg wiz wyjazdowych, wjazdowych i tranzytowych, co połączone było z dużymi trudnościami, jednak trzeba stwierdzić, że zapał i odwaga jednych, spryt i przemyślność innych umożliwiły na ogół zrealizowanie celu, jakim było dotarcie do Francji.

Zresztą jeżeli chodziło o wojskowych czy specjalistów przydatnych dla celów wojennych (techników, lekarzy itp.) to zarówno czynniki polskie jak francuskie starały się ułatwić im przedostanie do Francji. Przybywszy na teren Francji ci wojskowi czy fachowcy starali się ze swej strony ułatwić przyjazd swoim rodzinom z Rumunii i Węgier, a nawet z Polski. Można powiedzieć, że strumień polski z Rumunii i Węgier do Francji płynął bez przerwy od końca września 1939 r. aż nieomal do klęski Francji w czerwcu 1940 r. Przybywających do Francji wojskowych wcielano do formacji, techników kierowano do przemysłu wojennego, pewna ilość osób została zatrudniona w biurach ministerstw i instytucjach polskich. Stosunkowo niezbyt wielki odsetek znajdował się bez żadnych środków utrzymania i musiał korzystać z pomocy społecznej. Dotyczyło to przede wszystkim rodzin wojskowych, zarówno tych, którzy dotarli do Francji (z wyjątkiem rodzin oficerów, którzy otrzymali przydziały), jak i tych, którzy w kampanii wrześniowej zginęli lub dostali się do niewoli. Dotyczyło to również urzędników, którzy dotarli do Francji, ale nie znaleźli tam zatrudnienia.

Roztoczenie opieki nad tymi osobami było zadaniem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, które przystąpiło do ich rejestrowania, organizacji pośrednictwa pracy, wypłaty doraźnych zasiłków, rozdawnictwa odzieży oraz organizowania schronisk zarówno w Paryżu, dokąd spływała — zwłaszcza w początkowym okresie — większość uchodźców, jak i na prowincji. Akcja ta była jednak jeszcze w stadium organizacji, zwłaszcza o ile chodzi o schroniska na prowincji, przeznaczone głównie dla kobiet z dziećmi, gdy w końcu maja i w początkach czerwca inwazja niemiecka i klęska Francji radykalnie zmieniły sytuację.

Uchodźcy polscy znaleźli się bądź bezpośrednio pod władzą niemiecką w strefie okupowanej, bądź w tzw. strefie wolnej pod rządami administracji francuskiej w Vichy, kontrolowanej przez Niemców. Poza tym powstały nowe zagadnienia, gdyż szereg Polaków z przedwojennej emigracji zarobkowej również wymagało rozciągnięcia nad nimi opieki.

W tej sytuacji znalazło się wielu uchodźców z departamentów północnych, rodziny żołnierzy, którzy ewakuowali się do Anglii, Polacy wysiedleni z Alzacji i Lotaryngii.

Nowym zagadnieniem była również konieczność zaopiekowania się losem żołnierzy, którym udało się uratować od niewoli niemieckiej i dotrzeć do tak zwanej wolnej strefy. Ta nowa sytuacja i nowe zagadnienia wylały się na tło zupełnego chaosu, jaki zapanował we Francji po zawieszeniu broni i zupełnej niepewności jutra. Czynniki polskie przystąpiły do rozwiązywania tych zagadnień natychmiast w czerwcu 1940 roku i prowadziły akcję opiekuńczą w oparciu o środki, dostarczane im przez rząd polski bez przerwy przez cały czas okupacji do wyzwolenia Francji, nie tylko nie szczczędając pracy i wysiłku, ale niejednokrotnie ponosząc na swych posterunkach śmierć lub deportację do obozów koncentracyjnych, też często zakończoną śmiercią.

Polski Czerwony Krzyż (wrzesień 1940 — wrzesień 1941)

Okres ten obejmuje działalność PCK od chwili likwidacji ambasady i konsulatów R.P. aż do likwidacji PCK, zarządzanej przez władze francuskie, i przekazania działalności opiekuńczej Towarzystwu Opieki nad Polakami we Francji (TOPF).

Sprawy organizacyjne

W końcu września 1940 roku rząd francuski zawiadomił ambasadę R.P., iż wobec sytuacji, jaka wytworzyła się we Francji po zawieszeniu broni z Niemcami, dalsza działalność placówek rządowych polskich jest niemożliwa i muszą one zostać zamknięte. Dla sprawowania opieki prawnej nad obywatelami polskimi francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych powołało w Tuluzie, Lyonie i Marsylii Biura Administracji Polaków, a w Vichy Generalną Dyрекcję Biur Polskich. Na czele Generalnej Dyrekcji stanął p. Stanisław Zabiello, którego rząd polski mianował delegatem na Francję (nominacja ta oczywiście nie miała charakteru oficjalnego, była jednak wiadoma czynnikom rządowym francuskim). Wobec likwidacji ambasady i konsulatów R.P. rola PCK rosła, musiał on bowiem przejąć samodzielnie prowadzenie całej akcji opiekuńczej we Francji. Akcja ta oczywiście uzgod-

niona była z p. Zabiello jako delegatem rządu, ponadto utrzymywano kontakt zarówno z Zarządem Głównym PCK w Londynie, jak i z odpowiedzialnym za akcję opiekuńczą Ministerstwem Pracy i Opieki Społecznej, niemniej jednak wobec dość trudnych kontaktów z Londynem i konieczności występowania wobec władz francuskich jako instytucja niezależna, PCK we Francji musiał działać samodzielnie, kierując się tylko ogólnymi wytycznymi Ministerstwa i Zarządu Głównego PCK.

Dla ustalenia zasad akcji opiekuńczej rząd powołał kilkunastuosobowy Komitet Społeczny, zaś Minister Pracy i Opieki Społecznej mianował swoim delegatem na Francję dr. Stanisława Jurkiewicza. Zarząd Główny PCK ze swej strony mianował trzyosobową delegaturę w osobach pp. Chiczewskiego, Zabiella i Zielińskiego. Wobec niemożności ujawnienia się na terenie Francji jako ekspozytura rządu polskiego, Komitet Społeczny zdecydował występować w charakterze Rady PCK. Formalnie na posiedzeniu Zarządu PCK w dniu 25 września 1940 ustalono powołanie Rady PCK w następującym składzie: Wacław Bitner, Feliks Chiczewski, Anna de Gontaut-Biron, Stanisław Jurkiewicz, Piotr Kalinowski, Aleksander Kawalkowski, Wacław Zyndram-Kościałkowski, Józef Kożuchowski, Wanda Ładzina, Adam Rose, Józef Szymanowski, Zdzisław Woydat, Stanisław Zabiello, Gustaw Zieliński. Jednocześnie na tymże posiedzeniu Zarząd ukonstytuował się jak następuje: p. Chiczewski — prezes, pp. de Gontaut-Biron i Szymanowski — wiceprezesi, p. Zieliński — sekretarz generalny, p. Zabiello — skarbnik, pp. Bitner, Chałczyński, Kalinowski, Kawalkowski i Lisiewicz — członkowie Zarządu. [...]

Wobec konieczności uzyskania legalizacji ze strony władz francuskich, Rada uchwaliła dnia 21 listopada projekt statutu, który został złożony tym władzom. Zarządzeniem z dnia 21 stycznia 1941 roku Minister Spraw Wewnętrznych zalegalizował PCK jako *La Croix Rouge Polonaise en France*. O ile chodzi o organizację terenową, zdecydowano pokasować istniejące w szeregu skupisk Komitety Departamentalne i przejść na jednolitą organizację dwustopniową: Zarząd Główny, posiadający Biuro jako organ techniczny i Delegatury Okręgowe. Wobec skasowania Komitetów Departamentalnych liczba Delegatur Okręgowych została powiększona z trzech do sześciu, ponadto utworzono Delegaturę PCK dla Afryki Północnej. Delegatami Okręgowymi zostali pp. Czesław

Bobrowski w Grenoble, Maurycy Jaroszyński w Périgueux, Tytus Komarnicki w Marsylii, Andrzej Ruszkowski w Lyonie, Mieczysław Sokołowski w Perpignan, Zdzisław Woydat w Tuluzie. Delegatem na Afrykę Północną został p. Emeryk Hutten-Czapski.

Organizację Biura Zarządu Głównego ustalił Zarząd na posiedzeniu dnia 13 stycznia 1941 jak następuje: pracami Biura kieruje Sekretarz Generalny. Biuro dzieli się na cztery działy:

Dział I — administracyjno-finansowy — obejmuje sprawy budżetowo-finansowe, personalne, informacyjno-prasowe, organizacyjno-administracyjne, sekretariat, kancelarię, rachubę, kasę, biuro poszukiwań rodzin, wszelkie sprawy związane z obsługą Rady, Komisji Rewizyjnej i Zarządu Głównego oraz sprawy nie przydzielone innym działom.

Dział II — gospodarczy i opieki nad ludnością cywilną — obejmuje wszystkie sprawy dotyczące zarządzania majątkiem PCK, zakupów i zaopatrzenia, organizacji przedsiębiorstw i warsztatów, pośrednictwa pracy, organizacji i prowadzenia domów schroniskowych i domów spółdzielczych PCK, a nadto sprawy z zakresu wszelkiej pomocy materialnej dla uchodźców cywilnych, jak również związane z opieką nad jeńcami wojennymi.

Dział III — opieki nad byłymi kombatantami — obejmuje sprawy dotyczące całokształtu opieki i pomocy dla kombatantów, tj. zdemobilizowanych oficerów, podoficerów i szeregowych Armii Polskiej we Francji, a w szczególności rannych i chorych w szpitalach, oraz sprawy związane z organizacją i funkcjonowaniem wojskowych obozów i kompanii pracy.

Dział IV — kulturalno-oświatowy — obejmuje sprawy związane z akcją oświatową i kulturalno-artystyczną wśród uchodźców polskich, a w szczególności kształcenie i wychowanie młodzieży, doksztalcanie zawodowe, organizację i funkcjonowanie świetlic, bibliotek i czytelni, duszpasterstwo, działalność wydawniczą oraz wszelkie sprawy z zakresu należytego wykorzystania i zużytkowania czasu podopiecznych. Ponadto w skład Biura wchodzi szef służby sanitarnej PCK, do którego należą sprawy dotyczące pomocy lekarskiej i dentystrycznej dla uchodźców cywilnych oraz dla byłych kombatantów i ogólnej opieki sanitarnej w skupiskach uchodźczych. [...]

Kompanie pracy

W tym dziale omówimy szczegółowo opiekę nad kombatantami znajdującymi się w kompaniach pracy. Ilość ich na 1 kwietnia 1942r. wynosiła 3.025; na 1 października 1942r. spadła do 2.349. Tak silny spadek, mimo pewnego dopływu powracających z niewoli, tłumaczy się w części zwalnianiem z kompanii z powodów zdrowotnych, na studia, do pracy itp., przede wszystkim jednak nielegalnymi wyjazdami z Francji w celu dotarcia do armii polskiej w Anglii. Wyjazdy te były szczególnie liczne w ostatnich miesiącach 1942r. Na 1 kwietnia 1942r. 3.025 b. komb. przebywało w 18 kompaniach pracy, których liczebność wahała się od 63 do 266 osób.

Każda kompania miała dowództwo francuskie. Obok niego znajdował się jeden lub kilku oficerów polskich, którzy formalnie spełniali funkcje tłumaczy, faktycznie zaś byli zakamuflowanym polskim dowództwem kompanii. Polski dowódca był z reguły przedstawicielem TOPF w kompanii i na jego ręce wpłacany był budżet przeznaczony na akcję pomocy. Dopiero z końcem 1942r., na życzenie władz wojskowych funkcje dowódcy kompanii i przedstawiciela TOPF zostały rozdzielone.

Polskie kompanie pracy były powoływane do bardzo różnorodnych rodzajów pracy. Były one zatrudniane przy robotach rolnych, przy wyrębie lasu, przy wypalaniu węgla drzewnego, przy budowie i reperacji dróg, przy osuszaniu błot i zadrzewianiu osuszonych obszarów; nieliczne kompanie pracowały w kopalniach węgla lub soli oraz w przemyśle chemicznym. Za pracę otrzymywali pracownicy mieszkanie i wyżywienie oraz zarobek, którego wysokość zależała od systemu pracy (akord czy dniówka). Mimo ciężkiej pracy zarówno stan zdrowotny jak i morale były w kompaniach dobre. Pomoc TOPF dla kompanii pracy polegała przede wszystkim na poprawieniu wyżywienia. Na akcję wyżywienia preliminowano 2,5 fr. dziennie na osobę. Dożywianie odbywało się bądź przez zasilenie produktami kantyn przy kompaniach, bądź przez dostarczanie produktów do kotła. Nie pracujący z powodów od nich niezależnych otrzymywali zasiłek w wysokości 30 fr. miesięcznie. Oczywiście pomoc ta nie zaspokajała wszystkich potrzeb kompanii pracy. Do najbardziej palących należały potrzeby odzieżowe, gdyż żołnierze oczywiście nie posiadali

odzieży zapasowej, a pracując ciężko fizycznie szybko niszczyli tę, którą mieli na sobie. Teoretycznie obowiązek dostarczenia odzieży należał do władz francuskich, zwłaszcza iż potrącały one na ten cel pewne sumy z zarobków. Wobec jednak katastrofalnego braku wszystkich artykułów odzieżowych we Francji, potrzeby kompanii pracy nie były zaspokajane przez władze francuskie.

TOPF ze swej strony, rozdzielając niewielkie ilości odzieży, które czasami otrzymywał spoza Francji, dawał pierwszeństwo żołnierzom pracującym w kompaniach, nie mogło to jednak zaspokoić olbrzymich potrzeb odzieżowych kompanii pracy.

Akcja kulturalno-oświatowa

Akcja ta w okresie sprawozdawczym prowadzona była przez TOPF mniej więcej w myśl tych samych wytycznych, jakie były przyjęte w poprzednim okresie przez PCK. A więc dla dzieci uchodźców, przebywających w schroniskach lub też korzystających z opieki otwartej, a tworzących większe skupiska polskie, organizowano przedszkola oraz naukę języka polskiego, historii i geografii Polski dla uczęszczających do szkół francuskich. Z nauki dodatkowej korzystało ponad 600 dzieci w 20 ośrodkach.

Wobec braku podręczników opracowano podręcznik gramatyki polskiej, materiały do pogadanek oraz mapy Polski: geograficzną, historyczną i gospodarczą. W lecie zorganizowano w porozumieniu ze Związkiem Harcerstwa Polskiego i przy pomocy młodzieży akademickiej 5 obozów letnich, przez które przeszło około 150 dzieci. Dla dorosłych prowadzono 26 kursów języków obcych, przede wszystkim francuskiego, oraz wydano szereg podręczników, między innymi wydawnictwo „Wiedza o Francji dla Polaków”, obejmujące zasadnicze wiadomości z zakresu historii Francji, jej geografii, literatury i ekonomii. Zorganizowano dla schronisk 30 bibliotek ruchomych, liczących ponad 3.000 książek polskich i francuskich. W schroniskach dla osób pracujących umysłowo w Grenoble zorganizowano wydawnictwo pt. „Żywy Dziennik”, zawierające artykuły z najrozmaitszych dziedzin, nadające się do wygłaszania w ośrodkach uchodźczych. Ponadto wydano szereg publikacji zawierających materiały do przygotowania odczytów, pogadanek, uroczystości rocznicowych itp.

Rozszerzano akcję świetlicową w schroniskach, prowadzono akcję imprez artystycznych, organizowano chóry itp. Szczególną wagę TOPF przykładał do akcji kształcenia młodzieży.

O ile chodzi o zakres szkolnictwa średniego, to oczywiście zasadniczym dążeniem było umożliwienie kształcenia dzieci w polskim gimnazjum i liceum im. Cypriana Norwida w Villard-de-Lans. W szkole tej kształciło się w czerwcu 1942 r. 192 uczniów (156 chłopców, 36 dziewcząt). [...]

Warunki natury ogólnopolitycznej odbiły się oczywiście najsilniej na akcji kulturalno-oświatowej. Niestaość warunków wywołana likwidacjami i przeprowadzkami schronisk, niebezpieczeństwa wynikające z akcji pracy przymusowej i represji władz niemieckich, trudności a nawet niebezpieczeństwa rozjazdów stworzyły warunki niesprzyjające prowadzeniu akcji kulturalnej. Toteż ograniczyła się ona do podtrzymywania minimalnej akcji świetlicowej w schroniskach i kompaniach pracy. Zaniechano natomiast stopniowo, w znacznej mierze, prowadzenia kursów językowych i innych w schroniskach — zwłaszcza iż akcja ewakuacyjna również porobiła szczyby w szeregach wykładowców i słuchaczy, a przenosiny schronisk lub poszczególnych słuchaczy uniemożliwiały ciągłość akcji kursowej. Utrzymano natomiast akcję kształcenia dzieci i młodzieży.

W schroniskach utrzymano nadal naukę języka polskiego, historii i geografii Polski dla dzieci uczęszczających do francuskich szkół powszechnych. Co więcej, rozszerzono tę akcję — w porozumieniu ze Związkiem Polaków — na skupiska starej emigracji, łącząc akcję nauczania z akcją dożywiania dzieci. Ilość objętych akcją dzieci starej emigracji dochodziła do 2.500.

W zakresie szkolnictwa średniego prowadzono nadal gimnazjum im. Cypriana Norwida w Villard-de-Lans. Placówkę tę dotknęły kolejno dwa ciężkie ciosy. Pierwszym z nich było aresztowanie w marcu 1943 r. dyrektora szkoły i prezesa TOPF, prof. Zygmunta Zaleskiego. Trzeba było być bezpośrednim obserwatorem roli, jaką odgrywał prof. Zaleski w życiu szkoły w Villard-de-Lans, aby zrozumieć, jaką stratą dla szkoły był jego brak. Tym niemniej szkoła funkcjonowała nadal normalnie, idąc po linii wytyczonej przez prof. Zaleskiego. Kierownictwo objął jeden z najbliższych jego współpracowników, prof. Wacław Godlewski. Drugim z kolei ciosem było aresztowanie w marcu 1943 prof. Godlewskiego. Ale szkoła w Villard-de-Lans, jedyna wówczas polska szkoła

na kontynencie europejskim, trwała nadal. Kierownikiem jej po aresztowaniu prof. Godlewskiego został prof. Ernest Berger, który dotrwał na tym stanowisku do wyzwolenia Francji.

Okres sprawozdawczy obejmuje prawie cały rok szkolny 1942/43 i większość roku 1943/1944. Dane statystyczne dotyczą zakończonego roku 1942/43. W roku tym należy podkreślić znaczny napływ do szkoły dzieci starej emigracji. Napływ ten był w dużej mierze zasługą akcji prowadzonej przez Związek Polaków na rzecz polskiej szkoły. Dopływ dzieci ze starej emigracji zaznaczył się szczególnie w niższych klasach. Gdy w liceum było 78 uczniów z uchodźstwa wojennego, a 17 ze starej emigracji, w gimnazjum było 29 uczniów z wychodźstwa wojennego, a 89 ze starej emigracji. Ponieważ nie otwarto I-szej klasy gimnazjalnej, w internacie szkolnym było ponadto 17 dzieci (4 z uchodźstwa, 13 ze starej emigracji), które uczęszczały do francuskiej szkoły w Villard-de-Lans. W związku z dużym napływem dziewcząt i szczupłością pomieszczeń internatu żeńskiego, zorganizowano w Lans (kilka kilometrów od Villard) drugą klasę gimnazjalną wyłącznie żeńską. W Lans mieszkwały stale dwie nauczycielki, pozostali nauczyciele dojeżdżali z Villard. W maju i czerwcu 1943 r. przystąpiło do egzaminu maturalnego 59 kandydatów, otrzymało świadectwa maturalne 45 (76 %). Gorszy był wynik „małej matury”, gdzie na 39 kandydatów otrzymało maturę 18 (45 %). Ten niski odsetek tłumaczyć należy trudnością opanowania materiału z języka polskiego, geografii i historii Polski, o ile chodzi o młodzież ze starej emigracji i przerwami w nauce, jakie miała znaczna liczba uczniów z uchodźstwa wojennego.

Prowadzono nadal ośrodek szkolenia zawodowego w Voiron w oparciu o francuską szkołę zawodową. Liczba uczniów na początku roku szkolnego wynosiła 60, pod koniec, w związku z wyjazdami z Francji do wojska, spadła do 39. W szkole francuskiej kształciło się 28 uczniów, na polskim kursie przygotowawczym 11. Do egzaminów końcowych stawiało 8, zdało 5. Promocję otrzymało 24.

Kursy językowo-handlowe w Ussat-les-Bains zostały zlikwidowane w związku z wyjściem prawie wszystkich uczestników do wojska. Kurs w Bourg d'Oisans był kontynuowany, należy jednak stwierdzić, iż wyniki jego nie były zadowalające: na 26 słuchaczy do egzaminu końcowego stanęło 12, a zdało go 7.

O ile chodzi o młodzież akademicką, to w r. 1942/43 pod

opieką TOPF pozostały 263 osoby (221 mężczyzn, 42 kobiety). Znaczny spadek w porównaniu z 1941/42 spowodowany jest wyjazdami do wojska. Największym skupiskiem pozostało nadal Grenoble (176), potem Tuluza (37), Lyon (33), Clermont-Ferrand (13) i Montpellier (4). Największą liczbę słuchaczy, jak poprzednio, miały nauki handlowe (72), potem studia techniczne (39), nauki ścisłe (w tym znaczna część na wydziale przyrodniczym, jako wstęp do medycyny — 38), wydział filozoficzny (obejmujący studia literatur różnojęzycznych) — 33, prawo — 14, medycyna, dentystyka i pielęgniarstwo — 16 itp.

W terminie przedwakacyjnym zdało egzaminy 105 studentów (45 %). W roku akademickim 1943/44 liczba studentów pod opieką TOPF spadła, w związku z dalszymi wyjazdami z Francji, do 123 (97 mężczyzn, 26 kobiet). W Grenoble było 58 studentów, w Tuluzie 30, w Lyonie 27, w Clermont-Ferrand 6, w Montpellier 1 i w Aix-en-Provence 1.

Oczywiście w roku 1943/44 nie można mówić o wynikach pracy studentów. Rok akademicki 1943/44 nigdzie nie był normalnie zakończony w związku z wypadkami wojennymi, które rozegrały się na terenie Francji wiosną i latem 1944 r., a w których polska młodzież akademicka brała czynny udział.

Opieka sanitarna

Zasady opieki sanitarnej na ogół pozostały bez zmiany, z wyjątkiem jednego posunięcia natury dość zasadniczej. Na wszystkich lekarzy zarówno administracyjnych, jak i schroniskowych i w kompaniach pracy nałożono obowiązek sprawowania opieki sanitarno-społecznej nad wszystkimi Polakami mieszkającymi w okręgu wyznaczonym lekarzowi. Celem tego zarządzenia było nie leczenie chorych, bo to napotykałoby na obiekcje władz sanitarnych francuskich, ale działalność profilaktyczna. Zarządzenie to wydano z końcem roku 1943. Skupiska polskie przyjęły tę formę opieki sanitarnej bardzo dobrze, ale wypadki zewnętrzne uniemożliwiły jej rozwój.

Liczba lekarzy zatrudnionych przez TOPF w okresie sprawozdawczym uległa zmniejszeniu. Początkowo powodem tego były wyjazdy z Francji do wojska, dość liczne o ile chodzi o lekarzy. Pod koniec okresu sprawozdawczego doszły aresztowania oraz konieczność ukrywania się lekarzy Żydów.

W końcu września 1943 r. TOPF zatrudniał 51 lekarzy, w tym 3 na stanowiskach administracyjnych, 28 w schroniskach, 5 w kompaniach pracy, 5 w szpitalu w Aix-les-Bains, 1 w sanatorium gruźliczym w Hauteville i 5 dentystów objazdowych. W roku 1944 liczba lekarzy spadła do 39, w tym 4 dentystów objazdowych.

Szpital w Marsylii zmuszony był już w końcu 1942 r. przenieść się początkowo do Greoux-les-Bains. Według opinii kierownika szpitala dr. Nowotnego funkcjonowanie szpitala w Greoux-les-Bains było niemożliwe, gdyż lokal, w jakim szpital ulokowano, nie odpowiadał temu przeznaczeniu.

Rozpoczęto więc poszukiwania i w rezultacie udało się wiosną 1943 r. przenieść szpital do Aix-les-Bains. Władze francuskie poczyniły szereg ułatwień z przeniesieniem szpitala, a okręgowa intendentura wojskowa zapewniła mu aprowizację, co wobec pogarszających się warunków żywnościowych miało znaczenie zasadnicze. Mniej więcej normalne funkcjonowanie szpitala w Aix-les-Bains rozpoczęło się w połowie 1943 roku. Przeciętna liczba chorych przebywających w szpitalu wynosiła w okresie sprawozdawczym 135 osób.

Należy wreszcie zaznaczyć, iż szpital obok swej roli leczniczej pełnił drugą rolę, zakonspirowaną. Ze względu na swój charakter i na ciągły przepływ chorych, szpital miał możliwość ukrywania na swoim terenie osób ukrywających się przed władzami niemieckimi. Z tych możliwości szpital korzystał bardzo szeroko, udzielając schronienia poszczególnym osobom bądź na życzenie polskich władz wojskowych, bądź spontanicznie.

Sanatorium gruźlicze w Hauteville funkcjonowało normalnie przez cały okres sprawozdawczy; liczba pensjonariuszy wahała się w granicach 50-60 osób. Gruźlicy, którzy nie mogli być umieszczeni w Hauteville ze względu na brak miejsc lub też nie mogli być leczeni w sanatorium wysokogórskim, byli leczeni na koszt TOPF w sanatoriach francuskich, przeważnie w okręgu Pau (pod Pirenejami). Ogólnie należy stwierdzić, iż mimo stale pogarszających się warunków aprowizacyjnych i odzieżowych stan zdrowotny uchodźców był nadal dobry.

Pomoc dla jeńców wojskowych

Opiekę nad polskimi jeńcami wojennymi w Niemczech sprawowało Biuro Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym w Lyo-

nie, działające pod egidą Francuskiego Czerwonego Krzyża, a finansowane przez TOPF. Przy Biurze czynna była paczkarnia. Formy pomocy w okresie sprawozdawczym nie uległy żadnej zmianie; polegała ona na posyłaniu paczek imiennych i bezimiennych paczek zbiorowych na ręce mężów zaufania w obozach oraz na korespondencji z jeńcami. Paczki imienne były w większości bezpłatne, część ich była opłacana przez samych jeńców lub przez ich rodziny, przyjaciół lub „wojenne matki chrzestne”. W okresie od 1 października do 31 grudnia 1942r. wysłano 23.538 paczek wagi 79.734 kg; w okresie od 1 stycznia do 30 czerwca 1943r. 119.561 paczek wagi 351.939 kg; w okresie od 1 lipca do 31 grudnia 1943r. 150.953 paczki wagi 489.912 kg. W roku 1944 wysłano 148.492 paczki wagi 477.389 kg. Liczby za 1944 rok nominalnie dotyczą okresu od 1 stycznia do 31 lipca, faktycznie jednak z powodu trudności transportowych (bombardowania w Niemczech i we Francji) wysyłka paczek bardzo zmniejszyła się od kwietnia, a od czerwca była zupełnie minimalna.

Korespondencja z jeńcami wynosiła przeciętnie 2.000 listów miesięcznie. W kartotece Biura Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym było zarejestrowanych około 60.000 jeńców, utrzymujących kontakt z Biurem i korzystających z jego usług.

Pomoc dla strefy okupowanej

Pomoc dla uchodźców w strefie okupowanej udzielana była nadal za pośrednictwem *Service Social d'Aide aux Emigrants* i Francuskiego Czerwonego Krzyża. Obejmowała ona te dziedziny co poprzednio: zasiłki dla osób nie posiadających środków utrzymania, stypendia dla studentów, opieka nad chorymi w szpitalach oraz nad więźniami w więzieniach i obozach. Ponadto w roku 1943 przybyło zagadnienie opieki nad ludnością przesiedloną z Polski do wschodniej Francji; zagadnienie to omówimy poniżej.

Liczba ludzi potrzebujących pomocy stale rosła. W samym Paryżu w okresie od 1 października 1942r. do 30 czerwca 1943 objęto pomocą 1.172 nowe rodziny; na prowincji liczba objętych pomocą przekroczyła w tym okresie 42.000.

Stypendia pobierało 17 studentów; wysokość stypendium podniesiono w roku 1942/43 do 1.500 fr. (poprzednio 1.200 fr.)

W szpitalach paryskich i w okręgu paryskim było pod opieką około 200 chorych. W roku 1943 uległa zwiększeniu liczba osób w więzieniach i obozach, gdyż większość aresztowanych w strefie południowej była przewożona do strefy północnej i przeważnie osadzana w więzieniu we Fresnes. Dotyczyło to osób, w stosunku do których prowadzone było śledztwo bądź internowanych w obozach przejściowych w Compiègne (dla mężczyzn) i Romainville (dla kobiet), skąd przewożono ich do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Opiekę nad przebywającymi w więzieniu we Fresnes sprawował Francuski Czerwony Krzyż, nad przebywającymi w Compiègne i Romainville — *Service Social d'Aide aux Emigrants*.

Wiosną 1943 r. na terenie strefy okupowanej wynikło nowe zagadnienie opiekuńcze w związku z masowym przesiedlaniem ludności polskiej do Francji wschodniej. Akcja ta objęła ponad 20.000 osób, które osiedlono przeważnie w departamentach Ardennes (ponad 9.000) i Meuse (ponad 8.000). Pierwsze transporty przyszły z końcem marca, następne w kwietniu, maju itd. Była to ludność wiejska wysiedlona całymi wsiami z województwa łódzkiego i częstochowskiego. Ci przesiedleńcy zostali oddani do dyspozycji kierowników niemieckiej organizacji — *Wirtschaftsoberleitung* — która już w 1940 r. objęła zarząd nad gospodarką rolną w fermach masowo opuszczanych przez ludność w okresie działań wojennych. Zarząd ten został utrzymany mimo powrotu miejscowych rolników, którzy zostali mu podporządkowani. Ci spośród przesiedleńców, którzy byli zdolni do pracy, zostali przez kierownictwo niemieckie bezzwłocznie do niej użyti. Ponieważ jednak przesiedlenie obejmowało całe wsie, więc między przesiedleńcami były również drobne dzieci, nie wyłączając niemowląt, oraz starcy niezdolni do pracy.

Service Social d'Aide aux Emigrants otrzymawszy wiadomość o przyjeździe przesiedlonych, natychmiast zajął się organizowaniem pomocy dla nich. W tym celu w końcu kwietnia wydelegował na miejsce swoją współpracownicę p. Didier, władającą językiem polskim.

Oto dla zobrazowania sytuacji przesiedlonych kilka wyjątków ze sprawozdania p. Didier:

„Ci cudzoziemcy przyjeżdżają, przebywszy podróż trwającą od 3 do 15 dni czasem w wagonach trzeciej klasy, a czasem w wagonach towarowych, mających jako jedyne urządzenie higieniczne kupę piasku w kącie wagonu. Sygnalizują porody w drodze i szereg zgonów w ciągu pierwszych dni po

przybyciu do Francji. Zaznaczmy w ciągu jednego dnia 14 pogrzebów Polaków w mieście Rethel. Sygnalizują nam, iż kilkoro dzieci zostało już sierotami, którymi do czasu dalszej decyzji zaopiekowała się opieka społeczna (*Assistance Publique*). Co do ich pochodzenia, mam wrażenie, że mamy do czynienia głównie ze środowiskiem chłopskim z okręgu Łodzi. Czasami spotyka się inteligentów zamieszanych między chłopami. W wielu wypadkach kobiety zostały już poprzednio rozdzielone z mężami i ze starszymi synami, wywiezionymi uprzednio na roboty do Niemiec. Między tymi, których przywieziono do Francji, jest mniej więcej połowa dzieci, czwarta część kobiet i zaledwie czwarta część mężczyzn, między którymi jest wielu starców i chorych. (...)

Pierwszą trudnością były mieszkania. Niewiele ich pozostało w zniszczonych miejscowościach. Polacy zostali bądź umieszczeni w nielicznych domach, które nie zostały zburzone, i wtedy są stłoczeni do 12 osób z różnych rodzin w jednym pokoju, bądź w niezdezynfekowanych barakach po wojsku, bądź w budynkach opuszczonych ferm. Co do spania, nie ma mowy o łóżkach. Wszędzie znaleziono słomę; w szczęśliwszych wypadkach znaleziono sienniki, często bardzo brudne, bo używane poprzednio przez wojsko; w innych wypadkach słoma leży wprost na ziemi i na nią bezpośrednio kładzie się spać dzieci. Większość Polaków mogła ze sobą zabrać pierzyny i chustki, ale w wielu wypadkach toboły z bagażem zginęły i wylądowali we Francji bez żadnego przykrycia.

Zagadnienie żywności rozstrzygnie się szybko dla tych, którzy są zdolni do pracy i którzy w wyniku tego otrzymają normalny zarobek za swą pracę i dodatki rodzinne. Ale ci nie stanowią większości, a według otrzymanych wiadomości ci, którzy nie pracują, nie otrzymują zapłaty ani żadnej pomocy w naturze. W niektórych miejscowościach proporcja jest słaba, w innych ma się wrażenie, że znaczna ilość jest niezdolna do pracy i w wyniku tego bez środków do życia. Tak na przykład odwiedziłyśmy jedną z wiosek, z której mężczyźni i kobiety zostali zabrani w pole do pracy. Praca sama przez się była niezbyt uciążliwa, bo polegała na zbieraniu rumianku, ale była wyczerpująca przez odległość od miejsca zamieszkania — 3 km — oraz przez ilość godzin pracy wymaganych — od 7 rano do 7 wieczór, z dwugodzinną przerwą na obiad — zwłaszcza, że te wymagania stosowano do kobiet wyczerpanych podróżą, złym odżywianiem, świeżymi przeżyciami i obcością otoczenia (*dépaysement*). W

wiosce tej pozostali w domach: jedna kobieta w ciąży, para starszuchów niezdolnych do pracy z powodu wieku, młody chłopiec prawdopodobnie gruźlik i kobieta zbyt osłabiona, aby być zakwalifikowaną do pracy. Te kilka kobiet zajmowało się dziećmi i przygotowywało posiłek. W innej wiosce sytuacja była o wiele gorsza. Wszyscy ci, którzy zostali uznani za zdolnych do pracy, zostali zabrani przez kierowników gospodarki i w dużym domu, który odwiedziliśmy, domu jednopiętrowym, dawnym miejscu postoju wojska, niezdezynfekowanym, pozostali tylko niezdolni do pracy: starcy, chorzy, kobiety ciężarne i obciążone od 4 do 8 dzieci, razem 40 osób, reprezentujących wybiierki (*rebut*). I ci mężczyźni, te kobiety, te dzieci, nie będąc zatrudnieni, nie dostają pieniędzy i otrzymują tylko pół litra mleka dziennie. Trochę kartofli danych na początku już skończyło się. Składka zrobiona w wiosce przyniosła 10 fr. na osobę i niektórzy żyją z tego już od trzech tygodni. Były już 4 zgony w tej grupie. Sprawa niezdolnych do pracy jest istotnie katastrofalna. (...)

Obecnie po miesiącu od przyjazdu, większość Polaków jest ulokowana jak się dało, na złych posłaniach, nadmiernie ścieśniona, niedostatecznie odżywiana, jako tako ubrana, ale bez ubrań i bielizny na zmianę. I ten stan nie poprawi się sam przez się”.

Te wyjątki z raportu p. Didier charakteryzują niesłychanie ciężką sytuację przesiedlonych. TOPF bezpośrednio nie miał żadnych możliwości przyścia im z pomocą, nie mając możliwości działania w strefie okupowanej. Mógł jednak dostarczyć dodatkowych środków materialnych *Service Social d'Aide aux Emigrants*, który od początku zajął się tą sprawą z niesłychanym zapalem i energią, które zasługują na zupełnie specjalne podkreślenie. Działalność SSAE polegała nie tylko na rozdziale pomocy dostarczonej w gotówce czy naturze przez TOPF najbardziej potrzebującym. Można powiedzieć, że ta forma opieki była raczej uboczną dziedziną całokształtu zorganizowanej akcji. SSAE przede wszystkim rozpoczął starania u władz francuskich o zrównanie przesiedlonych z emigrantami zarobkowymi w dziedzinie świadczeń socjalnych. Starania te zostały uwieńczone skutkiem pomyślnym, o ile chodzi o bezpłatną opiekę lekarską i wypłatę dodatków rodzinnych dla pracujących.

Następnie SSAE skoordynował akcję swych placówek z akcją placówek innych organizacji społecznych, takich jak Fran-

cuski Czerwony Krzyż, *Secours National* itp. O ile chodzi o pracujących, SSAE starał się o uzyskanie dla nich warunków pracy i egzystencji jak najbardziej zbliżonych do warunków ludności miejscowej. W znacznej mierze zostało to osiągnięte.

Najtrudniejsze okazało się dostarczenie im pościeli i obuwia, ze względu na ogólny brak tych artykułów.

Specjalnie trudnym zagadnieniem była opieka nad niezdolnymi do pracy, których było około 5% ogólnej liczby dorosłych przesiedleńców! Tu głównymi formami pomocy były wyjednywanie odpowiedniej opieki lekarskiej (przyjęcie do szpitala, sanatoriów gruźliczych itp.) oraz rozdawnictwo zasiłków pieniężnych. Interwencje SSAE u lokalnych władz administracyjnych pozwoliły wreszcie, we względnie szybkim tempie, załatwić formalności administracyjne konieczne dla uzyskania normalnych kart żywnościowych i odzieżowych. Wreszcie należy podkreślić, iż odpowiednie uświadomienie przez SSAE ludności i władz lokalnych o losie i sytuacji przesiedleńców przyczyniło się do ułożenia stosunków między ludnością miejscową i przesiedleńcami.

Obok akcji materialnej SSAE zajął się również zagadnieniem szkoły dla dzieci i opieki duszpasterskiej. O ile chodzi o zagadnienie szkoły, władze miejscowe zasadniczo zgodziły się na przyjmowanie dzieci polskich, mimo nieznajomości języka francuskiego. W szeregu miejscowości okazało się to jednak niewykonalne ze względu na szczupłość lokali szkolnych.

Opieka duszpasterska została zorganizowana przez Polską Misję Katolicką, z którą SSAE pozostawał w ścisłym kontakcie. Opiekę duszpasterską sprawowali księża polscy oraz ksiądz Begin, ksiądz francuski, który mieszkał w Polsce 36 lat, mówił biegle po polsku i zgłosił się do pracy wśród przesiedleńców.

Można stwierdzić, iż jedynie dzięki opiece zorganizowanej przez SSAE, przy udziale funduszy TOPF przesiedleńcy mogli przetrwać okres okupacji i doczekać momentu, kiedy z końcem 1944 roku opiekę nad nimi mogły objąć polskie urzędy i Polski Czerwony Krzyż.

Sprawy finansowe

Zmiana sytuacji politycznej, jaka nastąpiła w końcu roku 1942 w związku z faktyczną okupacją całej Francji, miała za-

sadniczy wpływ na sytuację finansową TOPF. W poprzednich okresach organizacje opiekuńcze — PCK a potem TOPF — były zasilane w środki finansowe przez Delegata Rządu p. Zabiellę. Po aresztowaniu w grudniu p. Zabielli trzeba było opracować nowy sposób finansowania organizacji opiekuńczych. Działalność p. Zabielli była *de facto* jawna i w związku z tym władze francuskie przyjmowały jako źródło funduszy organizacji opiekuńczych wpłaty p. Zabielli.

Działalność nowego Delegata Rządu, p. Komarnickiego, miała charakter niejawny, nie było zatem można wskazać go jako źródła wpływów pieniężnych. Trzeba było ustalić taki dopływ środków, który byłby oparty o źródło możliwe do wskazania zarówno dla władz francuskich jak i dla władz niemieckich, które bardzo interesowały się działalnością organizacji polskich.

Faktycznym źródłem finansującym działalność opiekuńczą był oczywiście rząd polski w Londynie. Tego źródła rzecz prosta nie można było ujawniać. Ustalono więc następujący system. Rząd przekazywał swoją dotację dwiema drogami. Część przekazywana była przez poselstwo w Lizbonie i tam wpłacano konsulowi francuskiemu jako dotację Rady Polonii Amerykańskiej dla TOPF. Ta część przekazywana była przez konsula francuskiego drogą transferu oficjalnego po kursie oczywiście bardzo niekorzystnym. Było to jednak niezbędne dla wylegitymowania się wobec władz francuskich i niemieckich, iż TOPF posiada legalne źródło dopływu pieniędzy. Druga część dotacji była dostarczana przez rząd drogą nielegalną przez Szwajcarię. Ta część dotacji oczywiście nie była ujawniana wobec władz francuskich. W przybliżeniu można przyjąć, iż co najmniej połowa funduszy dostarczana była drogą nielegalną. Taki system dostarczania środków pieniężnych zmuszał oczywiście do prowadzenia podwójnej buchalterii i to zarówno w Centrali jak i w delegaturach i niektórych schroniskach. Poza tym pociągał on za sobą poważne niebezpieczeństwo w razie natrafienia przez władze niemieckie na ślad nielegalnego transferu pieniędzy. Wszyscy aresztowani pracownicy TOPF byli zawsze wypytывani o źródła dopływu pieniędzy do instytucji. Mimo jednak znacznej liczby wtajemniczonych i znacznej liczby aresztowanych, władze niemieckie nigdy nie zdobyły konkretnych dowodów nielegalnego dopływu środków i dopływ ten trwał do końca okupacji.

Zanim jednak system dostarczania środków został zorganizowany i uruchomiony, TOPF znalazł się w bardzo ciężkiej

sytuacji finansowej, nie otrzymując przez szereg miesięcy dotacji. Sytuację tę pogorszyło jeszcze zablokowanie, na żądanie władz niemieckich, 6,5 miliona fr. złożonych na rachunku bieżącym w banku. Starania o odblokowanie tej sumy podjęte przez Zarząd TOPF trwały kilka miesięcy i zostały uwiecznione pomyślnym skutkiem, dzięki bardzo przychylnemu raportowi pana Vuillaume, inspektora generalnego Min. Spraw Wewnętrznych, delegowanego w celu zbadania rachunkowości TOPF i jego sytuacji finansowej.

Pan Vuillaume, badając sytuację finansową TOPF w okresie bardzo ciężkim, stwierdził oficjalnie, że instytucja ma zapewnione istnienie na kilka miesięcy, co miało bardzo duże znaczenie, gdyż niechętnie TOPF czynniki podawały w wątpliwość celowość istnienia instytucji ze względu na brak podstaw finansowych.

Najcięższy kryzys finansowy TOPF przyszedł w maju i czerwcu 1943, kiedy zapasy kasowe były całkowicie wyczerpane, różne zobowiązania przesuwane z miesiąca na miesiąc, a wielu wydatków celowych nie można było dokonać w korzystnych terminach (dotyczyło to przede wszystkim zakupów do magazynów). Potem powtarzały się jeszcze trudne okresy, nie były one jednak już tak długotrwałe. Oczywiście nieregularności w dopływie środków odbijały się niekorzystnie na gospodarce instytucji. Jeszcze bardziej odbijały się na tej gospodarce nienormalne warunki ogólne. Liczne przenosiny schronisk połączone były ze znacznie większymi kosztami bezpośrednimi i pośrednimi. Najważniejszym z wydatków pośrednich była konieczność płacenia odszkodowań za zniszczenia w hotelach, gdzie były zainstalowane schroniska. Znaczna część tych zniszczeń powstawała już w pierwszych okresach istnienia schroniska i stąd przenoszenie schroniska z miejsca na miejsce powodowało znaczny wzrost wydatków na odszkodowania.

Jeżeli chodzi o analizę wydatków, to należy rozpatrywany okres podzielić na dwa podokresy, stosownie do sprawozdań finansowych. Jeden z nich obejmuje okres roczny od 1 października 1942 r. do 30 września 1943 r.; drugi — również okres roczny od 1 października 1943 do 30 września 1944 roku.

Wykroczę poza nasz okres sprawozdawczy, by zdać sprawę z reszty okresu działalności opiekuńczej pod okupacją. W obydwu tych okresach Zarząd TOPF dokładał starań, aby gospodarkę finansową oprzeć na możliwie dokładnie przepraco-

wanych preliminarzach budżetowych, ale warunki ogólne zmuszały do bardzo znacznych odchyleń od tych preliminarzy.

Wydatki w okresie od 1.10.1942 — 30.9.43 wyniosły 67.554.000 fr.

Koszta administracyjne	15,3 %
Opieka zamknięta (schroniska)	28,1 %
Opieka otwarta	15,6 %
Opieka nad jeńcami	11,9 %
Opieka nad ludnością w strefie okupow.	9,2 %
Opieka nad młodzieżą	6,6 %
Pomoc odzieżowa	4,9 %
Opieka nad b. kombatantami	3,7 %
Opieka nad pozbawionymi wolności	2,2 %
Różne	2,5 %

Wydatki administracyjne obejmowały wydatki osobowe — 5,8 % i rzeczowe 9,3 %. Odsetek wydatków administracyjnych pozornie wysoki usprawiedliwia się nienormalnymi warunkami, o których kilkakrotnie wspominaliśmy, a które odbijały się przede wszystkim na kosztach administracyjnych. Poza tym przy obliczaniu nie wzięto pod uwagę, iż TOPF oprócz funduszy własnych administrował również dotacjami francuskimi na utrzymanie schronisk. Nie posiadamy dokładnych danych co do wysokości tych dotacji, opierając się jednak na stawce osobodzień (16 fr. do 1 lutego 1943 r. i 20 fr. od tej daty) oraz na przeciętnej liczbie pensjonariuszy 2.500, otrzymamy jako przybliżoną sumę 15.800.000 fr. Jeżeli sumę tę dodamy do wydatków TOPF, otrzymamy, jako sumę wydatków na polską akcję opiekuńczą, 83.334.000 fr., z czego na wydatki administracyjne 10.333.000 fr., czyli 12,4 % (zamiast 15,3 %).

W okresie od 1.10.43 — 30.9.1944 wydatki własne TOPF na opiekę wyniosły 83.490.000 fr. Suma ta rozkłada się jak następuje:

Wydatki administracyjne	12,5 %
(osobowe 4,8 % — rzeczowe — 7,7 %)	
Opieka zamknięta (schr.)	22,3 %
Opieka otwarta	19,7 %
Opieka nad b. kombat.	2,3 %
Opieka nad pozbawionymi wolności	2,0 %
Opieka nad ludn. strefy okup.	15,7 %

Pomoc odzieżowa	11,5 %
Opieka nad młodzieżą	5,3 %
Opieka nad jeńcami woj.	5,3 %
Różne	3,4 %

Jak w poprzednim okresie, należy wziąć pod uwagę dotację francuską na utrzymanie schronisk, którą przy stawce 20 fr. na osobę dziennie i przeciętnej 1.800 osób można przyjąć jako 13.140.000 fr.

Łącznie wydatki na akcję opiekuńczą wyniosą przeto 96.630.000 fr. Odsetek wydatków administracyjnych obliczony od całej tej sumy wyniesie 10,1 %. O ile chodzi o wydatki na opiekę nad b. kombatantami, które wyniosły w pierwszym okresie 3,7 %, a w drugim 2,3 %, to należy brać pod uwagę, iż wydatki te obejmowały jedynie pomoc dla kompanii pracy. Poza tym byli kombatanci korzystali ze wszystkich innych form pomocy ogólnej, a więc zarówno z opieki schroniskowej (istniały schroniska wyłącznie dla b. kombatantów), z opieki otwartej, z pomocy odzieżowej, z opieki nad młodzieżą (olbrzymią większość męskiej młodzieży akademickiej stanowili b. kombatanci).

Od 1 maja do 31 sierpnia 1944 r.

Ten krótkotrwały okres jest właściwie epilogiem akcji opiekuńczej prowadzonej w czasie okupacji. Wiąże się on z wypadkami wojennymi decydującymi dla Francji (6 czerwca 1944 r. lądowanie sprzymierzonych w Normandii i początek walk o wyzwolenie Francji, 15 sierpnia lądowanie na wybrzeżu Morza Śródziemnego) i w związku z tym ma zupełnie specjalny charakter.

W okresie tym nie ma już planowej i celowej akcji opiekuńczej, działalność opiekuńcza aparatu ogranicza się do dostarczenia uchodźcom polskim środków zapewniających im egzystencję, a zarazem chronienia ich w miarę nikłych możliwości przed niebezpieczeństwem ze strony władz okupacyjnych, a niekiedy i ze strony komunistycznych jednostek francuskiego Ruchu Oporu. Poza tym chodziło o utrzymanie organizacji, która mogłaby ujawnić się wobec władz francuskich natychmiast po uwolnieniu Francji. Sprawozdanie za ten okres nie będzie więc sprawozdaniem z różnych dziedzin działalności opiekuńczej, opartym o dane statystyczne, lecz jedynie zwięzłą kroniką wypadków.

Gdy w dniu 30 kwietnia 1944 r. walne zgromadzenie TOPF uchwaliło likwidację instytucji i powołało Komisję Likwidacyjną, której władze francuskie dały 3-miesięczny termin na przeprowadzenie likwidacji, pozornie organizacja opieki uległa zasadniczej przemianie. Opiekę nad Polakami objęły z ramienia Min. Spraw Zagran. Biura Administracji Polaków, które przejęły również nadzór nad schroniskami polskimi. (Biuro Doradcze do Spraw Schronisk Polskich zostało zlikwidowane z dniem 31 maja 1944 r.). Polskiej organizacji opiekuńczej formalnie biorąc nie było. Faktycznie jednak zmiana nie była tak zasadnicza.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych mianowało p. Jakubowskiego doradcą do spraw opieki nad Polakami przy p. Verdier, naczelniku wydziału, któremu te sprawy podlegały. Takimiż doradcami przy p. Chastand, dyrektorsze Centralnego Biura Administracji Polaków, organu wykonawczego tej opieki, zostali mianowani pp. Biesiekierski, Jabłoński i Zieliński. W poszczególnych Biurach Administracji Polaków zostały powołane referaty opiekuńcze obsadzone przez dotychczasowych urzędników TOPF. Faktycznie zatem organizacja polska działała nadal. Grupa doradców stanowiła jej kierownictwo, Komisja Likwidacyjna, centralny aparat administracyjny, referaty opiekuńcze w Biurach Administracji Polaków stanowiły namiastki dawnych delegatur TOPF. Oczywiście działalność na pół zakonspirowanej organizacji była trudniejsza niż normalna działalność TOPF w poprzednim okresie.

Organizację tę nazywamy na pół konspiracyjną, bo chociaż każdy z jej członków był legalny, powiązania istniejące pomiędzy nimi i formy współpracy były oczywiście sprzeczne z zarządzeniami władz. Według zarządzenia Ministerstwa Spraw Wewn. członkowie Zarządu TOPF winni byli w jak najkrótszym czasie opuścić Vals-les-Bains (ostatnią siedzibę TOPF), przy czym zabroniono im zgrupować się w innej miejscowości. Miejsce zamieszkania doradców, powołanych przez Min. Spraw Zagranicznych, miało być ustalone po uzyskaniu zgody Min. Spraw Wewn. Gdyby te zarządzenia były rygorystycznie wprowadzone w życie, współpraca doradców między sobą, a tym bardziej ich kontakty z Komisją Likwidacyjną lub Biurami Administracji Polaków, byłyby niesłychanie utrudnione. Faktycznie jednak przez maj i połowę czerwca doradcy przebywali nadal w Vals-les-Bains, zapewniając władze francuskie, że poszukują nowych siedzib.

W czerwcu sytuacja uległa zmianie w związku z lądo-

waniem sprzymierzonych w Normandii. W okolicach Vals-les-Bains pojawiły się silne oddziały Ruchu Oporu; wkrótce *de facto* władze francuskie z Vichy straciły kontrolę nad tym okręgiem. Nadzór władz francuskich nad Komisją Likwidacyjną ograniczył się przeto do wymiany korespondencji i informacji piśmiennych. Stan ten natomiast przyspieszył konieczność przeniesienia siedziby doradców do takiej miejscowości, skąd kontakty zarówno z Vichy jak z ważniejszymi ośrodkami opiekuńczymi byłyby możliwe. W związku bowiem z ciągłym sabotażem linii komunikacyjnych przez Ruch Oporu i położeniem Vals-les-Bains na uboczu, niemożliwe było prowadzenie centralnej akcji opiekuńczej z tej miejscowości. W rezultacie zdecydowano ustalić siedzibę doradców w Lyonie. Wybór ten spowodowany był faktem, że Lyon był dobrze położony komunikacyjnie, w Lyonie miał swoje *pied-à-terre* p. Wiesław Dąbrowski, zastępca Delegata Rządu polskiego na Francję na strefę południową, wreszcie w dużym mieście działalność doradców i ich kontakty nie rzucały się w oczy, tak jakby to było w małym miasteczku. W końcu czerwca zainstalowano przeto w Lyonie dwie urzędniczki, pp. Moszczyńską i Czachórką — które miały stanowić sekretariat doradców, mieszkanie zaś ich miało być namiastką biura.

Doradcy mieli instalować się stopniowo w miarę znajdowania mieszkań, przy czym władze francuskie wołały, aby meldowanie się ich odbywało się w pewnych odstępach czasu, nie jednocześnie. Projektowano przy tym, że doradcy będą dość często dojeżdżali do Vals-les-Bains dla utrzymania kontaktu z Komisją Likwidacyjną.

Drogę dopływu nielegalnych dotacji pieniężnych ze Szwajcarii skierowano również na Lyon, na kierowniczkę paczkarni p. Kasińską. W końcu czerwca i w lipcu wzmożyły się jednak represje niemieckie, co zmusiło do pewnych zmian ze względów ostrożności. W czerwcu aresztowano p. Gontaut-Biron, kierowniczkę akcji pomocy dla jeńców i wywieziono do obozu w Ravensbrück.

W początkach lipca aresztowano w Lyonie mjr. Macher-skiego, kierownika pomocy dla b. kombatanów, w tym samym czasie w Aix-les-Bains aresztowano kierownika szpitala dr. Gustawa Nowotnego i jego zastępcę p. Józefa Dwernickiego. Dr Nowotny wywieziony do Dachau zmarł w obozie, p. Dwernicki został rozstrzelany w Lyonie. Kulminacyjnym momentem represji w Lyonie był dzień 13 lipca. W dniu tym policja niemiecka przeprowadziła rewizję we wszystkich

instytucjach polskich w Lyonie i zatrzymała cały personel i interesantów, a następnie, pozostając szereg godzin, zatrzymywała zgłaszających się.

W rezultacie większość mężczyzn i kilka kobiet aresztowano. Z personelu organizacji opiekuńczej aresztowano tego dnia pp. Gustawa Zielińskiego, delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, Juliusza Tarnowskiego, kierownika referatu opiekuńczego w Biurze Administracji Polaków, Jana Zielińskiego, pracownika tegoż referatu, Henryka Karpińskiego, zastępcę kierowniczkę paczkarni jenieckiej, Natalię Miniszewską i Czurukową, pracowniczkę tejże paczkarni. Aresztowani zostali wywiezieni, mężczyźni do Dachau, kobiety do Ravensbrück. Spośród nich śp. Karpiński zmarł w obozie, a śp. Gustaw Zieliński zmarł w kilka miesięcy po powrocie z obozu, wskutek nabytej tam choroby.

W związku z tymi represjami uznano za wskazane, za aprobatą p. Dąbrowskiego, zastępcy Delegata Rządu na południową Francję, aby doradcy nie przebywali wszyscy stale w Lyonie. Pozostali tam pp. Jakubowski i Jabłoński, a p. Biesiekierski przebywał w Vals-les-Bains, gdzie spełniał nadzór nad działalnością Komisji Likwidacyjnej zarówno z ramienia p. Jakubowskiego, któremu nadzór zleciło Walne Zgromadzenie TOPF, jak i z tytułu objęcia prowizorycznie stanowiska Delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, stosownie do zarządzenia p. Zielińskiego. Do pierwszych dni sierpnia p. Biesiekierski utrzymywał łączność między Komisją Likwidacyjną i siedzibą doradców w Lyonie i Vichy. Potem jednak wszelkie możliwości komunikacyjne uległy faktycznej przerwie i łączność była utrzymywana przez rzadkie okazje. Stan ten trwał jednak niedługo, gdyż w pierwszych dniach września Lyon został uwolniony i polska organizacja opiekuńcza ujawniła się wobec władz francuskich jako Polski Czerwony Krzyż, stosownie do poprzednio uzyskanych decyzji Rządu Rzeczypospolitej w Londynie.

Jeżeli chodzi o charakterystykę działalności opiekuńczej, to polegała ona przede wszystkim na dostarczeniu środków materialnych umożliwiających w pierwszym rzędzie schroniskom, skupiającym większą liczbę uchodźców, przetrwanie tego ostatniego, krótkiego, ale bardzo ciężkiego okresu. O ile chodzi o południowo-wschodnią Francję, z którą komunikacja była bardzo trudna, gdzie mieściła się większość schronisk, szpital w Aix-les-Bains, szkoła w Villard-de-Lans, to należy podkreślić zasługi dwóch pracowników, p. Paczkowskiego i p.

Bzowskiej, którzy dosłownie z narażeniem życia utrzymywali kontakt między Lyonem a tym okręgiem.

Zasiłki w opiece otwartej były wypłacane przez Biuro Administracji Polaków. Opieka nad b. kombatantami w kompaniach pracy zlikwidowała się, gdyż kompanie przestały istnieć; uczestnicy ich przeważnie przedostali się do Hiszpanii, a pozostali tworzyli samodzielne polskie jednostki bojowe (kompania por. Głowackiego w St. Agrève) lub dołączyli do jednostek francuskich.

Opieka nad jeńcami wojennymi została uniemożliwiona z powodu braku środków komunikacyjnych.

O działalności kulturalno-oświatowej nie było mowy.

Na tym miejscu należy tylko wspomnieć o tragicznych przejściach szkoły w Villard-de-Lans. Szkoła ta leżała w okręgu Vercors, gdzie miały miejsce zaciekle walki jednostek Ruchu Oporu z Niemcami i barbarzyńskie represje Niemców. W czasie tych walk jednostki powstańcze, przechodząc przez Villard-de-Lans, zabrały ze sobą starszych uczniów, z którymi posłała część nauczycieli, aby uchronić ich przed Niemcami. Niestety cała grupa została zaskoczona przez Niemców i w walkach, które się wywiązały, zginęło 14 uczniów. Ponadto 3 profesorów zostało aresztowanych, przewiezionych do Lyonu i tam straconych. Byli to: profesor łaciny — Harwas, profesor fizyki — Gerhardt i lekarz szkolny — dr Welfle. Polegli uczniowie zostali pochowani na cmentarzu w Villars. Gdy po wyzwoleniu Francji w okręgu Vercors zrobiono Drogę Krzyżową dla upamiętnienia martyrologii tego okręgu, jedna stacja Męki Pańskiej została specjalnie poświęcona pamięci poległych Polaków, profesorów i uczniów szkoły w Villard-de-Lans.

Dobiegliśmy kresu tego sprawozdania z polskiej działalności opiekuńczej we Francji w okresie okupacji niemieckiej. Działalność ta, obejmując stale 10-15 tysięcy osób, umożliwiła im przetrwanie okresu okupacji w znośnych warunkach materialnych; młodzieży umożliwiła naukę na wszystkich szczeblach, chorym zapewniła leczenie, intelektualistom możliwość pracy. Działalność czynników opiekuńczych była zgodna z dyrektywami rządu Rzeczypospolitej i koordynowana z działalnością czynników politycznych (Delegatów Rządu) i wojskowych. Będąc prowadzona zawsze w ramach formalnie legalnych, służyła ona częstokroć jako przykrywka dla działalności politycznej czy wojskowej, mającej bezpośrednio na celu walkę z okupantem. Niemcy orientowali się

w tym; stąd szereg represji, które spadały na różne komórki organizacji opiekuńczej. Praca w tej organizacji narażała na niebezpieczeństwa nie mniejsze niż praca na innych odcinkach polskich i wymagała nie mniejszej odwagi. Czasem może nawet wymagała więcej zimnej krwi, bo ze względu na konieczność utrzymania form pracy legalnej niemożliwe było korzystanie z różnych środków ochrony (fałszywe dokumenty, zakonspirowane mieszkania itp.). Dowodem tego jest liczba ofiar. Wymieńmy jeszcze raz tych, którzy swą pracę przypłacili życiem:

śp. Gustaw Zieliński (Delegat Ministerstwa Pracy i Opieki Społ.)

śp. dr Gustaw Nowotny (kierow. szpitala w Aix-les-Bains)

śp. Henryk Karpiński (zastępca kierowniczk. paczkarni)

śp. Czesław Wtorkowski (kierow. schroniska dla kombat. w Bagnols)

śp. Józef Dwernicki (administrator szpitala w Aix-les-Bains)

śp. Jan Jankowski (kierownik schroniska w Lassalle)

śp. dr Tadeusz Welfle (lekarz szkoły w Villard-de-Lans)

śp. Jan Harwas (profesor szkoły w Villard-de-Lans)

śp. [?] Gerhardt (profesor szkoły w Villard-de-Lans)

śp. Józef Borecki (lekarz schroniska w Salies-du-Salat)

Poza tym zmarło kilkadziesiąt osób, które przeszły przez obozy koncentracyjne, poprzedzone częstokroć torturami w czasie badań Gestapo.

Po wyzwoleniu Francji, Minister Pracy i Opieki Społecznej w liście, skierowanym na ręce swego delegata, wyraził podziękowanie kierownikom i współpracownikom akcji opiekuńczej we Francji w czasie okupacji, a Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i Prezes Rady Ministrów odznaczyli szereg osób spośród kierownictwa i najbardziej zasłużonych pracowników Złotymi i Srebrnymi Krzyżami Zasługi z Mieczami.

Mieczysław BIESIEKIERSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Mieczysław BIESIEKIERSKI, ur. w 1894 r. Studia na Politechnice Warszawskiej i na uniwersytecie w Liège w Belgii. W latach

1919-1939 pracował w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Zajmował się specjalnie zagadnieniami emigracyjnymi, przede wszystkim emigracją polską we Francji. Należał do Doradczej Komisji Polsko-Francuskiej. Bezpośrednio przed wojną był dyrektorem Funduszu Pracy. W 1940 r. był kierownikiem Oddziału Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom w Rumunii. Od lipca 1940 r. do września 1944 r. był prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża we Francji (TOPF) oraz brał udział w ruchu oporu POWN-Monika. Od września 1944 r. do lipca 1945 r. radca do spraw społecznych ambasady polskiej w Paryżu, a po jej zamknięciu kilkuletnia praca z ambasadorem Kajetanem Morawskim. Pracował w IRO, a później w OFPRA do 1963 r., kiedy to przeszedł na emeryturę. Zmarł w Paryżu 31. 8. 1974 r.

Józef LEWANDOWSKI

KWESTIA NARODOWA W EUROPIE WSCHODNIEJ NA PRZEŁOMIE EPOK MOSKIEWSKIE SYMPOZJUM

Relacje z podróży do Moskwy stanowią zarówno rodzaj literacki jak i szczególny rodzaj źródeł historycznych. Rosja była zawsze mało znana i trudno dostępna i nawet teraz, gdy runęły bariery policyjne, nadal trudno zrozumieć, co się tam rzeczywiście dzieje. Dlatego opisuję moją podróż w przeświadczeniu, że moje doświadczenia i spostrzeżenia będą ciekawe i dla innych.

A więc: zostałem zaproszony do Moskwy przez Rosyjską Akademię Nauk w dniach 26-28 maja 1993 r. na konferencję pt. *Kwestia narodowa w Europie Wschodniej na przełomie epok*.

Pierwszy kontakt z Rosją zaczyna się w konsulacie. Nie jest to kontakt sympatyczny, na szczytach rosyjskich służb zagranicznych wiele się zmieniło, ale na szczeblu urzędniczym zmiany są powolne, zresztą nie tylko w Rosji. Siedzą w konsulatach *zady krepcze umywalnikow*, jak Majakowski określił sowiecką kastę biurokratyczną. Nadal potrzebny jest *wyzow*, czyli zaproszenie, nadal urzędnicy czynią łaskę przyjmując papiery i wbijając wizę do paszportu. A czynią to w imieniu od trzech lat nie istniejącego Związku Sowieckiego, którego pieczęcią nadal się posługują.

W konsulacie w Stockholmie wypełniłem obszerny formularz, złożyłem trzy zdjęcia, przedstawiłem pismo z Moskwy i

wyjaśniłem, że jadę z ramienia odpowiedniej akademii szwedzkiej. Gdy przyszedłem po dwóch tygodniach po odbiór, okazało się, że wizę wbili mi taką, że musiałbym zrezygnować z udziału w pierwszym i trzecim dniu konferencji.

Wiadomo, władze sowieckie są nieczule na łzy. W sąsiednim okienku jakiś Pers przez kwadrans prosił o poprawienie podobnie źle wpisanej wizy. Bezskutecznie...

Gdy grzecznie zwróciłem uwagę, że dostałem nie to, o co prosiłem, „mój” urzędnik wycedził, że nic nie może zmienić i że muszę pogodzić się z jego decyzją. Huknąłem nań więc, dokładnie tak, jak oficer na podwładnego. *Co on sobie myśli, czy nauczył się czytać po rosyjsku...* Zapowiedziałem też, że *naczalstwo go po głowce nie pogłodzi*. Groźba gołosłowna, możliwości zemsty na nim nie miałem, ale sowieccy ludzie rozpoznają ważność petentów po tonie. Widocznie ton był właściwy, bo kilku struchlałych *czynowników* jęło naprawiać błąd. Interesowało ich tylko, czy aby doprawdy jestem Polakiem — w ich odczuciu znajomość ducha języka nie godziła się z polskością.

Po przyjeździe do Moskwy byłem zaskoczony, jak mało się w niej zmieniło, a jeśli się zmieniło, to niekoniecznie na korzyść. Te same mundury pograniczników na lotnisku, podobna, jak trzydzieści lat temu, odprawa paszportowa, brudna hala przylotowa, w której nie ma wózków bagażowych, natomiast dużo podejrzanych osób, które wcale nie przyleciały ostatnim samolotem. Przez megafony rozlega się ten sam głos: *Towariszcz Sidorowa* proszona jest do okienka takiego i takiego! *Towariszcz Michajłow* zgłosi się tam i tam!

Moskwa Chruszczowa i Breżniewa dbała o swój zagraniczny *image*. Teraz nikt nie troszczy się o wrażenie wywierane na przyjezdnych, zdaje się nawet, że władze starają się epatować gości biedą i zniszczeniem. Oczekująca urzędowa Wołga była w złym stanie, szosa z lotniska do miasta uzasadniała stan pojazdu; unikając dziur szofer prowadził w sposób przypominający slalom. Hotel Akademii Nauk, w miarę nowy, już potężnie zniszczony. W Stockholmie koledzy uprzedzali, że muszę pogodzić się z sąsiedztwem „prusaków”. I rzeczywiście.

Pierwszy wieczór minął na rozmowach z przyjaciółmi. O sprawach publicznych niewiele, zbyt wiele nagromadziło się spraw osobistych, których nie sposób było poruszać we wznowionej dwa-trzy lata temu korespondencji. Nędza. Emerytura w wysokości trzech dolarów miesięcznie jest normą w przypad-

ku naukowców, którzy nie zajęli wysokich stanowisk. Ci, co zajęli wyższe stanowiska i nadal pracują, są w sytuacji lepszej, ale pobory równe 20 dolarom są płacą wysoką. Szczęśliwi — jak zaprzyjaźniona od ćwierćwiecza prof. I — nie mająca nikogo na utrzymaniu. Do nędzy Rosjanie są przyzwyczajeni, koniec końców każdy z przyjaciół przeżył przynajmniej II wojnę światową i głód powojenny. Mimo trudnych warunków, wyrażenie łagodne, starają się zachować godność i kulturę. Ale na książki ich nie stać, książka kosztuje w miarę tanio, odpowiednik dolara lub mniej, ale to są dla nich sumy niewyobrażalne.

Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki ma okazałe zbiory literatury z dawnych czasów, jednak zbiory nie są uzupełniane, nie ma na to pieniędzy. Nie mają więc teraz ani *Kultury* ani *Polityki*. Na pocztę kradną, wietrzą pieniądze w listach. Giną również przesyłki książkowe. Do Moskwy i Petersburga dociera tylko co drugi mój list. Dopiero na miejscu mogliśmy wyjaśnić sobie nieporozumienia wynikające z niesystematycznej wymiany informacji.

Bezsenna noc. Hotel położony jest przy ośmiopasmowej przelotowej ulicy, równie zniszczonej co szosa z lotniska, huk samochodów spotęgowany zgrzytem hamulców i jękiem resorów nie milknie również w nocy. W pokoju brak powietrza, trudno wytrzymać przy zamkniętym oknie, trzeba wybierać między hałasem z ulicy a duszeniem się, wybieram to pierwsze.

Konferencja zbiera się w gmachu Akademii Nauk. Pompatyczna budowla kłóci się ze stanem materialnym nauki. Widziałem w życiu dużo nieudanych projektów, znam dobrze warszawski Pałac Kultury i Nauki, ale tak niskiego współczynnika wykorzystania powierzchni nie potrafiłem sobie wyobrazić. Wieżowiec miał służyć wyłącznie na pomieszczenia prezydium Akademii. Bo im większy pajak, tym większa winna być pajęczyna. Za Gorbaczowa zdecydowano jednak, że prezydium pozostanie w starym budynku, w nowym pomieszczono instytuty. Wieża budynku w koronie rusztowań — budowę wstrzymano, nie dokończono nawet stalowej konstrukcji.

Dwa lata temu rozmawiałem z wysokim, już „gorbaczowskim” rosyjskim naukowym naczelnikiem, rozważaliśmy sens Akademii. Jest ona sierotą po Stalinie. Miała dwa cele: po pierwsze — zaspokojenie potrzeb kompleksu militarnozbrojeniowego w dziedzinie nauk ścisłych i techniki, po drugie — kontrolę nad humanistyką, ustalanie jej oficjalnej wykładni. Uważano, że uniwersytety nie są w stanie spełnić tych

celów. Obecnie akademie nie mają sensu. Po co więc, w jakim celu wyrzucać pieniądze?

Te rozmowy przypomniały mi się, gdy w pomieszczeniach Instytutu Sławistyki i Bałkanistyki R.A.N. zebraliśmy się, by dyskutować nad *kwestią narodową w Europie Wschodniej na przełomie XIX i XX wieku*. Mój referat o czynnikach upodabniających i różniących proces kształtowania się narodów w Europie Wschodniej w porównaniu z Europą Zachodnią był tak aktualny, że przypadło mi otwarcie obrad i tym samym nadanie im tonu. Referat został życzliwie przyjęty i był wielokrotnie z aprobatą cytowany, choć wiele moich stwierdzeń zaskakiwało uczestników, o wiele mocniej niż gdybym je wygłaszał w Skandynawii. A mówiłem o szybszym rozwoju struktur państwowych niż narodowych w Europie Wschodniej, o tym, że proces kształtowania się narodów bynajmniej nie zakończył się w tym regionie u progu XX wieku i że musimy się liczyć z tym, że w dalszym ciągu pewne organizmy narodowe będą się kształtować, zwłaszcza w związku z upadkiem autorytetu ponadnarodowych struktur państwowych. Należy się też liczyć z prawdopodobieństwem zaniku lub uwiędnięcia niektórych struktur narodowych. Mówiłem również o dwóch modelach stosunków mniejszościowych, jeden z nich pozwoliłem sobie nazwać fińsko-szwedzkim, drugi — serbskim, ale o tym mówię od lat w wielu miejscach.

Jechałem jednak do Moskwy przede wszystkim po to, by usłyszeć, co o tych problemach sądzą tamtejsi historycy. Doznałem mieszanych uczuć. Generalnie rzecz biorąc, dokonał się niesamowicie duży, wręcz niewyobrażalny postęp, ale stało się też jasne, że nie jest on na miarę potrzeb społeczeństwa.

Uzasadnię to przykładem. Jeszcze we wrześniu 1990 roku, podczas konferencji fundacji noblowskiej w Sztokholmie, też poświęconej problemom narodowościowym, należący do oficjalnej czołówki sowieckich historyków prof. K. wygłosił referat pełen propagandowych banałów i nieprawd. W popularnej jednak rozmowie tego samego dnia odżegnał się od wygłoszonych zdań, z bólem stwierdzając, że „...destalinizacja nauki historycznej u nas dopiero się zaczyna, może nawet jeszcze się nie zaczęła”. Było to w piątym roku *periestrojki*. Rok później, podczas konferencji w Liblicach na temat 1968 roku, dyrektor Instytutu Historii Powszechnej, prof. A. Czubarian, wygłosił referat tak demaskatorski w stosunku do sowieckiej polityki, że dowiódł, iż destalinizacja historii nie tylko się zaczęła, ale zaszła dość daleko.

Tu miejsce na zastrzeżenie. W amerykańskim, ale również i polskim ujęciu, dość często odnajdujemy pogląd, że doktryną sowieckiej historiografii był marksizm. Jeśli jednak przez marksizm rozumieć ekonomiczne i socjalne uwarunkowania zjawisk kulturowych, to sowiecka historiozofia od marksizmu była dość daleka. Sowiecka historiografia, jak najbardziej idealistyczna, jako motor dziejów przyjmowała bądź myśl genialnego wodza, bądź ideologię partii komunistycznej. Jej metodologia, jeśli można to tak nazwać, była swoistą mieszaniną służalczości wobec wodza połączonej ze służebnością wobec aktualnych interesów państwa. Wytworzył się rytualny język publikacji historycznych, w bibliografiach umieszczanych na końcu publikacji oddzielnie wymieniano prace klasyków, oddzielnie inne prace, by nie sprofanować klasyków sąsiedztwem ze zwykłymi śmiertelnikami. Innymi słowy, historia, zwłaszcza najnowsza, została przekształcona w swoistą teologię.

Oczywiście, ludzie różnie sobie radzili w tym madejowym łożu *przodującej metodologii*, niektórzy potrafili pod sztywną powłoką umieścić całkiem sensowne treści, ale te treści były zakamuflowane i niedostrzegalne dla niewtajemniczonego czytelnika. Dlatego w odczuciu społecznym, o ile było ono wyrażane, historycy stali bardzo nisko, o czym mogłem się w latach 60-tych kilkakrotnie przekonać.

Wydawałoby się, że dziesięciolecia zaszczepiania odruchów warunkowych połączone z selekcją czyli wyrywaniem z korzeniami wszystkich niepokornych, powinny utrwalić ową „metodologię” przynajmniej na kilka następnych dziesięcioleci. Okazało się inaczej. W referatach wygłoszonych na konferencji nie znalazłem cienia sowieckiej drętwej mowy ani powoływania się na *klasyków*. Z Lenina na sali konferencyjnej robiono sobie mniej niż np. Mikołaj Iwanow, w pożytecznej zresztą publikacji o Polakach w ZSSR.

Może najlepszą miarą zmian może być to, że termin *towarzysz*, prześladowający mnie począwszy od megafonów na lotnisku, w sferze pracowników naukowych wyszedł zupełnie, ale to zupełnie z użycia, zachował się tylko w postaci wyrafinowanego, jednoznacznego epitetu. Tak więc moja znajoma była słusznie dotknięta, gdy jej adwersarz zwrócił się do niej *per towarzyszko*.

Referaty były dobrze zbudowane, oparte o fakty, bezstronne nawet tam, gdzie w grę wchodził interes sowieckiego państwa bądź Rosji. Historykom dobrze przysłużyło się udo-

stępnienie do niedawna tajnych zasobów archiwalnych. Wiele referatów obfitowało w mniejsze lub większe rewelacje. Starannie przygotowane, każdy nadawał się do publikacji w prestiżowych czasopiśmie fachowych.

To z jednej strony. Z drugiej strony nie sposób było nie zauważyć, że referaty są fragmentami prac monograficznych, kandydackich lub doktorskich, i że noszą piętno pracy rzemieślniczej. Z młodości pamiętam prace celem otrzymania dyplomu mistrza bądź czeladnika. Takie prace musiały spełniać dwa warunki: po pierwsze — dowodzić doskonałego opanowania rzemiosła, po drugie — musiały być wymyślone, bezużyteczne. To odczucie bezużyteczności wysiłku miałem słuchając wystąpień na konferencji. Mimo doskonałego niekiedy warsztatu referaty w znikomym stopniu były powiązane z wielkim kryzysem stosunków narodowościowych, przetaczającym się przez kontynent euroazjatycki i w równie znikomym stopniu były zapisem głębszych przemysłów.

Ponadto uderzała zupełna nieznajomość nowoczesnego warsztatu socjologicznego i politologicznego. Problemy narodowościowe są przecież przede wszystkim pochodną tzw. wielkich procesów, wnikięcie w te problemy jest niemożliwe bez wnikięcia w struktury stratyfikacji społecznych, w długie trwanie narodów; czysty warsztat historyczny sprowadzający się do opisu i komentowania dokumentów jest w tych dziedzinach bezradny. Może dlatego wielkie problemy, proszące się o udział historyków w ich rozwiązywaniu, nadal leżą odłogiem i są eksploatowane przez publicystów.

Problemy narodowościowe były w ZSSR jednym z najważniejszych tabu. Nikołaj Ryżkow niedawno stwierdził (*Pieriestrojka: istoria predatielstw*, Moskwa 1992, s. 198 pass.), że nawet będąc premierem nie zdawał sobie sprawy, że w państwie istnieją problemy narodowe, że partia stworzyła fikcyjne pojęcie jedności moralno-politycznej i sama w to uwierzyła. O wiele inteligentniejszy Gorbaczow zdawał sobie sprawę z fikcji, ale — jak wynika z jego rozmowy z Mładenowem — napotykał na nieprzezwyciężony opór partyjnej inercji, gdy próbował wprowadzić elementy refleksji nad perspektywami wielonarodowego imperium. Sprawy narodowościowe są skomplikowane, refleksja wymaga czasu, by móc dojrzeć. Teraz problemy się spiętrzyły, natomiast czas się skrócił. Przy takim poziomie refleksji nad sprawami narodowościowymi, obawiam się, że Rosję i inne państwa sukcesyjne czekają duże, nie zawsze przyjemne niespodzianki.

Wreszcie sprawy związane z nacjonalizmem. Nie wiem, jak daleko idące wnioski można wyciągać z jednej konferencji, ale odniosłem wrażenie, że w środowisku, w jakim się obracałem, wpływy nacjonalizmu są małe. Owszem, dwa wystąpienia miały wyraźnie nacjonalistyczne zboczenie. Nie, nie antysemickie, jak by można było się na podstawie wyczulonych mass mediów spodziewać, ale antyukraińskie. W obu wypadkach występujący negowali istnienie narodu ukraińskiego, dowodzili, że jest on sztucznym pojęciem, przemocą narzuconym rusińskiej, a więc w ich pojęciu rosyjskiej ludności. Oczywiście, tezy wcale nie nowe, w nieco innej tylko postaci głoszone i w Polsce w okresie międzywojennym. Sala reagowała ostro, chyba o wiele ostrzej i bardziej jednomyślnie, niż czyniłoby to podobne polskie audytorium, szybko jednak zorientowano się, że obydwie wystąpienia są dziełem maniaków, którzy od czasu do czasu pojawiają się na konferencjach i od których nikt nie może się uchronić. Dano im skończyć, ich też nie dyskutowano.

Zorientowałem się, że środowisko popiera proces reform, mimo iż załamanie gospodarki, utrata przywilejów, chaos, bandytyzm (codziennie w Moskwie około 10 morderstw, 40-50 napadów rabunkowych, niewiele mniej gwałtów itd.) czynią życie nieznośnym. Nie wszyscy jednak mogą pogodzić się z utratą przez Rosję jej dotychczasowej pozycji mocarstwowej, uważają Gorbaczowa, Jelcyna i „całą tę hałastę” za ludzi, którzy celowo niszczyli i niszczą ich ojczyznę. Tak też myśli moja znajoma, z którą rozmawiałem. Nie była członkiem partii, jest zwyczajnym, zgorzkniałym człowiekiem oraz inteligentem w drugim pokoleniu. I rosyjską patriotką. To właśnie, że nie jest kimś z marginesu politycznego, że jej reakcja jest w miarę naturalnym odruchem, to właśnie czyni, że nie mogę przestać myśleć o naszej smutnej rozmowie.

Józef LEWANDOWSKI

Józef LEWANDOWSKI

HISTORIA I POLITYKA BRATYSŁAWSKIE SYMPOZJUM

Bratysławskie sympozja powstałe w 1990 roku, a więc tuż po upadku komunizmu w Czechosłowacji, w szybkim czasie zdobyły europejską renomę jako miejsce spotkań intelektualistów, głównie słowackich i czeskich. Możliwość udziału w sympozjum, już trzecim z rzędu, w listopadzie 1992 roku, miała dla mnie szczególne znaczenie. Słowacją zajmuję się od lat trzydziestu, o sprawach słowackich starałem się informować polskie społeczeństwo już wówczas, gdy o Czechosłowacji, nie mówiąc już o Słowacji, w Polsce było głucho. Na emigracji, od 1969 roku, Słowacja była dla mnie niedostępna, byłem zmuszony do zamrożenia kontaktów z przyjaciółmi, nawet lektury były utrudnione.

Już podróż do Bratysławy służy jak wprowadzenie w problemy, w obliczu których znajduje się powstające państwo słowackie. Bowiem celem lotu nie jest Bratysława, nie posiadająca lotniska dla przyjmowania współczesnych samolotów, ale Wiedeń. W systemie realnego socjalizmu wszędzie prowincja była dyskryminowana, zwłaszcza w połączeniach z zagranicą. A Słowacja była wyraźnie prowincją i tak była traktowana.

Brak lotniska jest kłopotem prestiżowym. Z drugiej jednak strony z Wiednia do Bratysławy jest zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, autobus pokonuje je w godzinę, tyle czasu trwa dojazd do lotniska również w innych stolicach. Niewątpliwie Słowacy zbudują nowoczesne lotnisko, ale przez jakiś

czas, prawdopodobnie dość długo, będzie ono deficytowe — w samolocie ze Stockholmu byłem jedyną osobą udającą się na Słowację. Zainteresowanie świata tym krajem jest niewielkie, o wiele mniejsze niż zainteresowanie Czechami.

Na lotnisku oczekiwał gości mikrobus Słowackiej Akademii Nauk. Wsiadając doń przywitałem się z czekającą na mnie urzędniczką, jak i z kierowcą. Urzędniczka wzięła mnie na stronę i poinformowała, że jest to szofer — podanie mu ręki widocznie nie mieści się w pojęciach miejscowej biurokracji lub przynajmniej jej części.

Obrady odbywały się w miejscowości Papërničky, czyli izolowanym od świata, niewidocznym z drogi ośrodkiem rekreacyjnym, jaki nomenklatura zbudowała sobie w środku leśnego masywu. Wedle światowych standardów — pensjonat drugiej lub trzeciej kategorii, ale dla zwykłych śmiertelników, opowiadano mi, obiekt marzeń. Lodówka w każdym pokoju świadczyłaby, że reprezentanci ludu pracującego odpoczynek utożsamiali z konsumpcją wysokokową.

W pensjonacie w ogóle czułem się niezbyt swojo, jak w ubraniu szytym na cudzą miarę. Podobnie czułem się w Polsce odwiedzając zaprzyjaźnionych polityków w przejętych od nomenklatury gabinetach. Inna rzecz, że Czesi i Słowacy mądrze przekształcili niektóre pensjonaty „za żółtymi firankami” w ośrodki konferencyjne, w kilku konferencjach już zdążyłem uczestniczyć. Tu uwaga: w Polsce urządza się konferencje naukowe w wielkich miastach, przy uniwersytetach, wielkie miasta jednak niezbyt sprzyjają skupieniu uwagi. Zarówno na konferencjach w Czechach (w Bechyně i w Liblicach) jak w owych Papërničkach możliwość skupienia się i nawiązania pożytecznych znajomości była o wiele lepsza niż na konferencjach w Krakowie i Warszawie.

W założeniu, sympozjum jesienią 1992 roku miało być kontynuacją poprzednich dwóch i podejmować problemy wynikające ze splotu polityki i problemów etycznych, zwłaszcza gdy czynnikiem komplikującym są problemy narodowościowe. Obradowaliśmy zaś w chwili, gdy Słowacja definitywnie wyodrębniała się ze wspólnego państwa z Czechami, a w byłej Jugosławii toczyła się barbarzyńska wojna. W Czechach i na Słowacji Jugosławię zawsze odczuwano jako bliski kraj. Do bólu spowodowanego barbarzyństwem bałkańskim dołączył się również niepokój, czy aby rozwój wydarzeń na południowym stoku Karpat nie doprowadzi do podobnej tragedii; stwierdzenie, że czas i miejsce aktualizowały problemy

jest więc określeniem banalnym; wydaje się, że większość uczestników odczuwała potrzebę gruntownej refleksji, ponownego, nie tylko teoretycznego, ale i praktycznego określenia stosunku zarówno do socjotechnicznych schematów, jak i dogmatów liberalno-demokratycznego wyznania wiary.

Komitety organizacyjny zajął stanowisko już w folderze zawczasu rozesłanym uczestnikom sympozjum: „...destrukcja systemu komunistycznego wyzwoliła i wysunęła na czoło dotychczas stłumiony nacjonalizm, jego odradzająca się ideologia wyraźnie zabarwia interpretację dziejów państw [Europy Środkowo-Wschodniej]”. Nacjonalistyczna interpretacja historii jest „...najbardziej zideologizowaną dziedziną nauk społecznych i jest bardziej niż jakiekolwiek inne narzędzia używana i nadużywana dla celów politycznych”. Historia, co gorsze, jest narzędziem antagonizacji narodów, a „...jej interpretacja, zwłaszcza zwrotnych punktów historycznych, nosi w sąsiadujących krajach często diametralnie różny charakter i rozwija się w coraz bardziej odległym kierunku”.

Wśród kilkudziesięciu Czechów znaleźli się nie tylko pracownicy nauki, ale i osobistości ze świata kultury i polityki, jak np. pierwszy pokomunistyczny premier Czech, wybitny prawnik Peter Pithart; były minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Jiří Dienstbier oraz wielu innych intelektualistów o znaczących nazwiskach nad Węltawą i Dunajem, jednak mało mówiących polskiemu czytelnikowi. Również prezydent Havel znalazł czas, by w gronie uczestników spędzić kilka pracowitych godzin. Jak widać jednak z zestawienia, wszystkie te osobistości reprezentują jeden nurt czeskiego życia politycznego, łączony z *Kartą 77*.

Oficjalna Słowacja brała w sympozjum nikły udział i zdaje się, że spozierała na nie dość krzywym okiem. Rząd był reprezentowany przez pomocnika ministra kultury, dra Servatko, który wygłosił sympatyczne przemówienie powitalne, w tonacji odbiegające od wystąpień premiera Mečiara. Znaczna część wystąpienia była poświęcona kwestii żydowskiej. A więc deklaracja „walki przeciw antysemityzmowi we wszelkiej postaci”, ale również „przeciw przypisywaniu antysemityzmu narodowi słowackiemu”. Można sądzić, że udział katolickiej Słowacji w zagładzie Żydów długo będzie jeszcze prześladował winnych, i co gorsze — niewinnych, o czym mogłem się przekonać w wielu rozmowach. Nawiasem mówiąc dr Servatko włada polskim i ma gruntowną znajomość polskiej kultury i życia politycznego, jako że przez kilka lat

był lektorem na uniwersytecie w Katowicach.

Otwierający konferencję wybitny filozof-dysydent, prof. Miroslav Kusý, rektor Uniwersytetu w Bratysławie, mówił oczywiście o zatrutych płodach nacjonalizmu. Zaczyna się nacjonalizm jako destrukcyjny folklor, objawia się zamykaniem oczu na błędy i grzechy własnego społeczeństwa i w wielkiej mierze znajduje pożywienie w swoistym ekstrakcie preparowanym z historii. Nacjonalizm zawsze powoduje — mówił Kusý — bałkanizację historii, a uzurpacja przyszłości nie może się obejść bez uzurpacji przeszłości.

W ogólnym odczuciu najistotniejszy referat wygłosił prof. Jaroslav Valenta z Pragi.

Jego wystąpienie, poświęcone ukształtowaniu Centralnej Europy przez Traktat Wersalski 1919 roku, w istocie rzeczy poruszyło centralne zagadnienie aktualnego stosunku Czech i Słowacji. Traktat, politycznie martwy po układzie w Locarno w 1925 roku, określił jednak kontury Europy, utrzymujące się do lat 90-tych, czyli do rozkładu Jugosławii i podziału Czechosłowacji. Wraz z dezintegracją tych państw zniknęły z mapy ponadnarodowe struktury państwowe stworzone przez traktat. Mimo dezintegracji nadal jednak utrzymuje się większość słupów granicznych ustawionych na mocy owego traktatu. Jakież postanowienia Traktatu Wersalskiego okazują się nadzwyczaj żywotne, niewykluczone więc, że dezintegracje naszych dni okażą się przejściowe.

Valenta dowodzi, że istnieje podobieństwo między rozpadaniem się europejskich cesarstw w 1918 roku a obecną dezintegracją. Cesarstwa nie upadły wskutek przegranej, przeciwnie: zostały zdezintegrowane przez odśrodkowe siły wewnętrzne. Obecna dezintegracja też jest wynikiem sił wewnętrznych. Próby ratowania Austro-Węgier poprzez liberalizację były w 1918 roku równie nierealne jak próby zachowania Jugosławii w latach 80-tych i 90-tych. Czy dezintegracja jest jednak najlepszym sposobem rozwiązywania problemów narodowościowych?

Valenta zgłasza wątpliwość. *Dzielenie sprzyja dzieleniu i trudno przewidzieć, gdzie jego kres.* Aczkolwiek prelegent cofnął się przed wskazaniem oczekiwanego kolejnego podziału, nie ulegało wątpliwości, że ma na myśli wielosettysięczną ludność węgierską we Wschodniej Słowacji, którą nawet nie sposób nazywać mniejszością, jako że na owym terenie stanowi większość. Ludność ta, lojalna wobec Czechosłowacji, w której ostatnio miała autonomię kulturalną, nie wiadomo, czy

będzie potulna wobec Słowacji, zwłaszcza że słowackie nowe ustawy językowe z miejsca stworzyły konfliktową sytuację. Co więcej, istnienie węgierskiej mniejszości w Rumunii oraz w Serbii i Chorwacji grozi umiędzynarodowieniem konfliktu, niezależnie od tego, czy tego chce lub nie chce aktualny rząd Węgier i czy tego chce sama mniejszość. (Pomijam problem, co zrobić z Cyganami na Słowacji, wobec którego to problemu najwięksi mądrale rozkładają ręce). W sumie podziały rzeczywiście rodzą tendencję do nowych podziałów, tym razem już kosztem Słowacji. To coś gorszego niż rozdrobnienie. Niepohamowany wzrost aspiracji narodowych przy nieumiejętności czy niechęci zgodnego współżycia rodzi niebezpieczeństwo — stwierdza prelegent — przeniesienia Karbachu w dorzecze Dunaju.

Politycy słowaccy, gdy chcą uspokoić niepokój społeczeństwa, twierdzą, że oddzielenie się spowoduje poprawę stosunków z Czechami. Valenta dowodzi, że oddzielenie to będzie wystawione na drastyczną próbę. W historycznie uwarunkowanej świadomości czeskiej tkwią okoliczności powstawania państwa słowackiego w 1938 roku, a więc dywersja przeciw Czechosłowacji, rozsadzanie jej w okresie zagrożenia bytu państwowego, współpraca z hitlerowskimi Niemcami, udział w zagładzie Żydów. Wszystko to znajduje nowe potwierdzenie i jak gdyby kontynuację. W potocznym odczuciu czeskim może się wytworzyć bardzo nieżyczliwy dla Słowacji syndrom. W podtekście można było znaleźć nie wypowiedziany, ale jednak ugruntowany pogląd, że Czechy o wiele łatwiej dadzą sobie radę we współczesnym świecie niż państwo słowackie.

Referat Valenty nie napotkał na sprzeciw, przeciwnie, był aprobowany przez znaczną część obecnych. Rzecznicy odrębnej państwowości słowackiej chyba nie czuli się na siłach by podjąć rzeczową dyskusję. Podjął polemikę Węgier, Peter Hunčík, ciekawe jednak, że nie poruszył problemów związanych z przyszłością, co pozwala sądzić, że podzielał prognozy i obawy Valenty. Podjął wątki historyczne. Z jego punktu widzenia system wersalski był wysoce niesprawiedliwy, a okres po zakończeniu II wojny światowej do stalinizacji w 1948 roku mniejszość węgierska ocenia bardziej surowo niż Czeši i Słowacy.

Wystąpienie dra Petera Zajaca, dyrektora instytutu literatury słowackiej w Bratysławie, było zatytułowane *Małe narody, wielka Europa*. Również ten referat był owocem gruntow-

nych przemysłów i dobrego opanowania warsztatu. Zajac zbudował referat jako zbiór pozornie ogólnych tez; o ile czegoś nie uroniłem, ani razu nie przywołał słowackich konkre-
tów. Oto kilka najważniejszych tez: *Małe narody są źródłem wielkich problemów. Państwo narodowe nie jest warunkiem ani egzystencji, ani pomyślności narodu. Realizacja zasady narodu-państwa pociąga za sobą niebezpieczeństwo oczyszczania etnicznego. Gdy mniejszym odmawia się praw, których samemu domaga się od większych, to korzystają na tym obce wojska [to na temat nacjonalistycznego szczucia przeciwko węgierskiej mniejszości]. Duże narody mogą zniszczyć małe, małe niszczą tylko siebie. Nacjonalizmy Europy Środkowo-Wschodniej są nieproduktywne. Intelktualiści małych narodów muszą się bronić przed pokusą nacjonalizmu i szukania wrogów zewnętrznych, gdyż ich wróg jest wewnątrz społeczeństwa.*

Zdanie Zajaca, że *potencjał narodu tkwi w twórczości* może wydawać się banałem, ale w istocie zaczepia o drastyczny problem kształtującej się państwowości słowackiej. Jej żywotność, trwałość i siła atrakcyjna w dużej mierze właśnie zależą od odpowiedzi na pytanie, jaki jest słowacki twórczy potencjał. Pod koniec XX wieku mało który naród jest samowystarczalny, ale słowaccy intelektualiści, najbardziej twórcza część społeczeństwa, zdają sobie sprawę, że ich mały kraj zawsze był, a teraz jest szczególnie uzależniony od impulsów rozwojowych.

Izolacjonistyczne tendencje wzbudziły również i mój niepokój. W dyskusji stwierdziłem, że jednym ze źródeł stresu współczesnego człowieka jest obawa przed niedostosowaniem się do postępującej zmienności świata. Dlatego izolacjonizm jest reakcją równie naturalną jak i niefortunną. Czy dążenia do odrębności nie są też przejawem owego zamykania się przed światem, jego nie tylko kulturą, ale i techniką, światem coraz bardziej oddalającym się, coraz mniej zrozumiałym? I czy nie grozi to, że doganianie świata stanie się coraz trudniejsze a może i niemożliwe? Przynależność do wspólnego z Czechami niepodległego państwa — wbrew rozmaitym twierdzeniom — stanowiła dla Słowacji nadzwyczaj silny impuls rozwojowy. Ale właśnie dokonująca się w międzywojennym dwudziestoleciu pod czeskim wpływem zmiana paradygmatów była jednym z głównych źródeł separatyzmu, szczególnie silnego w kręgach konserwatyzmu katolickiego.

Być może ściągnąłbym na siebie gromy obecnych na sali rzeczników niezbyt przeze mnie lubianych ideologii, gdyby nie

zupełnie nieoczekiwany sukces. Dr Vajanska jest żoną wnuka poety słowackiego, szczególnie eksponowanego przez Hlinkę i hlinkowców, Hurbana Svetozára Vajanskiego (1847--1916). W gronie rodzinnym twórczość protoplasty rodu jest, okazuje się, przedmiotem stałej dyskusji. Twórczość ta — stwierdziła p. Vajanska — niechętna postępowi, wielbiąca izolację, ma zakodowany w sobie strach przed światem i jego zmiennością i te właśnie strony twórczości poety pociągały rzeczników słowackiego nacjonalizmu. To ciekawe wystąpienie dowodziło, że trudno zachować nienaruszone rudymenty — wyidealizowanej — przeszłości również i na Słowacji.

Duże zainteresowanie wzbudził referat dra Františka Šebaja, psychologa i słowackiego parlamentarzysty. Referat o *socjalnej patologii przemocy* zajął się dwoma schorzeniami współczesnego świata, walką klasową i nacjonalizmem. Dla określenia swego stanowiska referent posłużył się analogią z dziedziny biologii. Rak i meningitis (bakteryjne zapalenie opon mózgowych) są chorobami o wewnętrznej w zasadzie przyczynowości. Komórki rakowe znajdują się w każdym zdrowym organizmie i z punktu widzenia teorii trudno nieraz określić sytuację graniczną między zdrowym a chorym organizmem. Meningitis jest histeryczną reakcją systemu immunologicznego na zazwyczaj nieszkodliwe bakterie — meningokoki. Ścieranie się interesów różnych warstw społeczeństwa podobnie jak poczucie więzi narodowej i płynących stąd obowiązków są zjawiskami, które wcale nie muszą się wyrażać w komunizm i nacjonalizm. Poczucie przynależności klasowej lub narodowej nie jest zjawiskiem naturalnym, jest zjawiskiem kulturowym. Podobnie ich wynaturzenia. Gdzie przebiega granica między zdrowym procesem a wynaturzeniem?

Dr Šebaj zwraca uwagę na praktyczne chwytły diagnostyczne. Kulturalna, a więc etniczna, klasowa, religijna itd. identyfikacja jest zaszczipiana, umacniana i potęgowana poprzez rytuały i mity. Tędy więc droga do diagnozy.

Symptodem jest — po pierwsze — zintensyfikowane rozpoznawanie obcości. Dziennikarze wypełniają szpalty odmiennością „ich” i negatywnymi cechami tychże w porównaniu z „nami”, a społeczeństwo chętnie tę informację absorbuje. Jako godne szczególnego potępienia są traktowane osoby, należące do własnej wspólnoty kulturowej, ale nie przyjmujące narzucanych im reguł gry, takie osoby są traktowane nawet gorzej niż obcy.

Po drugie — dowodzi Šebaj — zagęszcza się frekwencja obrzędów. Rytuały wielkie uzupełniane są „małymi”, np. karczemnymi. Następuje archaizacja języka. Mnożą się i są szczególnie gloryfikowane symbole graficzne i im podobne, a więc godła, sztandary, hymny itd.

Po trzecie — następuje odświeżenie starych, od dawien dawna uspiionych mitów. Ich banalność i narcyzm przestają razić.

Po czwarte — wzrasta gotowość części ludności do rezygnacji z osobowości na rzecz udziału w tłumie.

Tezy referatu przekazuję w dużym skrócie. Szkoda, bo noszą one konceptualny charakter i sądzę, że warto byłoby przetestować je i na polskim materiale.

Z innych inspirujących referatów należy wymienić prof. Józefa Jablonickiego o legendach w najnowszej historii Słowacji, tudzież dra Karela Bartoška o historycyzmie czeskim.

Kilka słów o dwóch wystąpieniach polityków czeskich. Jiří Dienstbier zagał wystąpienie stwierdzeniem, że wbrew przeświadczeniu o wielkim intelektualnym potencjale dyplomatów, wielką politykę „robi się” jednak tak, jak przysłowiowy mały Moryc sobie wyobraża, przytaczał zresztą przekonujące dowody z własnych doświadczeń. Zdaniem Dienstbiera podział Czechosłowacji może dla świata mieć dotkliwsze nawet konsekwencje niż dezintegracja Jugosławii, pewnych bowiem granic nie można bezkarnie przekroczyć. Zintegrowane struktury nie są zainteresowane przyłączeniem struktur zdezintegrowanych. Stosunki słowacko-węgierskie nie są jeszcze na etapie konfliktu, ale są chłodne. Dienstbier wypowiedział się za rezygnacją z rewolucyjnej euforii na rzecz realizmu politycznego i przeciw reagowaniu na każdy akt, oceniany jako nieprzyjazny.

O ile Dienstbier, mimo pojednawczego tonu, nie krył ostrych kantów, o tyle prezydent Havel starał się traktować dezintegrację Czechosłowacji jako fakt dokonany, dalekowzroczność nakazuje więc na nowo budować zasady współżycia obu narodów. Czy przekonał obradujących? Mam wątpliwości. Havel przyjechał na sympozjum z pogrzebu Dubčeka, który dał słowackiemu premierowi Mečiarowi dodatkową okazję do agresywnej manifestacji przeciw Czechom i Hallowi. Dubček przeszedł do historii jako symbol symbiozy obu narodów, ale na jego pogrzeb Havel nie był zaproszony, do Bratysławy pojechał jako ktoś nieproszony. Ta impertynencja, w zamierzeniu jątrząca stosunki Czech i Słowacji,

rzuciła cień na nasze akademickie dyskusje. No, ale na sympozjum czuł się bardziej u siebie, niż czułby się Mečiar, mimo że sympozjum zebrało się na Słowacji.

Właściwie tylko pani Darina Malova podjęła próbę przedstawienia poglądów „mečiarowskich”. Nie szło jej dobrze. Mówiła o wpływie czynników kulturalnych na rozwój stosunków czesko-słowackich. Operowała prawdziwymi faktami, ale naciągany i jednostronnie zestawionymi. Może referat jednak wzbudziłby dyskusję, gdyby nie odbiegał fatalnie od poziomu innych prelekcji.

Niżej podpisany mówił o dwóch modelach stosunków narodowościowych, polsko-galicyskim w Galicji Wschodniej i szwedzko-fińskim. Chodzi o to, czy pozostawanie mniejszości za granicą kraju musi zawsze być nieszczęściem i czy państwo zawsze, we wszystkich okolicznościach winno dążyć do skupienia całego narodu we własnych granicach. Szwedzi w Finlandii nie tylko są pełnoprawnymi obywatelami, ale w wielkim stopniu przyczynili się do ukształtowania narodu fińskiego i to nie wyrzekając się szwedzkości. Nadal odgrywają dużą rolę w życiu kraju, są również ważnym elementem szwedzkich wpływów w Finlandii. Ograniczę się do stwierdzenia, że model szwedzko-fiński o wiele bardziej przypada mi do gustu niż model stosunków antagonistycznych i pragnąłbym, by się upowszechnił. Zwłaszcza, że jak już wyżej stwierdzono, wszyscy będziemy mniejszością w nadchodzącej Europie.

Prof. Jerzy Tomaszewski mówił o spisach ludności w Czechosłowacji i w Polsce. Temat na pozór przyczynkowy, w istocie dotyczy bolesnego problemu manipulacji i przemocy w określeniu katastrofu narodowościowego.

Europę Wschodnią, albo, jak mówiono na sympozjum, Europę Środkowo-Wschodnią cechuje konflikt między intelektualną elitą a społeczną przeciętnością. Oraz złudzenie tejże elity, że jest wyrazicielem dążeń społeczeństwa. Znamy to choć znać nie chcemy. „Ręce za lud walczące sam lud poobcina”. Rozpiętość między rzeczywistością a złudzeniami jest miarą tragedii najlepszych ludzi w tym regionie.

Józef LEWANDOWSKI

Michał ROGACZOW*

TRANSPORTY PODAŻAŁY DO KOMI

Od lat 30-tych Republika Komi (północno-wschodnia część Europejskiej Rosji) była jednym z najstraszniejszych obszarów w ZSSR.

Ziemia narodu Komi, rzadko zaludniony kraj, w całości była pokryta wysypką łagrów i osiedli zesłańców. Ich koncentracja była tam większa niż na Kołymie.

W 1940 roku do tej prowincji GUŁAG-u trafili także Polacy.

Praca ta jest opowieścią o deportowanych do ASSR Komi Polakach. Obejmuje ona okres od początku 1940 roku do lipca 1941 (tj. do podpisania sowiecko-polskiej umowy, która istotnie wpłynęła na ich losy) i jest oparta na archiwalnych dokumentach, w większości nigdy nie publikowanych.

5 stycznia 1940 roku Przewodniczący Rady Ludowych Komisarzy ASSR Komi S.D. Turyszew otrzymał z NKWD ASSR Komi urzędowe pismo: „Od 29–30 stycznia 1940 roku na stację Muraszi będą przybywać wysiedleni z zachodnich obwodów USSR i BSSR osadnicy, którzy ze stacji Muraszi będą przerzucani do punktów leśnych rejonów: Priłuzskiego, Sysolskiego, Syktywdińskiego, Ust'-Wymskiego, Żeleznodorożnego...!\".

* Autor jest przewodniczącym „Memoriału” w Syktywkarze (Republika Komi).

1. Centralne Archiwum Państwowe Komi SSR — F G 05 — Op. 4 D. 29, Ł. 32.

Wiadomość ta dla szefa rządu autonomicznej republiki nie była zaskoczeniem — jedyną nowością była data przyjazdu Polaków. Już 30 grudnia 1939 otrzymał on wyciąg z Uchwały nr 2122-617 ss (wtedy to oznaczało, że uchwała była ściśle tajna) Rady Komisarzy Ludowych ZSSR „O spec-przesiedleńcach-osadnikach” z podpisem Mołotowa, w którym ZSSR Komi wymieniano wśród rejonów przewidzianego rozmieszczenia deportowanych z zagarniętych przez wojska sowieckie wschodnich ziem Polski. W tym samym dniu co pismo z NKWD, na adres Turyszewa nadszedł list z Rady Komisarzy Ludowych RSFSR, w którym w celu wykonania Uchwały RNK ZSSR z 29 grudnia 1939 zalecono „porozumieć się z zarządem NKWD, by wspólnie przygotować się do przyjęcia przesiedleńców, ustalając: kontyngenty przybywających osadników, miejsca osiedlenia, przygotowanie pomieszczeń, zabezpieczenie transportu do przewozu przesiedleńców i ich dobytku do «spec-osiedli»”².

Dokumenty te świadczą, że deportacje przygotowywano zawczasu i na wcześniejszy termin. (Wiadomo, że pierwsza miała miejsce 8-10 lutego 1940 r.)

Rząd Republiki Komi zareagował szybko. W teren rozesłano pisma, w których polecano miejscowym władzom podjąć niezbędne kroki w celu przyjęcia przesiedleńców (była w nich mowa nie tylko o osadnikach jako o „klasowo obcym elemencie”, lecz i o uciekinierach, w większości Żydach) i zameldować o wykonaniu do 8 stycznia.

Na odwrocie jednego z egzemplarzy tych pism jest notatka, wyszczególniająca, ilu przesiedleńców proponowano przyjmując i do których rejonów kierować. Żeleznodorożny — 900, Sysolski — 1500, Syktywdiński — 1000, Letski — 300, Priłuzski — 500, Ust'-Wymski — 2000³.

Dokument ten wskazuje na cechy sowieckiego systemu zarządzania. Chcąc zabezpieczyć się i podkreślić wierność reżimowi, urzędnik starał się jak najszybciej odpowiedzieć na rozkaz „góry” i złożyć sprawozdanie. Wytyczne, decyzje i sprawozdania stanowiły tylko imitację wszelkiego działania. To, jak je wykonywano było sprawą drugorzędną. Rzecz oczywista, że w ciągu dwóch-trzech dni naprawdę, w celu przyjęcia przesiedleńców nic zrobić nie było można, tym bardziej że przedsiębiorstwa i instytucje były pozbawione jakiegokolwiek sa-

2. Jw. — D. 22 — Ł. 6.

3. Jw. — D. 53 — Ł. 1.

modzielności i w pełni uzależnione od centralnego zaopatrzenia.

Mimo to rejonowe władze w wyznaczonym terminie zameldowały o gotowości. Na przykład, władze Ust'-Wymskiego rejonu zawiadomiły o zarezerwowaniu 14 samochodów, wydaniu poleceń w celu zorganizowania punktów przyjęć przesiedleńców, handlowej i medycznej obsługi, przeprowadzeniu remontów baraków. Jak polecenia te realizowano, zobaczymy.

Dokładna data przybycia transportów z Polakami jest nieznana. Z pewnością można powiedzieć, że stało się to nie wcześniej niż w końcu lutego.

Zgodnie z planem do ASSR Komi należało dowieźć 2.525 rodzin. Według informacji zastępcy Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ASSR Komi Matwiejenki (kwiecień 1940) przybyło 2.191 rodzin (około 10 tysięcy osób)⁴.

Następne transporty z Polakami nadeszły do ASSR Komi po kwietniowej deportacji 1940 r. W pierwszej połowie maja do republiki przybyło około 2.200 rodzin. Dokumentów potwierdzających kierowanie do ASSR Komi deportowanych w czerwcu i lipcu 1940 r. oraz w lipcu 1941 nie znaleziono. Niewykluczone, że niewielkie grupy przybywały także jesienią 1940 roku.

W sierpniu NKWD ASSR Komi przekazał Radzie Komisarzy Ludowych ASSR Komi takie dane: do republiki przybyły 2.233 rodziny osadników (10.303 osoby) i 2.730 rodzin uciekinierów (8.636 osób), łącznie 18.939 osób. W grudniu liczba ta, według danych tego samego resortu, wzrosła do 19.388 osób.

Zdolnych do pracy było 9.987 osób, resztę stanowili starcy i dzieci⁵.

W wymienionym dokumencie NKWD z sierpnia 1940 roku podane są informacje o rozdziale polskich obywateli według rejonów ASSR Komi:

REJONY	OSADNICY		UCIEKINIERZY	
	liczba rodzin/liczba osób		liczba rodzin/liczba osób	
Priłuzski	1.197	5.590	—	—
Sysolski	150	538	797	2.499
Syktywdinski	531	2.631	962	2.955
Kortkieroski	—	—	236	807
Żeleznodorożny	224	975	272	849
Ust'-Wymski	53	236	463	1.525
Letski	68	333	—	—

4. Jw. — D. 28 — Ł. 46

5. Jw. — D. 51 — Ł. 47; D. 53 — Ł. 49; Op. 3-4 3 — Ł. 51.

Wybór rejonów, jak również ASSR Komi, nie był przypadkowy. W deportowanych sowiecki rząd przede wszystkim upatrywał tanią siłę roboczą. ASSR Komi była jednym z głównych dostawców drewna. Obszary wyrębu lasów stale się powiększały. Osiągano to nie mechanizacją pracy, lecz przymusowym wciąganiem do produkcji coraz to nowych i nowych ludzi.

W latach dwudziestych wyrąb lasów opierał się na miejscowych chłopach, którzy pracowali z najmu. Po kolektywizacji kolchoźników zaczęto kierować do lasów przymusowo; każdy kolchoz musiał dostarczyć określoną ilość robotników. Był to pierwszy krok do obniżenia kosztów i poszerzenia frontu robót przez pracę przymusową.

Kraj był rzadko zaludniony. W 1930 roku przybyły tutaj transporty z represjonowanymi w czasie kolektywizacji „rozkułaczonymi” chłopami.

Według danych OGPU w 1932 roku w kraju było ponad 50 tysięcy wysiedlonych, w tym 36 tysięcy specprzesiedleńców (stanowili oni 22% ludności obwodu)⁶. Ludzi tych przywożono do lasu, dawano im siekiery i piły mówiąc: „Mieszkania budujcie sobie sami”. W ten sposób powstały osiedla specprzesiedleńców — robotników leśnych.

„Leśną” specjalizację posiadały także dwa łagry składające się z ponad 60 łagpunktów — Łokczimski (istniał do 1940 roku) i Ust'-Wymski.

Deportowani obywatele polscy stanowili drugi „specwerbunek” do przemysłu leśnego, zrealizowany przez NKWD. Tuż, tuż po nich popłynęła trzecia powojenna fala — deportowani z Litwy (wiosna i lato 1941).

Rejony, w których osiedlono deportowanych, były terenem, gdzie głównie prowadzono wyrąb lasów. Jak wiadomo, deportacje realizowano siłami NKWD. Było ono wszechwładnym gospodarzem nowego speckontyngentu.

20 lutego 1940 NKWD ZSSR zawarło z Ludowym Komisariatem Leśnictwa ZSSR (*Narkomles*) umowę o przekazaniu mu 21 tysięcy rodzin specprzesiedleńców do stałych prac w przemyśle leśnym.

O dzień wcześniej taką samą umowę zawarto z Centralnym Oddziałem Ludowego Komisariatu Komunikacji. Zgodnie z umową GUŁAG pozostawił dla siebie tylko nadzór

6. Szabałowa L.S. Zit, *Cztoby wyżył* (Rodniki parm. — Syktywkar, 1990, s. 120).

porządkowy (w każdym specosiedlu był komendant, a na utrzymanie administracyjnego aparatu GUŁAG-u, dla obsługi specprzesiedleńców z ich zarobków potrącano 10%. Specprzesiedleńców bez zgody NKWD nie można było przenosić do innych miejscowości. Pozostałe kłopoty należały do „strony przyjmującej”.

Ona była zobowiązana do zapewnienia powierzchni życiowej (każdej rodzinie osobny pokój, albo osobne miejsce w baraku) zaopatrzenia w odzież i obuwie, wydzielenia działki przyzagrodowej, stworzenia normalnych warunków pracy itd. Umowy te opierały się na uchwalonym w grudniu 1939 roku dokumencie „Położenie specprzesiedleńców i zabezpieczenie pracy osadnikom, wysiedlonym z zachodnich obwodów USSR i BSSR”, podpisanym przez Ławrentija Berię.

W tej sytuacji rząd Republiki Komi, w której miała miejsce tragedia specprzesiedleńców, pozostawał na uboczu, ponieważ wspomniane resorty nie podlegały mu (namacalny przykład stalinowskiej autonomii).

Uchwała Rady Komisarzy Ludowych ZSSR nr 2122-617 ss z 29 grudnia 1939 roku proponowała mu tylko okazywanie „praktycznej pomocy NKWD i Ministerstwu Leśnictwa ZSSR na odcinku przewozów i rozmieszczenia specprzesiedleńców-osadników”. Rząd ASSR Komi niejednokrotnie podejmował decyzje co do polepszenia warunków życia specprzesiedleńców, lecz większość z nich nie przyniosła (i nie mogła przynieść) oczekiwanych wyników.

Najwięcej deportowanych zagarnęły dla siebie dwa wielkie trusty — „Komiles” i „Wyczegdales”.

W sierpniu 1940 r. w pierwszym z nich były 5.233 osoby (1.445 rodzin) w drugim — 5.285 osób (1.512 rodzin). Z tych, którzy przybyli wiosną 1940 roku, około 2 tysiące rodzin trafiło na wyrąb lasu do przedsiębiorstw podległych Ludowemu Komisarjatu Komunikacji (głównie do Objačzewskiego i Noszulskiego „lestranschowu”)⁷.

Według danych na koniec 1940 roku 988 osób pracowało w syktywarskim tartaku. Reszta — na spławnych odcinkach trustu „Wyczegdalesospław”.

Jednak strona przyjmująca okazała się zupełnie nieprzygotowana do przyjęcia nowej siły roboczej.

7. Centralne Archiwum Państwowe Komi SSR — F. G 05 — Op. 4 — D. 22 — Ł. 86-87; D. 46 — Ł. 116, 138.

Lespromchozom zalecano zbudować nowe domy, dokończyć remontu posiadanych pomieszczeń, zapewnić dowóz żywności i dostosowanej do pracy w lesie odzieży.

Uchwała Rady Komisarzy Ludowych RSFSR nr 523/135 o „Działaniach w celu obsługi specprzesiedleńców-osadników w ASSR Komi” z 6 lipca 1940 r. przewidywała zorganizowanie 15 punktów felczerskich i 2 ośrodków lekarskich, żłobków na 500 łózek, przedszkoli na 390 miejsc, 3 domów dziecka, 15 szkół podstawowych i 9 niepełnośrednich. Z nakreślonych przedsięwzięć prawie niczego nie wykonano. Budownictwa w związku z brakiem środków i robotników nie prowadzono. W ośrodkach prawie nie było lekarzy ani lekarstw.

We wrześniu 1940 r. Ludowy Komisarz Oświaty ASSR Komi meldował, że szkoły są nieprzygotowane, udało się uruchomić tylko 18 szkół, wiele dzieci uczy się w wiejskich szkołach. Uruchomienia niepełnośrednich i średnich szkół nawet nie planowano. Nielepiej przedstawiało się ze żłobkami i przedszkolami.

Część Polaków rozrzucono po wsiach i zakwaterowano w mieszkaniach miejscowej ludności. W porównaniu do pozostałych im się udało: mieli dach nad głową. Miejscowi mieszkańcy na początku podchodzili do obcych z pewną obawą, ale wkrótce zrozumieli, że mimo niezwykłej odzieży i niezrozumiałego języka Polacy niczym nie różnią się od tysięcy nieszczęśliwców, którzy wcześniej przeszli przez wsie Komi, i pomagali im w czym mogli.

Gorzej było tym, którzy trafili do specosiedli, często oddalonych o dziesiątki kilometrów od wiosek. Już w marcu 1940 Komisarzowi Ludowemu Przemysłu Leśnego ZSSR Ancełowiczowi dostarczono informację, że Polacy „ze względu na złą organizację i nieracjonalne wykorzystanie w miejscach pracy, grupami 15–20 osobowymi uciekają na południe do Kirowskiego obwodu i kategorycznie odmawiają powrotu do przedsiębiorstwa «Komles»⁸⁾”.

O ciężkich warunkach życia Polaków specprzesiedleńców najbardziej przekonywająco świadczą suche słowa dokumentów. Oto wyjątki jednego z nich — z tajnej notatki służbowej „O wykorzystaniu w pracy i warunkach kulturalno-materiałnych życia specprzesiedleńców-osadników i uciekinierów”, podpisanej przez zastępcę Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ASSR Komi Simakowa i Naczelnika NKWD

8. Jw. — D. 46 — Ł. 21.

Autonomicznej Republiki Komi Podwalnikowa i skierowanej do sekretarza Obwodowego Komitetu WKP(b) Komi Taranienki oraz do Przewodniczącego Rady Ludowych Komisarzy ASSR Komi Turyszewa (grudzień 1940): „z 19.388 specprzesiedleńców — osadników i uciekinierów przywiezionych w 1940 roku z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi na terytorium ASSR Komi — zdolnych do pracy pozostaje 9.987 osób, z czego wykorzystuje się do prac w przemyśle leśnym i innych zakładach pracy tylko 8.685 osób. Pozostali nie pracują lub pracują dorywczo ze względu na brak ciepłego obuwia i odzieży, niezbędnych do pracy w lesie. W związku z postępującym ochłodzeniem, a także brakiem ciepłej odzieży i obuwia, zdarzają się coraz częstsze przypadki nie wychodzenia specprzesiedleńców do pracy. Na przykład w Sysolskim rejonie spośród 1.284 zdolnych do pracy w październiku nie pracowało 357 osób, w Priłuzskim rejonie nie wychodziły do pracy 152 osoby...

Zaopatrywać w ciepłą odzież i obuwie chociażby zdolnych do pracy specprzesiedleńców-osadników i uciekinierów — trusty nie mogą, ponieważ z winy dostawców w 1940 roku nie otrzymały dużej ilości ciepłej odzieży i obuwia... Specprzesiedleńcy w większości pozostają we wspólnych źle urządzonych barakach, po kilka rodzin w jednym pokoju. Na przykład w Specosiedlu «Korta» Priłuzskiego rejonu, w ośrodku leśnym «Michalewo» w jednym pokoju o pow. 40 m² mieszka 5 rodzin — 26 osób... W leśnych ośrodkach «Nastapijan» i «Pytyrju» Żeleznodorożnego rejonu w jednym baraku gnieździ się po 40–50 osób, gdy ze względu na powierzchnię można tam pomieścić tylko 20 osób. Bieżących remontów w barakach nie przeprowadzono, chłód, nie ma podwójnych okien... W Madiskim leśnym ośrodku Kortkierowskiego rejonu na 800 specprzesiedleńców posiadają zaledwie 784 m² powierzchni, w pomieszczeniach brudno i zimno, znajdujące się w barakach piece z powodu usterek są nieczynne, w oknach nie ma podwójnych ram... W leśnym ośrodku «Bađ'ja» w specosiedlu «Mandacz» Syktywdińskiego rejonu na jednego specprzesiedleńcę przypada 1,5 m² powierzchni, baraki dla robotników z rodzinami są nieprzygotowane, na 20 specprzesiedleńców przypada jedna lampa naftowa. Piece do przyrządzania ciepłych posiłków znajdują się na dworze, z góry są zadaszone, lecz z boków otwarte (jeden piec przypada na 20 rodzin) [...]

Nieco lepiej wygląda sytuacja z zakwaterowaniem specprzesiedleńców w Sysolskim rejonie, gdzie na jednego spec

przesiedleńca średnio przypada 2-3 m².

W związku ze złymi warunkami bytu i słabo zorganizowaną pracą lekarsko-profilaktyczną, w ostatnich czasach zarejestrowano dziesiątki przypadków zachorowań na tyfus brzuszny, świerz, jaglicę i inne zakaźne choroby.

Według stanu na 1.XII.1940 roku w specosiedlach «Noszulska baza» — Priłuzskiego rejonu na tyfus brzuszny chorowały 83 osoby (znajdują się w specbaraku i w szpitalu) [...].

Po linii Ludowego Komisariatu Zdrowia ASSR Komi w celu zlikwidowania epidemii tyfusu brzusznego zwerbowano do pracy pięciu lekarzy i dziesięć osób ze średniego personelu medycznego, którzy przeprowadzają dezynfekcję i zajmują się obowiązkowym szczepieniem przeciwko tyfusowi.

Po linii trustu «Komilesprodtorg» na listopad bieżącego roku w celu zaopatrzenia robotników i urzędników zatrudnionych w przemyśle leśnym, wydzielono z zapasów 900 ton mąki (o 60 ton więcej niż w październiku), 70 ton kaszy (również więcej niż w październiku). Zwiększenie zapasów powinno wpłynąć na polepszenie zaopatrzenia specprzesiedleńców, ale przedsiębiorstwa handlowe słabo rozwijały handel. [...]

W ośrodku leśnym «Nastapijan» w Żeleznodorożnym rejonie specprzesiedlona Hanna Landau targnęła się na własne życie i dokonała samobójstwa. Śledztwo wykazało, że Landau chodziła po barakach i prosiła o jałmużnę, zbierała na przeżycie po 5-10 kopiejek. Pani Landau zalegano z wypłatą zarobków na 445 rubli, a jej mężowi na 344 ruble. Pieniądzy tych nie mogli otrzymać...”.

Szczególnie trudne warunki panowały w leśnych przedsiębiorstwach NKPS — Noszulskim i Objaczewskim — Priłuzskiego rejonu.

Oto cytat z notatki NKWD ASSR Komi, skierowanej do Sekretarza Obwodowego Komitetu WKP(b) Komi Ważnego i przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ASSR Komi Turyszewa (12 marca 1941): „W 1940 roku do pracy w leśnych obiektach Priłuzskiego rejonu dostarczono specprzesiedleńców. Rozmieszczono ich w słabo przystosowanych do życia warunkach (baraki zbudowane w latach 1933-34, przeprowadzono niewielki remont). Mimo konkretnej decyzji Rady Najwyższej ASSR Komi, w roku poprzednim na tym odcinku nie było poprawy; specprzesiedleńcy nadal mieszkają stłoczeni po 4-5 rodzin w jednym pokoju. [...]

Przed zimą 1941 roku nie remontowano pomieszczeń, wszystkie baraki pozostawiono z pojedynczymi ramami, szyby w oknach powybijane, pomieszczenia zimne, ludzie masowo chorują na zapalenie płuc; dużemu zageszczeniu i anty-sanitarnemu stanowi baraków sprzyja brak komór do przechowywania rzeczy. Wszystko przechowywuje się w pokojach z łózkami. Nie ma suszarek do suszenia walonek i odzieży, suszenie odbywa się w pokojach. Stąd zawsze w nich zatęchłe powietrze i brud. Stoły, taborety, ławki, szafy w bardzo małych ilościach. Na przykład w ośrodku Jakszołdin w baraku nr 4 na 15 rodzin są tylko dwa zbite z desek stoły. W tym samym baraku szyby są powybijane, panuje chłód, na podłodze zamarza woda.

70 % zdolnych do pracy specprzesiedleńców posiadało obuwie, a wataną odzież zaledwie 50 %, niezdolni do pracy członkowie rodzin są w jeszcze gorszych warunkach. Niektórzy specprzesiedleńcy chodzą do pracy w kurtkach i porwanych bucikach, w związku z czym w styczniu w jednym tylko osiedlu «Staraja-baza» było 20 osób z odmrożeniem, a w ogóle zanotowano 90 tego rodzaju przypadków...”

Jeśli dodamy do tego zwyczaj niewypłacania zarobków, brak żywności (na jednego pracującego wydawano 1 kg chleba, a na niepracującego — 300–500 gramów), prawie całkowity brak lekarzy i lekarstw, obraz stanie się mniej więcej pełny¹⁰.

Sytuacja była na tyle ciężka, że myślano o wycofaniu ludzi z leśnych przedsiębiorstw. Pomysły te wywoływały oburzenie miejscowego „naczalstwa”: robotników przekazywano NKWD i nikt nie ma prawa ich zabrać, wszak nie będzie komu pracować. I trzeba było tych ludzi zostawić, chociaż dla ulżenia ich doli niczego nie zrobiono.

Obraz będzie niepełny, jeśli pominiemy jeszcze jedną okoliczność. Większość „naczalstwa” leśnych przedsiębiorstw narzekała, że Polacy źle pracują, mało kto wypełnia normy. To zaś poważnie obniżało i bez tego niskie zarobki. Ale inaczej być nie mogło. Jak można było oczekiwać od przemocą przywiezionych ludzi, obywateli innego kraju, świadomego stosunku do pracy dla dobra obcego im „socjalistycznego społeczeństwa”? Czego można wymagać od ludzi, którzy nigdy nie pracowali w lesie, nie byli przystosowani do klimatu północy, półgłodnych, półgłodnych, żyjących w warunkach bardzo dalekich od normalnych?

10. Jw. — D. 68 — Ł. 99–103.

By na pytania te dać obiektywną odpowiedź, należało się zgodzić z nieefektywnością i niehumanitarnością sowieckiego systemu pracy przymusowej. Dlatego tłumaczenie było proste, sprawdzone — powodem tego wszystkiego jest burżuazyjna nieświadomość, a w szczególnych przypadkach oczywisty sabotaż wrogów władzy sowieckiej. Stąd wykrywanie „spisków” i aresztowania.

„Troska” o specprzesiedleńców szybko wydała owoce. Już w pierwszych tygodniach Ludowy Komisariat Ochrony Zdrowia ASSR Komi zaczął przekazywać rządowi alarmujące meldunki o ostrym wzroście ilości epidemicznych zachorowań i śmiertelności. W 1940 roku w republice było 149 przypadków zachorowań na tyfus plamisty, z czego 44 przypadły na osoby „z nowych kontyngentów”.

O wiele wyższa była zachorowalność na tyfus brzuszny — na 325 przypadków 233 przypadły (71%) na „kontyngenty przybyłe w 1940 roku”. Przeziębienia, biegunki, awitaminoza szerzyły się we wszystkich ośrodkach. W kwietniu 1941 komisja zawiadomiła, że w ośrodku leśnym Łopjy „chorują wszyscy bez wyjątku”. W maju tegoż roku dwa razy zwiększyła się liczba chorych w Kriażsku w związku z wybuchem dyzenterii i zapaleniem jelit. Komisja nadmieniała: „zachorowanie ma charakter awitaminozy w związku z niedożywieniem”¹¹.

To tylko kilka przykładów. I zgodny z naturą rzeczy finał — na ziemi Komi rośnie liczba polskich mogił. W czerwcu 1942 roku delegat polskiej ambasady Winiarczyk informował rząd republiki ASSR Komi, że tylko w Syktyw-karskim tartaku z 988 osób, które przybyły w lutym 1940 roku zmarły 133 osoby (13%) „Znane nam są nazwiska 27 osób, które zmarły z głodu” — podkreśla Winiarczyk.

Informację sprawdzała grupa kontrolna Rady Komisarzy Ludowych ASSR Komi. W meldunku z 11 lipca 1942 określono, że w 1941 roku i pierwszej połowie 1942 roku w osiedlu tartacznym zmarło 37 Polaków. Wygląda więc na to, że w niepełnym 1940 roku zmarło 96 polskich obywateli. W okresie od stycznia do maja 1941 w specosiedlach urodziło się 170, a zmarło 518 osób. W informacji nie wyszczególniono narodowości zmarłych, lecz śmiało można powiedzieć, że zdecydowaną większość stanowili obywatele polscy. „Starczy” zesłańcy byli zameldowani w robotniczych osiedlach, gdzie sytuacja była pomyślniejsza.

11. Jw. — D. 67 — Ł. 16, 95, 193.

W liczbie zmarłych — 75 dzieci w wieku do 1 roku. Najbardziej przerażające jest to, że śmierć zabiera dzieci w pierwszej kolejności. Oto wykaz zmarłych w osiedlu Kozjel w maju 1941 roku: 24 osoby, w tym 17 dzieci (do 15 lat). Diagnoza: u Anny Wintrow (14 lat) — gruźlica płuc, u Jana Kasprzyka (5 lat) — wada serca, u Henryka Basowskiego (6 lat) — krwawy krwotok, u Kazimierza Króla (10 lat) — krwawa biegunka, u Zofii Storn (10 lat) — silne wycieńczenie, u Tadeusza Ryga (6 lat) — ogólne wycieńczenie i zapalenie kiszek, itd...¹².

Do tej pory brak dokumentów, które pozwoliłyby dokładnie określić liczbę polskich obywateli, którzy na zawsze pozostali w ziemi Komi. W 1944 roku, gdy zdecydowano o przesiedleniu Polaków do południowych republik ZSSR, dokonano spisu polskich obywateli.

W uchwale odbytego w niepełnym składzie posiedzenia Rady Komisarzy Ludowych ASSR Komi z 6 maja 1944 roku „O działaniach w zakresie przesiedlenia byłych polskich obywateli z ASSR Komi do południowych republik kraju” wymienia się tę liczbę: 7.553 osoby, w tym 84 inwalidów i 411 dzieci z domów dziecka¹³. W ten sposób w ciągu czterech lat liczba polskich obywateli zmniejszyła się prawie o 12 tysięcy osób (nie licząc więźniów). Nie wiemy, ile z tej liczby wstąpiło do armii. Liczba powołanych do wojska powinna być niewielka — wśród deportowanych (w odróżnieniu od więźniów) młodych mężczyzn było stosunkowo niewielu.

Najcięższym okresem dla deportowanych polskich obywateli był okres 1940 i pierwszej połowy 1941 roku. Zniszczone gospodarstwa, długa droga w przepelnionych wagonach, surowy północny kraj, ciężka, nigdy nie wykonywana praca, głód i chłód, śmierć bliskich — wszystko to przeżyli niewinni ludzie. Licznym udało się dostać do miasta, gdzie życie było lżejsze, zaczęła docierać pomoc żywnościowa, paczki z odzieżą, lecz to już temat innej pracy.

Michail ROGACZOW

Tłumaczył Henryk Sobolewski

12. Jw. — D. 67 — Ł. 126; D. 68 — Ł. 128; D. 91 — Ł. 85.

13. Jw. — D. 156 — Ł. 23.

WSPOMNIENIA

Zygmunt CHMIELEWSKI

SANGORODOK *

WSTĘP

Szperając wśród dokumentów, książek i różnych papierów zalegających gabinet mojego brata, śp. Stanisława, odnalazłem plik pożółkłych już kartek maszynopisu odnoszącego się do naszej chybionej wyprawy na Węgry w grudniu 1939 roku. Z lektury wynikało, że sporządzony był on już po wojnie, w Londynie, na podstawie notatek robionych w Iraku.

Doszedłem do wniosku, że powinienem, póki czas, pójść w jego ślady, aby nie zaginął ślad moich przygód i doświadczeń, często ciekawych i różnych od tych, które były jego udziałem, a to z następujących powodów: los sprawił, że moje przygody były nie tylko ciekawe, ale także pouczające, będąc źródłem nieprzewidzianych moralnych satysfakcji; i to przez dłuższy okres mego pobytu w GUŁAG-u, w okolicach Workuty, niedługo po naszej pierwszej separacji, mimo że zanosiło się na to, że będzie to kres mojej doczesnej wędrówki.

Dostałem się, na przekór złej wróżbie, do swoistej, przez Solżenicyna tak zwanej, „szaraszki”. W praktyce do szpitala przeznaczonego do rozbudowy, i z tego powodu gorączkowo poszukującego personelu możliwie cywilizowanego.

* Fragment wspomnień.

Przy okazji dane mi było stwierdzić, że nawet w piekle GUŁAG-u można natknąć się na anioły, które w moim wypadku zmaterializowały się pod postacią altruistycznie nastroszonej rosyjskiej komsomołki, dzięki której już prawie dogorywający „zek”, to jest niżej podpisany, i jeden z jego towarzyszy niedoli, ukraiński kmiotek, Brelis, zamiast na śmietniku wylądowali w prymitywnym z początku lazarecie, szumnie tam zwanym „Sangorodkiem”. Brata mego w tym okresie już od pewnego czasu straciłem z oczu, i to na dłuższy czas, bo aż do tak zwanej „amnestii”. Spotkalismy się — ku naszej nieopisanej radości — na „barży” wiozącej ku wolności niedobitków gromady budowniczych kolei Kotłas-Workuta, zapędzonych tam przed rokiem, którym udało się przeczimować.



W szpitalu zaraz po przybyciu zaprowadzono nas do łaźni, odbierając nam naszą odzież którą oddano do solidnej, tym razem, dezynfekcji. Potem w samej bieliźnie, z kocem narzuconym na głowę, pomaszerowaliśmy, Brelis i ja, wzdłuż drewnianego chodnika, będącego swego rodzaju pomostem wzniesionym ponad poziom otaczającego gruntu, do 4-go oddziału chorób wewnętrznych, oddalonego o jakieś 150 metrów od łaźni. 4-ty oddział okazał się dużą ziemianką niewiele różniącą się od baraków 2-go łagpunktu. Tam odebrano nam koce i oddano naszą odzież i buty. Było to konieczne ze względu na fakt, że na legowiskach nam przeznaczonych nie było sienników, prześcieradeł ani koców. O poduszkach też, naturalnie, nie było mowy. Zastępowały je buty, a watowany buszlat zastępował materac i koc.

Nas to wcale nie przejęło, bo już dawno zdołaliśmy się odzwyczaić od takich luksusów. Ważny był fakt że można było, po raczej pobieżnym zbadaniu przez dyżurnego lekarza, dość sympatycznego starszego pana, który okazał się Rosjaninem polskiego pochodzenia, doktora Wiszniewskiego, wykonać jego polecenie: *łóżys i oddychaj*. I rzeczywiście można było spać cały dzień, budząc się tylko na przyjmowanie posiłków, istic lukullusowych, bo dostawaliśmy każdego dnia 20 gramów masła i tyleż samo cukru, oraz na deser nieco kwaszonej kapusty i kielkujący groszek lub kawałek cebuli, a w zupie pływały prawdziwe kawałeczki mięsa. Innym specyfikiem przeciwskorbutowym był kwas chleбny pomieszany z

chwoją czyli z wywarem z igieł sosnowych. Napój ten znajdował się, do dyspozycji spragnionych, w dużej beczce stojącej w przedsionku baraku, tuż obok drzwi wejściowych, których otwarcie powodowało tworzenie się kłębow gęstej pary w pobliżu podłogi zrobionej z grubo obciosanych toporem trzonów brzoźowych, pełzających w kierunku rozżarzonego pieca ustawionego w centrum lokalu.

Po kilku dniach prawie bezustannej drzemki, przerywanej tylko posiłkami i przyjmowaniem jakichś proszków i pigułek przepisanych mi przez doktora Wiszniewskiego, zacząłem się orientować w nowej sytuacji. I z przyjemnością stwierdziłem że administracja tego oddziału znajdowała się w rękach Polaków, których nie brakowało też wśród 90-ciu pacjentów, ani wśród funkcyjnych jak sanitariusze i posługacze. O zaopatrzenie naszego oddziału troszczył się sprytny i energiczny pan Judycki, rodem z Wileńszczyzny, a sanitariuszami byli Gardo i Daszkiewicz, obaj z Małopolski wschodniej, obaj bardzo uczynni i chętnie pomagający rodakom.

Opieką sanitarną wyższego rzędu zajmowały się dwie zawodowe pielęgniarki z kategorii zeków, Marusia (w łagrze jako „Seweję” = *Socjalno-wrednyj-element*, za zbyt lekkie prowadzenie się na wolności), przyjaciółka doktora Wiszniewskiego i Anna Fiedotowna, ongiś nauczycielka gimnazjalna rodem z Charkowa, odsiadująca 10-cioletni wyrok z groźnego paragrafu 58.10 (agitacja przeciwsowiecka), ponoć zadenuncjowana przez męża, który chciał jej się pozbyć na rzecz znacznie od niej młodszej kochanki, oraz Marusia „wolna”, na pracy kontraktowej zwerbowana jako ochotniczka komсомółka. Obserwując życie oddziału z wyżyn mojej górnej pryczy, poznałem także Wasiliewa, neurastenicznego złodziejzka zajmującego się rozdziałem żywności przynoszonej z kuchni szpitalnej przez grupę pomocników złożoną z ozdrowieńców, i Kozłowa, sprytnego i dość inteligentnego ex-funkcjonariusza jakiegoś sporego kołchozu, siedzącego za jakieś nadużycia, a tu pełniącego funkcje czegoś w rodzaju ochmistrza, na równi ze Staszkiem Judyckim. Ja tymczasem przychodziłem szybko do siebie. Potrzeba mi było przecież tylko nieco wypoczynku i trochę treściwszego jedzenia. Widząc że inni starali się być użyteczni administracji, zdecydowałem się pójść w ich ślady, bo zdawałem sobie dobrze sprawę że przedłużenie pobytu w szpitalu to gra warta świeczki, oraz że wpisanie do tak zwanej *Słabkomandy* czyli do oddziału rekonwalescentów oznaczało rychły powrót do ki-

lofa i łopaty na trasie budującej się bez ustanku kolei.

Wykorzystując fakt, że w tym okresie Polak był uważany w łagrze za stworzenie nieco egzotyczne, a w każdym razie zdolne zaspokoić, w pewnym stopniu, ciekawość sowieckich ludzi w stosunku do świata zewnętrznego, zrozumiałą gdyż byli oni od tego ostatniego hermetycznie odizolowani, zacząłem, nie bez porady Judyckiego, „urabiać” nasze *lekpomsze*, a specjalnie obie Marusie. Przy okazji pomagałem im przy rozdawaniu lekarstw i przy pielęgnowaniu ciężiej chorych, których doprawdy nie brakowało.

Wzmogłem te wysiłki jak tylko doszła do moich uszu pogłoska, że szpital ma być, ponoć, rozbudowany, aby dorosnąć do godności głównego *Sangorodka* całego rejonu położonego na północ od Abezu.

W międzyczasie sytuacja była niewesoła, a nawet można powiedzieć wprost krytyczna. Z tego samego powodu który zmusił nas do maszerowania wzdłuż Usy, a mianowicie niskiego poziomu wody w nurcie rzeki, nie dotarły do Abezu, przed nastaniem mrozów, barki z zaopatrzeniem. Wyladowano więc je w miejscowości Ust-Usa i postanowiono czekać aż lód na rzece osiągnie grubość dostateczną do uniesienia załadowanych samochodów ciężarowych. Żadnych dróg bitych przecież w tych stronach nie było (i być nie mogło ze względu na naturę terenu) i jedyną arterią komunikacyjną była rzeka, tak w lecie jak i podczas długiej polarnej zimy.

Zaczęło więc brakować nie tylko lekarstw, opatrunków itp., ale także nafty do oświetlania lokali, i w końcu nawet żywności. Na łagpunktach nie wypiekano już chleba, bo mąkę używano do preparowania rozwodnionych zupek i, ponoć, nikt już nie wychodził do pracy na budującej się linii kolejowej, a ci co jeszcze się trzymali jako tako na nogach zajmowali się wyłącznie przynoszeniem drzewa na opał.

Pewną pociechą był fakt, że po komisji lekarskiej zmienił się personel administracji sanitarnej. Byłego naczelnika *Sanczasti* i jego kochankę Kozłową ponoć aresztowano i wlepiono im 10 lat za sabotaż. Dla ogółu łagrowiczów była to satysfakcja raczej platoniczna, bo nowe *naczelstwo* okazało się, jak tego należało się spodziewać, niewiele lepsze od poprzedniego!

W *Sangorodku* nie było w każdym razie jeszcze najgorzej. Ale nafty do lamp już brakowało i wnętrza budynków były oświetlone jedynie przez odbłask ognia widoczny przez półotwarte drzwiczki pieców.

Ponieważ zbliżał się okres w którym słońce przez kilka

tygodni w ogóle nie wschodziło, prawie przez 24 godziny na dobę było ciemno „choć oko wykol”. Posiłki oraz lekarstwa musiały być rozdawane przy mdłym świetle improwizowanych łuczów z płonących drzazg odłupywanych z sosnowych pniaków służących jako opał. Również pielęgnacja chorych, wśród których przeważali ludzie cierpiący na biegunki na tle awitaminozy, musiała się odbywać w takich warunkach. Nic więc dziwnego że często o zgonach pacjentów dowiadywano się dopiero podczas rozdawania posiłków. A umierało w naszym 4-tym oddziale wewnętrznym od 6-ciu do 8-miu pacjentów na dobę!

Ja w tym okresie uniknąłem wypisania do *Słabkomandy* dzięki wstawiennictwu Marusi (tej od „Sewej”), która miała wpływ na decyzje doktora Wiszniewskiego. Zacząłem nosić śnieżnobiały chałat przysługujący lekarzom, asystować przy obchodzie lekarskim i przy badaniach w klitce która służyła jako gabinet lekarski i jako apteczka oddziału, oraz uczyć się sztuki robienia zastrzyków oraz stawiania baniek na grubej skórze rosyjskich kmiotów.

Do dziś nie wiem co skłoniło Marusię do wstawienia się za mną u doktora Wiszniewskiego, zresztą bardzo poczciwego człowieka, który narażał się na pewne ryzyko przetrzymując w szpitalu pacjenta już zdolnego do trzymania się jako tako na nogach i przeto do wychodzenia na *obszce* roboty. Tym bardziej że u schyłku roku 40-tego o siły roboty na naszym północnym odcinku *Siew-Żel-Dor-Łagu* było dość trudno, z wyżej wymienionych przyczyn. Faktem było że Marusia walczyła jak lwica o pozostawienie mnie w szpitalu, mimo iż nasze przyjacielskie stosunki były czysto platońskie. Ja ograniczałem się do opowiadania o moim życiu w Polsce i w krajach które poznałem przed dostaniem się do sowieckiego raju. To ją bardzo interesowało i fascynowało, tym bardziej że moje relacje idealizowały, siłą rzeczy, moje przedwojenne doświadczenia. Ona często mówiła, gdy byliśmy sami, że mnie musi być znacznie trudniej pogodzić się z moim obecnym losem niż przeciętnemu człowiekowi sowieckiemu. Jakie by nie były pobudki które ją skłoniły do takiego postępowania, nauczyła mnie szanować także kobiety jej pokroju, bo okazała się lepsza od wielu „porządných” egoistek!

Pozycja moja w szpitalu stała się wkrótce oficjalna, gdy komendantka szpitala, kapitan NKWD, pani Jelena Nikołajewa Surina, była pielęgniarka, a obecnie lekarz z „awansu

społecznego”, powierzyła mi termometr, jedyny na cały oddział goszczący ok. 90-ciu chorych, zalecając mi chronić go jak żrenicy oka. Nie było to zadaniem łatwym, bo temperaturę trzeba było mierzyć wszystkim chorym, tym na dolnych i tym na górnych pryczach, często półprzytomnym, dwa razy dziennie, przy braku światła!

Zadanie to udało mi się spełnić przez dłuższy czas. Aż któregoś dnia, wstawiwszy termometr pod pachę gruźlika, niejakiego Siemionowa, złośliwego i zdegenerowanego karła, wdałem się nieopatrznie w pogawędkę z jego sąsiadami. Termometr znalazłem, stłuczony, pod pryczą, tam naumyślnie rzucony przez Siemionowa, aby mi zaszkodzić.

Nie mogłem sobie darować tej nieuwagi, tym bardziej że przecież wiedziałem co to za „ziółko” ten Siemionow. Zanościło się na koniec mojej kariery *lekpoma*! Byłem szalenie zdenerwowany i miałem ochotę udusić tego bydlaka. Na całe szczęście jeden z pacjentów podał mi świeżo skręconego papierosa, który zacząłem łapczywie palić, mimo iż nie paliłem od chyba przeszło roku. To mnie nieco uspokoiło i pozwoliło zdecydować się na lojalne powiadomienie naszej komendantki o tym co mi się przydarzyło.

I, o dziwo, zamiast nagany czekała mnie miła niespodzianka. Bo ta rozumna i do więźniów bynajmniej nie wrogo nastawiona niewiasta, zamiast przynajmniej mnie surowo zganić za niedbalstwo, okazała się nie tylko wyrozumiała, ale wręczyła mi aż cztery nowe termometry dopiero co przez nią otrzymane z transportem zaopatrzeniowym, który nareszcie zdołał dobrać do Abezu.

Dostałem je oficjalnie pod opiekę wraz z nominacją na *lekpoma*-ucznia, bo przy okazji zapowiedziała zorganizowanie kursu, na który opócz mnie miało uczęszczać kilku innych Polaków oraz polskich Żydów, już zajmujących to stanowisko, lub przez nią wytypowanych w tymże celu. Znaczyło to że pogłoska o rozbudowie szpitala była prawdziwa. Polacy i Europejczycy w ogólności mieli pierwszeństwo, bo znali alfabet łaciński. Było to ważne, bo przynajmniej w tym okresie recepty i nazwy lekarstw były pisane po łacinie! Co dla przeciętnych Rosjan stanowiło poważną przeszkodę w tej karierze.

No i rozpoczął się dla nas autentyczny „wiek złoty”. Pracowaliśmy dyżurując w oddziale po 12 godzin na dobę, przez tydzień w dzień i przez następny w nocy. Nie było to mało, bo będąc odpowiedzialnym za 90-ciu chorych, roboty

nie brakowało. Ale było to na pewno lepsze od pracy na mrozie przy budowie trasy kolei, lub przy wyrębie lasu. I dawało poza tym sporą satysfakcję moralną, oraz pomnażało prestiż wśród współwięźniów, a nawet wśród wolnych, włącznie ze strażą i jej naczałstwem.

Zrobił się nagle wyszukanie uprzejmy na ogół chamo-waty Wasiliew, a Kozłow zaczął mnie traktować jako co najmniej równego sobie. Nierzadko też *strielok* przeprowadzający wieczorną *prowierkę* czyli liczenie stanu obecnych grze-cznie prosił o jakieś proszki na ból głowy czy zębów, lub o lekarstwo na kaszel albo o opatrunek.

Miałem też przy sobie klucz od oddziałowej apteczki, w której przechowywane były cenniejsze przybory i lekarstwa, takie jak na przykład *pulvis doveri* zawierający 33 % opium, lub *codeina*, specyfik na kaszel zawierający pewną dozę kokainy.

Było z tym sporo kłopotu, bo wiedzieli o tym *urkowie*, wśród których panoszyła się moda narkomanii. Toteż zdarzało się nie raz wieczorem, że po *prowierce* wślizgiwał się do naszej dyżurki, znajdującej się przy końcu baraku położonego po stronie przeciwległej wejściu, jeden z tych panów szepcząc przymilnie: „*Lekpom bud' drugom! A to u mienia nerwi rozszatalis i nikak zasnut' nie uspiewu. Daj to cztoni-bud*”. Ponieważ odmówić czegokolwiek tym panom było niebezpiecznie, wypracowałem system którego zastosowanie powodowało że „wilk był syty i koza cała”. Przede wszystkim prosiłem delikwenta aby niezwłocznie powrócił do swego legowiska, dając mu do zrozumienia że jest to konieczne dla zachowania niezbędnej dyskrecji. Potem przygotowywałem mieszankę różnych nieszkodliwych proszków, nie szczędząc bikarbonatu i gorzkawej soli angielskiej, aby dawka smakiem przypominała kokainę. I po jakimś kwadransie niosłem to petentowi z kubkiem wody, ponagłając go aby zażył to możliwie szybko, udając zaniepokojenie z powodu możliwości nalotu dyżurnego lekarza, lub jakiejś innej władzy. Skutek był gwarantowany. Następnego ranka otrzymywałem gorące podziękowania od *urka*, wraz z zapewnieniem, że spał *oczeń haraszo* i wyrazami dozgonnej wdzięczności. Była to pogładowa lekcja o potędze sugestii i znaczeniu terapeutycznym tak zwanych *placebo*, to jest preparatów nieszkodliwych udających prawdziwe. *Urka* nie wiedział z jakiego powodu powinien być mi wdzięczny. Nie był przecież wcale narkomanem tylko zwyczajnym głupcem, który dzięki mnie uniknął kon-

taktu z prawdziwymi narkotykami. A ja nie potrzebowałem sobie suszyć głowy o to jak wyliczyć się z ilości leków za jakie byłem odpowiedzialny, posiadając klucz do apteczki.

Wkrótce po pasowaniu mnie na *lekpoma* musiałem rozwiązać poważny problem natury autentycznie moralnej. Otóż któregoś wieczora podszedł do mnie, z tajemniczą miną, sanitariusz — Polak Gardo, i wskazując mi jedną z prycz dolnej kondygnacji, na której właśnie położono świeżo przybyłego, ciężko chorego na biegunkę typu szkorbutowego, zapytał mnie czy poznaję tego pacjenta.

Zaprzeczyłem, bo rzeczywiście nie zdawało mi się żebym go kiedyś widział. Zresztą w tym jeszcze jakimś cudem żyjącym szkielecie nawet rodzona matka nie poznałaby własnego syna! „Ależ to jest Ziabrew! Jeden z tych którzy zatłukli kijami naszego sympatycznego poznaniaka, profesora geografii, podczas marszu wzdłuż Usy, gdy nie był w stanie iść, z wyczerpania!”, wyjaśnił Gardo.

Przyjrzawszy mu się lepiej, stwierdziłem że to był rzeczywiście *urka* o którym mówił Gardo. „My go teraz wykończymy sk...syna”, pinił się. Muszę przyznać, że i mnie kusiała idea porachunku z draniem. Na szczęście w porę przypomniałem sobie, że do moich obowiązków należy walka ze śmiercią, a nie jej zadawanie. Odmówiłem przeto kategorycznie pomocy w realizacji zemsty na ciężko chorym bandycie.

Gardo, rozczarowany moim podejściem do tej sprawy, uparcie starał się działać na własną rękę. Przynosił mu po kryjomu kubki pełne lodowatej wody z kwasem, bo Ziabrewa dręczyło pragnienie spowodowane utratą płynów z organizmu. Robił to, bo wtedy picie zimnych napojów uważane było za gwarantowany bilet na tamten świat i dlatego surowo zabronione przez lekarzy. Ja, nie będąc wszechobecnym, nie mogłem zapobiec tej „szczodroblewości” Gardy wobec Ziabrewa.

Ten ostatni widać miał końskie zdrowie, bo lodowate napitki, zamiast wyprawić go na tamten świat, wywarły na nim efekt kroplówki, wskazanej przy jego dolegliwościach, której nie mogliśmy mu aplikować ze względu na brak odpowiednich przyrządów i roztworu fizjologicznego. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu zaczął szybko przychodzić do siebie, i po kilku tygodniach miałem w nim jednego z najgorliwszych i najusłużniejszych pomocników. Nie żałowałem po-

tem nigdy tego zaniechania samosądu nad tym młodym (miał 19 lat) dzikusiem, który zostawszy sierotą jako małe dziecko rósł wśród band rówieśników, tak zwanych *bezpri-zornych*, zajmujących się rozbojem i kradzieżą, będących ofiarami „Wielkiej Październikowej Rewolucji” i jej prowodyrów. W gruncie rzeczy nie był odpowiedzialny za własne czyny.

Z przyjemnością stwierdziłem że i Gardo zaczął podzielać moje zdanie i trochę się wstydził swojej początkowej zawziętości.

Stanowisko *lekpoma* dało mi prawo do przeprowadzenia się z oddziału do *obszczeżytia* moich kolegów po fachu, mieszczącego się w nowym, zupełnie przyzwoitym, drewnianym domku położonym w pobliżu olbrzymiego namiotu zamieszkałego przez należących do *Słabkomandy*, czyli rekonwalescentów. Było tam przestronnie i czysto, do tego stopnia że brakowało nawet wszechobecnych pluskiew! Spało się wprawdzie na dwupiętrowych pryczach, ale za to na siennikach pokrytych czystymi prześcieradłami, zmienianymi co tydzień, przykryci prześcieradłami i kocami, mając pod głowę poduszki. Obok sypialni znajdował się niewielki lokalik służący nam za umywalnię wyposażoną w miednice i dzbanki z zimną i ciepłą (*sic*) wodą, oraz toaletowe sowieckie mydło, pachnące landrynkami. O dostawę wody i sprzątanie dbał *dniewalny*, to jest coś w rodzaju ordynansa, starszawy więzień, do którego obowiązków należało także przynoszenie nam posiłków z kuchni.

Jeśli chodzi o te ostatnie, to muszę stwierdzić że były one całkiem „nieregulaminowe”, dzięki dobrym stosunkom które utrzymywaliśmy z szefem kuchni. Był nim Koreańczyk Wasilij Nikołajewicz Nigai, w łagrze z paragrafu „KaWe-ŻeDe (*Kitajsko-WostocznaJa-Żeleznaja-Doroga*) na podstawie którego wsadzono do łagrów wszystkich byłych pracowników tej linii kolejowej prowadzącej do Mandżurii. Nigai lubił w dni przeznaczone na wypoczynek zażyć trochę narkotyku, i w tym celu przedtem składał wizytę w różnych oddziałach szpitala aby zaopatrzyć się w *pulvis doveri* o którym wiedział że zawiera 33 % opium. Spędzał potem dzień wolny od pracy leżąc błogo wyciągnięty na swojej „kojce”, delektując się dymem z fajeczki, zachowanej podczas rewizji czy też „wykombinowanej” już potem w łagrze, naładowanej tytoniem zaprawionym *pulvis doveri*.

Nasze menu było, z tego powodu, znacznie lepsze od

tego które teoretycznie by się nam należało. Dość powiedzieć, że rano dostawaliśmy po kubku mleka pochodzącego od krów z obory szpitalnej znajdującej się poza zoną.

Przed awitaminozą broniliśmy się łykając garściami witaminy nam przydzielane „na lewo” przez szefa szpitalnej apteki, byłego właściciela ziemskiego, Rosjanina rodem z Kijowszczyzny, zacieklego wroga bolszewików, i z tego powodu solidaryzującego się z nami cudzoziemcami. Miał do nas ślepe zaufanie którego, na szczęście, nikt z nas nie zawiódł.

Od niego pochodził także tran którym krasiliśmy „sałatki” przeciwskorbutowe składające się z kwaszonej kapusty i kielkującego grochu lub fasoli. Tran chronił nas przed pelagrą i przed „kurzą ślepotą”. Surówki natomiast przed skorbutem. A że „sałatki” smakowały nam znakomicie, mimo iż w normalnych warunkach przyprawiłyby nas o mdłości, znaczyło nie tylko że staliśmy się mało wybredni, ale także że były nam potrzebne.

Doskonale pamiętam dzień kiedy pracując jeszcze na trasie kolei znalazłem parę surowych, na wpół zmarzniętych, kartofli, właśnie w pobliżu szpitala, które wypadły z wozu wiozącego je do magazynu. Podniosłem je natychmiast, i oczyściwszy je z grubsza z ziemi, natychmiast zjadłem. Smakowały mi znakomicie, jak najbardziej wyszukane południowe owoce! Był to skutek chronicznego braku surówek w naszym pożywieniu.

Kobiety *lekpomsze*, więźniarki, miały swoje osobne *obszczeżytie*, do którego dostęp był dla nas raczej utrudniony, bo były one „zwierzyną” zarezerwowaną dla lekarzy-więźniów. To nas specjalnie nie martwiło, bo po naszych niedawnych przejściach mieliśmy większe zmartwienia niż interesowanie się na ogół starszymi paniami. A *lekpomsze* młode: Nina, Gala, Wala i Marusia duża, były *wolniaszkami* i mieszkały oczywiście poza zoną. W naszym nowiutkim i czyściutkim domku, oprócz mnie mieszkali: Judycki i Daszkiewicz, przemianowani na *lekpomów*, Leon Unger (aplikant adwokacki ze Lwowa) brat „Brukselczyka” z paryskiego miesięcznika *Kultura*, (który był potem w 2-gim Korpusie, zginął tragicznie w wypadku samochodowym w okolicach włoskiej miejscowości Civitanova Marche i spoczywa na polskim cmentarzu wojennym w Loreto), Messer, artysta malarz z Krakowa, nieprzeciętnie zdolny, lojalny choć fanatyczny komunista (wpadł na linii demarkacyjnej niemiecko-sowieckiej

wraz z młodziutką żoną oczekującą dziecka, o której nie miał od chwili aresztowania żadnej wiadomości, szukając schronienia w Sowietach przed nazistami), Wagman, syn rabina gdzieś z okolic Kołomyi, Albrecht, jego współwyznawca, syn kupca z Małopolski wschodniej Goldman, też z tych samych stron (jeden z tych co stawiali bramy tryumfalne dla witania wkraczających do Polski bolszewików i nieopatrnie chwalił się przed nami swą przynależnością do Polskiej Partii Komunistycznej, za co dostał, moim zdaniem słusznie, 10 lat!), Lohman, austriacki Żyd (pechowiec, który uciekł przed Hitlerem najpierw do Austrii a potem do Polski, i wreszcie do Sowietów, wpadając regularnie z deszczu pod rynną!). Jako jedyny przedstawiciel nacji rdzennie sowieckiej, a właściwie rosyjskiej, Iwan Grigoriewicz, z zawodu fryzjer, od wielu lat w łagrach. Spokojny, opanowany, ostrożny i raczej ograniczony umysłowo, co nie przeszkadzało mu cieszyć się wyjątkowo dobrą opinią u władz szpitala. Z tego powodu było oczywiste, że opłaciło się mieć z nim dobre stosunki. Nie znalazłem jednak nigdy powodu aby zaliczyć go do grona niebezpiecznych donosicieli w obecności których trzeba było trzymać język ściśle za zębami. Przypuszczam że dobre warunki egzystencji i fakt że byliśmy grupą złożoną wyłącznie z cudzoziemców, sprawiły że życie nasze układało się pomyślnie przy absolutnym braku swarów i kłótni, a stosunki nasze były nacechowane wielką solidarnością. Fakt ten nie uszedł uwadze ogółu Rosjan współwięźniów, a także i naczelniczki szpitala.

Ta ostatnia pieczołowicie strzegła eksterytorialności *Sangorodka*, nie pozwalając na mieszanie się do spraw sanitarnych różnym naczelnikom i, ponieważ zdawała się być lekarką z prawdziwego zdarzenia, starała się nieustannie podnieść poziom instytucji, którą kierowała. W tych jej ambitnych planach było miejsce dla osób o możliwie przyzwoitym poziomie kulturalnym i intelektualnym, które spodziewała się znaleźć wśród cudzoziemców stanowiących ostatni „narybek” GUŁAG-u.

Przykładem praktycznego zastosowania tego dziwnego przywileju eksterytorialności służby sanitarnej GUŁAG-u był wypadek, który się zdarzył niedługo po naszej przeprowadzce do nowej siedziby. Otóż pewnego dnia pojawił się w *Sangorodku* jakiś typ spod ciemnej gwiazdy z głową nakrytą czapką z odznaką marynarza żeglugi śródlądowej, który przeszedłszy bez komplikacji przez wartownię istniejącą przy bra-

mie szpitala, skierował się zdecydowanie do oddziału chirurgicznego, czyli do budynku położonego najbliżej wartowni. Traf chciał, że była to właśnie pora obiadowa. I w pokoju przylegającym do sali operacyjnej, w którym normalnie sterylizowało się narzędzia chirurgiczne i inne potrzebne przy operacji rzeczy, oraz przygotowywało się lekarzy i personel pomocniczy do zabiegu, siedział szef tego oddziału Robert Jaganowicz Beck-Dombrowskij.

Pan ten był, ni mniej, ni więcej, tylko *ex-Zamiestitielom Nar-Kom-Zdrawa* RSFSR, czyli wiceministrem służby zdrowia Rosyjskiej Republiki Związkowej, skazanym na 10 lat łagru za domniemany udział w spisku, który doprowadził do rzekomego otrucia pisarza Gorkiego (którego, jak powszechnie było wiadomo, zgładzono na rozkaz Stalina).

Siedział prawdopodobnie dlatego, że musiał mieć sporo wrogów, co wydawało się nam zupełnie możliwe, znając jego złośliwość i bezczelność oraz brak skrupułów typowe dla bolszewickiego prominenta.

Siedział już w łazrze od pewnego czasu, ale, w myśl zasady „kruk krukowi oka nie wykole”, korzystał z przywilejów nieosiągalnych dla zwykłych śmiertelników. Aby się o tym przekonać wystarczyło spojrzeć na jego garderobę, obuwie, skórzany płaszcz podszyty futrem i na jego pokój w baraku 2-go oddziału, prawdziwą bombonierkę! A nie mówmy już o przywilejach, które sam sobie przywłaszczył, jak na przykład spożywanie posiłków w salce przedoperacyjnej, do której jak najsurowiej zabraniał wchodzić bez czystego białego chałatu. I dopuszczał tylko grono swych najbliższych współpracowników, do których należeli: zawodowa pielęgniarka i asystentka chirurgiczna Raissa Izraiłowna, kijowska Żydówka, Leon Unger, Messer, który rysował „ciekawsze” objawy kliniczne, spełniając dzięki swemu talentowi artystycznemu funkcje aparatu fotograficznego, którego nawet Beckowi nie wolno było posiadać, oraz Iwan Grigoriewicz, no i kobiety od mycia podłóg, oraz czasami i inni, wśród których i ja, gdy chodziło o operacje bardziej skomplikowane, wymagające współudziału liczniejszego personelu.

Do tej *sancta sanctorum*, przerywając obiad naszemu osobnikowi, wszedł, naturalnie bez pukania i oczywiście bez chałatu, w zabłoconych buciskach, marynarz słodkich wód o twarzy bandyty. Gospodarz, rozdrażniony bezceremonialnością tego nieproszonego gościa, zapytał go ostrym tonem, jakim prawem pozwala sobie wchodzić do *predoperacionnoj*

ubrany nieprzepisowo. „*Ja naczałnik reżyma!*” brzmiała groźna odpowiedź, która spowodowałaby drżenie tydek u normalnego śmiertelnika, a już specjalnie u zeka politycznego. Tym razem trafiła kosa na kamień!

Ja zdies' naczałnik! Won otsiuda!” wrzasnął w odpowiedzi, bynajmniej nie stropiony taką prezentacją, pąsowy ze złości jak indyk, nasz chirurg. Jak gdyby był jeszcze w swoim ministerstwie w Moskwie! Skutek tej reakcji na *Crimen Lesae Majestatis* popełniony przez intruza był natychmiastowy, i nieprzewidziany. Wycofał się pokornie z lokalu mrużąc pod nosem coś co mogło wyglądać na pogroźkę. Podobno pobiegł się poskarżyć do naczelniczki szpitala. Ale niewiele wskórał, bo pani Surina, choć notorycznie nie lubiła Roberta Jaganowicza, tym razem konsekwentnie stanęła w jego obronie, aby potwierdzić zasadę eksterytorialności szpitala w stosunku do „normalnych” władz GUŁAG-u, i jej własny wyłączny autorytet w obrębie *Sangorodka*. Pycha i bezczelność naszego Roberta Jaganowicza zniknęły jednak jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy tylko zdawał sobie sprawę, że miał do czynienia z osobami, które naprawdę były w stanie zaważyć na jego losie.

Stawał się wówczas grzeczny i uniżony. Pamiętam wizytę jakiejś bardzo ważnej komisji, która przybyła do nas na inspekcję, samolotem z Moskwy, w związku z już rozpoczętą rozbudową szpitala. Byłem wtedy mimowolnym i raczej zaambarasowanym świadkiem płaszczenia się naszego chirurga przed tymi „ważnymi” przybyszami i jego wielce uniżonej prośby wypowiedzianej prawie szeptem i popartej potokiem łez, jakże mało pasujących do jego pychy, bezczelności, zarozumiałości, oraz, prawdę mówiąc, rasowej męskiej twarzy o ostrych rysach, orlim nosie i stale sarkastycznym wyrazie, o wstawiennictwo u *Wielkiego Stalina*. Obojętne i raczej znużone twarze jego interlokutorów nie obiecywały powodzenia jego płaczliwych suplik, mimo iż powoływał się przy tym na swoje zasługi rewolucyjne, a także na rzekomą działalność „naukową” w obecnych łagiernych warunkach, podejmowaną ku większej chwale „Sojuzu” i jego „wielkiego i genialnego” Wodza.

Jego działalność naukową uważałem za rzekomą, bo danym mi było się przekonać o istnieniu poważnych luk w jego wykształceniu ogólnym, a także i specjalistycznym. Nigdy też nie zazdrościłem jego pacjentom, których niestety nie brakowało bo, z nastaniem zimy, zaczynały się masowe am-

putacje palców odmrożonych rąk i nóg, a nawet całych stóp i nóg na skutek gangreny powodowanej spóźnionym leczeniem odmrożeń przez sanitariuszy łagpunktów.

Oddział chirurgiczny miał więc liczną klientelę zapewnioną aż do wiosny, która zaczynała się w tamtych stronach gdzieś w połowie czerwca, gdy ruszały lody na Usie!

Na szczęście chorych, i „wielkiego chirurga”, istniała Raissa Izraiłowna, która znała się nie tylko na swoim rzemiośle, ale także wcale nieźle na anatomii. Dzięki temu udało się jej uratować sporo ludzi od niechybnej śmierci, której by nie uniknęli gdyby byli zdani na łaskę umiejętności doktora Becka-Dombrowskiego. On prawdopodobnie był naprawdę lekarzem. Ale będąc funkcjonariuszem partyjnym oczywiście nie praktykował, i musiał sporo zapomnieć z tego, czego się nauczył na studiach. Ponieważ był zarozumiały, nie w smak mu było przyznać się, że się myli. Z tego powodu nie raz zdarzały się rozmówki tego typu: „*Robert Jaganowicz zdies' niełzia rezat'.* *Zdies sosud!*”! „*Ah, głuposti!*” I energiczny ruch skalpelem powodował wytrysk fontanny szkarłatnej krwi z przeciętej tętnicy. W tym momencie nieco stropionemu chirurgowi Unger podawał, z anielskim uśmiechem, pincetkę niezbędną do tamowania krwotoku, nieprzewidzianą przez program operacji, ale znając charakter naszego chirurga, na wszelki wypadek przezornie wysterylizowaną i gotową do użycia.

Mimo iż oddział ten wyglądał przyzwoiciej od innych (był wyposażony w prawdziwe metalowe łóżka z materacami, poduszkami i pościelą), pod względem higieny pozostawiał sporo do życzenia. I, ponieważ nie słyszano tam jeszcze o antybiotykach, zakażenia były rzeczą normalną. Wszystkie rany się ropyły. Wystarczyło się skaleczyć, aby się o tym przekonać.

Zdarzyło się to właśnie mnie, gdy już mieszkałem w nowym pomieszczeniu *lekpomskim*. Przechodząc w pobliżu jakiejś ściany nie zauważyłem zardzewiałego gwoźdźcia wystającego z jednej z desek i zadrasnąłem sobie prawe udo. Następstwa nie dały na siebie długo czekać. Po paru dniach spuchł mi jeden z gruczołów limfatycznych w prawej pachwinie i w dzień czy dwa osiągnął rozmiary kurzego jajka. Sprawa robiła się poważna. Tym bardziej, że temperatura podskoczyła do 39.5 stopni. Na domiar złego Beck-Dombrowski, dowiedziawszy się o wypadku, orzekł: „*Budiem rezat*”. Słyszac to, włosy mi się zjeżyły na głowie. Zbyt dobrze

już poznałem jego talent jako chirurga i poza tym dobrze wiedziałem, że takie rany pooperacyjne nie goiły się miesiącami. Z drugiej strony dobrze wiedziałem, że nie mogę mu się narazić, bo mogłoby się to skończyć wyrzuceniem mnie ze szpitala. Był on przecież zdolny do największego świnstwa! Za poradą kolegów postanowiłem zniknąć na jakiś czas z jego pola widzenia. I zamiast leżeć w łóżku powlokłem się, mimo gorączki i ostrego bólu w pachwinie, na dyżur do mego czwartego oddziału. W nocy zajmował się mną poczcuiwy Unger, który mi aplikował kompresy z ichtiolu i przynosił tabletki sulfamidów, dar naszego przyjaciela szefa apteki, który nie znosił Becka. Bogu dzięki wszystko skończyło się jak najpomyślniej, ku rozczarowaniu chirurga, który sadystycznie się przygotowywał do krajania mojej skóry.

Wyzdrowiałem w sam czas na rozpoczęcie kursu dla *lekpomów*, którym kierowała, z wielkim zapalem i powagą, nasza komendantka pani Jelena Nikołajewna i na który uczęszczały także i „wolne” *lekpomsze*, oraz niektóre więźniarki. Wykładowcami byli, oprócz naszej komendantki, lekarze, z Robertem Jaganowiczem na czele i Raissą Izraiłowną jako zawodową pielęgniarką i doświadczoną asystentką chirurgiczną. Poza tym doktor Schulter, Niemiec z Powołża, kończący odsiadkiwanie dziesięcioletniego wyroku, poczcuiwy doktor Wiszniewski, oraz doktor Melzer, austriacki Żyd, o którym warto dodać kilka słów dotyczących jego *curriculum*.

Pan ten żył przed *Anschlusssem* w Wiedniu, gdzie należał do bojowej organizacji lewicowej *Schutzbund*, i w szeregach tej ostatniej brał udział, bodajże w 1931 roku, w powstaniu przeciw rządowi nieszczęsnego Dolfussa (popieranego przez Mussoliniego, i zamordowanego później przez hitlerowców), które zostało stłumione, po krwawych walkach, przez siły zbrojne rządowe (*Heimwehr*) dowodzone przez księcia von Stahremberga.

Melzer, a z nim także wielu innych, po zdobyciu przez rządowców ich ostatniej twierdzy Karl Marx Hof, wpadli na niefortunny pomysł schronienia się w Sowietach, myśląc że zostaną tam potraktowani jak by się należało bohaterskim bojownikom o wolność i socjalizm. Ich złudzenia szybko przysły jak bańka mydlana. W sławetnym roku 1937 zajęło się nimi NKWD. I nasz Melzer dostał „dychę” (to znaczy 10 lat łagru), jak osobiście miałem okazję czytać w jego aktach (które wlokły się za każdym łagrowiczem, podczas jego wędrówki po GUŁAG-u) za *podezрение szpionaża* czyli za to że był podejrzanym o szpiegostwo!

W naszym *Sangorodku* oprócz Melzera było także kilku innych Austriaków, między innymi także trzech byłych piłkarzy należących do znanego przed wojną *Wunderteamu* wiedeńskiego klubu, bodajże „Admiry”. Dzięki protekcji ich ziomka Melzera pracowali jako sanitariusze i posługacze w naszym szpitalu, przeklinając na czym świat stoi swoje zainteresowania polityką.

Kurs obfitował w epizody komiczne powodowane, mimo woli, przez jego uczestników, a nawet przez wykładowców. Tak, na przykład, nasz zarozumiały i autorytatywny *Zaměstiteľ Nar-Kom-Zdrava* RSFSR Robert Jaganowicz, chcąc się popisać podczas jednego ze swych wykładów znajomością chemii, oświadczył wszem i wobec, że najbardziej skomplikowaną molekułą jest cząsteczka... wody, zaś najprostszą... białka! I nie można było go żadnym sposobem wyprowadzić z błędu. Widząc, że uparcie obstaje przy swojej heretyckiej teorii, daliśmy spokój, aby nie narażać się na sankcje przy egzaminach końcowych, na których wynik mógł on mieć spory wpływ, bo był mściwy, jak na byłego komunistycznego prominenta przystało.

Lapsus chemiczny naszego „wielkiego chirurga” nie uszedł uwadze naszej komendantki, która ograniczyła się jednak do dyplomatycznego uśmieszku i do wymownego spojrzenia w naszą stronę, aby dać nam do zrozumienia, że wyrozumiałość powinna być jedną z przesłanek naszego obecnego zawodu.

Nie przeszkodziło to jej jednak we wprawieniu w zakładanie młodzieńczego Wagmana, syna rabina, jeszcze żywcem mało wyrobionego, pytaniami dotyczącymi propedeutyki ginekologii będącej jednym z tematów naszego kursu. *Dulcis in fundo* wybrała właśnie jego do funkcji akuszerza, gdy zdarzyła się okazja do asystowania przy porodzie, twierdząc że czas aby stał się nareszcie „mężczyzną”.

Robiła to jednak bez cienia złośliwości, a wyłącznie przez przekorę, z lekka pokpiwając z pruderii tego chłopca pochodzącego z pobożnej chasydzkiej rodziny.

Kurs trwał około trzech miesięcy, i zakończony został ceremonią oficjalnych egzaminów, przy których asystował jakiś delegat z *oblastnoj Sanczasti*. Absolwentom wystawiono regularne świadectwa stwierdzające przynależność do uprzywilejowanego cechu *lekpomów*, które powędrowały do naszych akt osobistych, w myśl zasady, że więzień nie może posiadać żadnych dokumentów tożsamości itp.

W każdym razie tak czy inaczej oficjalne „pasowanie” kogoś na *lekpoma* znaczyło, że nawet w wypadku braku w okolicy jakiegoś szpitala, przywileje nie tylko nie znikwały, ale nawet wzrastały. Bo w obozie czy w łagpunkcie od *lekpoma* zależało nie tylko zwolnienie od pracy (ma się rozumieć tylko pewnego kontyngentu ustalonego przez komendę obozu, którego nie było wolno przekraczać), ale też stwierdzenie, że strawa przygotowana przez obozową kuchnię nadaje się do wydania. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że przysparzało to niemało materialnych korzyści. *Leptom* nie był nigdy głodny i, oczywiście, nie jadał z ogólnego kotła, mimo iż nie chodził do pracy fizycznej polegającej na wyrębie lasu czy też na budowie linii kolejowej, przy 40-stopniowym mrozie, bo kucharzom zależało na jego względach. O te ostatnie zabiegali nie tylko *urki* (co zapewniało, przy odrobinie dyplomacji, bezpieczeństwo osobiste), ale także i wolni z Wochrą na czele. Bo *leptom* dysponował obozową apteczką i był czymś w rodzaju stacji pogotowia ratunkowego w razie nierzadkich nieszczęśliwych wypadków.

A podczas transportów, czyli tak zwanych *pieriesylek*, podróżował razem ze strażą, a nie z ogółem zeków, co było przywilejem nie lada jeśli się weźmie pod uwagę bestialskie warunki w jakich te transporty nierzadko się odbywały. *Tout court* dyplom nasz gwarantował nam możliwość przetrwania w nie najgorszych warunkach nawet dziesięcioletniego wyroku. O takiej koszmarniej ewentualności (a przecież wiadomo, że zdarzyło się niektórym Polakom wydostać z łagrów dopiero po latach!) nikt z nas nie chciał oczywiście myśleć, tak jak o pracy bardziej samodzielnej w łagpunktach, słusznie wychodząc z założenia, że w systemie sowieckim należy unikać jak ognia brania na siebie choćby minimalnej odpowiedzialności.

Kurs nasz nie zwalniał nas oczywiście od normalnych obowiązków, to jest dyżurów w oddziałach szpitala, do których byliśmy przydzieleni, ale powodował pewną elastyczność w ich pełnieniu. A to dlatego, że musieliśmy asystować przy różnych zajęciach praktycznych, które odbywały się poza obrębem naszych stałych miejsc pracy.

Ujemną stroną tego proceduru był fakt, że starano się przydzielić nam dyżury nocne (12-stogodzinne), co wydatnie skracало czas który mogliśmy przeznaczać na godziwy wypoczynek.

Tak, na przykład, przyglądać się sekcji zwłok (w Sowietach,

przynajmniej wtedy, obowiązkowych w stosunku do zmarłych w szpitalach). Operacja ta była wykonywana przez domorosłego prosektora Iwana Wasiliewicza. Było to ogromne brodate chłopisko, chyba dwumetrowego wzrostu, w łagrze od niepamiętnych czasów jako przedstawiciel źle przez władze widzianej kategorii kułaków. Mocny jak tur, na przekór nie-ludzkim warunkom egzystencji, w jakich przyszło mu żyć, zdrow jak ryba, wyjątkowo bystry i inteligentny mimo iż prawie kompletny analfabeta, szybko nauczył się zawodu prosektora. Często można go było spotkać z kociołkiem spreparowanym z pięciolitrowej puszkii od konserw, w którym niósł, do *naczalnicy* lub do któregoś z zainteresowanych lekarzy, nerki, wątrobę, serce lub mózg jednego z naszych mniej fortunnych pacjentów. Ponieważ kociołek ten był do złudzenia podobny do innych, w których często przynoszono nam zupę, kwas chleбny lub czasem nawet mleko, zacząłem ze zrozumiałych powodów pilnie przyglądać się tym ostatnim naczyniom, bo przy łągiernym niechlujstwie łatwo było o nieporozumienie.

Takie „nieporozumienie” mogło wyniknąć na skutek nie-dbalstwa naszych *dniewalnych*, czyli czegoś w rodzaju ordynansów przynoszących nam posiłki, albo posługaczy kuchennych. Z całą pewnością nie Iwana Wasiliewicza. On bowiem, jako szczerzy wróg bolszewików wszelkiej maści, i na swój sposób raczej kulturalny, był wielkim przyjacielem nas Polaków, i cudzoziemców w ogólności, tak jak główny aptekarz szpitala, jego i nasz zaufany i wielki przyjaciel. Jak już poprzednio wspomniałem, to właśnie od nich nauczyliśmy się przyrządzać „sałatki” przeciwszkorbutowe i chroniące nas od pelagry, polegające na mieszance kwaszonej kapusty (dostarczonej przez szefa kuchni, Koreańczyka, pana Nigai o którym też wspominałem) z kielkującym grochem obficie omaszczonym tranem (dostarczonym przez aptekarza) i do smaku posolone.

Paskudztwo to, o którym sama myśl przyprawia normalnie człowieka o mdłości, wydawało się nam wtedy wyrafinowanym delikatesem, bo organizmy nasze zbyt długo pozabawione witamin i tłuszczów, były niesłychanie chłonne na wszystko to, co zawierało te niezastąpione składniki zdrowego pożywienia.

Zawsze podziwiałem jego zręczne manewrowanie zwykłym chłopskim kozikiem przy sekcjach zwłok i niewiarygodnie, przy jego olbrzymich łapach, delikatne otwieranie zwykłą

ciesielską pilą i dłutem czaszek swych „klientów”, których mózgi interesowały personel medyczny. Skalpeli i innych prawdziwych przyrządów na takie cele oczywiście nie było, bo nie wystarczało ich nawet na potrzeby oddziału chirurgicznego.

Wspomniałem o mleku, bo nasz *Sangorodok* dysponował nawet własną oborą, dostarczającą „nektar” na użytek ozdrowieńców i dzieci, a także, trochę nielegalnie, i nas *lekpomów*. Jeśli chodzi o dzieci, to pojawiały się one u nas, bo przysyłano nam, od czasu do czasu, kobiety więźniarki, a nawet wolne na odbycie połogu.

To dawało nam kursowiczom okazję do przyswojenia sobie podstawowych wiadomości praktycznych także z dziedziny akuszerii. Nie robiło to na nas, mimo iż nie należało do kategorii rozrywek przyjemnych, zbyt wielkiego wrażenia, bo do widoku narzędzi chirurgicznych i ich użycia przyzwyczailiśmy się asystując przy operacjach. Do czego zmuszał nas zajętych na oddziałach chorób wewnętrznych, sądzę przez zwykły wrodzony mu sadyzm, nasz „wielki chirurg” Robert Jaganowicz.

Pamiętam, że z początku widok otwartej jamy brzusznej i stosu jelit spiętrzonych na sterylizowanym (?) prześcieradle okrywającym brzuch chorego, czy też fontanny jasnoczerwonej krwi tryskającej z jakiegoś nieopatrznie, na skutek chwilowego roztargnienia Raisy Izraiłowny, przez naszego wielkiego mentora przeciętej większej arterii robił na mnie wstrząsające wrażenie. Z czasem przywykłem i do tego. Nieestety nie wszyscy byli aż tak gruboskórni. Pamiętam kolegę którego musieliśmy regularnie cucić przy każdej operacji, bo potrafił zemdleć, ku wielkiej sadystycznej satysfakcji „wielkiego chirurga”, nawet przy jakiejś „najgłupszej” amputacji odmrożonych palców. Co, z nastaniem srogiej polarnej zimy, stało się banalnym zabiegiem niemal codziennym. Zima ta, a właściwie jej zaostrenie się, bo śnieg spadł już w pierwszej połowie września, zapowiedziana została w początku listopada przez jednokolorowe zorze polarne, o których już też mówiłem, wyglądające jak snopy światła rzucanych w czarną jak smoła przestrzeń bezksiężycowego nieba przez wielkie reflektory, w które były kiedyś wyposażone baterie artylerii przeciwlotniczej.

Snopy te nie były nieruchome, a wprost przeciwnie — wymiały czarne niebo, jakby w poszukiwaniu czegoś, często krzyżując się dzięki czemu imitowały do złudzenia zachowanie

się świetlnych członów naszej „pe-lotki”. Po kilku takich zjawiskach, nawet niespecjalnie atrakcyjnych niebo się uspokoiło, ale mróz zaczął tężeć. Jednak niedostatecznie, aby skuć bystrą rzekę Usę w pokrowiec o grubości wystarczającej, to znaczy przeszło 1-go metra, aby mógł on unieść naładowaną ciężarówkę. Przedłużanie się takiego stanu rzeczy spowodowało w naszym rejonie coś w rodzaju swoistego przednówka, o którym powtórzę co następuje. Tego roku żegluga rzeczna nie docierała do miejscowości Abez z powodu niskiego stanu wody. Właśnie dlatego musieliśmy odbyć kilkudniowy „spacer” wzdłuż Usy w drugiej połowie sierpnia, a zaopatrzenie całego rejonu rozciągającego się od Abezu aż do Workuty zostało wyładowane w odległej o prawie 300 kilometrów miejscowości Ust-Usa, gdzie, z braku dróg, musiało poleżeć aż do uruchomienia komunikacji samochodowej po zamrzniętej rzece.

W tych warunkach zaczęło brakować dosłownie wszystkiego. Mąki do pieczenia chleba, nafty do oświetlenia, odzieży, w szpitalach lekarstw, opatrunków i najbardziej elementarnego wyposażenia jak termometry, strzykawki i igły do robienia zastrzyków, a nawet nici chirurgicznych. Na łag-punktach karmiono ludzi zupkami z rozbełtanej w gotującej się wodzie mąki.

Dnie stawały się coraz krótsze. W początku listopada słońce pokazywało się, jeśli pogoda była bezchmurna, na 3-4 godziny na dobę, a pod koniec tego miesiąca w ogóle przestało wznosić się nad horyzontem. Z braku nafty jedynym oświetleniem wnętrza naszej, z zewnątrz obłożonej grubymi warstwami mchu, ziemianki, w której mieścił się 4-ty oddział chorób wewnętrznych doktora Wiszniewskiego, był odbłask żaru przeświecającego z pieca po otwarciu drzwiczek. A ziemianka była spora, bo mieściła normalnie 90 chorych ulokowanych na dwupiętrowych pryzach i obejmowała duży przedsionek, a na drugim końcu lokal będący siedzibą dyżurnego *lekpoma*, oddziałowej apteczki i, za dnia, gabinetem lekarza.

Za piecem, będącym niczym innym tylko starą wagonetką *Decauville* ustawioną do góry nogami na podmurowaniu z cegieł, stał obszerny stół, na którym Wasiliew rozdzielał przyniesione z kuchni posiłki i przy którym zasiadał, na bocznych długich ławach, do spożywania swoich racji personel należący do obsługi oddziału. Rozdział żywności, pielęgnacja ciężko chorych, których każdej doby umierało normalnie

5-ciu do 7-miu, oraz rozdawanie lekarstw i badania lekarskie nie mogły odbywać się przy tak słabym oświetleniu. Pomagaliśmy więc sobie łuczycami z przepojonych żywicą długich drzazg odlupywanych z sosnowych pieńków używanych jako opał.

Wśród chorych, po fali cierpiących na biegunkę na tle szkorbutowym, która nieco opadła w listopadzie, przeważali chorzy na zapalenie płuc i na związane z tym często komplikacje, oraz cierpiący na różnego rodzaju odmrożenia, których oddział chirurgiczny nie był po prostu już w stanie pomieścić.

Większość nowych pacjentów pochodziła z grup marszowych, bo mimo fatalnych warunków atmosferycznych, jak śnieżyce i często huraganowe wichrzyska, praktyka ciągłych przemieszczeń więźniów nie ustawała. Rezultaty były przerażające. Pamiętam przybycie przeszło 20-stu półżywych istot z grupy marszowej pędzącej na północ, gdzieś w stronę Workuty, z których po paru tygodniach tylko trzech jeszcze żyło — Swyszcz, wyjątkowo łagodny i przyzwoity ukraiński kmiołek i dwaj bracia Mincowie, Żydzi, właściciele jakiegoś sklepiku w Małopolsce wschodniej, w jakimś z tamtejszych małych miasteczek, którego nazwy nie mogę sobie przypomnieć.

Cała ta trójka pozostała na stałe w *Sangorodku*. Swyszcz jako pracowity i sumienny posługacz w naszym 4-tym oddziale, a Mincowie, o których jeszcze wspomnę w dalszym ciągu mego opowiadania, jako osobiści „kamerdynierowie” Roberta Jaganowicza (wobec tego faktu skłonny jestem przypuszczać, że i on pochodził z szeregów „narodu wybranego”, a nie był Niemcem za jakiego lubił się podawać).

W tym okresie doszły do nas słuchy o autentycznej tragedii, która się zdarzyła na terytorium objętym widłami rzek Usy i Peczory wzdłuż projektowanej trasy odcinka kolei, którego budowa nie została jeszcze rozpoczęta, mającego połączyć wykończoną linię Kotłas-Koźwa z już budującym się odcinkiem Abez-Workuta. Otóż w grudniu 40-go roku popędzono tamtędy na piechotę, wśród niebotycznych zasp śnieżnych, grupę przeszło 300-stu zeków (czyli klientów GUŁAG-u), którym towarzyszyła odpowiednia eskorta Wo-chry z wilczurami.

Spacer ten miał ponoć trwać około tygodnia, bo do przebycia było dwieście kilkadziesiąt kilometrów. Mróz był trzaskający, a do tego, na domiar złego, przymieszała się niespo-

dziewanie pięciodniowa polarna zawieja śnieżna. My dobrze wiedzieliśmy co to znaczy, bo w takie dni niełatwo było otworzyć drzwi naszych ziemianek i, żeby nie zgubić się przy przechodzeniu z jednego baraku do drugiego, były one między sobą połączone długimi grubymi powrozami, których trzeba było się kurczowo trzymać nawet idąc do tzw. *ubor-noj*, czyli po prostu, prozaicznie, do latryny znajdującej się w osobnym pomieszczeniu, na zewnątrz ziemianek. Nie zdziwi-liśmy się więc wcale dowiadując się, że „grupa marszowa” nigdy nie dotarła do wyznaczonego celu, to znaczy do Abezu (gdzie był już w budowie most kolejowy, przy któ-rym pracował później Stasiek). Odnaleziono ich wszystkich, z psami i *strietkami* włącznie, zamienionych w bryły lodu, dopiero po miesiącu.

Na ten okres przypała tragiczny zgon polskiego więźnia, porucznika Baranowskiego, kawalerzysty rodem z Poznań-skiego, który znalazł się w *Sangorodku*, bodajże jako podrzu-tek z jednej z tych koszmarnych kolumn marszowych, naba-wiając się przy okazji ostrego zapalenia płuc. Chory najpierw na zapalenie płuc, a później na nieuleczalny pleuryt na tle gruźliczym, ten młody bo zaledwie 23-letni człowiek został przeniesiony pewnego listopadowego poranka na nasz oddział chorób wewnętrznych z chirurgicznego, na osobiste polecenie naszego „wielkiego chirurga”, o dziwo z łóżkiem, materacem i pościelą, oraz kocem, w które, jak już wspomniałem, w tym okresie tylko uprzywilejowany oddział chirurgiczny był wyposażony.

Przybycie tego nieszczęśnika na nasz oddział dało mi okazję przekonać się raz jeszcze, że dziwny, i moim zdaniem mało usprawiedliwiony, rosyjski kompleks niższości wobec Polaków oraz potęga tzw. *placebo*, to jest leków oddziaływu-jących przez czystą sugestię, nie są legendami, lecz realnymi faktami. Baranowskiemu towarzyszyła pogłoska, że był on nie tylko ułanem, ale, jakoby, także hrabią. Nie wiem czy to było prawdą, ani czy ta wiadomość pochodziła od niego. Faktem jest, że podekscytowała ogromnie proletariackie fan-tazje sowieckich mieszkańców *Sangorodka*, nie wyłączając *naczałnicy* pani Suriny, a w szczególnej mierze tego starego bolszewika Roberta Jaganowicza. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu, pogłoska o „błękitnokrwistym” pochodzeniu nie tylko nie zaszkodziła Baranowskiemu, a wprost przeciwnie, stała się źródłem przywilejów o których w łagrze nie mógłby nawet marzyć zwykły śmiertelnik.

Prawdą było że, niestety, dogorywał on bez żadnych widoków na poprawę, wijąc się często z bólów które mu sprawiały otwarte rany w klatce piersiowej spowodowane przez prześladowający go ropny pleuryt. Osłabiony do ostatnich granic przez długotrwałą silną gorączkę i wychudły do tego stopnia, że sprawiał wrażenie żywego szkieletu, na którego twarzy o rzeczywiście pięknych, szlachetnych rysach, jarzyły się intensywnym światłem jego wielkie czarne oczy, grymasił jak małe dziecko. I wszystko mu uchodziło płazem. Robert Jaganowicz odwiedzał go codziennie, nigdy nie zapominając zapytać „Jak się polski pan czuje”, i polecając go specjalnej opiece nas *lepkomów*, przepisując mu nie tylko specjalne odżywianie (którego on już półżywy nie chciał przyjmować), ale nawet zastrzyki drogocennej w naszych warunkach morfiny w celu umożliwienia mu nocnego wypoczynku.

Ponieważ, jak wyżej wspomniałem, przeżywaliśmy okres „przednówka”, morfina szybko się skończyła, i nasz Baranowski, przyzwyczajony do zasypiania pod wpływem narkotyku, głośno domagał się swego zastrzyku, awanturował się, majaczył, płakał, nie pozwalając spać i innym. Ponieważ cierpiał naprawdę i było mi go szczerze żal, znajdowałem się w kłopotliwej sytuacji, bo nie miałem pojęcia co z tym fantem robić.

Wybawił mnie z kłopotu jeden z *urków* leżących w naszym oddziale. Poradził mi zrobić Baranowskiemu zastrzyk... sterylizowanej wody destylowanej. Co też skwapliwie zrobiłem, nie mogąc już dłużej znieść płaczu tego biedaka, przechodzącego chwilami w żalosny skowyt. I o dziwo! Uspokoił się prawie natychmiast i zasnął, przekonany że zaaplikowałem mu zwykłą dawkę morfiny. Nie doczekał się przybycia partii nowych lekarstw. Umarł po kilkunastu dniach, zasypiając co wieczór (rozpoznawalny tylko na zegarku, który dostawaliśmy przy obejmowaniu dyżuru, bo w tym okresie ciemności panowały przez 24 godziny na dobę), przekonany że otrzymał zastrzyk morfiny. Po sekcji zwłok pojechał saniami, używanymi także do zwózki opału, ciągniętymi przez małego kosmatego konika, za *kon-bazę* czyli stajnię, gdzie w płytkich z konieczności mogiłach (ziemia była zmarznięta na kamień) chowano zmarłych w szpitalu pacjentów.

Nigdy nie widziałem tego miejsca, położonego poza zoną, to jest ogrodzeniem z drutu kolczastego, bo dostępne ono było wyłącznie dla osobników mających specjalne prze-

pustki, przeważnie złodziei, bandytów, lub skazanych na niskie kary za raczej drobne uchybienia. Ponoć groby były oznaczone małymi tabliczkami, na których uwidoczniiony był numer rejestracyjny zmarłego i... wyrok, jaki powinien by on był odsiedzieć gdyby tak złośliwie się nie uchylił od uczestniczenia w tytanicznym dziele *oswajania siewiera*, czyli cywilizowania zapolarnych rejonów Sowietckiego Związku.

Po Nowym Roku powróciły zorze polarne. Tym razem bardziej intensywne, trwające dłużej i wielobarwne. Teraz nie były to prostolinijne snopy białych promieni, lecz jakieś fantastyczne spirale, wielobarwne kotary z frędzlami, które się rozwijały i zwijały co moment, lśniąc wszystkimi kolorami tęczy. Ich pojawienie powodowało zaburzenia w odbiorze fal radiowych i zwiastowało gwałtowne obniżenie się temperatury, która rzeczywiście spadała do -57 stopni C.

Z tego właśnie powodu o mały włos nie odmroziłem sobie uszu. Wywołany przez kolegów przed ziemiankę dla podziwiania fascynującego widowiska, które właśnie rozgrywało się na czarnym jak atrament niebie, w pośpiechu zaniedbałem wcisnąć na głowę watowaną czapkę-uszankę. I wystarczyło tych kilku minut, na pewno mniej niż 10, aby wrócić do baraku z białymi i zupełnie znieczulonymi uszami, które trzeba było nacierać garściami śniegu, aby przywrócić w nich normalne krążenie krwi. W każdym razie wychodząc na zewnątrz na czas dłuższy niż kwadrans, dobrą normą było powleczenie twarzy, a specjalnie nosa i policzków, warstwą jakiegoś tłuszczu, najlepiej wazeliny, a w razie braku tej ostatniej, tranu.

Nudę szpitalnej rutyny przerwały nam w tym okresie oprócz naszego kursu mającego pasować nas na *lepkomów*, także i „wieczorki towarzyskie”, a raczej nocne seanse spirytystyczne organizowane przez Staszka Judyckiego w naszej dyżurce, przy skrupulatnie zamkniętych drzwiach, dla zapewnienia koniecznej dyskrecji, z udziałem niektórych wolnych *lepkomów* będących bez wyjątku komsomołkami. Zabawny był widok tych formalnie niby-ateistek żegnających się z zapalem godnym lepszej sprawy, gdy po zamknięciu przepiślowego „łańcucha” naszych rąk i po wywołaniu jakiegoś osobnika z „zaświatów”, stolik zaczynał „regulaminowo” tańczyć i wystukiwać zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych komunikaty. Wszystko to wzmocniło wydatnie moje wątpliwości co do skuteczności zaciętej bolszewickiej propagandy ateistycznej w zwalczaniu wiary w istnienie sił nadprzyrodzonych.

Z satysfakcją notuję fakt, że dyskrecja została, jeśli chodzi o te seanse, skrupulatnie zachowana, bo nigdy nie mieliśmy z tego powodu jakiejś przykrości czy też zwykłych wymówek ze strony naszej komendantki (która była bądź co bądź kapitanem NKWD), ani też ze strony zewnętrznej zmiilitaryzowanej ochrony szpitala.

Fala nadzwyczajnie silnych mrozów pozwoliła w końcu na wznowienie, po kilku nieudanych próbach, łączności z bazami zaopatrzeniowymi rozsianymi wzdłuż Usy i Peczory. Zaczęło dochodzić zaopatrzenie i zajaśniały znowu naftowe lampy, przyczyniając się do stworzenia atmosfery trochę mniej grobowej w oddziałach szpitala.

Wspomniałem o nieudanych próbach. Jedna z nich okazała się wybitnie niefortunna, chociaż usprawiedliwiona niecierpliwością *naczalstwa*. Polegała ona na wysłaniu na środek koryta Usy, już pozornie dostatecznie mocno skutego pokrywą lodu, dużego traktora. Pokrywa nie była jednak jeszcze dostatecznie mocna. Lód pękł. Traktor został pochłonięty, wraz z kierowcą, przez bystry i lodowaty prąd rzeki. Zdecydowano wtedy poczekać jeszcze kilka dni. Co okazało się, na szczęście, wystarczające.

Okres ten okazał się raczej płodny jeśli chodzi o nasze przygotowanie „zawodowe”. Uczyliśmy się bowiem robienia zastrzyków dożylnych, będących, ze względu na połączone z nimi pewne ryzyko, domeną zastrzeżoną dla lekarzy. Tych w naszym *sangorodku* było stanowczo za mało, wobec czego zdecydowano wtajemniczyć i nas w arkana tej sztuki. Zaczęliśmy tę naukę próbami na własnej skórze. Bo właśnie przysłano tu nam jakieś nowe preparaty przeciwskorbutowe, których głównym składnikiem była nikotyna, i chciano na nas wypróbować skutki tych zabiegów. Jakoś przeżyliśmy te eksperymenty, stwierdzając, że wrażenie jakie się odnosi podczas takiego zastrzyku jest dość szczególne, bo polega na uczuciu silnego gorąca w odbytnicy, charakterystycznego przy rozwolnieniu. Zdecydowaliśmy, że będziemy kontynuować nasze studia w tej dziedzinie posługując się, jako królikami doświadczalnymi, ruskimi *mużikami*, których rozdęte i twarde żyły były idealnym polem treningowym dla takich „uczniów czarnoksiężnika” jak my początkujący *lepkomi*. Z pewną satysfakcją mogę stwierdzić, że nikt z zainteresowanych nie przeniósł się na tamten świat z powodu embolii powietrznej. Personel 4-go oddziału, do którego ja należałem, nabrał także dużej wprawy w zapuszczaniu sond do żołądka.

Zjawił się właśnie u nas chory, bodajże na jakieś zapalenie błon śluzowych żołądka, któremu każdego ranka, na czczo, trzeba było przepłukać jakimś roztworem zasadowym żołądek. Trwało to kilka miesięcy. I przydało się ogromnie, gdy przysłano nam potem pacjenta odmawiającego, ponoć na tle nerwowym, przyjmowania wszelkiego pożywienia, obojętnie stałego czy też płynnego.

Leżał on przy tym niemy i obojętny na wszystko co go otaczało i co się działo wokół niego, i biernie poddawał się zabiegom sztucznego odżywiania polegającym na wlewaniu mu do żołądka przez sondę wstawioną przez nos, po nałożeniu mu kaftana bezpieczeństwa, litra słodkiego mleka okraszonego porcją świeżego masła.

„Zabawa” ta trwała przez jakieś cztery miesiące aż pewnego pięknego poranka nasz pacjent przemówił i, zwracając się do dyżurnego lekarza, którym był, o ile mnie pamięć nie myli, doktor Melzer, oświadczył: *Zima kanczajetsia, dowolno balowatsja! Wypiszy doktor na kołonnu!* Okazało się, że chodziło mu tylko o przezimowanie. Podziwiałem jego stoicyzm, bo zabiegi którym go poddawaliśmy nie należały do prawdy do przyjemności.

Ponieważ Melzer też był zekiem, a także Europejczykiem, nasz „pomysłowy” pacjent, o ile mi wiadomo, nie poniósł za „wyczyn” żadnej konsekwencji. Oficjalnie po prostu wyzdrowiał ze swojej domniemanej depresji dzięki odpowiedniej kuracji!

Definitywne zamrożenie Usy i związane z tym wznowienie komunikacji między Abezem i resztą rejonu Komi ASSR spowodowało nie tylko dopływ zaopatrzenia, ale także i wiadomości. Tak więc doszła do nas pogłoska o zatonięciu, w czasie jakiejś wyjątkowo silnej burzy, w okolicach Nowej Ziemi, parowca „Stiepan Chałturin” wraz z liczną grupą więźniów. Mieliliśmy więc szczęście podróżować nim do Narien-Maru latem, gdy warunki atmosferyczne na Morzu Białym i na Morzu Barentsa były raczej sprzyjające.

Więści te docierały do nas nie tylko przez nowych pacjentów, ale także przez specjalistów napływających tu dla wykonania przebudowy i rozbudowy naszego szpitala mającego stać się wtedy najważniejszym centrum sanitarnym odcinka Abez-Workuta, na który spędzono ponoć przeszło 160 tysięcy więźniów. Nasycenie siłą roboczą tego 140-kilometrowego odcinka było więc wyjątkowe i świadczyło o wadze, jaką rząd sowiecki słusznie przykładał do wykończenia

tej linii kolejowej mającej połączyć rejon węglowy Workuty i roponośny Uchty z centrum Rosji. No i zaczęły się roboty w wielkim stylu. Pojawiły się materace, poduszki, pościel i bielizna dla chorych. Zainstalowano nawet małą elektrownię i sieć rozdzielczą dla oświetlenia elektrycznego całego *sangorodka*. Pojawiły się nowe strzykawki, termometry i przyrządy chirurgiczne, o których prawdopodobnie nawet szpitalom sowieckim dla wolnych się nie śniło. Apteka-baza zavalona została lekarami, witaminami i materiałem do opatrunków. Wiadomo, w Sowietach NKWD mogło sobie na wszystko pozwolić.

W tym okresie gorączkowych robót i ogólnego podniecenia spowodowanego otwarciem się nowych perspektyw dla naszych łagiernych karier, miałem niemałą satysfakcję przyjęcia na nasz oddział, ni mniej ni więcej, tylko Rjabrancowa i kilku jego godnych kompanów. Wspomniałem już o nim opowiadając jak terroryzowali cały nasz barak na 2-gim łagpunkcie, brutalnie bijąc i odganiając zmarzniętych biedaków, którzy po powrocie z pracy cisnęli się do pieca, aby się nieco ogrzać, przetrzącając kręgosłupy lub łamiąc nogi ciężkim żelaznym pogrzebaczem tym którzy z niedostateczną, według nich, szybkością wypełniali ich rozkazy.

Teraz, zmienieni nie do poznania, stali pokornie w sionce, czekając na wezwanie przez pana *lekpoma*, to jest przez niżej podpisanego. Powodem tej nadzwyczajnej metamorfozy był fakt, że cała ta szajka, po pewnej „wesołej” zabawie z jakąś miejscową wolną dziewczyną lekkich obyczajów, złapała dość ostrą formę syfilisu i, wiedząc że to nie przelewki, zapragnęła się leczyć. Stali się wzorowymi pacjentami i nie protestowali nawet gdy zdecydowaliśmy trzymać ich w izolacji od reszty chorych, szpikując ich tylko bismutem i salvarsanem ile wlezie, aby móc jak najprędzej pozbyć się takich „ziółek”.

Życie w środowisku rosyjskim, chociaż nie brakowało tu przedstawicieli i innych nacji, głównie Ukraińców i Uzbeków, doprowadziło do perfekcji mój rosyjski kolokwialny. Mogłem więc sobie pozwolić na długie pogawędki z co ciekawszymi osobnikami podczas długich, 12-stogodzinnych dyżurów, szczególnie nocnych, podczas których w pewnych okresach było mało roboty. Jednym z takich osobników był Ukrainiec, niejaki Reutskij, były lejtnant NKWD, skazany na dziesięć lat na podstawie par. 59 kodeksu karnego RSFSR (czyli rosyjskiego) za... *transportnyj banditizm*. Chodziło o to, że

będąc komendantem kolumny samochodowej „dopuścił” do tego, że ostatnia ciężarówka jego kolumny została najechana przez pociąg na niestrzeżonym skrzyżowaniu toru kolejowego z szosą.

Jako były Gepista dużo widział i dużo wiedział. A ponieważ widocznie stracił nadzieję na wydostanie się z łagrów, chętnie opowiadał mnóstwo ciekawych epizodów z własnej kariery. Na przykład o tym, jak z centralnego więzienia NKWD w Kijowie potajemnie wypuszczono i odstawiono do polskiej granicy, skąd potem przedostał się do Stanów Zjednoczonych, tamtejszego archimandrytę, ratując go w ten sposób przed niechybnym rozstrzelaniem. Albo o tym jak odbywały się operacje mające na celu zwalczanie ukraińskiego nacjonalizmu. Otóż, według jego relacji, masowe aresztowania nie były nigdy przeprowadzane przez oddziały stacjonujące w danym mieście. Operacje otoczone były jak najściślejszą tajemnicą, a zainteresowanych przewożono, z reguły po alarmie nocnym, na lotnisko skąd transportowano ich do wiadomego tylko komendzie celu. Tak więc NKWD z Odessy było przewożone do Charkowa, kijowskie do Odessy, charkowskie do Kijowa itd. Na lotniskach docelowych oczekiwały ich nieliczne grupy operacyjne wyposażone w listy i w adresy osób do zaaresztowania, których członkowie obejmowali dowództwo żołnierzy ze świeżo przybyłych oddziałów przeznaczonych do osłony całej operacji. Dla zabezpieczenia się przed niespodziankami w postaci jakiejś reakcji ludności, inne oddziały przeprowadzały na ulicach i na drogach masowe łapanki, przeważnie wśród ludzi udających się do zakładów pracy. Złapanych pakowano na najbliższych stacjach kolejowych do specjalnie podstawionych pociągów towarowych i wieziono, naturalnie szczelnie zamkniętych, na czczo i palonych pragnieniem, do odległych miejscowości położonych u podnóża Kaukazu, gdzie ich wypuszczano po paru dniach na wolność z poleceniem wracania do domu.

Mimo iż byłem już dość starym łagiernikiem i z niejednego gułagowego pieca chleb jadłem, w zdumienie wprawiło mnie jego opowiadanie o tym, dzięki jakiemu procederowi NKWD było w praktyce panami życia i śmierci, a przede wszystkim wolności i niewoli sowieckich (i niesowieckich) obywateli.

„Rzecz niesłychanie prosta”, tłumaczył mi z rozbrajającym i pobłażliwym uśmiechem Reutskij. „Wyobraź sobie, że ja mam z kimś na pieńku, albo że jakiś kolega poprosił mnie

o tę przysługę. Otóż procedura była bardzo prosta. Zatrzymuję faceta na ulicy i powiadam: Ja z NKWD, proszę za mną. Wprowadzam go do więzienia i powierzam wartownikowi dyżurnemu, za pokwitowaniem przeze mnie podpisanym, które zostaje zawieszane na gwoździu wbitym w ścianę dyżurki. Podczas gdy wartownik odprowadza zatrzymanego do celi, ja, wychodząc, zrywam ten świstek i wyrzucam go do kosza ze śmieciami. Nie było wykluczone że wartownik po paru dniach sobie przypomniał, że to właśnie ja przyprowadziłem tego więźnia, który protestuje, twierdząc że jest Bogu ducha winien. Wtedy pyta się mnie za co go zatrzymałem, bo nie może znaleźć tego papierka, i musi sporządzić nowy. A ja mu powiadam: Czort go wie, już nie pamiętam. Napisz co chcesz. Na przykład przeciw-sowiecka agitacja. Paragraf 58/10. Dziesięć lat murowanych. I facet wsiąkł, bo polityczny i na wolność nigdy nie wyjdzie. *Poniał?*

Drugą ciekawą, a także intratną znajomością był Radik Lapin, moskiewski kasiarz wysokiej rangi. Przysłany w zimie z jakiegoś mniejszego ośrodka, miał przestrzeloną kość lewej ręki między łokciem i ramieniem podczas próby ucieczki z jakiegoś transportu. Rana była paskudna i widoki na wyleczenie, w naszych warunkach, prawie żadne.

Mimo takich smutnych perspektyw Radik Lapin nawet na moment nie wpadał w rozpacz. Wprawił mnie w autentyczne zdumienie gdy, po poznaniu jego *curriculum*, zdałem sobie sprawę z jego niebywalej inteligencji i niewytłumaczalnej wprost erudycji. Postawny, o ładnej rasowej twarzy i miłym sposobie bycia, unikający w rozmowie nagminnej sowieckiej wulgarności, sprawiał wrażenie młodzieńca (miał lat 28) z tzw. dobrej rodziny, a wcale nie *blatnego*, herszta jednej z najniebezpieczniejszych szajek grasujących w Moskwie i będących postrachem kasjerów banków, stacji kolejowych, różnych GUMów i tym podobnych.

Musiał pochodzić naprawdę z jakiegoś dobrego gniazda. Świadczyły o tym rysy jego twarzy, zdecydowanie różne od tych, które można było obserwować na tępych, a często także dzikich pyskach większości sowieckich kmiotów. Z tego co opowiadał wynikało, że mając niecałe pięć lat stracił rodziców, bodajże rozstrzelanych przez CZe-Ka, i przystał wtedy do bandy takich jak on *bezprizornych* małoletnich, zajmujących się kradzieżą i rozbojem, którzy stanowili plagę sowieckiej Rosji specjalnie w pierwszych latach po październikowej rewolucji. Znalazł wtedy opiekuna w osobie starszego

samotnego pana, który okazał się nie tylko troskliwym ojczymem, ale także dobrym pedagogiem. Zorientowawszy się, że mały Radik jest bystry i pojętny, szybko wdrożył go do tajemnic swego fachu, którym było opróżnianie kas bankowych itp. instytucji przechowujących kosztowności. „Pracowali” razem aż do śmierci mentora, która nastąpiła gdy nasz Radik miał już prawie 18 lat i, mając dobry „fach” w ręku, mógł już sam dawać sobie radę.

Można było z nim rozmawiać na dowolne tematy. O filozofii, literaturze nie tylko rosyjskiej, ale i zagranicznej, z polską włącznie, o naukach ścisłych jak matematyka, fizyka, chemia, o architekturze i historii. Był jednym z nielicznych spotkanych przeze mnie w łagrze Rosjan i sowieckich ludzi w ogólności, który wiedział, że w Polsce pracowało się, przed wojną, 8 godzin dziennie, a w soboty mniej. Że każdy obywatel mógł normalnie dostać paszport zagraniczny i pojechać gdzie mu się żywnie podobało. Że istniały ubezpieczenia społeczne. I wiele innych rzeczy, jak na przykład, że w sklepach towary można było kupować bez stania w kolejkach, kompletnie ignorowanych przez przeciętnych obywateli sowieckich hermetycznie odizolowanych od świata i przez lata oślepianych natarczywą i bezczelnie kłamliwą propagandą. Znając jego *curriculum*, z którego wynikało, że nie uczęszczał, przynajmniej regularnie, do szkół, a już na pewno nie do szkół średnich, nie mówiąc już o wyższych, zapytałem go skąd wie tyle rzeczy, które ignorują jego współobywatele teoretycznie bardziej od niego wykształceni.

Wyjaśnił mi, że się myłę sądząc, że się nie kształcił. „Moim uniwersytetem było więzienie, w którym spędziłem, mimo młodego wieku, z powodu mojej profesji, sporo lat. Tam było mi danym obcować z wybitnymi przedstawicielami naszej sowieckiej nauki i inteligencji”. Wyliczył przy okazji dość długą listę profesorów słynnego uniwersytetu moskiewskiego im. Łomonosowa, i nie mniej ważnych uczelni z innych miast Sojuza, którzy widocznie wypadli z łask „wodza pracujących całego świata”, lub narazili się w jakiś sposób władzom NKWD.

Nie miałem najmniejszego powodu do powątpiewania w prawdziwość jego opowiadań, bo dobrze pamiętam, że na barży, która nas wiozła wzdłuż Peczory i Usy, naszymi miłymi sąsiadami byli docenci uniwersytetu leningradzkiego aresztowani przez NKWD podczas czystek 37-go roku. Słuchając jego wyjaśnień myślałem o kolosalnym marnotrawstwie

tak wyjątkowych talentów, jakie spowodowała rewolucja i brutalny, bezgranicznie bezmyślny, system komunistyczny przez nią wprowadzony w tym kraju. I o ogromie strat jakie poniosło z tego powodu ich społeczeństwo, a ostatnio i innych państw, z Polską na czele.

Radik cieszył się w swoim środowisku *blatnych* wielkim autorytetem i poważaniem. Dane mi było przekonać się o tym naocznie w okresie „przednówka”, o którym wspominałem. Komunikacja między ośrodkami naszego okręgu praktycznie nie istniała. Brakowało wszystkiego. Mąki do wypieku chleba i lekarstw dla chorych. Ale, gdy lekarz zalecił Radikowi, który powoli przychodził do siebie, krótkie spacerować na świeżym powietrzu (oczywiście w obrębie zony), i zaszła potrzeba zapewnienia mu, w tym celu, odpowiedniej odzieży i obuwia, których nie posiadał, w ciągu zaledwie trzech dni wszystko zostało dostarczone z odległej o około 300 kilometrów Ust-Usy. Wszystko, to znaczy komplet nowiutkiej bielizny i watowanego ubrania, oraz „walonki”, podbity lisim futrem kubrak i także czapka *uszanka*, jakich nie mieli nawet wolni. Darzył mnie on, nie wiem dlaczego, sporą dozą sympatii. A ponieważ nasza zażyłość granicząca z przyjaźnią, nie uszła uwadze otoczenia, mój prestiż *lekpoma* wzrósł ogromnie, i nie miałem już żadnych kłopotów ze strony *urków*, którzy normalnie, po wyzdrowieniu, hardzieli, i często robili się niebezpieczni. Ten prestiż rozszerzał się automatycznie i na resztę chorych, nie należącą do kategorii *blatnych*, a także i na rosyjski personel obsługi na ogół, z zazdrości, niechętny Polakom, i z tego powodu skłonny do donosów i innych niełojalności. Dlatego też wkrótce paradowałem w eleganckiej cyklistówce *wosmiklinkie*, będącej ostatnim „krzykiem mody” w środowisku *blatnych*. A z nastaniem polarnego lata w czymś w rodzaju wielkiego kapelusza z szerokim rondem z drutu, z którego zwisała siatka ochronna przeciw-komarowa, niezbędna w tych okolicach dla ochrony przed tą plagą jeśli się chciało przebywać na świeżym powietrzu choćby przez parę krótkich chwil. Do dolnego krańca siatki przyszyty był obszerny pas materiału mający uniemożliwić tym nieznosnym owadom penetrację w stronę twarzy od dołu. „Fason” tego arcydzieła, który go odróżniał od normalnych siatek ochronnych, polegał właśnie na tym drucianym rondzie i na tym pasie materiału tak trudnego do zdobycia (ale nie dla *urków*) w naszych łagiernych warunkach.

Ucieczka z naszych oddalonych o przeszło tysiąc kilome-

trów od linii Moskwa-Władywostok łągrów, nie była imprezą łatwą. A jednak niektórym bardziej przedsiębiorczym osobnikom, przeważnie *urkom*, się udawała. Byłem świadkiem powitania jednego z uczestników takiej imprezy przez kolegów-kryminalistów, właśnie w tym okresie w którym rozwinęła się moja zażyłość z Lapinem. Dzięki temu właśnie dowiedziałem się szczegółów bezpośrednio od jednego z uciekinierów. Plan ich był dobrze przemyślany w najdrobniejszych szczegółach. Wykorzystywał on różnice klimatu między zachodnią i wschodnią stroną Uralu, gdzie wiosna zaczynała się, rzecz dziwna, o jakieś dwa tygodnie wcześniej. Zrobiwszy odpowiednie zapasy prowiantu, i wykorzystując fakt, że należeli jako *bytowiki* (to znaczy przestępcy pospolici a nie polityczni) do kategorii tak zwanych *razkonwoirowanych*, wyruszyli we trójkę, na ukradzionych wartownikom nartach, w stronę Uralu, do którego dotarli po paru dniach. Mieli szczęście nie natknąć się na tubylców, pasterzy stad renów, którzy chętnie zatrzymywali zbiegów dla zdobycia puda mąki będącego nagrodą za taki objaw lojalności wobec władz.

Po syberyjskiej stronie Uralu była już wiosna i na rzece Ob ruszyły już lody. Chronili się podczas marszu na południe w domkach i szałasach rybaków i myśliwych jeszcze w tej porze roku nie zamieszkałych, łowiąc ryby i żyjąc z zapasów znajdujących w tych prymitywnych schroniskach, oraz zastawiając sidła na tamtejsze białe kuropatwy i polarne zające. Część drogi przebyli łodziami znalezionymi w pobliżu tych schronisk, wiosłując pod prąd. Po kilkunastu tygodniach dotarli do okolic zamieszkałych i, w końcu, aż do Swierdłowska. Stamtąd zamierzali się przenieść do rdzennej Rosji. Dlatego też udali się na stację kolejową, aby wsiąść *zajcom* (to jest „na gapę”) do jakiegoś pociągu idącego w stronę Moskwy. Bo i o bilety było dość trudno. Sprzedawano je w ograniczonej ilości tylko z miejscówkami, dając pierwszeństwo ludziom mającym rozkaz wyjazdu wystawiony przez upoważnione władze.

Tylko pozornie troszczono się o wygodę pasażerów. W rzeczywistości chodziło o to, że sowieckie władze nie lubiły obywateli szwendających się po kraju, i starały się utrudnić wszelkimi możliwymi sposobami tę niezdrową tendencję pachnącą przywłaszczeniem sobie swobody ruchów, która powinna być wyłącznym przywilejem nomenklatury.

Te metody powodowały, że sowieckie stacje kolejowe były koczowiskami ludzi czekających na pociąg, nierzadko przez kilka dni.

Za łapówkę, lub *po błatu* bilet można było dostać. Brak gotówki nie był dla naszych uciekinierów przeszkodą. Na przepelnionym dworcu zawsze można było, z łatwością, „postarać się” o kilka mniej lub więcej wypchanych portfeli. Ale ponieważ natura ciągnie wilka do lasu, skusiła ich ładna skórzana walizka stojąca, zdawałoby się samotnie, na peronie. Mieli pecha. Bo walizka należała do kapitana NKWD, oficera widać dość sprężystego, który opodał czytał gazetę ubrany w cywilny garnitur. Po krótkim pościgu zostali złapani i osadzeni w miejscowym więzieniu. Jako „fachowcy”, podali naturalnie fałszywe nazwiska. To opóźniło o wiele miesięcy ich identyfikację przez moskiewski *Ugolownyj rozysk*. Potem, etapami, prawie po roku, powrócili na łono „macierzystego” łagru. Skąd, po solidnym, pedagogicznym, pobiciu powędrowali do okręgowego sądu, dla otrzymania „dokładki” do normalnego wyroku, który odsiadawali. Nie zrobiła ona na nich większego wrażenia, bo rozeszła się pogłoska o prawdopodobnej amnestii, dla *bytowików*, z okazji już nie pamiętam jakiej rocznicy.

Zima 1940, przechodziła powoli bez specjalnych wydarzeń. Noce stawały się nieco krótsze. W porze obiadowej zaczęło najpierw świtać w południowej części horyzontu. Z początku przez kilkanaście minut, a potem coraz dłużej, aż wreszcie zza linii horyzontu wyrżał nieśmiało kawałek dysku słońca, widoczny wyłącznie przy pogodzie bezchmurnej, który rychło dawał z powrotem nurka w gęstwinę tajgi. W każdym razie skróciło to prace na trasie przy świetle potężnych reflektorów elektrycznych jarzących się nie tyle po to aby pomagać pracującym niewolnikom ile dla utrudnienia ucieczek, nawiasem mówiąc praktycznie prawie niemożliwych w zimowych warunkach klimatycznych.

Zdawało się, że byliśmy skazani na rutynę i nudy, gdy pewnego marcowego czy też kwietniowego poranka, udając się na dzienny dyżur do mego 4-go oddziału, zauważyłem niezwykle ożywienie w zonie. Uzdrowieńcy ze *Słabkomandy*, robotnicy zatrudnieni w szpitalu, sanitariusze, *lekpomi*, a nawet paru lekarzy, stali grupkami przy ogrodzeniu zony w pobliżu bramy wejściowej i przylegającej do niej wartowni przez którą można było mieć, bez przeszkód i bez narażania się na reakcję *strielków* czuwających na *wyżkach* wzniesionych w rogach prostokątu zony, wygodny wgląd na zewnątrz. Inni biegli w tymże kierunku, wszyscy żywo komentując wydarzenie którego stawaliśmy się świadkami. Widok był rze-

czywiście niezwykle. Wzdłuż budującej się trasy kolei, przebiegającej niedaleko wartowni, maszerowały długie kolumny mężczyzn odzianych w zielonkawę zimowe mundury *krasnoarmiejców*. Niektórzy okryci ich charakterystycznymi długimi szarobrazowymi szynelami lub nawet kożuszkami, w butach z cholewami, a nawet z „walonkami” na nogach. Także nakrycia głów należały do ekwipunku zimowego. Nie musiało jednak chodzić o oddziały wojskowe mające wzmocnić nadzór nad więźniami, czyli należące do tak zwanej Wochry. Bo wlekli się z widocznym wysiłkiem na piechotę wzdłuż zaśnieżonego szlaku torów, bez broni, otoczeni silną eskortą z licznymi psami i wyposażoną, rzecz niepospolita w normalnych *pieresylkach*, nie w zwykłe karabiny najeżone długim trójkątnym rosyjskim bagnietem-szpikulcem, a w ręczną broń automatyczną, to znaczy w sławne „Pepesze”. Nie mieliśmy zielonego pojęcia skąd pochodzili ci więźniowie. Tym, co nas dziwiło nie był sam fakt że chodziło o wojskowych. Było rzeczą dość normalną, że i oni trafiali do GUŁAGu.

Zaskakująca była natomiast liczba tych osobników (kolumny po tysiąc i więcej ludzi) i fakt, że wśród pędzonych na północ w stronę Workuty, oprócz zwykłych szeregowców widać było także sporo podoficerów, a nawet i oficerów i to nawet wyższych stopni. Przechodzili oni tak blisko naszej zony, że mogliśmy bez trudności rozpoznać odznaki ich szarż jeszcze przypięte lub przyszyte do mundurów i płaszczy.

Naturalnie hipotezom starającym się dać jakieś racjonalne wytłumaczenie tego co widzieliśmy nie było końca. Tym bardziej że widowisko to powtarzało się co najmniej przez tydzień nieomal codziennie. Ciekawość nasza wzrosła niepomiernie gdy nasza Wochra raptem zabroniła (widać na rozkaz wydany odgórnie) gromadzenia się przy wartowni i dalszych obserwacji tych procesji. Rozeszły się więc pogłoski o buncie w garnizonach wojskowych okręgu leningradzkiego, i różne inne plotki. Od wolnych i od więźniów mających przepustki na poruszanie się poza zoną dowiedzieliśmy się w końcu że chodziło tu o *wojennoplennych*, czyli o sowieckich jeńców wojennych, zwróconych przez Finlandię po podpisaniu traktatu likwidującego skutki wojny o Wybörg w zimie 1940-go roku. Przyjęliśmy tę wersję z niedowierzaniem, bo przecież chodziło tu o sowieckich obywateli, którzy po walkach w niestęchanie trudnych warunkach klimatycznych i terenowych

(w bezdrożach zaśnieżonej tajgi i wśród setek jezior skutych lodem przez 40-stopniowy mróz) bez odpowiedniego ekwipunku, dostali się do niewoli, i teraz dobrowolnie wracali do ojczyzny, aby powrócić do swoich rodzin. Nie mogliśmy zrozumieć z jakiego powodu mogli się znaleźć w tych okolicach, w charakterze więźniów!

O wojnie sowiecko-fińskiej mieliśmy już pewne wyobrażenie, i to jeszcze z okresu pobytu w Winnicy. Pamiętam rozmowy enkawudzystów na ten temat, którym można się było przysłuchiwać podczas oczekiwania na przesłuchanie przez *sledowatiela*. Byli dość szczerzy w swoich wypowiedziach i nie krępowali się zbytnio naszą obecnością. Na pytanie o sytuację na froncie, zimą 1940 roku, nagabywani koledzy zwykle odpowiadali że „*Naszyje idut' wpieriod*”, ale jednocześnie przekręcali na głowie czapkę tak aby daszek znalazł się, wymownie, na potylicy.

O innych szczegółach dowiedzieliśmy się już w łagrze od weteranów ze zgrozą wspominanej *stoszesztoj (strojki)*, czyli budowy Nr106. Była to ponoć impreza przewyższająca jeśli chodzi o trudności warunków bytu i śmiertelność nawet, rozpoczęte w 1937 roku, zagospodarowanie rejonu Workuty i dorzecza Peczory. *Stoszesztaja* miała na celu wybudowanie odnogi linii kolejowej Leningrad-Murmańsk, kierującej się w stronę granicy fińskiej i położonej nieco na północ od jeziora Ładoga. Decyzję budowy tej odnogi powzięto z pewnością w ostatniej chwili, prawdopodobnie już po rozpoczęciu ofensywy. Miała ona zapewnić zaopatrzenie oddziałów sowieckich posuwających się, z powodu braku odpowiedniego wyposażenia, powoli i niezdarnie na zachód w głąb bezkresnych lasów Karelii, i bezustannie atakowanych przez nieliczne, ale za to niezmiernie ruchliwe, oddziały fińskich narciarzy.

Łatwo jest sobie wyobrazić w jakich warunkach odbywała się praca przy tej budowie. Zima 1940-go roku była wyjątkowo ostra, a pośpiech, powodowany warunkami wojennymi, sprawiał że nie było czasu na budowanie stałych pomieszczeń czy nawet prymitywnych schronisk dla niewolników układających tory linii, która musiała być jak najszybciej oddana do eksploatacji. Biwakowano przeto wzdłuż budującej się trasy przy ogniskach płonących 24 godziny na dobę, i do wyjątków można było zaliczyć posiadanie *pałatki* to jest namiotu, zarezerwowanego przeważnie dla strażników i dla wojskowych. Szałas z gałęzi sosnowych należał do luksusów, a wikt był także raczej spartański, ponieważ wojsko miało pierwszeństwo.

Z tych wszystkich powodów, a także na skutek drakońskiej dyscypliny charakterystycznej dla rejonu przyfrontowego, ilość odmrożeń, nieszczęśliwych wypadków oraz śmiertelność wśród „budowniczych” tej nieszczęsnej *stoszesztoj* były wyjątkowo wysokie nawet w porównaniu do wysokiej przeciętnej łągrów rozsianych po bezmiarze Komi ASSR.

Już po kilku tygodniach dane nam było poznać osobiście wielu z tych *wojennoplennych*, bo zaczęli gromadnie napływać do naszego *sangorodka*, co zresztą normalnie się zdarzało po przybyciu każdego liczniejszego transportu. Kilku dostało się do naszego 4-go oddziału. Pytaniom i opowiadaniom nie było odtąd końca.

Dowiedzieliśmy się więc, że Finowie, prawdopodobnie wiedząc co się święci, nie zmuszali ich do powrotu do „ojczyzny”. Twierdzili ponoć, że Stalin nie będzie ich „głaskał” w razie powrotu, natomiast oni gotowi byli ich zatrudnić przy odbudowie zniszczeń które mimo krótkiego trwania działań wojennych nie były małe. Brzmiało to dosyć dziwnie jeśli się weźmie pod uwagę liczbę (ok. 240 000) żołnierzy sowieckich wziętych do niewoli podczas tej zaledwie kilkumiesięcznej kampanii.

Niewielu z nich niestety posłuchało tej rozsądnej rady! Większość, nie wyłączając oficerów po których należałoby się spodziewać lepszego zorientowania się w sytuacji, zdecydowała się bez wahania na powrót w rodzinne pielesze. Na (nowej) granicy powitano ich z muzyką ale, na wszelki wypadek, ulokowano w obozach przejściowych dla załatwienia formalności i odbycia czegoś w rodzaju kwarantanny. Po paru dniach, pewnego poranka, wyszło szydło z worka! Niespodzianka polegała na tym, że obóz był otoczony przez NKWD, a jego mieszkańcy zostali poprowadzeni do ramp kolejowych gdzie załadowano ich do bydłych wagonów, które ruszyły w stronę GUŁAGu, gdzie przeznaczono ich do pracy na najbardziej północnych i odosobnionych odcinkach budującej się linii Kotłas-Workuta.

Do najbardziej rozgoryczonych i zaszokowanych należał na naszym oddziale chyba Dorfman. Żyd rodem z okolic Mińska, komсомолец i sierżant, który zgłosił się na ochotnika do udziału w tej fińskiej kampanii i został zagarnięty, zanurzony po pas w śniegu wraz ze swoją drużyną, przez narciarski patrol fińskich zwiadowców, nie mógł w żaden sposób pogodzić się ze swoim losem i zrozumieć dlaczego znalazł się za drutami.

Więcej powodów do rozgoryczenia miał, moim zdaniem, Babajew, ukraiński kmiotek z kołchozu położonego gdzieś w okolicach Doniecka. Bo on dostał się do niewoli ranny. Trafiony pod koniec wojny odłamkiem granatu w okolice łopatki i prowizorycznie tylko leczony w fińskim lazarecie przyfrontowym, został zoperowany na oddziale chirurgicznym naszego szpitala w celu wyjęcia ze źle zagojonej rany tego odłamka. Nie było więc wątpliwości co do tego, że nie poszedł do niewoli z własnej inicjatywy.

W naszym oddziale odbywał coś w rodzaju rekonwalescencji, potrzebnej przy osłabieniu pacjenta i przy konsekwentnym powolnym gojeniu się jego pooperacyjnej rany.

Dorfman jako Żyd, komsomolec, i co gorsza ochotnik, nie cieszył się wielką popularnością wśród mieszkańców naszego oddziału. Raczej wprost przeciwnie. Łatwiej było usłyszeć zdecydowane „dobrze ci tak!”. Należy jednak przyznać, że lojalnie przyznawał swoje zdumienie opowiadając o poziomie życia w Finlandii i o przyzwoitym traktowaniu jeńców wojennych w tym kraju. To właśnie było powodem ich zamknięcia za drutami. A także chęć ukrycia niestęchanie niedołnego i niedbałego przygotowania Czerwonej Armii do tej kampanii, nie lepszego od przygotowania armii carskiej do wojny z Japonią w 1905-tym roku, które uważano za zbyteczne, bo Japonię miano wtedy „czapkami zarzucić”. Jasne było że chodziło więc o to aby nie opowiadali tych rzeczy w kraju ogłupionym reżymową propagandą.

Wszyscy ci niefortunni kombatanci boleli nad faktem że władze o nich „zapomniały”. Każdy z nich miał nadzieję, że będzie mógł, w mniej lub bardziej przekonujący sposób, usprawiedliwić swoje dostanie się do niewoli, i że zostanie wkrótce zwolniony.

Ich rozumowanie okazało się jak najbardziej naiwne a wszelkie nadzieje na odzyskanie wolności, płonne. Bo władze o nich bynajmniej nie zapomniały. Przekonali się o tym wkrótce po przybyciu do szpitala, gdy wręczono każdemu z nich, do wiadomości i do podpisania, zawiadomienie o skazaniu za *izmienu rodiny*, czyli za zdradę, na 5 do 8-miu lat łagrów. W myśl zasady głoszącej że *krasnoarmiejec* nie ma prawa się poddać, bez względu na okoliczności w jakich to by się mogło zdarzyć, a powinien raczej bohatercko polec. Dorfman, jako podoficer oberwał 8 lat, i dostał na tę wieść autentycznego ataku histerii. Bogu ducha winnemu Babajewowi zaaplikowano lat 5. Też chyba wystarczających aby mu zrujnować życie. Z

tego zdawał on sobie doskonale sprawę, bo płacząc mówił: „Czemuż nie poległem, zamiast być tylko zranionym? Moja żona być może dostałaby jakąś emeryturę i mogłaby wyżywić naszych dwóch synków! A tak, nie tylko nie dostanie emerytury, ale zostanie na pewno wypędzona z kołchozu jako żona zdrajcy Ojczyzny. I gdzie się oni podzieją?”

Z całego serca współczułem tym biedakom. Także dlatego że doskonale rozumiałem ich rozgoryczenie. Przecież ja sam znajdowałem się w łagrze za chęć walki z hitlerowskimi Niemcami którzy napadli na mój kraj. O czym doskonale wiedzieli bolszewicy, bo wymyślali nam, przy *doprosach*, od pachotków i agentów „faszysty” Sikorskiego. Ja wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o tajnych załącznikach do paktu Mołotow-Ribbentrop, a oni nie przypuszczali że niezdługo przyjdzie im walczyć z ich niewiernym współnikiem.

Chociaż my Polacy byliśmy święcie przekonani że tocząca się wojna światowa wybawi nas w jakiś bliżej nieokreślony sposób z tej niewoli, chwilowo nic nie zapowiadało zmian w naszej sytuacji. Wprost przeciwnie, nasi rosyjscy towarzysze niedoli, nawet ci Polakom przyjaźni, starali się nam wytłumaczyć że dawanie wiary najfantastyczniejszym plotkom rozpowszechnianym przez „zawodowych” optymistów, narazić nas może tylko na rozczarowania osłabiające zdolność przetrwania, i dlatego bardzo szkodliwe dla psychiki łagiernika.

Jedynymi nowościami było przybycie do szpitala mieszkańców krajów nadbałtyckich, to jest Litwy, Łotwy i Estonii, świeżo „wyzwolonych” spod „jarzma kapitalistycznego wyzysku”, oraz, w związku z postępującą przebudową i rozbudową szpitala, kilku wolnych pielęgniarek z Moskwy. Pojawiły się też książki, naturalnie w języku rosyjskim. Nie wiem czy wybór tych ostatnich był podyktowany cynizmem czy też zwykłą bezmyślnością. Trafił mi do rąk pamiętnik Korolenki, pisany naturalnie za carskich czasów, w którym opisuje on swoje zesłanie do już nie pamiętam jakiej miejscowości w północnej Rosji, położonej — o zgrozo — o jakieś 2000 kilometrów na południe od miejsca w którym znajdował się nasz *sangorodok*.

Książka zaopatrzona była naturalnie wielce „pedagogicznym” wstępem w którym informowano czytelnika że prześladowanie władz carskich posuwało się do wymagania melodowania się dwa razy w tygodniu na posterunku żandarmerii (w tym raz w miesiącu w celu odebrania zasiłku na życie, da-

wanego zesłańcom nb. bez obowiązku jakiejkolwiek odpłaty w postaci pracy). Dawanie do czytania takich opowiadań o prześladowaniu „politycznych” za carskich czasów, zakrawało na kpiny, i było oczywiście słusznym obiektem żywych komentarzy ze strony czytelników. Ja w międzyczasie miałem większe zmartwienia. W związku z reorganizacją szpitala i wybudowaniem baraku do którego miał się przenieść oddział chorób płucnych doktora Melzera, zdecydowano zamienić były trzeci oddział w dodatkowy oddział chorób wewnętrznych. Zostałem przydzielony do tego nowo stworzonego oddziału, wraz z Anną Fiedotową, rosyjskim kandydatem na *lekpoma*, złodziejaszkiem z Kurska Krasnikowym i młodą, sympatyczną i niebrzydką *wolniaszkę* dwudziestoletnią Walą świeżo przybyłą z Moskwy, naturalnie komsomolką i ochotniczką.

Miałem wtedy 24 lata. Jest więc chyba w pełni zrozumiiałe, że interesowała mnie więcej niż Anna Fiedotowna, która liczyła sobie co najmniej 45 wiosen, młodziutka Wala, z którą prędko, zresztą zupełnie platonicznie się zaprzyjaźniłem. Nie wziąłem przy tym niestety pod uwagę faktu, że Anna Fiedotowna była od niedawna nieutuloną w żalu „wdową” po doktorze Schulerze, który po zwolnieniu z łagru przeniósł się do odległej o kilkaset kilometrów Kozwy. Ja, niedoświadczony młokos, nie zdałem sobie sprawy z tego że zapal z jakim Anna Fiedotowna popierała moją kandydaturę na stanowisko głównego *lekpoma* nowo formującego się oddziału, nie był bezinteresowny.

Kultywowałem więc spokojnie tę moją, powtarzam czyśto platoniczną (w myśl znanej łagiernej zasady: „*Жыт будiesz, no j... nie zachociesz!*”) przyjaźń i zażyłość z Walą, którą ciekawiły moje opowiadania o świecie dla niej całkowicie nieznanym. Wobec czego zaniedbywała na pewno jej udzielane przestrogi dotyczące stosunków między wolnymi i zekami, szczególnie takimi którzy mogliby być podejrzewani o nielojalność w stosunku od reżimu.

Na skutki tej mojej beztroskiej lekkomyślności nie musiałem zbyt długo czekać. Zacząłem być dość często wzywany do komendantki szpitala, która robiła mi jakieś bezsensowne zarzuty dotyczące mojej pracy, a w końcu ostrzegła mnie przed „prześladowaniem” Wali, z którą ja, jako zek nie powinienem był się poufalić. Obrona moja przed tymi zarzutami musiała być dość przekonująca, albo donosy zbyt grubymi nićmi szyte, bo moje rozmowy z naczelniczką stały

się rzadsze. Nie jest także wykluczone, że ona jako kobieta zorientowała się o co właściwie chodzi. I w duchu przyznała mi rację.

Potwierdził to w pełni mądry Unger, do którego doszły już słuchy o moich kłopotach, pochodzące z dobrego źródła, bo bezpośrednio z kwatery żeńskich *lekpomów* w której mieszkała moja „prześladowczyni”. Poradził mi także abym w miarę możliwości wyszedł naprzeciw jej oczekiwaniom w myśl zasady „Na bezrybiu i rak ryba”, oszczędzając jednocześnie Wali jakichś przykrości na jakie mogłaby być narażona, przez zemstę ze strony zawiedzionej Anny Fiedotowny. Nie zdecydowałem się jednak na rolę łagiernego żigolo. I w dniu 1-go Maja (śnieg w tym dniu osiągnął głębokość 3 metrów, przy 25-ciu stopniach mrozu) prowokacyjnie zastąpiłem Walę na dziennym dyżurze, aby pozwolić jej na udanie się do niedalekiego Abezu na seans kinowy w tamtejszym klubie (oczywiście) dla wolnych. Prowokacja ta mi się raczej opłaciła, bo Anna Fiedotowna od tego dnia zanie mówiła, i zwracała się do mnie jedynie w sprawach ściśle służbowych.

W połowie czerwca ruszyły lody na Usie. Słonko, które zaczęło już dość solidnie przygrzewać, oraz przestało w ogóle zachodzić ograniczając się do obniżania się nad północną częścią horyzontu w środku nocy, z zadziwiającą szybkością topiło śnieg pokrywający tajgę i krzewy oraz mchy tundry. Jednocześnie, często przez topniejącą powłokę śniegu lub cieńsze skorupy lodu przebijały się pospiesznie pędy roślin i kwiatów, jakby wiedziały że polarne lato trwać będzie krótko i przekształci się w zimę już w początku września. Koło szpitala przechodziły stada reniferów, pędzone przez podobnych do Lapończyków tubylców, jeżdżących w saniach ciągniętych przez te bydlęta, posuwających się równie szybko po podmokłych kępach mchów i traw, jak i po jeszcze tu i tam leżących płatach śniegu.

Pojawiły się niestety, także chmury komarów i muszek różnego kalibru, przeważnie wyzwalających się z brył lodu w których skute jakimś dziwnym sposobem przezimowały. Nic na razie nie zwiastowało zmian w naszej sytuacji, wobec czego zaczynałem się zastanawiać nad tym co będę robił po odsiedzeniu wyroku, w wypadku jeżeli nie uda mi się jakimś sposobem uciec z tej piekielnej pułapki jaką, bądź co bądź był zawsze GUŁAG, nawet w cieplarnianych warunkach *sangorodka*.

Aż tu raptem gruchnęła, jak grom z jasnego nieba, wieść o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Wieść ta dotarła do nas z minimalnym, jak na dystans który nas dzielił od teatru tych wypadków, opóźnieniem. 21-czerwca około godziny 8-mej rano przygotowywałem się do zakończenia mego nocnego dyżuru i przekazania oddziału mojemu zastępcy, gdy raptem wpadł do naszej ziemianki, zdyszany i niezwykle podniecony, Iwan Wasiliewicz, z nieodłącznym kociołkiem zawierającym jakiś produkt ostatnio przez niego zrobionej sekcji. Usiadł dla złapania tchu na chwilę na jakimś zydłu, i wykrztusił pąsowy na brodatej twarzy: „*Sigismund Romualdowicz! Germancy Leningrad zaniali!*” Popatrzyłem na niego uważniej, aby zdać sobie sprawę czy przypadkiem nie dobrał się w szpitalnej aptece do baniaka ze spirytusem. Nie wyglądał jednak na pijanego. Po chwili wyjaśnił że wiadomość pochodzi od *strietków* Wochry, którzy słyszeli ją przez radio. I dodał: „*Szasz my domoj pajdiom, a zdiesz bolszewikow przywiezut etu żeleznuju dorogu stroit, ona im nużna!*”.

Ta sensacyjna wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy po całym szpitalu, i stała się przedmiotem rozlicznych, siłą rzeczy ostrożnych komentarzy. Polacy i obywatele polscy innych narodowości, jak Żydzi, Ukraińcy, Białorusini i inni, byli szczególnie podekscytowani, bo słusznie przeczuwali że ta nowość powinna zaważyć na ich dalszych losach. Podobne nadzieje żywili i nadwożañscy Niemcy, „przezornie” ulokowani w GUŁAGu już w 1937-ym roku. Z tych ostatnich dwóch specjalnie utkwilo mi w pamięci: Emil, młody dwudziestokilkuletni przystojny młodzieniec pracujący w kuchni pod kierownictwem kucharza-Koreańczyka pana Nigai i często przez Emila odwiedzany krajan Hans, starszy egzopodarcz ciężko chory na dość złośliwą formę szkorbutu, leżący na naszym oddziale. Muszę przyznać że obaj zachowaniem swoim pełnym godności i postawą korzystnie odróżniali się od większości hołoty wypełniającej piętrowe prycze baraku. Rozmawiałem z nimi przeważnie po niemiecku, trochę aby skorzystać z okazji do odświeżenia sobie znajomości tego języka który znałem dość dobrze, a także w celu usłyszenia ich opinii na temat świeżo wybuchłej wojny, którą mogli w swoim języku wyrażać bez obawy nawet w obecności osób trzecich nie znających niemieckiego.

W toku wojny stałem się nieco ostrożniejszy, jeśli chodziło o posługiwanie się niemieckim, aby nie zostać wziętym za Niemca, bo rozeszły się pogłoski że miano ich skoncentro-

wać w jakimś specjalnym obozie. Tak więc przeszedłem na rosyjski rozmawiając i z nimi. Czego nie wzięli mi za złe, bo i oni przeczornie starali się nie afiszować zbyt swojej niemieckości.

Także muzułmanie, to jest Uzbegy, Kazacy, Turkmeni, Tatarzy, itp., oraz mieszkańcy Kaukazu i, naturalnie, niedawno ujarzmionych krajów bałtyckich nie wydawali się zbyt zmartwieni początkowymi błyskotliwymi sukcesami Niemców, a raczej wprost przeciwnie oczekiwali ich zwycięstwa jak zbawienia. Podobnie zresztą jak i Ukraińcy.

Jeżeli chodziło o rdzennych Rosjan, to można powiedzieć że ich zdania były podzielone. Część podzielała, bez reszty, poglądy Iwana Wasiliewicza i, utożsamiając bolszewicki reżym z ojczyzną myślała tylko o odwecie za doznane krzywdy i poniewierkę. W innych przeważała duma narodowa, a często oportunizm innego rodzaju. Wielu z nich uważało że wojna stworzy im okazję do zaciągnięcia się w szeregi obrońców kraju, i pozwoli w ten sposób wyrwać się ze szponów NKWD i, rehabilitując się, powrócić do normalnego życia.

Wszyscy oni naturalnie się łudzili, bo nie wiedzieli że dla nich to co ich mogło czekać pod panowaniem niemieckim niczym innym by nie było jak przysłowiowym wpadnięciem z deszczu pod rynnę. Prawdę mówiąc nie wiedzieliśmy o tym nawet my Polacy, którzy nie mieliśmy okazji poznania metod hitlerowskich.

Mimo tak doniosłych wydarzeń nasze życie w *sangorodku* nie doznało znaczących wstrząsów. Przechodziły tygodnie, i jedyne nowości dotyczyły zaostrezenia sankcji za próby ucieczek.

Uciekinierom groziła teraz kara śmierci, i było to o tyle „niewygodne” że nie można było uciekać w ziemie jedynie w celu trafienia do więzienia i spędzenia tam kilku miesięcy, nic nie robiąc i otrzymując racje żywności przysługujące w łagrze tylko tym co wyrabiali 100 % normy, w oczekiwaniu rozprawy sądowej na której dostawało się *dobawkę*, czyli dodatkowy wyrok 5-cioletni za usiłowanie ucieczki. Rzecz która była błahostką dla mających odsiedzieć 10, 15 lub zgoła 25 lat!

Robiono też spisy „politycznych”, których ponoć miano usunąć ze stanowisk funkcyjnych i przenieść do obozów położonych w okolicy Workuty, to jest na skraj północy. Zastanawialiśmy się czy my skazani na podstawie paragrafu

80-go, za usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy, należeliśmy do grona „politycznych”, czy też nie. Na ten temat zdania były podzielone nawet wśród „wybitnych” znawców sowieckiego prawodawstwa karnego, których w łagrach nigdy nie brakowało. Według informacji przenikających z administracji szpitala nie byliśmy jednak pod tym względem, przynajmniej chwilowo, brani pod uwagę.

Rzecz okazała się, na szczęście, wkrótce nieistotna, gdyż w pierwszych dniach sierpnia rozeszła się wieść o układzie polsko-sowieckim na mocy postanowień którego polscy obywatele mieli być zwolnieni z łagrów, z prawem wyboru między wstąpieniem do Armii Czerwonej, do mającego się formować w Sowietach Wojska Polskiego, lub podjęciem pracy według własnego fachu w tym kraju.

Tym razem sporządzono naprawdę listy nazwisk, chwilowo nie robiąc różnic między mieszkańcami części Polski okupowanej w 1939 roku przez Niemców i pochodzącymi z rejonów wcielonych do Sowietów. Na nieprzewidywane trudności natknęli się „spryciarze” którzy po aresztowaniu podali się za Niemców w nadziei że ich „wyrzucą” z powrotem za linię demarkacyjną. Okazało się że słuszniejsza była taktyka podania się za obywateli polskich lub, jak wtedy bolszewicy uważali, „byłego państwa polskiego”. Bo i ci co podali się za obywateli sowieckich teraz znaleźli się w opałach identycznych do tych w których znaleźli się ci zaprzający co się podali za „Germanców”.

W *sangorodku* wrzało w tym okresie jak w ulu. Z jednej strony ludzie sowieccy, specjalnie Rosjanie, byli kompletnie zdezorientowani i nie byli w stanie się pogodzić z faktem tego naszego uwolnienia. Tym bardziej, że myśmy zawsze im mówili że nie odsiedzimy naszych wyroków, bo tocząca się wojna nas wyzwoli. Drugim motywem wrzenia był fakt, że po naszym zwolnieniu, *sangorodok* zostawał огоłocony z personelu z takim trudem przygotowanego przez naszą naczelniczkę. Bo przecież około połowy ogólnej liczby *lekpomów*, a także i sanitariuszy, to byli obywatele polscy, Polacy, Żydzi i kilku Ukraińców.

Zaczęliśmy się poważnie obawiać ciemnych intryg mających na celu zatrzymanie nas pod jakimś pretekstem. Dlatego zabraliśmy się z zapałem do szybkiego szkolenia naszych następców, wybieranych spośród naszych pomocników-tubylców uważanych za bardziej rozgarniętych. Być może że naczelniczka nie robiła żadnych kroków mających na celu przeciwi-

działanie naszemu zwolnieniu, lub co najmniej jego opóźnienie. Być może także pamiętała krytyki swego czasu kierowane pod jej adresem, twierdzące że faworyzowała Polaków, dzięki czemu na funkcjach „nie było miejsca dla Rosjan”.

Bardziej prawdopodobne wydaje się twierdzenie że pospiesznie wydane odgórne rozkazy udzielone łagrom rejonu Abezu były dość kategoryczne, i chodziło o wysłanie nas stamtąd przed nastaniem zimy, aby móc wykorzystać transport drogą wodną, to znaczy wzdłuż Usy i Peczory. I nadszedł wreszcie wielki dzień wyjazdu. Nasza grupka licząca około dwudziestu osób, w skład której wchodził Unger, Messer, bracia Mincowie, Judycki, Gardo, Brelis, Wagman, Albrecht, Daszkiewicz, ja i inni, których nazwisk sobie nie przypominam, zebrawszy nieliczne swoje manatki, biegaliśmy po szpitalu aby pożegnać się z kolegami i z przyjaciółmi, oraz z naszą komendantką panią Suriną. Ta ostatnia pożegnała mnie w szczególny sposób, życząc mi pomyślności na nowym etapie życia i prosząc abym zapomniał o wymówkach które mi ostatnio robiła. Zapewniłem ją że już o nich nie pamiętam, i podziękowałem za życzliwość za jaką nas traktowała. Na zakończenie pocałowałem ją w rękę, wrabiając ją na moment w zakłopotanie, bo widocznie nie była przyzwyczajona do takich nieproletariackich objawów szacunku dla niewiast. Szacunku na jaki mimo wszystko w pełni, moim zdaniem, zasługiwała. Jeśli chodzi o Rosjan, to wielu z nich nie trudziło się ukrywać palącej ich zazdrości, chociaż ci którzy siedzieli na mocy wyroków raczej łagodnych za przestępstwa pospolite, a raczej za wykroczenie przeciw surowej dyscyplinie regulującej ich żywot, a także ich pracę, (czyż można nazwać przestępstwem 20-stominutowe spóźnienie się do fabryki spowodowane zepsuciem się autobusu, albo zaśnięcie przy piecu w piekarni, po całodziennym staniu w kolejkach przed sklepami, powodujące przypalenie wypieku?) obiecywali sobie również szybkie uwolnienie, i zaciąganie się w szeregi obrońców ojczyzny. Byli tego specjalnie pewni byli oficerowie Czerwonej Armii, specjalnie ci wyższych stopni sztabowcy, których także, specjalnie po wojnie sowiecko-fińskiej nie brakowało wśród klientów GUŁAGu.

Wbiły mi się specjalnie w pamięć wypowiedzi na ten temat jednego z tych panów, sztabowca, bodajże podpułkownika, leżącego na oddziale chorych na płuca. Był skazany za jakieś nadużycia, prawdopodobnie kradł w granicach dozwolonych generałowi, będąc jedynie podpułkownikiem! Twier-

dził, że chodziło o kalumnie jego osobistych wrogów mających przyjaciół w NKWD. Przypuszczam jednak, że nie miał wielkich skrupułów jeśli chodziło o użycie publicznych funduszy na cele prywatne. Zbyt dobrze znał najbardziej ekskluzywne, zarezerwowane dla partyjnych i wojskowych wyższych stopni, miejscowości i lokale, oraz hulanki o których opowiadał z wielką swadą i zbyt szczegółowo aby można to było uważać za przechwałki.

Nie za bardzo zdając sobie sprawę ze swego stanu zdrowia, był przekonany że i dla niego wybiła godzina wolności. „*Strana wyższego komsostawa nuždajetsja*” (kraj potrzebuje komendantów wyższej rangi). I wskazując wymownym gestem ogół mieszkańców baraku, dodawał: „*togo skota chwatajet*” (tego bydła nie brakuje)! Ten swoisty stalinowski sposób praktycznego pojmowania koncepcji socjalistycznej demokracji wcale nas nie zaskakiwał, bo był w łagrach na porządku dziennym. A także i w „ich” wolnym świecie, jak było nam dane niezadługo przekonać się na własnej skórze.

Opuściliśmy nasz gościnny *sangorodok* około południa w towarzystwie kilku żołnierzy Wochry (tym razem bez karabinów) i jednego oficera NKWD wiozącego nasze akta osobiste, po dokładnej *prowierce* mającej na celu wyeliminowanie nieupoważnionych do podawania się za Polaków. I udaliśmy się pociągiem kursującym po torach, do których układania i ja się swego czasu nieco przyczyniłem, do odległego o jakieś 15 kilometrów Abezu. Tam załadowano nas na *barzę* już prawie pełną rodaków zwolnionych z okolicznych obozów, wśród których ku mej wielkiej radości zobaczyłem Staśka, a także kilku innych kolegów z którymi tyle miesięcy spędziłem w celi winnickiej *tiurmy*.

Płynęliśmy tym razem wzdłuż rzeki Usy, siedząc przeważnie na pokładzie barki i schodząc pod pokład tylko wtedy gdy z ołowianoszarych chmur, które pokrywały całe niebo zaczynał się przeliczny deszczyk zwiastujący bliski koniec tutejszego północnego lata. Podczas podróży dawano nam dość przyzwoity prowiant składający się z 700 gramów chleba, mięsnych konserw pochodzących z pobliskiej fabryki w Ust-Usa, dwa razy dziennie gorącej zupy lub kaszy gotowanej przez pokładową kuchnię obsługującą załogę holownika i naszych „aniołów stróżów”.

W tych warunkach przyszłość barwiła się na różowo. Toteż tych kilka dni podróży potrzebnych na dotarcie do Ust-Usy, i potem do Kozwy będącej celem naszej podróży,

płynąc pod prąd — rzeką Peczorą, przeleciały nam dość szybko i bez specjalnych emocji. Po przybyciu do celu wysadzono nas na prawy brzeg rzeki gdzie znajdował się rozległy obóz przejściowy i zarząd budowy mostu jeszcze, podobnie jak w Abezie, nie istniejącego, bo budowano dopiero filary. Zakwaterowano nas w jakichś barakach, zapowiadając na następne dni załatwienie formalności związanych z naszym uwolnieniem. Spaliliśmy tam, jak zwykle w łagrze dla niefunkcyjnych, na gołych narach, używając burów jako zagłówek i przykrywając się naszymi „buszlatami”. Obóz był obstawiony przez warty, ale tylko w celu uniemożliwienia pomieszczenia się z nim zeków, głównie kryminalistów, którzy nie mieli być zwolnieni.

Nazajutrz rozpoczęły się formalności. Stawaliśmy pojedynczo przed komisją składającą się z trójki jakichś *upłnomocnionych*, czyli upoważnionych, którzy po sprawdzeniu naszych danych personalnych pytali się czy życzymy sobie zaciągnąć się do Armii Czerwonej, do Wojska Polskiego, czy też *ustroit'sja na kakuju to rabotu* czyli szukać pracy.

Następną fazą było zwracanie rzeczy zarekwirowanych podczas aresztowania, jak zegarki, złote monety, szczyryki, elektryczne latarki itp., oraz wydawanie zaświadczeń czyli *udostowierienji* o zwolnieniu, będących, mimo iż pozbawionych fotografii, czymś w rodzaju dowodów osobistych. Zalecano, dość słusznie, strzec ich jak żrenicy oka, bo na takie papierki byli bardzo łaśni *żulicy* którzy nie cofali się nawet przed zabójstwem dla zdobycia takiego rarytasu pozbawionego fotografii i dającego możliwość rychłego wyjazdu z tego kraju łagrów do rdzennej Rosji.

Zwracanie rzeczy zarekwirowanych niestety nie dotyczyło ani mnie ani Staśka, bo z Winnicy nic nie nadeszło. Być może, że NKWD musiało zbyt szybko uciekać przed Niemcami, myśląc przede wszystkim o własnej skórze. A szkoda! Bo mój paszport zagraniczny i indeks z Politechniki mogły się przydać przy zaciąganiu do wojska!

W każdym razie te operacje zwrotów przeciągały się dość długo, bo enkawudyści siedzący w budkach z których wydawali rzeczy zarekwirowane, co chwilę wyskakiwali z tych kurników, aby namówić petenta do sprzedania zwróconego przedmiotu, specjalnie gdy był to zegarek, wieczne pióro lub pierścionek, rzeczy na które byli bardzo łaśni. Wieczorem tego samego dnia władze zdecydowały zabawić nas agitacyjnym mityngiem w miejscowym klub-teatrze. Wprawdzie w lokalu

nie wystarczyło miejsca dla wszystkich, ale ulokowało się tam co najmniej czterystu, aby wysłuchać hurra-patriotycznych przemówień miejscowych *agit-propów* i panegiryków na cześć „wielkiego Stalina”. To ostatnie przemówienie wygłosił jeden z enkawudystów wyglądający na dość „grubą szyszkę”. Kończyło się ono wezwaniem do wzniesienia trzykrotnego „Urra” na cześć wielkiego wodza, także w podzięcie za odzyskaną wolność. Z przyjemnością mogę stwierdzić że okrzyk ten został wzniesiony tylko przez enkawudystów i wolnych funkcjonariuszy zajmujących dwa pierwsze rzędy krzesel, z których się poderwali. Reszta sali pozostała niema i nie wstała. Po tym cośmy przez te półtora roku przeżyli zażądano od nas za wiele! Musieli to zrozumieć, bo udali że nie zauważyli tej niemej demonstracji.

Oświadczono nam, że nazajutrz mieliśmy być przeprawieni, po pobraniu prowiantu na 18 dni, i jakieś sumy na drobne wydatki, promem na lewy brzeg rzeki gdzie znajdowała się stacja kolei, i miał na nas czekać specjalny pociąg mający nas dowieźć do miejsca przeznaczenia którego nazwy przezornie nie wymieniali, chociaż pogłoski mówiły o jakimś bliżej nieznanym Buzułuku.

Obiecany prowiant rzeczywiście wydano wczesnym rankiem. Był nieoczekiwanie obfity, i można powiedzieć przyzwoity. Chleb, suchary, słonina i sucha kielbasa, cukier i jakaś namiastka herbaty, oraz kilka puszek konserw mięsnych. O pieniądzach jakoś przycichło. Zostałem wobec tego wydelegowany, jako dość biegle władający rosyjskim, do zarządu obozu. Wyruszyłem na tę misję powierzając mój worek z prowiantem opiece kolegów. I jak się okazało zrobiłem bardzo źle! Bo gdy wróciłem na miejsce dowiedziawszy się że forsa zostanie wydana, ze względu na obecność licznych żulików, dopiero przy wsiadaniu do pociągu, nie zastałem nikogo z „opiekunów” mego worka z prowiantem, ani, co gorsze, mego worka! Okazało się że rozpoczęła się przeprawa promem na przeciwny brzeg i oni byli jednymi z pierwszych, którzy ją rozpoczęli. Byłem przekonany, że moim prowiantem zaopiekował się ktoś z naszej grupy, która wysłała mnie na zwiady. Niestety okazało się że się grubo omyliłem. Po dotarciu do pociągu, już na przeciwnym brzegu, okazało się że całe to towarzystwo było rozproszone po różnych wagonach. I że nikt nie miał pojęcia co się stało z moim prowiantem mającym zapewnić mi pożywienie na 18 dni. Niektórzy surowo ganili moją nieostrożność, nazywali mnie „frajerem”,

ale nikt się nie kwapił do okazania mi konkretnej pomocy.

Byłem zrozpaczony, bo tych kilka „czerwońców” (banknotów 10-ciorublowych) z pewnością nie pozwoliłoby mi przeżyć 18 dni podróży! I gdy tak suszyłem sobie głowę moim niespodziewanym problemem, podeszli do mnie bracia Minc, ci sanitariusze z „mego” *sangorodka* o których już wspominałem. „Panie Chmielewski, niech się pan nie przejmuj! Tam gdzie jest prowiant dla dwóch osób i trzy osoby będą mogły przeżyć tych kilka dni podróży. Niech pan wsiada do naszego wagonu, i jakoś sobie damy radę!”

Tak oto, wśród tylu Polaków, jadłem podczas podróży dzięki szczodrośliwości dwóch Żydów. Dopiero idąc za ich przykładem, pewna ilość autentycznych rodaków okazała gotowość do odstąpienia mi części swoich racji żywnościowych.

Podróż odbywała się w dość komfortowych warunkach, bo nasz pociąg składał się wyłącznie z pullmannowskich wagonów noszących na ścianach kiepsko zamalowane litery PKP i napisy Lilpop, Rau & Löwenstein — Warszawa. Nie był specjalnie przepełniony, tak że mogliśmy się dość wygodnie rozlokować do spania na ławkach i na półkach bagażowych. W międzyczasie obserwowaliśmy posępny, spowity w jesienną mgiełkę krajobraz bezkresnej tajgi, który wydawał się jeszcze bardziej ponury z powodu „kapuśniaczku” obficie skrapiającego resztki pustych już i na wpół walących się ziemianek *łagpunktów* rozsianych wzdłuż linii po której jechał, na wszelki wypadek, dość powoli nasz pociąg. Widok ten przywoływał mimo woli to co mi kiedyś powiedział, wskazując na tory budującej się linii kolejowej, jeden z jej „budowniczych”: „*Smotri Sigismund, zdies' pod každoj szpaloj czelowiek leży!*” (Patrz! Tu pod każdym pokładem spoczywa człowiek). Musiało ich tu zginąć tysiące. Nie kosztowało mnie wiele fatygi wierzyć jego słowom! Mało przecież brakowało abym i ja podzielił ich okrutny los. Tym bardziej okrutny i smutny, że o ich zgonie rodzina mogła się dowiedzieć tylko przypadkowo od jakiegoś zwolnionego współwięźnia. NKWD różniło się od GESTAPO i od SS brakiem metodyczności, jeśli chodzi o rejestrację przybytków i „rozchodów” obozów koncentracyjnych. Tu nie przywiązywano wagi do „wybrakowanych”. Zresztą nie mogliby odsyłać prochów zmarłych rodzinom, bo nie praktykowano tu kremacji!

Przez Uchtę, ponoć spore centrum rejonu bogatego w ropę naftową i gaz ziemny, przejechaliśmy w nocy, aby nad

ranem znaleźć się w Kotłasie. Tu postaliśmy kilka godzin nie opuszczając pociągu, bo jego komendant — wyznaczony przed wyjazdem z Koźwy przez bolszewików — podobno jakiś major przyłapany w 1940 roku na „wyzwolonej” Litwie, to nam odradzał mówiąc że pociąg może, przy rosyjskim bałaganie, bez uprzedzenia ruszyć dalej w każdej chwili.

Zastosowaliśmy się do jego zaleceń nie tylko dlatego, że wiedzieliśmy że ma rację, ale także dlatego że Kotłas wyglądał na brudną, biedną, tonącą w błocie prowincjonalną dziurę, po której doprawdy nie sposób było spodziewać się możliwości zrobienia jakichś pożytecznych zakupów. Poza tym padał rżęsiasty deszcz. Ograniczyliśmy się więc do pobrania *kupiatku* (czyli wrzątku) którego naprawdę na stacjach było *skolko ugodno* (to znaczy ile dusza zapagnie), i przygotowawszy sobie sowiecki *ersatz-czaj* pożywialiśmy się zapasami otrzymanymi w Koźwie.

I podczas gdy tak spokojnie pożywialiśmy się czekając na odjazd z Kotłasu, dotarło do nas, po raz pierwszy konkretnie, można powiedzieć namacalnie, echo sowiecko-niemieckiej wojny. Na tor stacji sąsiadujący z tym na którym stał nasz pociąg wtoczył się raptem tak nam dobrze znany konwój złożony z bydłących wagonów z zakratowanymi okienkami, który natychmiast po zatrzymaniu się został obstawiony przez uzbrojoną po zęby eskortę. W rzeczy samej byłby to widok dość normalny w Sowietach, a specjalnie w tym rejonie, gdyby nie jeden szczegół. Pasażerami tego pociągu byli... żołnierze ubrani w szarozielonkawę mundury Wehrmachtu. A więc jeńcy niemieccy, których posyłano tam skąd myśmy, dzięki nim, wracali.

Miny mieli doprawdy niegęste. Ani śladu teutońskiej buty. Nic w tym nie było zresztą dziwnego. Wystarczyło spojrzeć na ich przyodziewek. Niewielu miało płaszcze. Musieli chyba dostać się do niewoli w pierwszych miesiącach wojny. A teraz znajdowaliśmy się w drugiej połowie września, i w dodatku w północnej Rosji. I oni z perspektywą jazdy w okolicie Workuty skąd my właśnie wracaliśmy. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze prawie nic o tym co Niemcy nabroili w Polsce. Odczuwaliśmy jakby pewną instynktowną solidarność z nimi wobec wspólnego prześladowcy: sowieckiego komunisty. Wzbudzali w nas wtedy raczej litość niż nienawiść i chęć odwetu. Zauważyłem, że nie ja jeden żywiłem takie uczucia. Jeden z byłych towarzyszy celi z Winnicy powiedział mi, że zaproponowano mu karierę skoczka spadochronowego, czyli

sowieckiego „cichociemnego”. Odmówił, bo — jak mi się zwierzył — nie był pewien czy po zrzuconiu nie zgłosiłby się do najbliższej placówki niemieckiej, aby zrobić despekt bolszewikom.

Nie jest zresztą żadnym sekretem, że robili to masowo „szczęśliwi obywatele kraju Rad” w pierwszych fazach wojny, i że na tym polegał sekret oszołamiających początkowych zwycięstw Wehrmachtu. Bezgranicznie głupia tępota hitlerowców zmarnowała, na szczęście, tę niebywałą szansę.

Następnym etapem naszej peregrynacji, prawdę mówiąc, trochę w nieznane, był Kirow. Ponieważ już wiadomo było, że Niemcy zbliżali się do Moskwy, jasne było że skierujemy się za Ural. Tu odgłosy wojny stały się jeszcze bardziej wyraźne. Przez stacje przejeżdżały, chyba z wielkim pośpiechem bo się nie zatrzymywały, oddziały wojsk syberyjskich i przerzucanych z dalekiego wschodu. Naliczyliśmy chyba z dziesięć takich transportów w czasie kilkugodzinnego postoju w Kirowie. Prawdziwą jednak sensację wywołało spotkanie naszych „aniołów stróżów” z Winnicy. Byli w komplecie z naszym *korpuśnym* na czele. Siedzieli na workach i drewnianych kuferkach opartych na peronie przy którym zatrzymał się nasz pociąg, kwaśno uśmiechając się na nasz widok, i będąc zmuszeni do wysłuchiwania bezkarnie wypowiadanych przez naszych tyrad o smutnym losie *bieżenców* czyli uciekinierów. Szczupłość ich bagażu świadczyła o pośpiechu z jakim prawdopodobnie ewakuowali Winnicę. Przerzucano ich prawdopodobnie do jakichś miejsc koncentracji, z zamiarem użycia ich do planowanego „przykręcenia śruby”, aby opanować chaos przy którym wokół roilo się od dezterterów, i nastroje były raczej defetystyczne.

Jak przewidywaliśmy pociąg nasz został skierowany w stronę Uralu. Bodajże już następnego dnia wieczorem byliśmy w Swierdłowsku. Olbrzymia stacja jasno oświetlona przez potężne reflektory zamontowane na niebotycznych słupach ze stalowych kratownic. Tu po raz drugi spostrzegliśmy jeńców niemieckich zajętych przenoszeniem długich ciężkich szyn i podkładów, przy pracy, mimo późnej godziny. Nasz polski komendant transportu pobiegł do komendy wojskowej stacji, w celu wykombinowania dla nas kolacji w wojskowej stołówce karmiącej żołnierzy, których mnóstwo kręciło się po peronach. W jednym z nich niosącym kociołek z gorącą zupą rozpoznałem sanitariusza z trzeciego oddziału *sangorodka*, zwolnionego kilka tygodni wcześniej jako nadającego się do służ-

by wojskowej. Był już umundurowany i jechał ze swoim oddziałem w kierunku frontu. Ucieszył się bardzo z tego spotkania, i pożegnał nas bardzo serdecznie, życząc nam powodzenia i... rychłego nowego spotkania w... Berlinie. Był to porządny młody chłopak, w łagrze za jakieś drobne przewinienie i zwolniony kilka miesięcy przed terminem. Nie wiem co się z nim stało, bo moja droga nie powiodła przez Berlin. Jego kolega, jakiś młody kołchoźnik był nastrojony mniej hurra-patriotycznie. Obejrzawszy się przezornie dookoła, i upewniwszy się że ma do czynienia z cudzoziemcami świeżo wypuszczonymi z łagru oraz że jego kompan na pewno go nie słyszy, powiedział mi ściszym głosem: „Mnie tam do tego Berlina się nie spieszy. Za co mam się bić? Za ten żywot pełen pracy i nędzy? Ja już się dobrze rozpytałem mego dziadka, który brał udział w pierwszej wojnie światowej, jak trzeba się zachowywać aby jak najszybciej *popast' w plen* (dostać się do niewoli)”. Nasz komendant nic nie wskórał w stołówce, bo ta była przeładowana pracą, ponieważ Swierdłowski leżał na trasie linii transsyberyjskiej, wzdłuż której bolszewicy ścigali oddziały spieszące na front zagrożonej Moskwy. Poradzono postarać się o gorącą strawę w „pobliskim” (jak na rosyjskie stosunki) Czelabińsku.

Do tego ostatniego dobrnęliśmy dopiero następnego popołudnia. Tym razem starania naszego komendanta uwieńczone zostały pełnym sukcesem. Potraktowano nas jako rekrutów mających być wcielonymi do sojuszniczej Armii Polskiej, i wpuszczono nas do ogromnej stołówki. W tej ostatniej kilkuset *krasnoarmiejców* pałaszowało aromatyczny kapuśniak gotowany na mięsie, a wzdłuż stołów kursowały kotły pełne wspaniale ugotowanej gryczanej kaszy. Chleba do tego było *skolko ugodno* czyli bez ograniczeń, byle nie na wynos. Być może z powodu tego że od Koźwy nie jedliśmy żadnego gorącego posiłku, obiad ten smakował nam wyśmienicie. Do dziś wydaje mi się, że nigdy nie jadłem tak dobrze ugotowanej gryczanej kaszy.

Następny nasz postój wypadł w Orsku, gdzie niestety nie było wojskowej stołówki i gdzie zatrzymaliśmy się nie dłużej niż na parę godzin. Zdarzył mi się tam jednak dość symptomatyczny wypadek niezłe charakteryzujący atmosferę panującą, w tych dniach decydujących o losie Moskwy, na tyłach walczącej Czerwonej Armii.

Na pobliskim placu, nie oddzielnym od terenu stacji żadnym ogrodzeniem, siedziało kilka bab z pobliskiego koł-

chozu, usiłujących widocznie coś sprzedać podróżnym. Kilka z nich miało jajka i kawałki sera, a jedna najwidoczniej mleko, bo ścisnęła między kolanami, otulona w obszerny, podejrzanego czystości fartuch i szeroką spódnicę, emaliowany baniak.

Zdecydowałem spróbować szczęścia i zdobyć trochę tego nektaru, aby zużyć nareszcie czerwonce w które zostaliśmy zaopatrzeni przy naszym odjeździe z Koźwy. Wziąłem więc moją puszkę od konserw i, zeskoczywszy z wagonu pomaszerowałem wprost do tej babci, pytając się co trzyma w tym baniaku. Okazało się że się nie pomyliłem. Miała mleko na sprzedaż. Wyraziłem natychmiast zamiar kupienia paru litrów. „A co mi dasz za to?” odpowiedziała babcia. „Nie obawiaj się, mam pieniądze!”, odparłem i, aby ją przekonać, wyciągnąłem z kieszeni garść zmiętych czerwonców. „Te papierki mnie nie interesują” orzekła. „*Skoro zdies' Gitler prijdiet, i my etymi rublami ż... wytirat' budiem! Daj mienja wieszczy. Rubaszku, czutki ili pierczatki!*” (Wkrótce przyjdzie tu Hitler i my tymi rublami będziemy sobie wycierać d...! Daj mi jakieś rzeczy. Koszule, pończochy lub rękawiczki!). Rzecz sama w sobie nie stanowiła sensacji. Wiadomo przecież było, że wielu obywateli sowieckich tak myślało i miało nadzieję, że tak się właśnie wkrótce stanie. Zdumiewający był fakt, że babcia to powiedziała głośno, wcale nie przejmując się obecnością odległego o najwyżej 10 kroków milicjanta, który nie mógł jej słów nie słyszeć, ale mimo to nie zareagował na takie „bluźnierstwa”.

Jakaś stara *rubaszka* się znalazła, tak że my tym razem popijaliśmy fasowane suchary ciepłym mlekiem, które zdołaliśmy podgrzać przy piecu w którym przygotowywano tradycyjny *kipiatok*. Pociąg skierował się potem na zachód, ale zamiast podążyć do niedalekiego już Buzułuku, utknął w Orenburgu i, po dłuższym postoju, skierował się zdecydowanie na południe. Nie bardzo rozumieliśmy co to znaczy. Nikt, nawet komendant pociągu nie był poinformowany o powodach takiej zmiany naszej marszruty. Zagłębiliśmy się w bezkresne stepy Kazachstanu już o zmierzchu, i minęliśmy w nocy Aktiubińsk, przypominając sobie że nasz ojciec był jednym z budowniczych tej kolei i że w domu mieliśmy fotografię przedstawiającą go na wielbłądzie w otoczeniu jakichś Mongołów i mającego głowę okrytą kolosalną baranią czapą. Medytując nad tym zbiegiem okoliczności zasnęliśmy, aby obudzić się w Aralsku gdzie pociąg nasz zatrzymał się obok

zestawu towarowego stojącego na sąsiednim torze, złożonego prawie wyłącznie z wagonów chłodni, czyli tak zwanych *ledników*. Z drugiej strony pociągu, poprzez stację można było dojrzeć w oddali taflę wód aralskiego jeziora, która zaczynała być ozlana promieniami wschodzącego, gdzieś daleko za *lednikami*, słońca. Rychło przestaliśmy podziwiać piękno natury, bo do naszego wagonu zaczęli wchodzić faceci dźwigający pod pachą pachnące melony. Wyskoczyliśmy więc i my żwawo na pasmo żwiru dzielące nasz konwój od zestawu *ledników* i od razu zorientowaliśmy się w sytuacji.

Grupa naszych tłoczyła się koło lekko odsuniętych drzwi jednego z wagonów-chłodni, z którego ciemnej czeluści wychylał się łeb jakiegoś Mongoła, okryty ogromną futrzaną czapą. Mongoł podawał naszym melony i arbuzy wydobywane z pojemników wypełniających wagon, inkasując ruble tak jakby zawartość tego pociągu była jego prywatną własnością. Jak potem mieliśmy okazję wiele razy się przekonać, chodziło tu o zjawisko zupełnie normalne w Sowietach, gdzie inicjatywa prywatna potrafiła zawsze znaleźć odtrutkę na braki inicjatywy państwowej. „Zabawa” ta trwała niestety dość krótko, bo egzotyczny pociąg z melonami, pogwizdawszy ponuro i przeciągle, ruszył wkrótce w kierunku Kujbyszewa który był jego stacją docelową. Zdołałem na szczęście zdobyć kilka melonów i jeden arbuza za czerwonkę którymi pogardzała nasza odważna babcia na stacji w Orsku.

Nie wiem wiele tych arbusów dojechało do celu, to znaczy do Kujbyszewa, gdzie właśnie przenieśli się z Moskwy sowiecki rząd i różne urzędy, oraz ambasady, konsulaty itd. Jestem jednak pewien, że dostali przydziały mniej bogate niż przewidziano. Czym my bynajmniej się nie przejmowaliśmy gasząc pragnienie soczystymi klinami arbusów. Pociąg nasz pędził dalej na południe. Mijaliśmy coraz częściej transporty z wojskiem oraz pociągi złożone z cystern wiozących produkty naftowe, prawdopodobnie przeprawiane przez Morze Kaspijskie z Baku do Krasnowodzka. Zestawy te ciągnięte były przez potężne lokomotywy typu FD (Feliks Dzierżyński) często obsługiwane, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, przez kobiety, umorusane Horpyny o potężnych bicepsach, do wszystkiego podobne z wyjątkiem kobiet. Parowozy te ozdobione były transparentami z wzniosłymi patriotycznymi hasłami oraz portretami osobistości należących do sowieckiego Olimpu, i wyposażone były na przodzie w galeryjkę ograniczoną małą barierką, na której stał okutany w barani ko-

zuch żołnierz trzymający w rękach karabin z nasadzoną na lufę (nie wiadomo po co) bagnietem, mający prawdopodobnie za zadanie wszczęcie alarmu w wypadku spostrzeżenia jakiejś przeszkody na trasie. Nie musiała to być służba przyjemna, szczególnie w nocy i przy złej pogodzie!

Widzieliśmy też inne typy lokomotyw: „S. Ordżonikidze” i „Stalin”, ten ostatni używany do ciągnięcia pociągów pospiesznych i w ogóle luksusowych (a były i takie, naturalnie nie przeznaczone dla zwykłych śmiertelników).

Po przejechaniu mostu na Syr-Darii, jednej z dwóch rzek wpadających do Jeziora Aralskiego, dotarliśmy do Taszkientu i skierowaliśmy się w stronę Samarkandy. Krajobraz teraz zmienił się o tyle, że step nie był już bezkresny jak w Kazachstanie lecz ograniczony ze strony południowej pasmem wysokich gór wyraźnie rysujących się na horyzoncie i ciągnących się ze wschodu na zachód. Krajobraz nas obchodził raczej mało. Natomiast zastanawiający był fakt że poruszaliśmy się w kierunku granicy perskiej. Czyżby... wieziono nas za granicę? Byliśmy podnieceni na myśl że może tym razem plotkarze i zawodowi optymiści mają rację.

Po Samarkandzie minęliśmy w nocy Bucharę, ojczyznę słynnych dywanów. Nad ranem pociąg jednak stanął na stacji Farab położonej nad brzegiem rzeki Amu-Darii (czyli „rzeki Szalonej”) na której drugim brzegu znajdowało się dość schludne miasteczko Czardzou połączone z Farabem pilnie strzeżonym przez NKWD mostem kolejowym.

Ze stacji przetoczono nas na bocznice prowadzącą wprost do przystani do której były przycumowane barki, nie mniejsze od tych które nas woziły po Peczorze i Usie, już doczepione do statku-holownika. Wszystko wskazywało na to że nasza podróż do Persji, czyli Iranu, została odłożona do lepszych czasów. Co robić? Zdania były podzielone. Jak zwykle w takich wypadkach. Z naszej paczki byłych *sangorodkowców* część, wśród nich Unger i Messer, wpadła na pomysł przechytrzenia bolszewików: „Wsiądziemy na barkę, pobierzemy prowiant, a potem się ulotnimy”. Stasiak przyłączył się do tego punktu widzenia i pomaszerował z nimi do przystani dobrze obstawionej przez NKWD, słusznie przewidującej, że chętnych na nową podróż w nieznanym kierunku nie będzie zbyt wielu.

Ja, korzystając z zamieszania jakie panowało wokół przystani, wolałem dać nurka pod wagony i skierować się do ogromnej stołówki — słusznie nazywającej się „Gigant” poło-

zonej o jakieś kilkadziesiąt metrów od bocznic na której zatrzymał się nasz pociąg, po stronie tego ostatniego przeciwległej stacji Farab. Tłoczyło się tam, przed wejściem do „Giganta” co najmniej parę setek ludzi mających ochotę na talerz gorącej strawy. Byli to przeważnie Rosjanie i sowieccy Żydzi uciekinierzy przed niemiecką nawałą, a także i nieco pasażerów naszego transportu którzy zdecydowali się nie wsiadać na barki.

Wśród nich spotkałem kilku pasażerów wagonu w którym podróżowałem z Kozwy, a wśród nich jednego krawca z Warszawy, który poinformował mnie, że kilku Rosjan byłych zeków, też niedawno zwolnionych z łagrów, mówiło mu o możliwości znalezienia pracy na miejscu z dala od opiekuńczych skrzydeł NKWD. Zdecydowaliśmy zagrać tę kartę. I, jak się później okazało, zrobiliśmy bardzo dobrze, bo ci co wsiedli na barki nie tylko nie dostali prowiantu przed odbiciem od brzegu, ale nie mogli już barki opuścić, bo nie pozwalali już na to wartownicy obstawiający całą przystań. A warunki egzystencji i pracy w republice Karekałpackiej dokąd ich zawieziono, i gdzie zostali zmuszeni przezimować, były wręcz fatalne. W niczym nie lepsze od łagiernych z jakich nas tak wspaniałomyślnie uwolniono.

Tak więc, gdy ja sobie spokojnie spożywałem w „Gigancie” mój z trudem zdobyty kapuśniak z kawałkiem uzbeckiej *lepioszki*, Stasiek odpływał na północ. Mieliliśmy się spotkać znowu dopiero po kilku miesiącach!

Procedura otrzymania zupy w stołówce, normalnie obsługującej miejscowych kolejarzy i sezonowych robotników, była raczej skomplikowana. Po dopchaniu się do kasy gdzie kupowało się talon na chleb i zupę, przy wejściu jakiś facet o wyglądzie zawodowego bandyty wkładał człowiekowi w garść drewnianą łyżkę, malowaną po rusku w pawie oczka, której trzeba było strzec jak źrenicy oka, bo przy wyjściu należało ją „zdać”, po „rytualnym” oblizaniu, wrzucając ją do dużego kosza ulokowanego przy wyjściu i pilnowanego przez barczystego „cerbera”, którego zadaniem było również pilnowanie aby goście nie wynosili talerzy, *klejonek* czyli ceratowych obrusów pokrywających stoły, i innych przedmiotów należących do wyposażenia stołówki.

Nie jestem w stanie zagwarantować, że kosz ze „zdanymi” łyżkami nie był, bezpośrednio po jego wypełnieniu, przedstawiony w pobliżu drzwi wejściowych, bez straty czasu na noszenie go do lokalu gdzie, ponoć, myto talerze.

Nie było czasu ani możliwości zwracać uwagi na takie „detale”, bo w stołówce tłok był niesamowity i, aby móc jeść trzeba było najpierw zdobyć miejsce przy jednym ze stolików przeznaczonych na cztery osoby, uważając aby nie zderzyć się z którąś z kelnerek (czyli *oficjantek*, zwykle dziewczuch o atletycznej budowie) roznoszących, z akrobatyczną zręcznością, w tym ścisku piramidy talerzy z gorącym, dymiącym, wcale nie najgorszym kapuśniakiem albo jeszcze wyższe stosy spiętrzonych pustych już i brudnych talerzy.

Z piekielnego zgiełku stołówki wynurzyliśmy się jeszcze w porę aby widzieć barki oddalające się z naszymi towarzyszami podróży dość szybko z wartkim prądem Amu-Darii.

Było mi dość markotno, bo traciłem po raz drugi towarzystwo Staśka. Ale nie było czasu na takie sentymentalizmy, bo nasi nowi kompani byli zdania że należy niezwłocznie szukać kantoru który miał, według ich informacji, szukać pracowników do jakiejś bliżej nieokreślonej roboty na pobliskiej pustyni.

Obeszliśmy więc szerokim łukiem stację, aby zredukować do minimum możliwość spotkania milicji, pomaszerowaliśmy czymś pośrednim między wiejską drogą a małomiasteczkową ulicą prowadzącą od stacji na południe. Kantor odnaleźliśmy bez trudu. Mieścił się w parterowym domku otoczonym dość dobrze utrzymanym ogródkiem. Okazał się zamknięty. Dozorca, jakiś stary Uzbek poinformował nas, że szef, Nikołaj Wasiliewicz, jest w Czardzou, na przeciwnym brzegu rzeki, gdzie spędza czas w towarzystwie bardzo ważnych osobistości i że nie należy mu przeszkadzać. Poradził spróbować za dwa, trzy dni. Wróciliśmy więc na plac dzielący stację od stołówki „Gigant” i zaczęliśmy obserwować stację i ruch pociągów, aby zorientować się co do możliwości przeprowadzenia się na drugi brzeg Amu-Darii, do Czardzou. Zdałiśmy sobie sprawę, że impreza ta nie należała do łatwych. O tym aby po prostu przejść na piechotę przez most nie było mowy. Jego przyczółki były chronione przez bunkry obsadzone przez silne warty NKWD.

Idea przeprowadzenia się na drugi brzeg Amu-Darii, do Czardzou przyszła mi do głowy po rozmowie z dwoma młodymi Rosjankami ewakuowanymi z Leningradu, które zostały skierowane do jakiejś miejscowej instytucji do pracy jako sekretarki, dla zastąpienia powołanych do wojska. Najwidoczniej szukały towarzystwa nie-uzbeckiego, bo namawiały

mnie gorąco do postarania się o jakąś pracę w Czardzou, gdzie były w stanie zapewnić mi także i mieszkanie. Twierdziły, że ta instytucja w której będą pracować potrzebuje szoferów, i pytały mnie czy potrafię prowadzić samochód. Wtedy przypomniałem sobie, że w Warszawie wyrobiłem sobie prawo jazdy. Co prawda na samochody osobowe a nie na ciężarówki, ale co szkodziło spróbować. Przecież „nie święci garnki lepią!”

Po zbadaniu sytuacji na stacji w Farabie, okazało się że wsiąść do pociągu osobowego nie było imprezą zbyt łatwą. Bo w Sowietach każdy wagon osobowy miał konduktorkę, której jednym z zadań było uniemożliwienie jazdy „na gapę”. Spychały więc zwykle, bez większych ceremonii, wsiadających bez biletów już po ruszeniu pociągu, energicznymi kopniakami ze stopni na ziemię. Poza tym z powodu tego że pociąg odchodzący do Czardzou zaraz po odjeździe z Farabu wyjeżdżał na most, milicja dbała o to aby wszystkie okna i drzwi wagonów były hermetycznie zamknięte na klucz!

Ponieważ o kupnie normalnego biletu nie można było marzyć, jedynym sposobem skorzystania z pociągu było zaczajenie się po przeciwnej stronie stacji i wskoczenie, w ostatniej chwili, na stopnie znajdujące się pod drzwiami, uważając aby nie dać się zepchnąć na ziemię przez kopniaki kontrolerek czyli tak zwanych *proownic*.

Ze stopni należało, gdy pociąg był już w biegu, wdrapać się po żelaznej drabinie na dach, aby rozsunawszy „harmonijki” łączące wagony wśliznąć się do wnętrza wagonu, uważając aby się nie natknąć na rozjuszoną *proownicę* lub, co gorsza, na agenta kolejowej milicji lub enkawudystę. Do Czardzou pociąg jechał chyba mniej niż 10 minut. Dostałem się tam więc bez komplikacji. W kantorze biura wskazanego mi przez sympatyczne Rosjanki powiedziano mi że rzeczywiście potrzebują szoferów, lecz aby mnie przyjąć niezbędne było, ze względu na wyjątkowe czasy wojenne, pozwolenie wydane przez sekretarza miejscowego *Gor-Sowietu*. Z *Gor-Sowietu* odesłano mnie do miejscowego sekretarza partii. Ten szczupły młodzieniec raczej niskiego wzrostu, chyba najwyżej dwudziestokilkuletni, siedział w gabinecie rozparty w okazałym fotelu za obszernym biurkiem, i gładził co chwilę wicherek jasnych włosów sterczący spod nasadzonej na bakier czapki z daszkiem.

Wyglądał na pierwszy rzut oka na łagiernego żulika, z pewną pretensją do sowieckiej elegancji. Bo nosił wcale nieźle

wypucowane kawalerskie buty i krótki, dość dobrze dopasowany do jego figury skórzany kubrak. Pachniał już z daleka „odekolonem”, czyli obśkurną sowiecką wodą kolońską często popijaną przez Rosjan gdy trudno było o wódkę, dzięki czemu nierzadko zdarzało natknąć się na uśpionych na chodnikach pijaków pachnących jak bukiet róż czy też innych kwiatów.

Młodzieniec wysłuchał, z roztargnieniem typowym dla „ważnych” osobistości, za jedną z których na pewno się uważał, moich wyjaśnień. I zapatrzony w sufit zbył mnie zwięźłym: „*Takimi ludmi kak wy NKWD wiedujet*” (osoby takie jak wy należą do kompetencji NKWD), po czym przestał się interesować moją osobą.

Widząc że nic nie wskóram, zdecydowałem wrócić do Farabu i poczekać z moimi kompanami na zjawienie się Nikołaja Wasiliewicza, czyli na zakończenie jego wesółych libacji z naczelnikiem miejscowej milicji i z burmistrzem miasta z którymi na pewno był związany jakimiś ciemnymi wspólnymi interesami.

Po drodze na stację natknąłem się na trzech oficerów NKWD, posuwających się majestatycznie chodnikiem, którego zajmowali całą szerokość. Byli ubrani w eleganckie nowiutkie szynele i każdy z nich niósł skórzaną teczkę pełną widocznie jakichś dokumentów. Rozmawiali półgłosem i kompletnie ignorowali zwykłych śmiertelników przez nich mijanych, którzy usuwali się pokornie na jezdnię aby ich przepuścić. Co zresztą zrobiłem skwapliwie i ja przekonany że od tych panów, którzy takimi osobnikami jak ja *wiedujut*, jest lepiej się trzymać z daleka.

Po paru dniach objazdu się w okolicach stacji Farab i „Giganta” jeden z Rosjan, zainteresowany, tak jak ja i kilku innych Polaków, pracą na pustyni z dala od niedyskretnych oczu i uszu „władz”, zakomunikował nam, że Nikołaj Wasiliewicz pojawił się w swoim kantorze, i jest dostatecznie trzeźwy dla prowadzenia z nim pertraktacji w sprawie zaangażowania nas do pracy.

Udaliśmy się więc do domku w którym mieścił się jego kantor, i szybko ubiliśmy sprawę. Było nas kilkunastu. To jest właśnie tylu ile było potrzeba do sformowania małej brygady mającej udać się na pustynię, położoną na prawym brzegu Amu-Darii i ciągnącej w stronę granicy afgańskiej, w celu zbierania kwiatów pewnych kolczastych krzewów rosnących w dolinkach położonych u stóp piaszczystych pagórków.

Kwiaty te, podobne do kiści kwiatów akacji, lecz nie białe ale różnokolorowe: żółte, niebieskie, czerwone lub błękitne, służyć miały, po wysuszeniu, do preparowania jakiegoś lekarstwa hemostatycznego. Chodziło więc o pracę mającą, w obliczu toczącej się wojny, charakter można powiedzieć strategiczny.

To powodowało że proponowane warunki były, nawet biorąc pod uwagę trudności jakie musieliśmy przezwyciężyć (a chwilowo nie wiedzieliśmy jakie), bardzo zachęcające. Mielśmy otrzymywać prowiant składający się z sucharów, mąki, makaronu, cukierków, cukru, tłuszczu w postaci oleju słonecznikowego, konserw mięsnych, marmolady, warzyw, namiastki herbaty i żytniej kawy. A, na dodatek, za każdy kilogram zdanego wysuszonego „towaru” kilkanaście rubelków „ciepłą rączką”. Na miejsce pracy, to jest na pustynię mieliśmy wyruszyć jak najprędzej, jeszcze tego wieczoru, możliwie natychmiast, bo kantorowi zależało na wykazaniu się patriotyczną gorliwością i, z pewnością, na inkasowaniu przeznaczonych na ten cel funduszy inwestycyjnych.

Proponowane warunki wydawały się nam godziwe. Toteż zaakceptowaliśmy je praktycznie bez namysłu. Tym bardziej, że milicja kolejowa stacji Farab zaczynała się nami zbyt aktywnie interesować, wobec czego wydawało nam się wskazanym zniknąć jak najszybciej z obiegu.

W pośpiechu nie przyszło nam nawet do głowy zapytać się czy przydzielą nam namiot, abyśmy mieli jakieś schronienie na noc lub w razie deszczu. Wzięliśmy po prostu na plecy worki z prowiantem zawierające mąkę, suchary, sól, butelkę oleju, trochę cukru i namiastki herbaty, dwie łopaty i kilka ostrych długich noży, oraz kilkanaście pustych worków na towar i ruszyliśmy bezzwłocznie w drogę.

Brakowało co prawda w tym prowiancie najcenniejszych rzeczy, jak na przykład konserwy mięsne, makaron i warzywa. Nie przejmowaliśmy się tym zbyt, bo miano je nam wkrótce dostać, wraz z resztą potrzebnych worków, przy okazji odbioru pierwszej partii „towaru” przez karawanę wielbłądów prowadzonych przez Uzbeków z pobliskiego kołchozu. Mielśmy zresztą nadzieję, że w warzywa będziemy mogli zaopatrzyć się w okolicznych kołchozach, bo droga którą mieliśmy dojść do miejsca naszej pracy wiła się wzdłuż pól uprawnych rozciągających się koło prawego brzegu rzeki.

Prowadził nas starszy Rosjanin, Iwan Trofimowicz, który już pracował w tej „branży” i znał drogę do rejonu w którym mieliśmy zbierać te kwiaty. Okazało się, że mieliśmy

przed sobą przeszło 15 kilometrów do miejsca w którym należało opuścić żyzną dolinę Amu-Darii, i zagłębić się w płaskowyż na którym rozciąga się pustynia dość podobna do afrykańskiej Sahary. Podczas tego marszu, dość uciążliwego bo byliśmy obciążeni prowiantem, łopatami i workami, przekonaliśmy się, że nasze nadzieje na zaopatrzenie się w warzywa, lub choćby w kartofle, w okolicznych kołchozach były płonne, bo prawie każdy kawałek gruntu uprawnego był zajęty przez plantacje bawełny. A Uzbekom ani się śniło sprzedawać ich skromne zbiory rosnące na małych półkach, pilnie strzeżonych przez wartowników uzbrojonych w dubeltówki.

Dziwiło nas specjalnie, że na polach nie widać było pszenicy, żyta albo kukurydzy. Iwan, który przebywał w tych stronach od dłuższego czasu, wyjaśnił nam że to nie chodziło o przypadek ale o chwyt którym władze sowieckie gwarantowały sobie lojalność tubylców. Wszystko to co mogło służyć do zmielenia na mąkę, a przez to do wypieku chleba (a raczej, tutejszym zwyczajem, placków czyli tak zwanych *lepioszek*) musiało być sprowadzane z Rosji lub Ukrainy. Miało to zapobiec buntom podobnym do tych z lat 30-tych krwawo, i z niemłą fatygą stłumionych przez oddziały dowodzone przez marszałka Budionnego. To właśnie było powodem, że wśród portretów członków *Politbiura* zdobiących stacje i inne budynki publiczne pomijano tu, taktownie, portret Budionnego, organizatora pacyfikacji, która musiała być przeprowadzona z dużą dawką energii, bo na każdym kroku widzieć można było jej ślady w postaci ruin domów i całych wiosek które, widać, nie chciały słyszeć o kolektywizacji.

Były to czasy, w których mogli w tych stronach żyć względnie spokojnie tylko ci mieszkańcy pochodzący z części europejskiej Związku, którzy zamieszkiwali tu od lat. Nie był tolerowany element napływowy. Prędzej czy później był skazany na zagładę ze strony tak zwanych *Basmaczy*, ponoć zbrojonych i podżeganych przez Anglików poprzez Afganistan.

Jakby tam nie było, faktem jest że w kooperatywie kołchozu uprawiającego bawełnę, do którego zaszliśmy w nadziei kupienia czegoś do jedzenia, lub machorki, znaleźliśmy tylko książki, świeżo nadesłane z Rosji! Wśród tych książek ze zdumieniem odkryłem aż dwa egzemplarze kursu maszyn okrętowych. Już po pobieżnym zbadaniu przekonałem się, że były to podręczniki przeznaczone dla szkół technicznych wyższego rzędu, na poziomie naszych Politechnik. Kupiłem pospiesznie jeden egzemplarz, bo drugi właśnie nabył jakiś

Uzbek, oczywiście mało zainteresowany techniką budowy silników okrętowych.

Potrzebował papieru do skręcania papierosów z machorki. Do tego celu papier książki sowieckiej, raczej gruby i złego gatunku, doskonale się nadawał. Być może nie tak jak *Prawda* lub *Izwiestja*, ale na pewno lepiej niż monopolowa cienka bibułka, której zresztą nigdzie nie można było dostać. Główną zaletą książki była jednak jej wyjątkowo niska cena. Należy przyznać, że bolszewicy, dbając o oświatę i jeszcze bardziej o skuteczność propagandy, sprzedawali książki naprawdę za bezcen. Prawdą było, że papier i druk były pośledniego gatunku, ale były dostępne dla wszystkich. Sęk w tym że, jak zwykle, zawodziła organizacja. Książki doprawdy wartościowe trafiały do kołchozów w Uzbekistanie zamieszkałych przez półanalfabetów, dla których były one *kuritielnymi knigami*, a w ośrodkach uniwersyteckich być może ich brakowało.

Podczas postoju w tym kołchozie mój nowy kolega i przyjaciel, malutki i pucułowaty krawiec z Warszawy, o którym już wspomniałem, zbadał pobliski brzeg Amu-Darii i odkrył małą zatoczkę nadającą się, jego zdaniem, do łowienia ryb. Okazało się, że był zapalonym i doświadczonego rybakiem i był wyposażony, jeszcze z łagru, w haczyki i sznurki dostatecznie długie do sporządzenia wędek. Zaproponował więc dłuższy postój aby spróbować szczęścia, bo rzeka ze swoim wartkim prądem wyglądała obiecująco. Ja i Józek, jeden z młodych Polaków naszej grupy który spędził ostatnie dwa lata na zesłaniu w Kazachstanie, i dlatego dość niezłe porozumiewał się z Uzbekami, wyraziliśmy gotowość do asystowania przy połowie ryb.

Zdecydowaliśmy więc we trójkę zostać tu aż do następnego rana, aby o zmierzchu i o świcie poświęcić się rybołówstwu.

Iwan, który uważał się za coś w rodzaju naszego *brygadira* był temu przeciwny i zdecydował kontynuować wraz z resztą towarzystwa marsz do miejsca przeznaczenia. Poradził nam także jak największą ostrożność, bo łowienie ryb na własną rękę było, o czym nie wiedzieliśmy, w Sowietach, jak zresztą prawie wszystko, „surowo zabronione”. Upoważnione do połowu były tylko specjalne kooperatywy. Te ostatnie musiały chyba bardzo źle funkcjonować, bo w kraju tak przebogatym w faunę rzeczną jak Rosja i Syberia nie było mi danym widzieć nic oprócz twardych jak drewno sztokfiszów i łagiernej *treski*. Zakaz łowienia bardzo nas nie przejął. Zdecy-

dowaliśmy zostać, i po wysłuchaniu objaśnień co do dalszej drogi, zabraliśmy się niezwłocznie do dzieła, zaczynając od szukania robaków nadających się na przynętę.

Nasz krawiec i Józek złapali każdy po krótkim czasie sporego suma. Ja jakoś nie miałem szczęścia. Przypisywałem to brakowi doświadczenia. Bo łowiłem ryby pierwszy raz w życiu! Po pewnym czasie poczułem charakterystyczne drżenie trzonka wędki, a natychmiast potem silne szarpnięcie które o mały włos mnie nie ściągnęło ze śliskiego brzegu w bystre i lodowato zimne wody Amu-Darii, której źródła nie od parady położone są u stóp Pamiru!

Zdołałem, na szczęście, złapać jedną ręką gałąź pobliskiego krzaka, dzięki czemu nie wpadłem do wody. Lecz szarpnięcie powtórzyło się ze zdwojoną siłą, i wędka wraz z dość grubym i długim wierzbowym prętem została mi gwałtownie wyrwana z ręki, i znikła w mętnej wodzie rzeki. Sądząc po sile z jaką wędka została porwana, ryba która się skusiła na przynętę niesioną przez haczyk mojej wędki musiała być ogromna. Straciliśmy w ten sposób jeden haczyk i ja, nie mogąc już zajmować się rybołóstwem, postanowiłem przyczynić się w inny sposób do wzbogacenia naszej wieczery.

Po zmierzchu, gdy moi towarzysze rozpalali ognisko i przygotowywali złapane sumy do gotowania, udałem się w pobliże zaobserwowanego jeszcze za dnia kartofliska. Ponieważ obawiałem się, że wartownicy wyposażeni w dubeltówki byli rozstawieni koło tego pola także w nocy, w pewnej odległości od kartofliska przylgnąłem do ziemi i zacząłem się czołgać. Zatrzymałem się dopiero w środku pola, i leżąc na brzuchu zacząłem wygrzebywać z ziemi kartofle, które skrzętnie chowałem pod spiętą paskiem spodni *gimnastiorkę* czyli koszulę.

Gdy już byłem gotów do wycofania się w stronę skraju pola, usłyszałem raptem wyraźny w nocnej ciszy tętent końskich kopyt. Znieruchomiąłem i przylgnąłem do ziemi, starając się stać zupełnie niewidocznym, tym bardziej że zaczął wschodzić księżyc i ułatwił swoją poświatą obserwację ewentualnym strażnikom. A jeździec, którego zbliżanie się na szczęście w porę usłyszałem, był na pewno jednym z nich! Bo zamiast jechać drogą biegnącą z jednego boku kartofliska w stronę pobliskiego kołchozu, zaczął je przecinać po przekątnej. Czułem że się zbliża szybko do miejsca w którym leżałem. Trwając w bezruchu zobaczyłem w pewnej chwili koń-

skie kopyta w pobliżu mojej głowy. Jeździec, Uzbek, dzięki Bogu mnie nie zauważył. Tylko koń okazał się bardziej czujny, bo gdy znalazł się w pobliżu mojej głowy, przestraszył się i dał susa w bok o mały włos nie zrzucając na ziemię jeźdźcę, którego przekleństwa dolatywały do moich uszu coraz ciszej w miarę oddalania się od centrum kartofliska z którego pospiesznie się wyczołgiwałem, aby dołączyć do moich kompanów.

Po sutej wieczery, i po przespaniu się w nadbrzeżnych krzakach, pomaszerowaliśmy o świcie w ślad za resztą z naszej „brygadki”, oddalając się od Amu-Darii i wdrapując się na pobliski płaskowyż na którym rozciągała się prawdziwa pustynia.

Krajobraz, jak okiem sięgnąć, składał się z dolinek otoczonych dość wysokimi wydymami ze szczerozłotego piasku gładkiego lub pokrytego w pobliżu wierzchołków wydym faliistymi płytkimi bruzdami na skutek podmuchów wiatru.

Dno dolinek porośnięte było krzewami, z ich gałęzi zwiślały, o tej porze roku, kiście kwiatów które mieliśmy zbierać i suszyć. Grupę naszych odnaleźliśmy dość łatwo dzięki śladom przez nią pozostawionym na tym absolutnym i idealnie cichym pustkowiu. Biwakowali oni w odległości zaledwie kilku kilometrów od skarpy dzielącej płaskowyż od żyznej doliny Amu-Darii. Gdy dołączyliśmy do nich zajęci byli kopaniem studni dla zapewnienia nam wody do picia, o którą na tej rozległej pustyni nie było tak łatwo. Było to też powodem dla którego nie oddalili się zbyt od doliny rzeki. Na szczęście tym razem dokopaliśmy się do wody już po niespełna dwóch metrach. Często jednak trzeba było kopać otwory dużo głębsze, nawet 4-metrowe, praktycznie bez rezultatu bo woda okazywała się słona i zgoła niezdatna do picia.

Zrozumiałem dlaczego wyposażono nas w łopaty. Były one używane często, bo musieliśmy się co dnia przesuwac z miejsca na miejsce z konieczności szukania nowych plantacji naszych kwiatów, po obskubaniu gałęzi krzewów rosnących w danej dolinie. To co opowiadano o właściwościach hemostatycznych ekstraktów naszego towaru nie musiało być *bluffem*. Prędko stwierdziliśmy, że mimo iż krzewy były kolczaste i skóra na naszych rękach stale poważnie pokiereszowana, strużki krwi sączącej się z zadrapań krzepły po kilku sekundach. Dawało to nam świadomość że wykonujemy pracę społecznie pożyteczną, a to polepszało nasze samopoczucie pod

względem moralnym. Pogoda była bezchmurna i słońko przygrzewało przyczyniając się do szybkiego suszenia naszego towaru który układaliśmy w warstwach mniej więcej 10-ciocentymetrowych na stokach wydmy wystawionych na południe.

Dzięki ładnej pogodzie mogliśmy nocować pod gołym niebem. Wystarczyło rozesać na piasku kilka worków, które zabraliśmy z kantoru i przykryć się *buszlatem* to jest watanym krótkim płaszczem należącym jeszcze do wyposażenia łagiernego. Spało się doskonale w tej pustynnej ciszy. Zasypialiśmy pod firmamentem pełnym spadających gwiazd. A budziły nas nad ranem pogwizdywania ciekawskich i łasych na resztki naszych wieczery chomików lub spaceru po naszych ciałach lisów chętnie na te chomiki polujących. *Menu* nasze było raczej mało urozmaicone, bo składało się zasadniczo z zacierki mącznej okraszonej odrobiną oleju i solą, oraz z placków pieczonych na łopacie trzymanej nad żarem dogasającego ogniska. Opahu dostarczały nam gałęzie tych samych krzewów z których obrywaliśmy kwiaty do suszenia. Było tego w bród. Dzięki czemu nie były problemem noclegi na otwartym powietrzu gdy z postępowaniem jesieni noce stały się coraz chłodniejsze, i nad ranem na dnie studni przez nas wykopywanej przy każdym z tych koczowisk znaleźć można było cienką tafelkę lodu.

Proceder był prosty. Wygladzoną płaszczyznę piasku posypywało się rozżarzonym węglem drzewnym na który nakładało się 20-stocentymetrową górną warstwę piasku. Na tej ostatniej rozkładało się *buszlaty* i spało się pod przykryciem z worków, wystarczającym, bo leżało się jak na piecu w ruskiej izbie. Piasek był ciepły jeszcze z rana!

Nauczył nas tego iście genialnego i jednocześnie prostego systemu Iwan Trofimowicz, który większość swego życia spędził koczując po Sowietach poczynając od wojny domowej w której brał udział jako *Krasnyj Partizan*, i po której zakończeniu zamiast zrobić karierę wykorzystując znajomości z wysoko postawionymi osobistościami jak Budionnyj, Woroszyłow i inni, rozczarowany tym co przyniosła rewolucja zamienił się w bezdomnego włóczęgę, noszącego w wewnętrznej kieszeni podartej marynarki medale otrzymane za rewolucyjne zasługi i papiery poświadczające prawowitość ich noszenia.

Ponieważ czas upływał, a obiecane uzupełnienia należących się nam produktów jakoś nie nadchodziły, postanowiliśmy wykorzystać przybycie karawany Uzbeków z wielbłą-

dami, mającej zabrać pierwszą partię już wysuszonego towaru, aby wystać delegację do kantoru w Farabie, dla wyjaśnienia sytuacji.

Traf chciał, że część towaru nie była jeszcze dostatecznie sucha, wobec czego wystarczyło go zaledwie dla załadowania 5-ciu wielbłądów. Reszta karawany musiała zostać na miejscu przez jakieś parę dni. Z jakiegoś powodu żaden z dwóch Uzbeków, którzy przyprowadzili te wielbłądy nie chciał wracać z częścią tylko karawany do kantoru. I gdy się dowiedzieli, że ja z Józkiem mamy się w każdym razie tam udać, zdecydowali powierzyć tych pięć już objuczonych wielbłądów nam. Ponieważ nigdy w życiu nie pełniłem funkcji luzaka ani nie prowadziłem jucznych bydła, nie chciałem teraz zamieniać się w wielbłądnika. Ponieważ Uzbeki nalegali, przekonał mnie Józek, oświadczając że mi pomoże, bo jako gospodarski syn zna się na rzeczy. Wziąłem więc za uzdę pierwszego wielbłąda, za którym gęsiego maszerowali, prawdę mówiąc bardzo niechętnie, jego czterej towarzysze. Uzbeki pomogli nam „przekonać” wielbłądy o konieczności rozstania się z towarzyszami pozostającymi w koczowisku. Jednocześnie zaklinali nas na wszystkie świętości abyśmy wielbłądów broń Boże nie bili! Aby się od nich nareszcie odczepić, przyrzekliśmy solennie traktować ich bydła w białych rękawiczkach. I ruszyliśmy nareszcie w drogę. Ten marsz nie trwał niestety zbyt długo. Tuż za sąsiednią wydumą, jak tylko koczowisko zniknęło nam z oczu, wielbłąd-przewodnik obejrzał się kilka razy wstecz i ukląkł na piasek, a za nim i czwórka pozostałych. I nie było sposobu na podniesienie ich na nogi. Byłem zrozpaczony a jednocześnie wściekły. Miałem ochotę pokrajać te złośliwe bydlaki na kawałki. Ale w praktyce nie bardzo wiedziałem co robić. Obawiałem się że za chwilę zawrócą do obozu. Radę na ten strajk wielbłądzi znalazł Józek.

Skoczył ku najbliższemu krzakowi mówiąc: „U nas na wsi bydła uparte zachęcało się batem!”. Mówiąc to wyciął solidną gałąź, którą potem dokładnie obstrugał. I stał się cud! Wielbłąd-przewodnik zerwał się na równe nogi ze swoim 350-kilogramowym (!) ładunkiem na grzbiecie. I całe wielbłądzie towarzystwo pomaszerowało żwawo naprzód. Kija nie trzeba było używać. Wystarczył sam jego widok. Doskonale wiedziały do czego służy! Widać Uzbeki też nieźle im skórę garbowali! Nasze wielbłądy zamieniły się od tego momentu w jagniątka. Wspinały się na kolanach na najbardziej

strome zbocza wydł. Tak że dość szybko doszliśmy do doliny Amu-Darii, a wzdłuż tej ostatniej do kantoru w Fara-bie gdzie „zdaliśmy” towar i nasze bydłaki. W kantorze był niestety tylko stróż. Ich *boss*, Nikołaj Wasiliewicz, pojechał „w ważnych sprawach” do Czardzou, i upoważnił stróża do wydania nam prowiantu. Ten ostatni okazał się nad wyraz skromny. Mąka, suchary i parę kilogramów jakiejś nieco stęchłej kaszy. Łatwo było domyśleć się jakie to ważne sprawy załatwiał w Czardzou ze swoimi kumplami. Przepijali po prostu gotówkę otrzymaną ze sprzedaży konserw i innych lepszych produktów. W każdym razie kazał stróżowi zakomunikować nam, że za najwyżej kilka dni uzupełni nasze zaopatrzenie, a także wypłaci nam zaliczkę za wypracowane ilości towaru.

Przenocowaliśmy w domu stróża. Stało się to możliwe, bo rozumiał że nie jesteśmy Rosjanami. Ci ostatni nie byli przyjmowani w domach przeciętnych Uzbeków, nie partyjnych i nie zależnych służbowo od Rosjan. Nie zapomnieli widocznie przez kogo zostali ujarzmieni jeszcze za carskich czasów, i kto odebrał im resztę autonomii i ich pacyfikował w latach 30-tych! Antypatia była wzajemna. Dla przeciętnego ruskiego kmiota, a nawet żulika, tubylcy byli *zwieri* czyli zwierzęta. A ich gazety oburzały się pisząc o pogardliwym stosunku Anglików do dominowanych przez nich narodów w koloniach!

Po naszym powrocie na pustynię pobyliśmy na niej jeszcze jakiś czas, ale nie za długo. Bo pogoda zaczęła się psuć. Wprawdzie nie padał deszcz, ale zaczęły dąć dość silne wiatry. Utrudniało to suszenie zebranych kwiatów i w ogóle życie na pustyni, bo mikroskopijny piasek wypełniał powietrze, penetrował wszędzie, do kociołków w których gotowaliśmy jedzenie, do kieszeni, zasypywał studnie zaopatrujące nas w wodę, zacierał kontury otaczającego nas krajobrazu, czyniąc go nierealnym, i powodował przesuwanie się wydł. Tak że po przebudzeniu wydawało się nam że znajdujemy się w miejscu zupełnie różnym od tego w którym położyliśmy się do snu. Zaczęliśmy więc myśleć o wycofaniu się z tej pozornie intratnej imprezy. Decyzję naszą przyspieszył fakt, że następna karawana, która przybyła aby zabrać nową porcję wysuszonego towaru, nie przywiozła nam obiecanego prowiantu. Tak że zaczęliśmy się żywić plackami z mąki pieczonymi na łopacie trzymanej nad żarem, popijanymi słonąwą wodą z kopanych przez nas, po amatorsku, studni. Do pewne-

go wzbogacenia naszego *menu* przyczyniał się też czasami jakiś mniej ostrożny chomik, dający się złapać w sidła zastawione przez Iwana.

Pewnego dnia zapasy się skończyły, i nie było innej rady jak wycofać się jak najszybciej z pustyni. Nie była to sprawa zbyt prosta, bo chodziło o przemaszerowanie około 20-tu kilometrów na czczo, bez perspektywy na znalezienie czegoś do włożenia do ust po drodze. Bo na polach przydrożnych rosła tylko bawełna, której owoce pełne białych, gorzkich w smaku włókien były absolutnie niejadalne. A w kołchozach nie można było kupić żadnej żywności, bo tej ostatniej ledwo starczało dla ich mieszkańców. W obawie że nasz pracodawca przepije nie tylko nasze racje żywnościowe, ale i nasze płace, zrezygnowaliśmy z możliwości zajęcia się połowem ryb w Amu-Darii i powlekliśmy się resztkami sił do kantoru w Farabie. Tam, naturalnie, nie zastaliśmy gospodarza. Ponoć spał po ostatniej libacji ze swoimi przyjaciółmi. Oświadczyliśmy więc stróżowi że nie ruszymy się stąd dopóki go tu nie sprowadzi, i ulokowaliśmy się w ogródku otaczającym domek w którym mieścił się kantor.

Ponieważ nie jedliśmy od dnia poprzedniego, a w dodatku od rana przemaszerowaliśmy około dwudziestu kilometrów, dosłownie ślanialiśmy się z głodu i zmęczenia. A oczekiwanie na przybycie Nikołaja Wasiliewicza przedłużało się w nieskończoność. Robiło się już ciemnowo a on jakoś się nie pokazywał. Nic więc dziwnego że gdy zauważyliśmy rosnące w ogródku jakieś drzewka których gałązki były obwieszone owocami podobnymi do orzechów lub kasztanów, zaczęliśmy próbować czy były jadalne. Okazały się całkiem niezłe, tylko dziwnie tłuste. To nas nie zraziło i przegryzaliśmy ja aż do nadejścia Nikołaja Wasiliewicza, od którego dowiedzieliśmy się że są to owoce drzewa rycynowego. Skutki tej nieostrożności okazały się wkrótce żałosne. Tym bardziej że byliśmy od dnia poprzedniego na czczo! Dopiero dużo później dowiedziałem się że ryzykowaliśmy także poważne zatrucie. Zaległego prowiantu nie dostaliśmy, tylko dość sówitą zapłatę, bo groziliśmy udaniem się do miejscowego NKWD, z którym także Wasiliewicz wołał nie mieć do czynienia. Zaprowadził nas na kolację do „Giganta” w którym miał naturalne, jako miejscowy *ras*, specjalne chody.

Na nocleg zainstalowaliśmy się w którymś z wagonów towarowych pociągu stojącego na jednej z bocznic położo-

nych około „Giganta” i prowadzących do portu rzecznego z którego nie „skorzystalismy” kilka miesięcy temu po naszym pierwszym przybyciu do Farabu. Okazało się, że wagony towarowe, zaopatrzone nawet w piecyki, zostały świeżo podstawione, aby dać dach nad głową ciżbie uchodźców, przeważnie Żydów, z Ukrainy i z Kaukazu obsiadających jak szarańcza wszystkie miasta i miasteczka Uzbekistanu i wykupujących wszystko co jadalne w miejscowych bazarach.

Miałem i tym razem wyjątkowe szczęście, bo wśród uchodźców znalazło się sporo obywateli polskich, których władze zdecydowały rozproszyc po uzbeckich kolchozach. I potrzebowały Polaka mówiącego biegle po rosyjsku mogącego im pomóc w kontaktach z tymi ludźmi, którzy rosyjskiego przeważnie nie znali i w żadnym razie nie byli na poziomie pozwalającym im na załatwienie nawet najprostszych spraw z miejscową administracją. Ja im się wydałem osobą posiadającą kwalifikacje na to potrzebne. I zostałem dość ważną osobistością, której powierzono funkcję komsomola transportów naszych rodaków (i nie-rodaków) kierowanych na roboty w okolicznych terenach. Mnie w takich wypadkach powierzano dokumenty takich grup, prowiant na drogę itp.

Nie zrezygnowałem z tego powodu i z prywatnej inicjatywy! Dzięki rosyjskim kompanom z *kampanii* pustynnej poznałem Turka pracującego w fabryce monopolu tytoniowego w Samarkandzie, a przez niego Uzbeków uprawiających potajemnie tytoń. Ten ostatni kupowało się w stanie półsurowym, tylko suszony, i mieszało się z machorką monopolową dostarczaną przez Turka. I sprzedawało się po 10 rubli za szklankę, z ogromnym zyskiem. Zbyt towaru był zapewniony, bo na rynku od dawna nie można było dostać papierosów, ani tytoniu, nawet najpośledniejszego gatunku. Wszystko było zarezerwowane dla wojska (i oczywiście dla partyjnych).

Trudność polegała na tym, że po towar trzeba było się udawać do odległej o przeszło 200 kilometrów Samarkandy. Co przy absolutnej niemożności otrzymania legalną drogą biletów zmuszało do awanturniczych podróży „na gapę”, na dachach wagonów lub wewnątrz pociągu, kryjąc się przed *proownicami* i przed milicją a często i przed groźnymi patrolami NKWD. Podróżowanie pociągami towarowymi nie wchodziło w rachubę, bo groziło, w razie złapania na gorącym uczynku, nie „zwykłym” wyrzuceniem z pociągu lecz ska-

zaniem na co najmniej półtora roku więzienia (to jest nowym pobytem w łagrach). Wiadomo było także, że ewentualna eskorta upoważniona była do użycia broni, bez uprzedzenia.

Jeden raz tylko podróżowałem pociągiem towarowym. I to prawie legalnie. Prawie, bo do pociągu towarowego była doczepiona lora wioząca traktor i jakieś żniwiarki do kołchozu położonego gdzieś niedaleko Taszkientu. Maszyn tych pilnowali jeden starszawy Uzbek i Rosjanka w średnim wieku, która zorientowawszy się bez trudu że czekałem na okazję pojechania w tym samym kierunku, przywołała mnie gestem ręki i pomogła mi wdrapać się na lorę.

Podróż była raczej przyjemna, bo zima miała się ku końcowi i w dzień było dość ciepło. Nie trzeba było się ukrywać, i czas schodził na pogawędkach z gościnną Rosjanką o atletycznej budowie, wyraźnie zainteresowaną w zwerbowaniu mnie do pracy w jej kołchozie, gdzie po zmobilizowaniu jej męża została sama wśród Uzbeków jako kierowczyni traktora. Jej propozycja nie wydawała mi się ponętna, bądź to z powodu niepewności co do reakcji władz sowieckich (czytaj: NKWD) wobec mego zainstalowania się w tym kołchozie na „odpowiedzialnym” stanowisku traktorzysty, bądź też z powodu już raczej dojrzałego wieku mojej ewentualnej protektorki.

Toteż, dojechawszy do Samarkandy, ulotniłem się pod jakimś pretekstem i udałem się do mego Turka od którego nabyłem podługowaty worek szczelnie nabity wiadomą mieszanką tytoniu. W międzyczasie pociąg z traktorem zniknął, ku mej wielkiej uldze, ze stacji. Pod wieczór udało mi się wsiąść do osobowego pociągu idącego w stronę Farabu. Niestety, po kilku stacjach zmuszony byłem go opuścić, bo kontrola milicji okazała się bardzo ścisła a ja nie mogłem się narażać na skonfiskowanie mego, z takim trudem zdobytego towaru i straty pieniędzy za niego zapłaconych!

Znalazłem się w ten sposób w środku nocy w szczerym polu, a raczej na stepie. Bo „stacja” na której wysiadłem położona była na zupełnym odludziu i mieściła się w kadłubie jakiegoś starszego wagonu ustawionego bezpośrednio na ziemi. Siedziało tam dwóch czy trzech zaspanych Uzbeków. Chodziło tu o zwykłą „mijankę” dla pociągów jadących w przeciwnie strony wzdłuż tej jednotorowej, mimo swej strategicznej ważności, linii.

Nie pozostawało mi więc nic innego jak czekać. I rzeczywiście po jakiejś godzinie wtoczył się, na tor bliższy ba-

raku stacyjnego, pociąg towarowy idący w stronę Samarkandy. Postój jego zaczął się przedłużać. Oznaczało to, że czekał na pociąg idący w przeciwnym kierunku. Zająłem więc pozycję „strategiczną” przy drugim torze stacji, ze strony przeciwnej barakowi, w miejscu oddalonym od źródeł światła. Nie musiałem długo czekać. Po niespełna kwadransie na drugi tor wjechał pociąg osobowy o bardzo zachęcającym wyglądzie. Wydawał się pusty, chociaż przedziały były rzęsiście oświetlone. Przez okna na wpół przysłonięte przez białe firanki widać było żółte abażury lampek ustawionych na przyokiennych stolikach. Ponieważ pociąg się zatrzymał, nie namyślając się wiele rozsunałem „harmonijki” łączące dwa przylegające do siebie wagony i wśliznąłem się do wnętrza jednego z wagonów. Było tam wyjątkowo czysto i siedzenia przedziałów wyściełane miękkimi poduszkami. Ale pasażerów rzeczywiście nie było! Nie tracąc czasu na medytację nad tym stanem rzeczy, wszedłem do jednego z przedziałów i od razu ulokowałem się pod jednym z rzędów siedzeń, kładąc pod głowę worek z moim tytoniowym „skarbem”. Usłyszałem wkrótce odejście towarowego pociągu, a po jakimś czasie nadejście innego pociągu jadącego w tym samym kierunku. Po czym zasnąłem. Sen mój był raczej niespokojny, prześladowały mnie koszmary. Zbudził mnie w końcu dotkliwy ból w okolicy żeber. Przyszedszy do siebie, stwierdziłem że ktoś kopie mnie czubkami wojskowych butów. Jednocześnie doszły do moich uszu wrzaskliwe nawoływania do wyjścia spod ławy siedzeń. Nie pozostawało nic innego jak usłuchać.

Stałem przed wojskowym patrolem składającym się z podoficera-sierżanta i z dwóch *bojców*, pytających się co robię w tym pociągu przeznaczonym dla *wyższego komsostawa* czyli dla wyższych dowódców wojskowych. Miałem już ochotę odrzec: „Ryby sobie łowię”, gdy uwagę ich przyciągnął mój worek z tytoniem. Zbadawszy jego zawartość, w lot zrozumieli o co chodzi i wyrazili chęć kupna *nieskolkich stakanczykow*. Widząc że nie mają zamiaru mi go skonfiskować (nie ufali zapewne jeden drugiemu) wspaniałomyślnie podarowałem im po dwie szklanki tytoniu na głowę.

To udobruchało ich do reszty. Sierżant wyjaśnił że niestety tym pociągiem nie wolno jechać nieupoważnionym, i że mam szczęście. „Bo gdyby *oni* byli obecni wyrzucilibyśmy ciebie z pociągu w biegu! A tak wysadzimy ciebie na najbliższej mijance”.

Co też się stało, dzięki czemu musiałem czekać na następ-

ny pociąg i wróciłem do Farabu pod wieczór, następnego dnia. Po paru dniach miałem okazję przekonać się, że w Sowietach istnieli jeszcze osobnicy którzy wierzyli w „przykazania” komunistyczne. Zdarzyło mi się raz zaproponować kupno mojej mieszanki kilku młodym, chyba 18-toletnim chłopcom, Rosjanom, udającym się na komisję poborową. Odmówili, bardzo zgorzeleni, popierając odmowę dłuższym „kazaniem” na temat niemoralności spekulacji za jaką uważali moją „prywatną inicjatywę” przeciw brakowi tytoniu na rynku oficjalnym. Nie wdąłem się w dłuższe dyskusje z nimi, bo rozumiałem że miałem do czynienia z komsomolcami gotowymi zadenuncjować mnie milicji. Nie byłem jednak pewien czy chodziło tu o fanatyków, czy też o ludzi bojących się jeden drugiego.

Było rzeczą prawie normalną słyszeć, znajdując się w towarzystwie ludzi sowieckich, dyskursy bardzo „państwowotwórcze” i hurra-patriotyczne wygłaszane gdy było ich kilku, i zdecydowanie negatywne gdy zostawało się tylko z jednym z nich.

Na zapytanie czemu tak się zachowują zwykle odpowiadali, że musieli się liczyć z obecnością „ich”, to znaczy innych obywateli sowieckich, którzy mogliby ich zadenuncjować. Na obiekcje że i ja mógłbym zrobić to samo, odpowiadali niezmiennie i z przekonaniem: „O nie! Ty tego nie zrobisz. Bo ty znając inne życie i po tym co ci nasi zrobili możesz tylko nienawidzić nasz reżym!”. Byli, jednym słowem, z reguły bardziej szczerzy z obcymi niż ze swoimi.

Do moich funkcji oficjalnych należało też, jak już wspomniałem, rozprawienie po Uzbekistanie grup Polaków tu przybyłych po zwolnieniu z miejsc tzw. wolnej zsyłki. Chodziło przeważnie o rodziny chłopów rodem zza Bugu i osadników.

Przy okazji danym mi było nauczyć się sporo o psychologii naszych chłopów. Tak, na przykład, ponieważ prowiant wydawany na podróż zawierał specjalne racje dla dzieci takie jak mleko skondensowane, marmolada, białe suchary i nawet odrobinę masła, pochodzenia zagranicznego, trzeba było pilnować aby te produkty trafiały rzeczywiście do brzuszków dziecięcych! Bo często się zdarzało że zjadał je ojciec pod pretekstem konieczności utrzymania się w dobrej kondycji fizycznej jako głowa rodziny i jej żywiciel. Zdziwiający był fakt, że uznawały to za słuszne matki tych tak bezczelnie krzywdzonych maleństw!

Korzystny dla mnie był fakt, że mogłem podróżować zupełnie legalnie i po odprowadzeniu transportu, zwykle jednego lub dwóch wagonów, miałem bilet powrotny do Farabu. Ułatwiało to ogromnie moje podróże do Samarkandy po tytoń. Pozwalało też na obserwowanie licznych lotnisk które bolszewicy w międzyczasie pobudowali w pobliżu linii kolejowej Taszkient-Samarkanda, na których odbywało się masowe szkolenie pilotów. Wnioskować to było można obserwując typy samolotów dla których stanowiły bazy. Bardzo intensywny był także ruch pociągów towarowych złożonych z cystern wiozących produkty naftowe z pewnością przerzucane przez Morze Kaspijskie z Baku do Krasnowodska.

Tak podróżując i handlując tytoniem doczekałem się, ku mej wielkiej radości, powrotu Staśka z Karakałpakii, to jest znad Jeziora Aralskiego. Dzięki Bogu byłem tego dnia w Farabie i mogłem jego i paru jego kompanów ugościć w moim wagonie który ciągle miałem do dyspozycji jako delegat wyspecjalizowany w wożeniu naszych uchodźców po Uzbekistanie oraz nakarmić w „Gigancie” do którego miałem wstęp zapewniony wraz z moimi pomocnikami. W tym okresie, gdy wszystko zdawało się nam sprzyjać, wciągnięty zostałem w wir niepodziwanej awantury która o mały włos nie skończyła się dla mnie tragicznie, a w każdym razie spowodowała że znowu straciłem z oczu Staśka na prawie rok czasu.

Pewnego dnia trafił mi się znowu polski transport mający być dowieziony do nie pamiętam już jakiej stacji położonej między Samarkandą a Taszkientem. Wyjazd ten był mi wprawdzie trochę nie na rękę, bo nie miałem jeszcze wiadomości od mojego Turka z Samarkandy, i przeszkadzał mi we wzięciu udziału w interesie następczym Staśkowi przez przypadkowo poznanych ex-zeków zajmujących się kradzieżą plastrów miodu w pasiekach okolicznych kołchozów. „Towar” ten był osobliwie chodliwy, wobec braku cukru, i specjalnie poszukiwany przez dobrze wyposażonych w gotówkę Żydów, których co dzień przybywało w miarę penetrowania Niemców w stronę Stalingradu i Kaukazu. Handlowaliśmy tą smakowitą namiastką cukru bez skrupułów, dobrze pamiętając to cośmy przeszli z winy sowieciarzy. Tym razem transport nie był duży, bo składał się tylko z jednego wagonu osobowego który został doczepiony do pociągu osobowego idącego w stronę Taszkientu. Dowieźć i „zdać” ich miałem do stacji położonej blisko miejscowości Le-

ninabad. Po przybyciu na miejsce okazało się, rzecz nierzadka przy sowieckim bałaganie, że tam nic o tym transporcie (składającym się z kilkunastu rodzin i innych włóczęgów zbieranych po drodze) nie wiedzą i ani myślą go przyjąć. Polecili wrócić do Farabu.

Sytuacja była zgoła niewesoła, bo prowiant wydany był na podróż tylko w jedną stronę, a ci którzy odmówili przyjęcia transportu odmówili również i zaopatrzenia nas na drogę powrotną choćby tylko w chleb! Towarzystwo było wygłodniałe, nic więc dziwnego że gdy nad ranem drugiego dnia podróży dotarliśmy do Samarkandy kilku bardziej przedsiębiorczych pasażerów naszego wagonu zdecydowało się wyruszyć na poszukiwanie żywności. Ja spałem gdy to się stało, i obudziłem się dopiero później. W każdym razie w porę aby zobaczyć młodych ludzi taszczących dwa spore worki i cztery bele czegoś opakowanego w szare płótno, na oko dość dobrego gatunku. Okazało się że chodziło o worki pełne mannej kaszy i bele zagranicznego tytoniu dobrego gatunku, z pewnością nie przeznaczonego do sklepów obsługujących zwykłych sowieckich śmiertelników.

„Skarby” te znaleźli ci młodzi ludzie w odpłombowanym wagonie towarowego pociągu, który się zatrzymał obok tego do którego był doczepiony nasz wagon. Radość z tego cennego połowu trwała niestety krótko. Bo po kilku minutach w naszym wagonie zaroilo się od agentów kolejowej milicji. Ci ostatni wybrali wśród nas, na chybił trafił, około dwudziestu kilku pasażerów i, zmuszając ich do niesienia cennego łupu, zaprowadzili wszystkich na posterunek stacyjny gdzie rozpoczęli doraźne śledztwo, przesłuchiwanie i konfrontacje.

Wśród zatrzymanych znajdował się niejaki Krygier. Był to sierżant polskiej policji, chory na biegunkę, który przeszedł przez bardzo ciężkie więzienia i łagry i bał się panicznie bolszewików. Nie wiedziałem wtedy, że obecność tego człowieka wśród zatrzymanych wkrótce zaważy tak poważnie na moich losach.

Przypadło mi w udziale niesienie na posterunek jednej z beli tytoniu, wśród pokrzykiwań milicjantów wyraźnie podnieconych tą niespodziewaną obławą. Byłem jednak zupełnie spokojny. Nie brałem udziału w „imprezie” (tylko dlatego że spałem; miałem też lekką pretensję do jej autorów że mnie w czas nie obudzili!). Miałem przy sobie *udostowierzenie* otrzymane przy zwolnieniu z łagru w Kozwie i dokumenty świadczące, że jestem komendantem transportu.

Okazało się że byłem bardzo naiwny i, jako kryminalista, jeszcze bardzo niedoświadczony! Gdy zostałem wprowadzony do pokoju w którym siedział oficer milicji kolejowej Uzbek i podałem mu spokojnie moje dokumenty, usłyszałem tryumfalny okrzyk: *Wot on sam prosit!*, i bez dalszych ceregieli zostałem odprowadzony na jakieś pobliskie kwadratowe podwórko otoczone wysokim murem.

Wzdłuż jednego z boków podwórka ciągnął się parterowy budynek z zakratowanymi małymi położonymi wysoko okienkami. Nie było trudno domyśleć się, że chodziło o „prztyłek” dla zatrzymanych, czyli areszt. Do wnętrza budynku prowadziły żelazne drzwi znajdujące się w pobliżu jego końca przeciwległego bramie zaopatrzonej w furtkę przez którą wchodziło się na podwórze. Za żelaznymi drzwiami znajdowała się mała sionka, w której siedział klucznik, komunikująca z korytarzem rozciągającym się na całą długość budynku, po obu stronach którego znajdowały się drzwi prowadzące do małych cel obliczonych, sądząc po rozmiarach, na nie więcej niż dwie osoby każda. Ja zostałem wciśnięty do celi nieparzystej, której wejście leżało naprzeciw sionki. Była ona zaopatrzona w obszerną pryczę zajmującą całą jej szerokość i ustawioną przy ścianie zaopatrzonej w zakratowane okienko odległe o jakieś pół metra od jednego z boków muru okalającego podwórko. Cella ta nie była pusta. Patrzyło na mnie, z niechęcią, pięć par oczu ludzi zalegających pryczę, na której musieli mi teraz zrobić nieco miejsca. Towarzystwo było raczej nieciekawe, trzech młodych Rosjan wyglądających na drobnych złodziejasków z których jeden, widocznie w ostatnim stadium gruźlicy, stale pluł krwią, jakiś Uzbek i facet o nieokreślonym wieku i narodowości, chyba Ormianin, wyschły jak mumia i o żółto-ziemistej cerze charakterystycznej dla narkomanów, obojętny na wszystko co się działo wokół niego. Nie było doprawdy do kogo otworzyć ust! Toteż zająłem się przede wszystkim wyegzekwowaniem racji chleba, która mi się należała ponieważ zamknięto mnie jeszcze przed siódmą rano.

Klucznicy byli na ten temat innego zdania. Ale ja nie miałem zamiaru ustąpić, i zacząłem kopać drzwi powodując spory hałas. Grozili mi zamknięciem do „karceru”. Jednak gdy zobaczyli że tego się nie przestraszyłem, znaleźli należną mi kromkę, niestety bardzo niewielką. Ja wiedziałem, na podstawie moich *tiuremnych* doświadczeń, że racja jest po mojej stronie, bo chleb musi być rozdany w przepisowej ilości. A każ-

dy mankament w tej dziedzinie to sprawa gardłowa nawet dla kluczników.

Wychodzenie na codzienne spacerowanie dało mi okazję do stwierdzenia że nie byłem jedynym Polakiem zatrzymanym za domniemane obrabowanie towarowego wagonu z mannej kaszy i perskiego tytoniu. Z pasażerów naszego wagonu siedzieli Moskwa, stary złodziej lwowski, Polkowski, młody syn osadnika (który poległ potem pod Monte Cassino), i dwóch młodych kumpli Moskwy, których nazwisk sobie nie przypominam.

Naturalnie z nimi nie mogłem się porozumiewać, wobec czego nie mogłem się dowiedzieć dlaczego ja i Polkowski zostaliśmy zatrzymani. Moskwa i jego dwaj kumple brali udział w eskapadzie. Upiekło się trzem innym, którzy nie byli zaaresztowani.

W każdym razie nie działo się nic nowego. Zdawało się, że o nas wszystkich zapomniano. I czas leciał przerywany tylko bardzo skąpych posiłkami. Pewnym urozmaicheniem było przybycie pewnego wieczoru nowego „klienta”. Był to jegomość ubrany w mundur *krasnoarmiejski*, pijany i zdrowo poturbowany i pokryty siniakami. Sprawa wyjaśniła się nazajutrz, kiedy się przedstawił. Był to Pawlik Astachow, oficjalnie szewc z miasta Krasnodar a w rzeczywistości *blatnoj*, czyli członek „czcigodnego” cechu złodziei i bandytów bardzo rozgałęzionego w Sowietach. Średniego wzrostu, przystojny, wygadany i o miłym sposobie bycia, nie ukrywał powodów z których dołączono go do naszego „towarzystwa”.

„Widzisz, tłumaczył mi, nie udało mi się wykręcić od mobilizacji. No i skończyło się na tym, że po trzymiesięcznym przeszkoleniu przerzucili nas przez Morze Kaspijskie z Baku do Krasnowodska i wieźli teraz na front w stronę Powołża. Bić się? Za kogo? Za co? O lepsze szczęśliwsze życie dla przyszłego doskonalszego społeczeństwa w którym nie będzie miejsca dla takich wyrzutków jak ja i mnie podobni? Nie ma głupich! Żyje się przecież tylko raz jeden. A poza tym cóż mnie ta Ojczyzna dała poza więzieniem i łagrami?”

„Dlatego też gdy zatrzymaliśmy się tu w Samarkandzie od razu udałem się do bufetu przeznaczonego dla wojskowych w tranzycie, i upiłem się prawie do nieprzytomności. Potem zacząłem demolować bufet i bić się z milicjantami, którzy nadbiegli, aby przywrócić porządek. A moi kumple pojechali. Pewnie już są w Taszkencie. Ja teraz będę miał spra-

wę za chuliganstwo. Wlepią mi jakieś trzy lata. Won do łagru. To dla mnie nie nowina! Przeżyję. A tymczasem wojna się skończy. *Poniali?*” Podziwiałem szczerze jego inwencję i swoistą nieubłaganą żelazną logikę. Był dezterem w czasie wojny nie ryzykując rozstrzelania, które niechybnie groziło mniej pomysłowym za taką imprezę!

Po kilku tygodniach wywołano go na rozprawę sądową. Dostał trzy lata. Jak przewidywał. Za to pod Stalingradem nie walczył. Dowiedzieliśmy się o tym od innego aresztanta, który wrócił z trybunału, bo jego sprawę odroczone.

Zanim nas opuścił zapytał mnie, naturalnie, o powody mojego zaarrestowania. Wysłuchawszy mojego opowiadania, jako doświadczony „specjalista”, nie posiadał się z oburzenia.

„Zasługujesz na więzienie!” orzekł. „Jak można zachować się tak głupio? Przecież w takich wypadkach elementarnymi środkami samoobrony jest jak najszybsze pozbycie się dokumentów, i podanie fałszywego nazwiska! Bo przecież jest oczywiste, że któryś z waszych cię zadenuncjował”. Skrytykował także moje zeznanie na przesłuchaniu. „Powiedziałeś że gdy przyniesli do wagonu kaszę i tytoń leżałeś na górnej pryczy. Też głupio! W takich wypadkach mówi się: *Leżał, spał, ni h... nieznaju!*” Olśniła mnie logika jego argumentacji. Miał świętą rację. Następnym razem na pewno nie popełnię takich kardynalnych błędów!

Po kilku dniach, podczas których miałem okazję asystować przy odbiorze przez narkomana porcji opium dostarczonej mu przez krewnych czy też przyjaciół w bochenku chleba, zjawił się w naszej celi nowy mieszkaniec. Był to 39-cioletni mężczyzna, szczupły, szpakowaty brunet o wyrazistej energicznej twarzy, ubrany w schludnie utrzymany mundur kolejarski. Zachowywał się z godnością i wzbudzał już na pierwszy rzut oka zaufanie i sympatię. Nazywał się Michaił Szwykow (dla mnie wkrótce Miszka) i był zawiadowcą stacji Zijadin odległej o jakieś 50 kilometrów od Samarkandy, w stronę Buchar. Został aresztowany ponoć na skutek czyjegoś donosu, za domniemane usiłowanie kradzieży mienia państwowego.

Ta rzekoma kradzież miała polegać na tym, że stwierdziwszy w jednym z wagonów towarowych stłuczenie się butli z olejem z nasion bawełnianych, kazał osuszyć dno wagonu ścierkami potem wyżymanymi do dużej miednicy. Olej ten, już niezdatny do spożycia, miał zamiar wykorzystać do przyrządzenia farby potrzebnej do odświeżenia ścian maga-

zynu stacyjnego. Operacja ta miała się ku końcowi gdy zjawiono się NKWD i wsadziło go do aresztu. Był prawie pewien, że się z tych opałów wykaraska i, tymczasem, zawarł ze mną przymierze obronne przeciw obecnym w celi *urkom*, którzy od czasu do czasu znowu próbowali podnosić głowy. Poza tym okazał się inteligentnym i poważnym oraz nad wyraz lojalnym towarzyszem niedoli, z którym spędziliśmy wiele godzin na interesujących pogawędkach.

Okazało się, że był to nierzadko w Sowietach spotykany typ *Self mademan'a*. Sierota od niemalże dzieciństwa, potem *Wospitannik Krassnoj Armii* (czyli przygarnięty przez jakiś oddział wojskowy), trafił w końcu do OGPU w którym pełnił służbę przez lat przeszło dziesięć nie dając się, jak miałem przekonać się nieco później, skorumpować. Miał obiektywne i trafne wyobrażenie o świecie zewnętrznym, i wykazywał duże zainteresowanie dla tego co mu o tym świecie byłem w stanie opowiedzieć.

Zegnając się ze mną gdy go wywoływano na rozprawę, powiedział mi krótko: „Sądzę, że jakoś uda mi się wrócić na wolność. Życzę ci żeby i tobie się udało to samo! W takim wypadku nie zapomnij że mnie znajdziesz na stacji Zijadin. Przyjeżdżaj tam jak do swojego domu. Dla ciebie drzwi będą zawsze otwarte!”.

Z jakichś nie bardzo dla mnie zrozumiałych powodów zostałem pewnego poranka przeniesiony do jednej z cel położonych w głębi korytarza. Była ona pozbawiona pryczy czy jakiegoś podobnego legowiska. Za to na kamiennej podłodze leżało pokotem aż sześciu osobników. Ja miałem być siódmym. Tam gdzie miejsca było najwyżej na trzy osoby!

Wikt ciągle się pogarszał, tak że głód nam doskwierał niemiłosiernie. Rano dostawaliśmy cienką, może 200-gramową kromkę czarnego, niedopieczonego chleba i *czaj* czyli miseczkę gorącej wody z jakimś wywarem owocowym. Na obiad i kolację talerz zupy w której pływały plasterki zielonych pomidorów, a czasem kawałek brukwi lub listek kapusty. Tłuszczu ani na lekarstwo. Toteż osłabieni, spędzaliśmy prawie cały czas leżąc na podłodze i śniąc bez przerwy o jedzeniu. Gdy wyprowadzano nas na półgodzinny spacer na podwórzu, ślaniał się i robiło nam się ciemno w oczach, nie tylko z głodu, ale także dlatego że byliśmy oszołomieni świeżym powietrzem po zaduchu celi nigdy nie wietrzonej, bo okno jej było zabite naглуcho. Pewnego dnia około południa usłyszeliśmy jakby głuchy pomruk, i mury naszego

aresztu zdrząły dość solidnie. Było to trzęsienie ziemi, które w zimie 1942-go roku dało się odczuć aż w Rumunii. Żarówka oświetlająca celę, zawieszona na długim kablu, przygasała i poruszała się silnym wahadłowym ruchem. Ciekawe, że jedyną myślą która mi wtedy przeleciała przez głowę było: „teraz te ściany się zawalą, a ja przez ten otwór wyjdę na wolność!” Ani przez chwilę się nie bałem, i nie przyszło mi absolutnie do głowy, że mogłem zginąć pod gruzami tej paskudnej psiarni!

W nowej celi zdarzył mi się też dziwny wypadek, który do dziś wzbudza we mnie podejrzenie, że nie można wykluczyć możliwości przewidzenia przyszłości czyli jasnowiedzenia. Pewnej nocy, już nad ranem, gdy leżałem pogrążony w półśnie usłyszałem zupełnie wyraźne kroki jakiejś osoby idącej w podkutych butach wzdłuż korytarza, i donośny głos wywołujący moje nazwisko. Zerwałem się więc z mego legowiska i podszedłem do drzwi spoglądając na korytarz przez obszernego judasza mającego postać małej drewnianej klapki zasłaniającej kwadratowy otwór wycięty w drzwiach na poziomie twarzy osoby średniego wzrostu. Korytarz, oświetlony żarówką mocniejszą od tej która iluminowała naszą celę, był pusty. I tylko z jego krańca bliskiego drzwi prowadzących na podwórko dolatywały odgłosy chrapania śpiącego spokojnie wartownika. Moje ruchy zbudziły towarzyszy śpiących obok, którzy zaczęli żywo protestować i starali się mnie przekonać że śniłem.

I prawie mnie już byli przekonali, gdyby nie fakt że po jakiejś godzinie scena przeze mnie widziana, nie potrafię powiedzieć czy we śnie czy na jawie, niedługo przed świtem powtórzyła się w identyczny sposób z najdrobniejszymi szczegółami. Tym razem wartownik wyprowadził mnie faktycznie z celi i powiódł do małej kancelarii mieszczącej się w czymś w rodzaju murowanego chlewiku wybudowanego w jednym z narożników podwórza. Oczekiwał mnie tam *sledowatiel*, tym razem enkawudysta, który mi się przedstawił jako... Krassowski (*sic!*), i zachowywał się w bardzo nieprzyjemny sposób, tak że do ostatka nie byłem pewien czy przesłuchanie nie skończy się na bijatyce. W każdym razie dowiedziałem się oficjalnie, że byłem uważany za herszta pięciosobowej szajki, która włamała się do zaplombowanego wagonu w celu kradzieży, w czasie wojny, mienia państwowego, za co groziła nam wszystkim jak najsurowsza kara. Według *sledowatiela* wynikało to z zeznań naszego towarzysza

podróży Krygiera (który prawdopodobnie podał podczas pierwszego przesłuchania, aby odczepić się, kilka nazwisk pasażerów naszego wagonu, które przypadkowo pamiętał).

Śledztwo, na szczęście, na tym się skończyło i zostałem przeniesiony po prawie dwumiesięcznym pobycie w areszcie milicji kolejowej do normalnego więzienia miasta Samarkandy. Tu warunki życia były nieco lepsze. Po dłuższym niemyciu się mogłem nareszcie skorzystać z łaźni i z odwszalni. Cella, chyba obliczona na jakieś czterdzieści osób, wprowadzie także bez prycz czy też łóżek, była dość czysta i jasna, wikt był odrobinę lepszy, i można było otrzymać książki do czytania. Znowu zająłem się lekturą rosyjskich klasyków, głównie poetów: Lermontowa, Puszkina oraz Majakowskiego wśród współczesnych.

Nieprzyjemną stroną sytuacji był fakt, że cella nasza była położona w tak zwanym skrzydle śmierci to znaczy wchodziło się do niej przez drzwi otwierające się na korytarz wzdłuż którego leżały cele w których trzymano więźniów przeznaczonych do egzekucji, położone naprzeciwko długiej ściany w której znajdowały się drzwi dające dostęp do celi naszej. Po kandydatów na „tamten świat” oprawcy przychodzili zwykle w nocy. Słysząc wtedy było stłumione gardłowe okrzyki, odgłosy szamotań się i, zwykle, przekleństwa katów taszczących swoje ofiary do miejsc kaźni sytuowanych prawdopodobnie gdzieś w podziemnych lochach więzienia. Każdego dnia byliśmy w stanie robić bilans tych nocnych wydarzeń, licząc przy wychodzeniu na *progulkę* (czyli regulaminowy spacer) ilość misek stojących przed drzwiami do cel tych nieszczęśników. Nie przyszło mi jednak ani razu do głowy, że i ja byłem wtedy bardzo bliski znalezienia się w ich sytuacji. O tym miałem się przekonać niezadługo!

W oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków obserwowałem życie w naszej celi, które chociaż dość monotonne, nie było pozbawione swego folkloru. Większą część mieszkańców naszej celi stanowili naturalnie Uzbeki drzemający przez większą część dnia na watowanych wielobarwnych kołdrach stanowiących zresztą normalne wyposażenie tutejszych mieszkań. Rosjanie stanowili mniejszość. Niestety wśród nich przeważali *urkowie*, którzy rządzą się w celi jak szare gęsi. Zwracali się do Uzbeków per *zwieri* (zwierzęta!) i starali się zmusić nowoprzybyłych do zajmowania miejsca koło *paraszy* czyli tak zwanego kibla. Starali się zrobić to i ze mną. Ale ja już miałem w moim repertuarze zapas ruskich

obleśnych wymyślań, wystarczający dla wzbudzenia w nich wątpliwości, czy przypadkiem nie należą do mafii *blatnych*. I dali mi spokój. Jeśli chodzi o *blatnych* to pamiętam ciekawy epizod. Wprowadzony do celi pewnego dnia złodziejasek zapewniał że jest *blatnym* i został przyjęty do kącika przy oknie zarezerwowanego dla „uprzywilejowanych”. Niestety (dla niego) po paru dniach jeden z *blatnych* został wywołany na śledztwo, i przy okazji spotkał się z kompanami tego samego pokroju.

Po jego powrocie do celi rozpoczęła się scena tragikomiczna. Nasz domniemany *blatnoy* wyleciał, jak z procy, z przytulnego kącika w stronę *paraszy*, wśród dzikich okrzyków: *kakoj ty blatnoj! Tyz klejonku w stołowej spidil. Tyz blad' kusocznik!* (Jaki tam z ciebie *blatny*! Ty w stołówce ukradłeś obrusik z ceraty! Jesteś tuzinkowym złodziejaskiem). Daleko mu było do poziomu „prawdziwego” kryminalisty! I został z miejsca ukarany banicją w stronę kibla, oraz ignorowaniem ze strony prawdziwej arystokracji łagiernowięziennej.

Chyba następnego dnia drzwi celi się otworzyły aby wpuścić do niej więźnia zgoła niezwykłego. Był to małeć najwyżej sześćioletni. Za to zięjący już najohydniejszymi i plugawymi przekleństwami i wymyślaniami pod adresem strażnika który literalnie wrzucił go do celi.

Widok jego rozbudził w mgnieniu oka ojcowskie uczucia wśród *urków*. *Synok*, *Pacan* go nazywali i uwili mu w ich kąciku gniazdko z watowanej kołdry *ad hoc* odebranej jednemu z Uzbeków, pod groźbą poderżnięcia mu gardła nożem, który Bóg raczy wiedzieć jakim cudem posiadali mimo cotygodniowych rewizji w celi. Ci malcy stanowili na wolności istny dopust Boży, bo byli używani przez bandytów do okradania śpiących w poczekalniach stacyjnych ludzi. Jeśli ktoś ich łąpał na gorącym uczynku i chciał za to ukarać lub tylko odegnąć, momentalnie zjawiał się dorosły bandyta, który stawał w obronie *pacana*, i było dużo lepiej oddać to co chcieli niż wdawać się w bijatykę z całą grupą uzbrojonych w noże i brzytwy *urków*. *Pacan* nie zagrzał długo miejsca w naszej celi, bo dyżurni rychło zorientowali się w pomyłce i przenieśli go mimo protestów do tak zwanej *małoletki*, czyli do celi, ponoć przepełnionej, przeznaczonej dla takich jak on latorośli.

Mniej więcej w połowie kwietnia, któregoś wieczoru zostałem wywołany na korytarz, i wręczono mi akt oskarżenia.

Był on napisany na maszynie na... odwrotnej stronie arkusza będącego opakowaniem do herbaty (i słusznie, bo herbaty nigdzie nie można było dostać). W akcie tym zawiadamiano mnie także że rozprawa odbędzie się nazajutrz przed „Wojennym Trybunałem NKWD stacji Samarkanda”.

Wywołało to wielkie zainteresowanie specjalnie ze strony *urków*, zainteresowanych w podziale mego aktu oskarżenia na kawałki nadające się do robienia „skrętów” z machorki. Przy okazji, przeczytawszy treść aktu oskarżenia, „fachowo” skomentowali: *Diesiat' let dadut', nie obizajsja* (nie powinien się obrazić, jeśli ci wlepią tylko 10 lat). Muszę przyznać, że przez chwilę zrobiło mi się trochę nieswojo. Ale tylko przez chwilę. Nie wiem czemu, ale zbyttno się nie przejmowałem i byłem nastrojony raczej optymistycznie.

Nazajutrz wczesnym rankiem, jeszcze przed rozdaniem chleba, cukru i *czaju*, zostałem wywołany z celi i dołączyłem, na podwórzu więziennym, do moich czterech „wspólników”. Po czym poprowadzono nas na piechotę, pod dość silną eskortą i po rytualnym uprzedzeniu że: *Szag w lewo, szag w prawo, strelat' budiem!* (krok w lewo lub w prawo, będziemy strzelać!), ku pobliskiej stacji kolejowej.

Tam wprowadzono nas do lokalu zwanego *Krassnyj ugołok* (czerwony kącik), w którym w pobliżu jednej ze ścian, na drewnianym podniesieniu stał dość obszerny stół przykryty czerwonym suknem o raczej wątpliwej świeżości, za którym zasiadało, pod rytualnymi portretami Lenina z sarkastycznym grymasem na twarzy i dobrotliwie uśmiechającego się Stalina, kilku oficerów NKWD. Nas posadzono na krzesłach ustawionych niżej, przed stołem. Za nami stało kilku milicjantów trzymających, na wszelki wypadek, w garści odbezpieczone nagany.

Podczas gdy sędziowie przeglądali akta naszej sprawy, podszedł do nas mały człowieczek o przyjemnym sposobie bycia, którego szpakowata i krętowłosa czupryna, kozia bródka i staromodny cwikier osadzony na wybitnie nieryjskim nosie, upodobił do Trockiego, bez wątpienia jego współwyznawcy. Poinformował on nas, że jest adwokatem, uchodzącą z Moskwy i że został mianowany naszym obrońcą z urzędu. „Nie obchodzi mnie czy jesteście rzeczywiście winni czy też nie. Powiedzcie mi raczej czy macie jakieś zastrzeżenia w stosunku do śledztwa”.

Ponieważ takie zastrzeżenia rzeczywiście mieliśmy, a szczególnie Polkowski i ja, którzy nie braliśmy udziału w wy-

prawie na pociąg towarowy, zebraliśmy się pod ścianą lokalu pozbawioną okien, aby pod czujnym okiem naszych zawsze gotowych do strzału cerberów, pogawędzić z naszym obrońcą, który z miejsca wzbudził w nas zaufanie.

Po jakimś kwadransie zaczęła się rozprawa. Zainaugurował ją zwięźle przewodniczący w randze pułkownika, udzielając potem głosu oskarżycielowi noszącemu odznaki rangi majora na błękitnych wyłogach kołnierza. Oskarżyciel czyli *prokurator*, po wyliczeniu naszych przestępstw, postawił wniosek o zastosowanie *połnoy miery nakazania po zakonu od 7-go Awgusta 32-go goda* czyli *tout court* rozstrzału! Za: *chiszczenno swiaszczennoj socjalistycznej sobstwiennosti* (kradzież świętego mienia społecznego).

Po krótkim badaniu oskarżonych, w czasie którego w imieniu całej szajki mówiłem tylko ja, bo inni udawali że nie rozumieją ani słowa po rosyjsku, przyszła kolej na obrońcę. Byłem przekonany że wygłosi on przemówienie stereotypowe w którym zaapeluje o wyrozumienie i poprosi o łagodny wymiar kary. Spotkała nas miła i w swoim rodzaju zabawna niespodzianka. Jego kwieciste przemówienie zaczęło się od następującego zdania: *Grażdanie Wojennogo Tribunała! Eti ludi nie imieli szczastia rodit'sia i rosti w sołnce stalinskoj konstituciji! Oni konieczno nie znajut czto eto takoje swiaszczen-naja socjalistическая sobstwiennost'!* (Obywatele Wojennego Trybunału, ci ludzie nie mieli szczęścia urodzić się i rosnąć w słońcu stalinowskiej konstytucji. Oni przeto nie mogą wiedzieć co to jest święte mienie społeczne!).

Na takie *dictum*, zamiast myśleć o realnej grozie naszej sytuacji musiałem robić nadludzkie wysiłki, aby powstrzymać się od parsknięcia śmiechem. Bo myślałem że winniśmy żarliwie dziękować Panu Bogu za to że oszczędził nam tego „szczęścia”! Dalszą część swego przemówienia nasz obrońca poświęcił podważaniu wiarygodności zeznań Krygiera, naszego głównego oskarżyciela.

Na tym debata się skończyła i Trybunał wycofał się do przyległej izdebki, aby decydować, a właściwie dla popicia gorącego *czajku*, a może także i czegoś mocniejszego. Powrócił w całym swoim majestacie, z błękitnymi czapkami na głowach, po jakichś trzech kwadransach. Przewodniczący pułkownik odczytał wyrok, doprawdy sensacyjny. Zostaliśmy uznani niewinnymi zarzucanej nam kradzieży „z braku dostatecznych dowodów winy”. Wobec czego Trybunał zdecydował, że należy nas: *Niemiedlenno iz pod straży oswobodit'* (na-

tychmiast uwolnić). Nasz konwój schował automatycznie nagany do kabur i po chwili znaleźliśmy się na placu przed stacją, niestety na czczo, bo myśleliśmy że nie należy zbyt napierać się o otrzymanie naszych racji więziennych.

Głodny i odurzony świeżym wiosennym powietrzem sła-
niałem się dosłownie na nogach, nie wiedząc co ze sobą
począć. Byłem bez grosza przy duszy i, co gorsza, bez
dokumentów, których nam nie oddano przy zwolnieniu. Gdy
tak medytowałem co robić, odezwał się do mnie Moskwa:
„Bardzo się obawiałem twojej znajomości rosyjskiego. Łatwo
jest w takich okolicznościach gadać za dużo. Ale się przeko-
nałem że nie jesteś kapusiem, ani w ciemię bity. Teraz ja się
postaram być tobie i innym użyteczny”. Odpowiedziałem mu
że nie uważałem za pożyteczne komplikować i tak dość już
zagmatwanej sytuacji i dostarczać wodę na młyn policyjnej
tezy że kradzież popełniła zorganizowana szajka. Gdybym
gadał za dużo zachowywałbym się jak krety, i nie byłibyśmy
teraz na wolności!

Zdecydowaliśmy tymczasem oddalić się od miasta. I zna-
leźliśmy typową uzbecką zagrodę otoczoną glinianym murem
o kwadratowym zarysie przerwany w środku jednej ze ścian
rzeźbioną bramą wejściową. Wyglądała ona na opuszczoną od
niedawna. Być może że jej mieszkańcy paśli gdzieś w okoli-
cznym stepie owce, te sławne karakuły. Podczas gdy my
zaczęliśmy się rozglądać za czymś jadalnym i na wszelki
wypadek rozpaliliśmy ogień pod kotłem z wodą zawieszonym
nad paleniskiem usytuowanym w środku podwórza, Moskwa
ulotnił się w kierunku miasta. My tymczasem zaczęliśmy
zbierać szczaw w przydrożnym rowie, a Polkowski zwabił
jakiegoś bezdomnego kota. Ten ostatni, po dłuższych ceregie-
lach, znalazł się w kotle, tak że Moskwa po powrocie z mia-
sta, skąd przyniósł kilka *lepioszek* i parę kilogramów *urugu*
czyli suszonych moreli, oraz nieco pieniędzy, które znalazł w
portfelu jakiegoś majora, zastał już wieczerzę gotową. Pamię-
tam, że kot sprawił nam sporo kłopotu, bo żaden z nas nie
posiadał noża i trzeba go było wykańczać znalezionej na
podwórku cegłą. Stwierdziliśmy w każdym razie, że mają
rację ci którzy twierdzą że jego mięso nie różni się bardzo
od króliczego.

Dnia następnego po sutym obiedzie, którego ofiarą padł
tym razem młody i nieostrożny wilczur, tym razem usma-
żony na baraním tłuszczu kupionym na bazarze za pieniądze
zdobyte poprzedniego popołudnia przez Moskwę, zdecydowa-

liśmy się nie przedłużać nad miarę naszego pobytu w okolicach Samarkandy, gdzie Uzbegy, z powodu napływu uciekinierów i ex-łagrowiczów, zbyt często nie mogli się doliczyć nie tylko psów i kotów, ale także i baranów na stepowych pastwiskach i zaczęli zdradzać objawy naszym zdaniem przesadnej nerwowości.

Udaliśmy się więc do pewnej miejscowości oddalonej o kilkanaście kilometrów od Samarkandy gdzie, według wiadomości zdobytych przez Moskwę znajdować się miała polska placówka opiekuńcza zarządzana przez delegata polskiej ambasady w Kujbyszewie. Informacja okazała się prawdziwa. Był delegat dysponujący nawet pewną ilością zagranicznych produktów żywnościowych i odzieży. Ale sporo było też petentów i kontrola administracji nad tymi skarbami była raczej wątpliwa. Wyglądało na to, że królował tam nepotyzm i był prowadzony pokątny handelek dobrem społecznym. Ponadto panowała w okolicy epidemia tyfusu, który kosił liczne ofiary wśród nieszczęśliwców którzy zdołali dobrać tu w nadziei znalezienia przytułku i jakiejś godziwszej egzystencji. Nas zgodzono się przyjąć do płatnej pracy pod warunkiem że zgodzimy się pełnić funkcję grabarzy. Po jakimś tygodniu tej pracy, stwierdziwszy jak twarda jest ziemia Uzbekistanu na przełomie kwietnia i maja, przypomniałem sobie o zaproszeniu Miszki Szwycowa, i ulotniłem się do Samarkandy.

Tam zainstalowałem się pod wieczór na stacji, w nadziei złapania pociągu mogącego dowieźć mnie do Zijadinu. Pod wieczór przyszedł rzeczywiście pociąg z Taszkientu, pełen wojskowych. Ale zamiast odjechać od razu w stronę Buchar i Czardzou, został przestawiony na boczny tor i odczepiono od niego parę wagonów. Gdy tak obserwowałem te manewry zauważyłem jakiegoś oficera który wysiadł z jednego z odczepionych wagonów i bacznie się rozglądał wokoło. W końcu ruszył zdecydowanie w moim kierunku. Chociaż nie chodziło tym razem o enkawudystę, zacząłem dyskretnie wycofywać się w kierunku wyjścia ze stacji na przylegający do niej plac. Wojskowy jednak przyspieszył kroku i dopadł mnie tuż przy drzwiach wyjściowych. *Tiebie, paren, dietat' nieczego?*, zapytał dość uprzejmie. Przyznałem, że rzeczywiście nie byłem bardzo zajęty. Wtedy zaproponował mi wymianę „grzeczności”. Miałem udać się do funkcjonującej na stacji odwszalni i łaźni, dać do dezynfekcji moje łachy, wykapać się i przynieść mu zaświadczenie o odbyciu tych czyn-

ności wystawione na jego nazwisko. Wyjaśnił mi, że te wagony odczepiono na skutek kilku wypadków tyfusu plamistego wśród pasażerów przybyłych z głębi Rosji. On natomiast wyjechał zaledwie kilka godzin temu z Taszkientu, z domu, i nie potrzebuje żadnej dezynfekcji. Ta ostatnia miałaby jako jedyny skutek zniszczenie mu nowego munduru i złapanie wszy które zwykle przeżywają tę operację. Miał rację. Zrobiłem to o co mnie prosił. I zarobiłem w ten sposób przeszło kilogram białego (w czasie wojny!) chleba, ładny kawał dobrej kielbasy i „czerwońca”, czyli 10 rubli. Wyjazd do Zijadinu odłożyłem do dnia następnego, a tymczasem poszedłem poszukać wygodniejszej ławeczki na skwerku w pobliżu stacji na której można było się przespaciać nie oddalając się zbyt daleko od kolei.

Nie obawiałem się kradzieży czy też zgoda rabunku ze strony grasujących wokoło żulików, bo mój już mocno podniszczony łągierny strój nie musiał chyba obiecywać wiele łupu żyjącym z grabieży rzeźmieszkom. Nad ranem udało mi się wsiąść do osobowego pociągu idącego we właściwym kierunku. Pociąg jednak posiadał, dla czegoś, wyjątkowo silną obsadę milicji. Tak, że po jakiejś, mniej więcej, godzinie jazdy byłem zmuszony go opuścić na sporej stacji. Miłą dla mnie niespodzianką był fakt że stacja ta nazywała się Zijadin do której właśnie zamierzałem dojechać. Zeskoczywszy na peron, skierowałem się zdecydowanie w stronę budynku stacyjnego, gdzie znajdować się musiał lokal w którym powinienem być znaleźć naczelnika stacji.

Ta moja intencja nie uszła uwagi milicjanta dyżurującego na peronie, któremu widać się nie spodobał mój mało elegancki ubiór. Przyspieszyłem kroku, ale dopadł mnie gdy otwierałem oszklone drzwi gabinetu naczelnika stacji, w głębi którego ujrzałem Miskę Szwycowa siedzącego za obszernym biurkiem naprzeciw jakiegoś osobnika wyglądającego na dość ważną szyszkę. Chodziło tu o jegomościa ubranego w nowy skórzany płaszcz i wypucowane na glanc długie buty, oraz trzymającego na kolanach skórzaną teczkę z dokumentami, jednym słowem o jakiegoś *naczelnika*.

Szwycow, na moje szczęście, zauważył moją szamotaninę z milicjantem, i poznawszy mnie natychmiast dał mu znać ręką aby mnie puścił. Podszedł żwawo do drzwi i uściskawszy mnie bardzo serdecznie podprowadził do biurka, gdzie przedstawił mnie swemu gościowi, mówiąc: *Eto moj towarzysz po tiurmie!* (To jest mój towarzysz z więzienia). *Ocen'*

priatno! (bardzo mi miło) odpowiedział *naczelnik*, wcale nie stropiony. Wiadomo, co kraj to obyczaj. Na zachodzie się mówi: „Studiowaliśmy razem w Oxfordzie”. W Sowietach inaczej. Fakt, że ktoś siedział w tych czasach w więzieniu, był zjawiskiem prawie normalnym i bynajmniej nie dyskwalifikował nikogo pod względem towarzyskim.

Miszka przyjął mnie po bratersku. Mieszkał po kawalersku, bo jego żona, z dwojgiem dzieci, nie powróciła jeszcze od rodziców z Taszkientu, gdzie się schroniła po aresztowaniu męża. On po powrocie już się „rozliczył” ze swymi oskarżycielami. *Wsiech bladiej popiereżał* (wszystkich s...synów powsadzałem), oświadczył z widoczną satysfakcją. Wysłuchał uważnie moich opowiadań i orzekł, że przede wszystkim powinienem odpocząć kilka dni u niego. Następnie pomyślimy co będę mógł robić dalej. Jadłem więc, piłem i odpoczywałem śpiąc w prawdziwym łóżku! Według jego opinii niebywale łagodny wyrok Trybunału należało przypisać temu że Niemcy byli pod Stalingradem, oraz faktowi że my Polacy byliśmy uważani za aliantów. Niemalą też rolę odegrał, według niego, fakt że nie byliśmy „polityczni” a *bytowiki* to jest przestępcy pospolici do których sowiecka „sprawiedliwość” miała słabość, hołdując zasadzie że są oni ofiarami niezlikwidowanej jeszcze niesprawiedliwości społecznej. Zaproponował mi w końcu wybór między zatrudnieniem u niego na kolei i dołączeniem do Polskiego Wojska, które miało ośrodek werbunkowy nieopodal w miejscowości Kermine. Osobiście doradzał mi to ostatnie rozwiązanie, bo zanosilo się na ewakuację Polaków do Persji. Pierwsza grupa już się ewakuowała wcześniej, w kwietniu. A z nią, według niego, prawdopodobnie wyjechał mój brat Stasiek, o ile go nie spotkały jakieś nieprzewidziane przygody, w rodzaju moich!

Zdecydowałem się jechać do tego Kermine. I po paru dniach, zaopatrzony w normalny bilet pierwszej klasy, pożegnałem tego porządnego ex-gepistę Miszę Szwycowa i wyruszyłem na spotkanie z Wojskiem Polskim. Po drodze miałem satysfakcję pokazać mój bilet sierżantowi milicji kolejowej z Samarkandy Poljakowowi, który widząc mnie w pociągu zaczął prawić mi kazanie mówiąc: *A ty Chmielewski opjat' po pojezdam szewieliszja! Wnimanie a to snowa popadiosz!* (A ty znowu kręcisz się po pociągach. Uważaj by znowu nie wpaść!).

W Kerminie zastałem punkt zborny obleżony przez ciżbę rodaków obojga płci. Trzeba było czekać kilka godzin

na rejestrację. Podczas tego oczekiwania poczułem dreszcze silnie rosnącej gorączki. Z początku obawiałem się że dopadł mnie szalejący wokół tyfus płamisty. Ale wkrótce zorientowałem się, że jest to atak mojej starej złapanej jeszcze na Podlasiu, w wieku 7-miu lat malarii.

Na komisji przydzielono mnie do nowoformującego się 7-go dywizjonu artylerii przeciwlotniczej stacjonującego w pobliżu stacji. Miejscowość była dobrze wybrana. Kermine (Dolina śmierci, w tłumaczeniu na język ludzki) położone było w miejscu o specjalnie podłym i malarycznym klimacie. Brakowało czystej wody do picia, i należało gasić pragnienie wyłącznie gotowaną wodą zaparzaną herbatą. Ponieważ tej brakowało, piło się wodę z *arików*, to jest kanałów nawadniających pola. Co powodowało, jeśli nie zachorowanie na tyfus, to przewlekłe biegunki i dyzenterie. Prowiant dostarczany przez władze sowieckie był najpośledniejszego gatunku i daleki od obfitości.

O świcie i przez pierwsze godziny poranka dane mi było obserwować po raz pierwszy w życiu fatamorganę czyli miraż. Ukazywał się on na północnej stronie horyzontu. Zamiast bezkresu stepu widać tam było, przy nieruchomym i czystym jak kryształ powietrzu, jakieś zieloniutkie gaje i osady, które około godziny 10-tej rano znikwały gdy zaczynał z tej samej strony dąć silny wiatr unoszący gęste tumany kurzu, który wszędzie się wciskał i wszystko pokrywał. Uciszał się, dzięki Bogu, dopiero pod wieczór. Gdyby nie to nie można by było w nocy spać w szmaciastych sowieckich namiotach. Ponieważ nie mieliśmy naturalnie broni (kilka karabinów, dla warty, na cały dywizjon), nudziliśmy się okropnie. I bractwo „urozmaicało” sobie życie wyprawami na żółwie żyjące w okolicznych pagórkach i bardzo smakowite. A często także na barany licznych trzód pasących się na okolicznych stepach. Ponieważ Uzbegy protestowali, prawdę mówiąc słusznie, zainterweniowały władze sowieckie i zaczęto stosować środki drakońskie aby ukrócić tę samowolę. Ucierpiały na tym, oprócz żółwi, okoliczne koty i psy, których odcięte łby można było często widzieć w przydrożnych rowach.

Nasze dowództwo postanowiło zająć wojsko ćwiczeniami. Skandalizowało to bardzo Uzbeków którzy w upalne letnie dni siedzieli okutani w watowane *dżoumy* lub baranie kozuchy i w takichże *tirpakach* na głowie w *czaj-hanach* popijając gorącą herbatę burczeli: *Nie nada rabotat', a to pomriosz!*

(Nie pracujcie bo umrzecie!). I mieli rację, bo i tak przepelnione izby chorych i szpitale nie wiedziały po prostu gdzie mieścić ludzi cierpiących na jakieś naszym lekarzom nieznane dolegliwości. Chodziło o to, że nasze władze wojskowe nie miały wtedy jeszcze pojęcia o tym jak się należy zachowywać w klimatach subtropikalnych. Mieli się tego niezadługo dopiero nauczyć od Anglików w Iraku.

W tym okresie i ja dostałem się do szpitala bo zachorowałem na złośliwą biegunkę. Po jakimś czasie, gdy mnie trochę podleczono, zacząłem pełnić obowiązki felczera, wykorzystując umiejętności nabyte w *sangorodku* oraz brak wykwalifikowanego personelu. To dało mi klucze do oddziałowej apteczki w której znalazłem flakonik z kroplami opium. Ponieważ mój przewód pokarmowy wciąż jeszcze był daleki od całkowitego wyzdrowienia, zacząłem je zażywać przed spaniem, bo wiedziałem, że stanowi to *panaceum* przeciw wszelkim boleściom.

Panaceum działało tak dobrze, że flakonik zacząłem mieć zawsze przy sobie, za pazuchą. Stawałem się powoli narkomanem. Uchronił mnie przed tym niebezpieczeństwem przypadek. Zdarzyło się że któregoś dnia wpadła do naszego szpitala, na inspekcję, komisja lekarska pod przewodnictwem jakiegoś lekarza-majora. Ten dość sympatyczny facet, gawędząc z nami klepnął mnie poufale w brzuch. I trafił że trafił na flakonik. Rad, nierad, musiałem mu pokazać o co chodzi. Słusznie zwymyślał mnie od ostatnich i, po skonfiskowaniu flakonika, polecił zapytać się Uzbeków na bazarze jak należy leczyć biegunkę.

Od Uzbeków się dowiedziałem że lekarstwem nieszkodliwym jest *katyk*, coś pośredniego między zsiadłym mlekiem i owczym twarogiem, który tubylcy przynoszą na targ w płóciennych woreczkach. Należy go zażywać po łyżeczce co pół godziny zachowując ścisły post przez parę dni. Ten mongolsko-chłopski środek postawił mnie szybko na nogi. Tak że byłem w stanie stawić się w pełnym rynsztunku, to znaczy w płaszczu, z plecakiem i chlebakiem do transportu, który w końcu października miał nas dostawić do Krasnowodska skąd mieliśmy odpłynąć przez Morze Kaspijskie do Persji.

W Krasnowodsku, dokąd dotarliśmy nad ranem, biwakowaliśmy aż do wieczora zanim pozwolono nam wsiąść na pokład cysterny normalnie służącej do transportu ropy naftowej z Baku do Krasnowodska. NKWD sprawdzało skru-

pulatnie listy wyjeżdżających, i trzeba było zdać wszystko co się posiadało z wyjątkiem ekwipunku wojskowego, dlategoś przede wszystkim sowieckie pieniądze. Tak jakby przedstawiały one jakąś wartość poza granicami Sowietów.

Włóczęc się po tym obszernym portowym koczowisku, ku mej wielkiej radości spotkałem Leona Ungera, a ściślej mówiąc pana plutonowego podchorążego Leona Ungera, od którego dowiedziałem się coś niecoś o losach innych weteranów *sangorodka*. Między innymi o tym że Messer zdecydował się pozostać w Sowietach, bo wyjazd w obecnej chwili wydawał się jemu — ideowemu komuniście — bez względu na to czego tu doznał, dezercją. Myślę jednak że prawdziwym powodem jego decyzji był fakt, że nie zdołał dotąd odnaleźć żony, która trafiła do innego łagru niż on, i tam urodziła, według wiadomości przez niego jakimś cudem uzyskanej, martwe dziecko.

Z Ungerem widzieliśmy się po raz ostatni, mimo iż on także był w 2-gim Korpusie. Już po wojnie, będąc na polskim wojskowym cmentarzu w Loreto odnalazłem jego mogiłę w zakątku przeznaczonym dla naszych starozakonnych towarzyszy broni.

Z prawdziwą ulgą odbiliśmy od brzegu, aby spędzić noc na zatłoczonym pokładzie statku. Prawdziwą nieopisaną radość przeżyliśmy jednak dopiero stawiając stopę na ziemi perskiej, w porcie który wtedy nazywał się Pahlewi. Można było wtedy zobaczyć ludzi całujących piasek nadbrzeżnej plaży i nieznanomych padających sobie radośnie w objęcia. Nie wiedzieliśmy co nas czeka, ale byliśmy pewni że cokolwiek by to było będzie lepsze od „sowieckiego raju”.

Entuzjazm nasz nieco przygasł gdy zobaczyliśmy w miasteczku patroli sowieckich żołnierzy. Na szczęście okazało się, że są tam i Anglicy, okupujący pospołu z kacapami Persję w celu zneutralizowania silnych niemieckich wpływów. My już nie mieliśmy żadnych kontaktów z bolszewikami aż do wyjazdu do Iraku, który nastąpił, po prawie miesięcznej kwarantannie, w drugiej połowie listopada 1942-go roku.

Moje wspomnienia poświęcam pamięci Leona Ungera, oficera 2 Korpusu, wspaniałego Kolegi i niezapomnianego przyjaciela, którego pogoda ducha i mądre rady podtrzymywały mnie na duchu i pomogły przetrwać czasy niedoli.

Zygmunt CHMIELEWSKI

DWADZIEŚCIA DWA MIESIĄCE

Program obchodów poświęconych Juliuszowi Słowackiemu w roku 1939 zaczęliśmy realizować już wiosną, a po wakacjach, czwartego września — w dzień sto trzydziestej rocznicy urodzin poety — miały się odbyć uroczystości główne.

Pierwszego września wybuchła wojna. Następnego dnia poszedłem do Kuratora Liceum Krzemienieckiego, który był przewodniczącym Komitetu Obchodów Roku Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Jako uczestnik tego Komitetu, odpowiedzialny za wykonanie części programu, zwróciłem się do Stefana Czarnockiego z zapytaniem, co należy ogłosić, odwołanie czy odroczenie obchodów jubileuszowych.

Odpowiedział mi bez chwili wahania: proszę ogłosić odroczenie. Przyjąłem tę decyzję bez zastrzeżeń, byłem bowiem głęboko przeświadczony — tak samo, jak wszyscy w moim licealnym otoczeniu — że po zwycięskiej wojnie Krzemieniec i jego uczelnia powrócą do swoich przerwanych przez wojnę spraw do intensywnej i rozległej działalności związanej z rozwojem oświaty, nauki i kultury — a społeczność krzemieniecka uczci z pietyzmem swojego wielkiego syna.

Zamiast gości, którzy mieli przybyć na obchody dni Słowackiego, przyjeżdżało do Krzemieńca codziennie mnóstwo ludzi, wypędzonych ze swoich domów przez wojnę. Przypuszczali, że tutaj, w małym mieście na wschodnim krańcu państwa, zdołają przetrwać postępującą szybko od zachodu i północy ofensywę wojsk niemieckich. Powszechne było przecież przeświadczenie, że rychło ruszą znad Renu nasi alianci, że radykalnie odmieni się sytuacja wojenna i wtedy będzie można powrócić w rodzinne strony. Przybywali też do Krzemieńca ludzie inni, którzy postój tutaj traktowali tylko jako etap w wędrówce ku granicy rumuńskiej. Ale to miało wyjść na jaw nieco później.

Ani przed wybuchem wojny, ani w czasie działań wojennych nie zostałem zmobilizowany, a siódmego września nie przyjęto w miejscowej Komendzie Uzupelnień mojego ochot-

niczego zgłoszenia się do wojska, bo — jak mi powiedziano — nie było zarządzenia władz wojskowych o przyjmowaniu ochotników. Taką samą odmowę otrzymał Julian Kozłowski, kolega, który był u nas nauczycielem wychowania fizycznego. W Liceum Krzemienieckim w podobnej sytuacji było nas kilku. Byli też koledzy starsi ode mnie, którzy także nie zostali zmobilizowani. Miejscowy oddział Ligi Obrony Powietrznej Państwa zorganizował nas w końcu sierpnia i powierzył nam pełnienie służby wartowniczej, której głównym zadaniem była ochrona przeciwpożarowa.

Około połowy września, gdy sytuacja wojenna stała się już bardzo groźna, gdy nawet na nasz daleki od linii frontu i bezbronny Krzemieniec posypały się dwunastego dnia wojny bomby Luftwaffe i sieczono z karabinów maszynowych do ludzi znajdujących się przy straganach z jarzynami na placu targowym, zaczęliśmy mówić w swoim gronie o tym, jak włączyć się do czynnej walki.

Doszliśmy do wniosku, że terenem, który — w naszym rozumieniu — będzie w stanie bronić się dłużej przed hitlerowskim najazdem, jest Polesie, obszar wyposażony przez naturę w sposób szczególny. Jego bagna, lasy, rzeki i rozlewiska powinny powstrzymać posuwanie się zmechanizowanych, a więc potrzebujących twardego gruntu, formacji niemieckich. Uznaliśmy, że tam należy pójść, bo tam będziemy mogli się przydać.

Byli wśród nas koledzy, którzy dobrze znali północny Wołyń, będą więc przewodnikami w naszej wędrówce. Dzień i godzinę wyruszenia na północ wzdłuż wschodniej granicy państwa uzależniliśmy od wiadomości wojennych podawanych przez radio, bo spodziewaliśmy się — jak prawie wszyscy w Polsce — rychłej ofensywy francuskiej. Powtarzaliśmy sobie, że musi się to stać lada godzina — a w takim razie nasza poleska wyprawa straciłaby sens. Na spotkaniu dnia 16 września ustaliliśmy, że gotowi do wymarszu czekać będziemy na sygnał od naszego przewodnika, kolegi Romana Chromińskiego. Gdy następnego dnia rano ktoś zastukał do moich drzwi, byłem przekonany, że przychodzi wezwanie do wymarszu. Przyszedł, zgodnie z umową, mój bliski sąsiad, Emil Smerecki, wychowanek i pracownik LK. Nie przyniósł jednak oczekiwanego wezwania, lecz wiadomość, która burzyła wszelkie nasze przewidywania: wojska sowieckie przekroczyły naszą granicę na całej jej długości.

Nikt z nas w pierwszych godzinach nie wiedział, jaki był charakter i cel tej operacji. Rzecz wyjaśniła się, gdy dotarła do nas wiadomość o aresztowaniu przedstawicieli naszych władz powiatowych, którzy pojechali ku granicy w celu nawiązania kontaktu z wojskowymi jednostkami sowieckimi.

Mimo bliskości granicy wkroczenie Czerwonej Armii do Krzemieńca nie nastąpiło tego dnia, lecz prawie tydzień później. Wy tłumaczyliśmy to sobie w ten sposób, iż inwazja sowiecka pośpiesznie szła na zachód, omijając obszary mniej ważne pod względem strategicznym.

W Krzemieńcu przestały istnieć dotychczasowe władze, czuwające nad porządkiem publicznym (starostwo i policja) i nagle powstała próżnia. Gdy następnego ranka nikt nie przybył, uznaliśmy, że trzeba działać na własną rękę. Zebrała się więc grupa pracowników miejscowych szkół oraz zarządu miasta i stworzyliśmy komitet obywatelski, który przede wszystkim zajął się zorganizowaniem cywilnej milicji. Na jej czele stanął nauczyciel geografii w LK, kolega Franciszek Mączak, który bardzo szybko uruchomił regularne patrołowanie miasta przez milicję uzbrojoną w karabiny pozostawione przez policję. Karabiny były bez naboí.

Ważnym i pilnym zadaniem, jakie stało przed Komitetem Obywatelskim, było zaopatrzenie ludności miasta w żywność, gdyż prywatne sklepy przestały działać, a w spółdzielczych bardzo szybko wyczerpały się zapasy. Komitet Obywatelski po naradzie podjął decyzję w sprawie wykorzystania żywności, jaka znajdowała się w magazynach kolejowych.

W paru punktach miasta — wzdłuż głównej arterii, jaką stanowiła ulica Szeroka — zostały rozstawione stoły i pod opieką naszej milicji rozpoczęło się bezpłatne wydawanie każdej zgłaszającej się dorosłej kobiecie kilkukilogramowego przydziału mąki, kaszy, grochu i cukru. Przebieg rozdawnictwa był spokojny, wszędzie panował niczym nie zakłócony porządek. W ciągu paru dni rezerwy magazynowe zostały wyczerpane, a cała ludność miasta była zaopatrzona w niezbędne do życia produkty na przeciąg paru tygodni.

W dniu wkroczenia do miasta oddziałów sowieckich stałem z karabinem na posterunku przed komendą naszej milicji przy ulicy Pierackiego (Pocztowej), w bezpośrednim sąsiedztwie gmachów Liceum Krzemienieckiego. Żołnierze sowieccy po rozbrojeniu mnie zajęli pomieszczenie komendy milicji,

gdzie przebywał kolega Mączak. W ten sposób polska milicja cywilna przestała istnieć. Zarówno kol. Mączakowi jak i mnie pozwolono odejść do domu.

Nowe władze zarządziły przybycie wszystkich nauczycieli i pracowników administracji Liceum Krzemienieckiego do Sali Kolumnowej następnego dnia rano. Zakomunikowano nam wtedy, że nazajutrz powinny się zacząć normalne zajęcia, a szczegóły dotyczące zmian w naszych szkołach zostaną podane w najbliższym czasie.

Już następnego dnia miało się okazać, że jedna z tych szkół — Pedagogium — ulega rozwiązaniu. W pozostałych szkołach usunięto natychmiast z planu lekcji szkolnych nauczanie religii oraz historii. Zarządzenia te zostały wydane kierownictwom szkół bez jakiegokolwiek komentarza.

Należy dodać, że nasze Pedagogium zostało powołane do życia bezpośrednio po zlikwidowaniu seminarium nauczycielskiego, tzn. w roku 1935. W ciągu czterech lat swego istnienia Pedagogium rozwijało się bardzo dobrze. Co roku zgłaszała się tak duża liczba kandydatów, że trzeba było organizować selekcyjne egzaminy wstępne. Dojrzewała kadra wykładowców, doskonaliły się metody pracy. Z dniem pierwszego września Pedagogium wraz ze Szkołą Ćwiczeń miało się przenieść do nowego, właśnie wykończonego gmachu. Był on wyposażony nie tylko w sale wykładowe, ale także w laboratoria, dwie duże sale gimnastyczne i salę rysunkową. Posiadał wieżę z obrotowym hełmem, przeznaczoną na obserwatorium astronomiczne. Cały ten duży, piękny i nowoczesny gmach szkolny wzniesiono w ciągu szesnastu miesięcy, bowiem jego budowę zaczęto wiosną 1938 roku. Nad głównym wejściem znajdował się napis wykuty w bloku piaskowca: Pedagogium im. Juliusza Słowackiego.

Ten gmach stanowił naszą wielką radość i dumę. Nie dane nam było uczyć w nim ani jednego dnia. Wkrótce musieliśmy rozstać się ze wszystkimi gmachami Liceum Krzemienieckiego: rozwiązanie naszej uczelni nastąpiło z końcem grudnia 1939 roku.

Już w ostatnich dniach września, a więc w kilka dni po opanowaniu Krzemieńca przez władze sowieckie, aresztowano kuratora Liceum Krzemienieckiego — Stefana Czarnockiego, dyrektora średniej szkoły rolniczej i leśnej w Białokrynicy — Lucjana Bieleckiego, kierownika gabinetu kuratora — Antoniego Basińskiego i szefa księgowości — Jana Szwacza. W miejscowym więzieniu przebywali oni kilka tygodni. Potem

ich wywieziono i wszelki słuch o nich zaginął.

Później aresztowano kilka osób z naszego grona nauczycielskiego. Wydostały się one z krzemienieckiego więzienia dopiero w okresie ewakuacji władz sowieckich na przełomie czerwca i lipca 1941 roku.

Po likwidacji Liceum Krzemienieckiego nowe władze uruchomiły w budynku, w którym przed wojną znajdowało się gimnazjum samorządowe, ogólnokształcącą szkołę dziesięcioletnią z polskim językiem nauczania. Jej program był taki sam, jak w szkolnictwie sowieckim.

Zapisy do polskiej dziesięciolatki wykazały, że cała młodzież rozwiązanych szkół LK, a więc nie tylko uczniowie narodowości polskiej, ale także ukraińskiej, rosyjskiej i żydowskiej, chciała się uczyć w tej szkole. Ten stan rzeczy utrzymał się także w roku szkolnym 1940/41. Zrozumieliśmy to jako dowód przywiązania całej młodzieży do naszego grona nauczycielskiego i uznania dla jego pracy. Tkwiła w tym chyba także jakaś nadzieja, że mimo nowych warunków zostanie utrzymane w pracy coś z tych wartości, które wytworzyło Liceum w minionych osiemnastu latach.

Ale już pierwsze tygodnie działalności nowej szkoły dowiodły, że kultywowanie cenionych przez nas wartości napotykało na ogromne i najczęściej niemożliwe do przezwyciężenia przeszkody.

Dyrektor szkoły i jego zastępca byli duchowi Liceum Krzemienieckiego zupełnie obcy. Ponadto szkoła otrzymała wszechwładnego politruka, którym został zdemobilizowany oficer polityczny. Instruktorem przysposobienia wojskowego został podoficer Czerwonej Armii. W gronie nauczycielskim brakowało kilku kolegów, którzy nie powrócili z kampanii wrześniowej. Straciliśmy dyrektora naszego gimnazjum — cenionego i darzonego przez wszystkich wielką sympatią Zdzisława Zarembę. Umarł na serce po powrocie do domu z zebrania w końcu grudnia 1939 roku, na którym zakomunikowano naszym przełożonym o likwidacji Liceum Krzemienieckiego. Ta śmierć poświadczyła tragicznie, jak wielkie było jego przywiązanie do uczelni, z którą był związany niemal od chwili jej wskrzeszenia.

Sowiecka dziesięciolatka realizowała program wykształcenia średniego w czasie o dwa lata krótszym niż w szkolnictwie polskim. Wskutek tego rozmieszczenie młodzieży w poszczególnych klasach dziesięciolatki nie mogło być należyście dostosowane do zdobytej przez uczniów wiedzy. Po roz-

poczęciu zajęć szkolnych bardzo to utrudniało realizowanie programu nauczania. Grono nauczycielskie dziesięć latki było bardzo liczne. Wchodziła do niego część dawnych nauczycieli LK oraz część dawnych nauczycieli gimnazjum samorządowego, a oprócz tego znalazła się w naszym gronie pewna liczba ludzi spoza Krzemieńca, których sprowadziła tu wojna. Na przykład nauczanie języka rosyjskiego w starszych klasach powierzono przybyłemu z Warszawy Michałowi Wołkowyskiemu, dziennikarzowi, pisującemu przed wojną do gazet rosyjskich wychodzących w Polsce i w państwach bałtyckich. Niektórych naszych nauczycieli nie można było zatrudnić z powodu różnic programowych między szkolnictwem polskim a sowieckim. W nowej szkole nie było w programie takiego przedmiotu jak roboty ręczne. Ten brak był tym bardziej zaskakujący, że na ogólnomiejskich zebraniach nauczycieli wiele mówiono o politechnizacji w szkolnictwie sowieckim. Nie było też w programie starszych klas nauki rysunków. Wobec tego jeden z nauczycieli tego przedmiotu (Stanisław Sheybal) został zatrudniony w klasach piątych i szóstych jako nauczyciel matematyki. W całej dziesięć latce wychowanie fizyczne było prowadzone łącznie dla chłopców i dziewcząt w wymiarze jednej godziny tygodniowo. Była to znowu niespodzianka, bo przed wojną mieliśmy po dwie lekcje wychowania fizycznego tygodniowo w każdej klasie, oczywiście osobno dla dziewcząt i chłopców. A ponadto każdego ucznia obowiązywały zajęcia poobiednie pod nazwą „gier i zabaw”. Także dwie godziny tygodniowo. Takie wyposażenie w godziny wf w szkole sowieckiej było znowu sprzeczne z tym, co głoszone nam z urzędowych mównic. Na zebraniach nauczycieli słyszeliśmy o wielkiej trosce władzy sowieckiej o wychowanie zdrowej i sprawnej fizycznie młodzieży. Kiedyśmy powiedzieli politrukowi, że zajęć wf powinno być więcej oraz że powinny odbywać się dla chłopców i dziewcząt osobno, z wielką pewnością siebie orzekł, że to nie jest potrzebne, bo przecież organizmy całej młodzieży są takie same.

Budynek szkolny, do którego nas przeniesiono, był za mały na tę liczbę uczniów, jaka została przyjęta. Wobec tego praca szkoły odbywała się na dwie zmiany i trwała od ósmej rano do ósmej wieczorem. Nie było czasu na zajęcia pozalekcyjne, które tak bardzo były rozwinięte w Liceum.

Programy nauczania obowiązujące w tym czasie w szkolnictwie sowieckim i przeniesione do polskiej dziesięć latki

były zaskakująco staroświeckie — należałoby powiedzieć dziewiętnastowieczne, obciążone herbartowską doktryną dydaktyczną. Przeładowane wiadomościami — miały charakter jaskrawie encyklopedyczny. Ten typ programów był realizowany przy pomocy podręczników, które obciążały umysły uczniów mnogością wiadomości i zmuszały ich do pracy głównie pamięciowej, niewiele miejsca pozostawiając na doskonalenie myślenia, a więc analizowania, odkrywania, uogólniania, wnioskowania, hierarchizacji i klasyfikacji pojęć, to znaczy tych operacji myślowych, które tak silnie zaznaczały się w sposobie nauczania w Liceum Krzemienieckim, gdzie między innymi wykorzystywano te doświadczenia dydaktyczne, jakie zdobyliśmy w ciągu lat pracy przy pomocy naszej wersji systemu daltońskiego. Uwaga, pamięć i pilność w wiernym naśladowaniu podręcznika wyczerpywały sugerowaną nam dydaktykę szkoły sowieckiej. Nie było w niej miejsca na przykład na poglądy Johna Deweya, który odwoływał się do aktywności ucznia, jego związków z otaczającą rzeczywistością, budzenia zainteresowań, odkrywania cech rzeczy i zjawisk oraz szukania w podręczniku pomocy w zaspokajaniu potrzeby wiedzy.

Zapytałem raz znajomego, wieloletniego nauczyciela chemii, pracującego w ukraińskiej dziesięciolatce, co myśli o dydaktycznej wartości ukraińskiego podręcznika chemii dla klasy ósmej. Odpowiedział, że jest to podręcznik „okrutny”, bo wymaga od uczniów pracy ponad ich siły i możliwości, jest w nim o wiele za dużo wiadomości i są one źle uporządkowane, a więc uczeń musi się gubić w ich chaotycznej gęstwinie. Pytanie o wartość tego podręcznika zadałem mu już pod okupacją niemiecką, gdy prowadząc tajny komplet gimnazjalny na wsi na dawnym pograniczu sowieckim (w pobliżu kołłątajowskich Dederkał) posługiwałem się tą książką — z braku innego podręcznika.

Zadania szczególnie trudne związane były w pracy szkoły z funkcją opiekuna klasy. Mnie przypadła w udziale opieka nad jedną z dwóch klas dziesiątych. Drugą opiekował się nauczyciel matematyki i fizyki — kolega Zdzisław Siedmiograj (po wojnie pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej). Opiekunowie klas mieli obowiązek przekazywać swoim wychowankom zarządzenia władz szkolnych oraz czuwać nad frekwencją i zachowaniem uczniów w szkole. Musieli też uczestniczyć w tych imprezach, w których brała udział zbiorowość klasy. Imprezy te — odczyty, filmy — zawsze miały charakter polityczny.

W związku z pierwszym z filmów, na który miała być poprowadzona nasza młodzież, miało miejsce następujące wydarzenie.

W zimie 1940 roku, wkrótce po uruchomieniu dziesięciolatki, zostałem wezwany do dyrektora szkoły. Zostałem tam także jego zastępcę, czyli kierownika pedagogicznego, zwanego w sowieckim szkolnictwie „zaw-pedem”. Powiadomili mnie oni jako opiekuna klasy, że za parę dni odbędzie się *kult-pachod*, czyli zbiorowe pójście na imprezę kulturalną do kina. Dyrektor dodał, że zostanie wyświetlony sowiecki film pod tytułem „Suworow”. Zapytałem więc, o jakim to Suworowie mowa, bo jeśli o tym, który w historii jest znany jako sprawca rzezi Pragi, to polskiej młodzieży na ten film — zapewne gloryfikujący tytułową postać carskiego generała — prowadzić nie należy. Obaj moi rozmówcy zareagowali gwałtownie. Powiedzieli w końcu, że obecnie należy na tamte wydarzenia historyczne patrzeć inaczej. Powiedziałem, że nie widzę żadnych podstaw, aby na rzeź bezbronnej ludności patrzeć inaczej i wyszedłem. Nie byłem zaskoczony, gdy następnego dnia dyrektor zawiadomił mnie, że mam się zgłosić o wyznaczonej godzinie do kierownika działu politycznego w rejonowym Komitecie partii (tak zwanym *part-komie*).

Odpowiedź zawarłem w kilku słowach, które dokładnie pamiętam: „Moim zdaniem Suworow był narzędziem w imperialistycznej polityce carów”. Po tej odpowiedzi zapanało dłuższe milczenie. Wyglądało to tak, jak gdyby indagator był zaskoczony i nie wiedział, co dalej powiedzieć. Ale już następne pytanie świadczyło, że do rozmowy ze mną był przygotowany. Zapytał mnie mianowicie, co myślę o Henryku Sienkiewiczu. Taki obrót badania zaskoczył mnie w pierwszej chwili. Przed daniem odpowiedzi uświadomiłem sobie, że nie jest to pytanie w ustach młodego Rosjanina przypadkowe. Pomyślałem, że raczej nie zna on twórczości Sienkiewicza — może poza „Jankiem Muzykantem”, który był w ukraińskiej czytance na klasę piątą, a więc znajdował się w programie sowieckiej dziesięciolatki. W tej chwili domyśliłem się, że mój rozmówca otrzymał od miejscowych ludzi wiadomość o tym, iż niedawno, bo wiosną 1938 roku, został wydrukowany w miesięczniku wychodzącym w Krzemieńcu mój obszerny artykuł pod tytułem „Sienkiewicz w drugim czytaniu”. Przed rokiem publikacja ta była żywo omawiana przez krzemienieckich czytelników, a także prze-

drukowana w jednym z pism warszawskich (w tygodniku *Zespół*). Celem artykułu było ukazanie na przykładzie postaci Muszalskiego idei wyrażonej przez Sienkiewicza w „Panu Wołodyjowskim”, której istotą było wezwanie do zgodnego współżycia, opartego na wzajemnym szacunku, narodu polskiego i ukraińskiego. Zacytowałem w artykule słowa pisarza:

„Był Nalewajko i Łoboda, była chmielniczyzna, a teraz jest Dorosz; ziemia z krwi nie osycha, kłócim się i bijem, a przecie Bóg posiał w serca nasze jakoweś semina miłości, jeno że one jakby w płonej glebie leżą i dopiero pod uciskiem i pod kańczugiem pogańskim, dopiero w tatarskiej niewoli nie spodzianie wydają frukta”.

A kończyłem swój tekst w ten sposób: „Czyliż godzi się czekać na owocowanie ziaren miłości do czasu, gdy będziemy 'pod uciskiem i kańczugiem'? Czy historia niczego nas nie nauczyła? Czy nie warto by zacząć wprowadzać w życie jej mądrych wskazań? Czas też najwyższy zacząć czytać Sienkiewicza na nowo”.

Uprzytomniwszy sobie, że pytanie o Sienkiewicza nie jest przypadkowe oraz że mój rozmówca musiał o tym artykule słyszeć, mogłem już rozpocząć odpowiedź. Była ona nasycona tymi myślami, które o Sienkiewiczu wypowiedzieli niegdyś Wacław Nałkowski i Stanisław Brzozowski. Mój rozmówca przerwał mi w chwili, gdy usłyszał, że Sienkiewicz był wielkim artystą i mistrzem słowa. Wtedy powiedział, że Suworow też był mistrzem w swojej dziedzinie, a mianowicie w sztuce wojennej. Na to znów musiałem zareplikować, że takie rozprawianie się z ludnością cywilną zdobytego miasta, jakie przeprowadził Suworow, rzadko stosowano nawet w głębokim średniowieczu, a Europa w końcu wieku XVIII była już inna i inny był sposób odnoszenia się do bezbronných mieszkańców zdobywanych miast.

Rozmowa zakończyła się nieoczekiwaną wypowiedzią mojego rozmówcy, a mianowicie stwierdzeniem zawierającym następujący sens: Suworow nie znał słowa odwrót, zawsze szedł zwycięsko naprzód i powinien być wzorem dla socjalistycznego kraju, znajdującego się *w kapitalistycznym okrużeniu*.

Wobec takiego postawienia sprawy uznałem, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Wynik mojego protestu był taki, że *kult-pachod* młodzieży na film o Suworowie został odwołany. Nasza społeczność szkolna przeżyła chwilę ulgi w długim

ciągu wydarzeń, wywołujących coraz nowe napięcia i zagrożenia.

Kilka dni później poszedłem sam na ten film, aby naocznie przekonać się, jak pokazano postać Suworowa. To, co przewidywałem, potwierdzała już pierwsza część filmu. Ukazana tu została wielka kolumna zwycięskich wojsk rosyjskich po zdobyciu Warszawy. Na jej czele stał szereg żołnierzy rosyjskich ze zdobytymi sztandarami. Drzewca sztandarów były odwrócone tak, że ich górne końce znajdowały się tuż nad ziemią, a proporce leżały rozrzucone na ziemi. Na oczach widzów Suworow szedł deptając proporce polskich sztandarów i zatrzymywał się, aby zapytać kolejnego żołnierza, jak zdobył sztandar oraz udzielić pochwały za zdobycz.

W ciągu zimy 1939/40 roku wstrząsnęły naszą gromadą kolejne wiadomości o aresztowaniach osób, które należały do grona nauczycielskiego Liceum Krzemienieckiego, a do pracy w nowych warunkach nie zostały dopuszczone. Aresztowano i osadzono w więzieniu Helenę Paliwodziankę — nauczycielkę pedagogiki i geografii, Janinę Poniatowską — nauczycielkę języka francuskiego, Joannę Kopcińską — nauczycielkę wychowania fizycznego, nieco później Jana Targońskiego, także nauczyciela wf. Wszystkie te wydarzenia przeżywaliśmy boleśnie, a nie opuszczała nas myśl o dalszych zagrożeniach.

Ciężkim ciosem było dla społeczności polskiej w Krzemieńcu wywożenie wielu polskich rodzin na Syberię — głównie na stepy Kazachstanu. Zostało ono przygotowane w tajemnicy i spadło na nas zupełnie nagle. Wielka sprawność, z jaką przeprowadzono tę akcję, świadczyła o tym, że aparat represji musiał mieć duże doświadczenie nabyte we wcześniejszych operacjach tego rodzaju.

Pierwsza deportacja odbyła się 10 lutego 1940 roku przy trzydziestopięciostopniowym mrozie. Długi pociąg towarowy wypełniono przywiezionymi na saniach pod strażą milicji i agentów cywilnych rodzinami polskimi z miasta i powiatu. W olbrzymiej większości były to kobiety z dziećmi, wśród których znajdowały się też niemowlęta. Ani wiek, ani zły stan zdrowia nie uwalniały nikogo od natychmiastowej wywózki. Następne takie same akcje odbyły się kolejno w odstępach kilkutygodniowych.

Kogo wywożono? Uważni obserwatorzy stwierdzali, że deportacją objęto:

1. rodziny tych, którzy zostali aresztowani,

2. rodziny tych, co po kampanii wrześniowej nie powrócili do domu, bo zginęli lub dostali się do niewoli,
3. rodziny tych, którzy po opanowaniu Wołynia przez wojsko sowieckie wyjechali w niewiadomym kierunku,
4. całe rodziny osadników wojskowych,
5. całą służbę leśną
6. rodziny policjantów.

Deportacje i aresztowania objęły w mieście i powiecie tysiące ludzi i nie było widać końca tych prześladowań. W polskim środowisku stwarzało to atmosferę ciężkiego przygnębienia. Prawie wszystkie rodziny polskie miały przygotowane tobołki z niezbędnymi rzeczami do zabrania z sobą „w razie czego”. Ten stan niepokoju i przygnębienia ogarnął też całą naszą społeczność szkolną.

A postawa dyrekcji szkoły wobec grona nauczycielskiego i młodzieży nie wykazywała w tych dniach ani cienia ludzkiego współczucia. Praca szkoły musiała się toczyć normalnym trybem tak, jakby wokoło nas nie działo się nic złego. W tych warunkach my, opiekunowie klas, wiązaliśmy się z młodzieżą w sposób szczególnie mocny, choć niedostrzegalny dla postronnego obserwatora: dla politruka, dyrektora i *zaw-peda*.

Nie mówiłem dotychczas nic o realnych warunkach naszej codziennej egzystencji. Jedną z bardzo dotkliwych zmian, jakie nastąpiły po opanowaniu Wołynia przez władze sowieckie, było nagłe pogorszenie się zaopatrzenia ludności w podstawowe środki do życia. Po chleb trzeba było stać w kolejkach przez wiele godzin z takim skutkiem, że go się dostawało albo nie. Cukru nie było nieomal w ogóle (pojawiał się tylko z okazji świąt — np. w związku z 7 listopada). O mąkę było bardzo trudno. Mięso kupowało się tylko od przekupniów, którzy przynosili je w tobołkach ze wsi. Było ono, oczywiście, bardzo drogie i przez to niedostępne dla większości ludzi. Soli nie sprowadzano do miasta przez wiele miesięcy, a gdy wreszcie po upływie blisko roku nadszedł jeden wagon z solą, okazało się, że była ona nie w workach, ale została do brudnego wagonu wysypana luzem jak węgiel. Nakaz szybkiego zwrotu pustego wagonu do stacji węzłowej spowodował, że przywiezioną sól natychmiast wysypano łopatami na ziemię. A kiedy wreszcie ładowano ją do worków w celu odesłania do sklepów, to zgarniano ją razem z piaskiem i śmieciem. Kupowana przez konsumentów

sól była więc bardzo brudna. Używaliśmy jej w ten sposób, że sypało się ją do słoika z wodą, sól rozpuszczała się, a piasek osiadał na dnie. Soliliśmy potrawy słoną wodą.

Jest to jeden, lecz wcale nie jedyny przykład zaopatrzenia przy nowych władzach. Łatwo się domyślić, jak oceniała to miejscowa ludność, dobrze pamiętająca stan rzeczy sprzed wojny.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk sowieckich do Krzemieńca zaczęli przyjeżdżać ze wschodu urzędnicy, którzy organizowali i uruchamiali nowy aparat administracyjny dla miasta i rejonu. Aby uzyskać dla nich mieszkania, usuwano dotychczasowych mieszkańców, skazując ich na dokwaterowanie do obcych ludzi. Przy tej okazji część mebli trzeba było sprzedać, bo nie mieściły się w przydzielonych pomieszczeniach.

Wykwaterowanie dotknęło także mnie z rodziną, składającą się z nas dwojga, dwuletniego dziecka oraz matki mojej i matki żony. Po kilku miesiącach, w maju 1940 roku, nakazano nam powtórny eksmisję. Skierowano nas wtedy do mieszkania jeszcze mniejszego i jeszcze gorszego. Należy dodać, że rodzin mieszkających dalej od centrum nie eksmitowano, bo nie było zapotrzebowania władz na mieszkania znajdujące się na peryferiach. Przybysze czuli się pewniej i bezpieczniej w śródmieściu.

Dla dopełnienia obrazu naszego życia pod władzą sowiecką trzeba jeszcze powiedzieć o atmosferze politycznej, jaką stworzono.

Ogólnie wiadomo, że w drugiej połowie października 1939 roku odbyło się powszechne głosowanie ludności w sprawie dalszych losów tak zwanej „Zachodniej Ukrainy”. Z pojęciem głosowania powszechnego kultura polityczna Europy łączy swobodny wybór. W tym wypadku z procesem głosowania nie był związany żaden wybór. Stworzono tylko pozory wyboru; kartka do głosowania miała tylko jedno nazwisko. Po otrzymaniu trzeba ją było przenieść między dwoma szeregami młodych politycznych aktywistów, których rola była jednoznaczna: mieli oni każdą osobę idącą do urny obserwować tak pilnie i natarczywie, aby nie przyszło nikomu na myśl zboczenie do kabiny i napisanie tam czegoś od siebie. Ludzie wiedzieli, że wyłamanie się z naruszonego schematu postępowania pociągnie za sobą trudne do przewidzenia konsekwencje. A więc prawie wszyscy szybko prze-

chodzili przez szpaler nadzorców i wrzucali do urny kartki z jedynym wydrukowanym nazwiskiem.

Przez szereg tygodni przed głosowaniem trwało przygotowanie polityczne ogółu ludzi do spełnienia tego ważnego aktu. W mieście odbywały się niezliczone wiece, organizowane głównie w zakładach pracy. Obecność wszystkich pracujących była oczywiście obowiązkowa. Treścią przemówień było przede wszystkim szkalowanie państwa polskiego, ośmieszanie jego słabości, szydzenie z nagłego upadku i zapewnianie, że żadnego państwa polskiego już nigdy nie będzie. Wszystko, co było dotychczas, było złe i krzywdzące. Druga część przemówień dotyczyła następstw przyłączenia zachodniej Ukrainy do Związku Sowieckiego. Zapewni ono wszystkim ludziom pracę, dobrobyt i swobodę, przyniesie szybki rozwój gospodarczy i kulturalny pod kierownictwem wielkiego Stalina, który jest dla ludzkości dobroczynny jak słońce, a nawet więcej niż słońce, bo ono w danym czasie darzy swym światłem tylko połowę kuli ziemskiej, a Stalin jest słońcem całej planety jednocześnie.

Taka była treść wieców przedwyborczych dla nauczycielstwa. Ten sam schemat — jak mówili pracownicy różnych instytucji — stosowany był wszędzie.

Większość prelegentów przemawiała po rosyjsku, mimo że odsetek Rosjan był w Krzemieńcu znikomy. Dziennikarz uczący w naszej szkole języka rosyjskiego ukończył rosyjskie gimnazjum przed rewolucją październikową i mówił pięknym literackim językiem. Słuchając przemówień wiecowych cierpiał, bo jego zdaniem język mówców był prostacki i pełen błędów. My, słabiej znający język rosyjski, cierpieliśmy także — ale z innego powodu. Dla nas głoszone poglądy — znane nam zresztą z polskiej gazety *Głos Radziecki* wychodzącej w Kijowie, były prymitywne, pełne propagandowych kłamstw i zacierzwienia. Dodajmy, że jeśli w gazecie tej było wymienione nazwisko jakiegoś polskiego męża stanu, to zawsze towarzyszył mu obraźliwy epitet, „Józef Piłsudski — krwawy pies kapitalizmu...”.

Były jednak w naszym życiu w ciągu pierwszej zimy rządów sowieckich także momenty jaśniejsze. Nie chcę tu wspominać o przypadkach nabycia bochenka chleba już po godzinie stania w kolejce ani zdobycia z okazji rocznicy Armii Czerwonej pół kilograma żółtego cukru. Były to sukcesy życiowe wielkiej wartości, ale chodzi mi o sprawy innej natury.

Wkrótce po przybyciu nowych władz pojawiły się w Krzemieńcu — na ulicach i w naszym budynku szkolnym — propagandowe plakaty. Jeden z nich przedstawiał dobrze odżywionego i zaróżowionego na twarzy Stalina w białym mundurze z czerwonymi wyłogami i z ręką podniesioną w patetycznym geście wskazywania drogi. W tle widać było urodzajne pola, a na horyzoncie mury nowych fabryk i dymiące kominy. Każdy mógł się łatwo domyślić, do jakiej to sytej, zasobnej i radosnej przyszłości wskazuje na plakacie drogę. W niewiele dni później Borys Wesołowski — były nauczyciel języka ukraińskiego w Liceum Krzemienieckim, a następnie w polskiej dziesięciolatce — zatrzymał mnie na korytarzu i zaczął mówić o wspomnianym tu plakacie. Okoliczni chłopci ukraińscy, do których po wrześniu 1939 r. zaczęli potajemnie przybywać krewniacy zza kordonu (kordon graniczny mimo włączenia Zachodniej Ukrainy do ZSSR został utrzymany) dowiedzieli się, że tam na wschodzie ten plakat był rozpowszechniony już od dość dawna. Musiał on zrobić na tamtych chłopach duże wrażenie, bo powstał na jego temat czterowiersz, który mój kolega mi powtórzył:

*Nyma masła ny swyni
Tylki Stalin na styni
I pokazuje rukoju:
„Idy w Polszczu za mukoju”*

Ta krótka fraszka ludowa z końca lat trzydziestych mówiła o prawdzie życia w ZSSR więcej, niż wielogodzinne prelekcje na wiecach. Mówiła prawdę o głodzie panującym na czarnoziemnej Ukrainie, o nastrojach ludności i jej krytycznym stosunku do władzy sowieckiej, nie umiejącej w wiele lat po rewolucji, w warunkach długotrwałego pokoju, zapewnić pracującym ludziom elementarnych podstaw egzystencji.

Oparty na koleżeńskim zaufaniu kontakt z nauczycielem języka ukraińskiego umożliwił mi uzyskiwanie wiadomości o sytuacji panującej w okolicznych wsiach, o nastrojach wśród miejscowej ludności. Z rozmów tych wynikało, że wieś nie była zachwycona nową władzą. Bardzo wcześnie zorientowała się, że czeka ją w najbliższej przyszłości kolektywizacja — i to bez pytania, czy się to komuś podoba, czy nie.

W zimie 1940 roku krążyła wśród chłopów ukraińskich taka na przykład anegdotka. W którejś z bardziej odległych wsi urodziły się niezwykle kocięta. Niezwykle, bo piszczały

po urodzeniu: *Haj żywe Stalin*. Po kilku dniach wieść o tym doszła do władz administracyjnych i do sekretarza partii w rejonie. Postanowił zobaczyć te kocięta i wybrał się tam po jakimś czasie. Po przybyciu do wsi kazał pokazać sobie niezwykle kocięta. Ale gospodarz powiedział, że nie ma już nic niezwyklego, kocięta już nie piszczą *Haj żywe Stalin*. A na pytanie — dlaczego? — odpowiedział: „przejrzały”.

Inna znowu opowiadka mówiła o tym, jak to w jakiejś wsi odbywał się wiec z referatem o sytuacji międzynarodowej. Politrak przemawiał już od dłuższego czasu. W pewnej chwili zauważył, że w przednich rzędach ławek w przepelnionej sali szkolnej siedzi stary chłop, który nie wykazuje większego zainteresowania tym, co się mówi. Miał on na szyi zawieszony duży krąg podsuszanej kielbasy i w chwilach, kiedy mówca był w największym krasomówczym zapale, chłop odgryzał z chrzęstem i nieukrywanym apetytem kawał kielbasy to z jednego, to z drugiego końca. Mówca przerwał wreszcie swoje wywody i zwrócił chłopu uwagę na jego nie stosowne do powagi chwili zachowanie. Mówi się przecież o tak ważnych sprawach. Na to chłop: *Dojidaju polskie jarmo*.

Wieści o poziomie życia wsi sowieckiej za kordonem wschodnim, przenikające na teren ziemi krzemienieckiej mimo zakazów i przeszkód granicznych, pogłębiały cienie ponuro rysujące się przyszłości.

Wróćmy jednak do spraw szkolnych.

Realizacja programu nauczania w naszej dziesięciolatce nie była sprawą łatwą, ani prostą. Stale powtarzany przez władze nakaz ideologicznej interpretacji materiału programowego bardzo utrudniał pracę. Najspokojniej mogli uczyć nauczyciele matematyki i fizyki, ale już biologia wymagała uwzględnienia obowiązujących aktualnie w ZSSR poglądów i doktryn przyrodniczych — nie zawsze uzasadnionych naukowo. Najtrudniejsza jednak była sytuacja nauczyciela literatury polskiej. Tutaj każda stronica Jana Kochanowskiego czy Adama Mickiewicza stwarzała sytuacje trudne, gdyż obowiązywało interpretowanie wszystkich zjawisk literackich z pozycji ortodoksyjnie i po prostaku pojętego materializmu historycznego. Konieczne więc były niedomówienia oraz ograniczanie pracy nad badanymi utworami — do streszczania ich. Dobre streszczenie było przecież najwierniejszym oddaniem sensu utworu. O to mi właśnie chodziło.

Konfliktowe problemy docierały do polonisty nawet z takiego przedmiotu jak przysposobienie wojskowe. Już w

pierwszych tygodniach działalności naszej dziesięciolatki zwrzali mi się chłopcy z klasy, której byłem opiekunem, z takiego oto kłopotu.

Na zajęciach z przysposobienia wojskowego instruktor żądał od uczniów, by nie używali podczas zajęć polskich wyrazów „żołnierz” i „państwo”, bo to są nazwy burżuazyjne, lecz by mówili *bojec* i *gosudarstwo*. Po rosyjsku. Młodzież nie mogła się z tym pogodzić. Poradziłem moim uczniom, aby spokojnie poczekali, a ja przy najbliższej okazji poruszę tę sprawę z kierownikiem szkoły. W kilka dni później w czasie krótkiej pauzy międzylekcyjnej przyszedł do pokoju nauczycielskiego dyrektor szkoły i jego zastępca. Znalazł się też politruk. W pokoju była gromadka nauczycieli. Skorzystałem z tej sytuacji i zacząłem mówić o tym, co usłyszałem od uczniów. Stwierdziłem następnie, że zainteresowało mnie to i jako opiekuna klasy i jako nauczyciela języka polskiego. Wyraziłem zastrzeżenia co do wymagań instruktora prowadzącego przysposobienie wojskowe. Język polski ma swoje zasoby językowe i nie ma żadnego uzasadnienia, aby je naruszać. Sprawa ma też inny jeszcze aspekt. Jako polonista wiem, że w języku polskim istnieje pewna kategoria rzeczowników, które powstają z połączenia członu czasownikowego z przyrostkiem „-ec”. A więc ten, kto strzela — jest strzelec, ten, kto wisi — jest wisielec, a ten, co się boi — jest bojec. Jeśli zaś chodzi o wyrazy „państwo” i *gosudarstwo*, to pierwszy z nich pochodzi od wyrazu „pan”, a drugi od wyrazu *gosudar*. Nie wiem tylko, który z nich był większy sukinsyn.

Ten mój wywód wywołał ogólny wybuch śmiechu. W taki sposób zostały storpedowane językowe wymagania gorliwego podoficera.

Podobnych utarczek było wiele, a powody zdarzały się różne.

Na przykład. Pewnego razu dyrektor podczas zbiorowej rozmowy w pokoju nauczycielskim wtrącił uwagę o naszej gospodarce w okresie dwudziestolecia. Powiedział mianowicie, że rozwój gospodarczy Polski w tym okresie był słabszy nawet od rozwoju kraju tak zacofanego, jak carska Rosja. Zabolalo to mnie i postanowiłem zareagować.

Zacząłem od stwierdzenia, że gdy się mówi o zagadnieniach gospodarczych, to nie można ograniczać się do ocen ogólnych, lecz należy operować też konkretnymi dowodami. Od nich nawet trzeba zaczynać. Zaproponowałem więc, abyśmy

sięgnęli do takiego wycinka rzeczywistości gospodarczej, który wszyscy tutaj obecni dobrze znają. Niech więc jako przykład posłuży nam rozwój naszego miasta — Krzemieńca.

W okresie mniej nawet niż dwudziestu lat — to znaczy od pokoju ryskiego w roku 1921 do września 1939 roku, a więc w ciągu lat osiemnastu — wybudowano w naszym mieście elektrownię i zelektryfikowano całe miasto, położono kilometry kamiennych jezdni i betonowych chodników, pobudowano w mieście liczącym niewiele ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców trzy duże, nowoczesne, dobrze wyposażone gmachy szkolne — na Dubieńskiej rogatce, pod Boną i w centrum miasta; pobudowano trzy duże osiedla domów jednorodzinnych i trudną do porachowania liczbę takich domów rozsianych po całym mieście.

A co zbudowała tu carska Rosja od trzeciego rozbioru Polski w roku 1795 do roku 1914, to znaczy w ciągu lat blisko stu dwudziestu? Dyrektor milczał. Wtedy krzyknąłem: „To ja wam powiem: g...!”.

Nieoceniony w tym przypadku dzwonek na lekcję pozwolił przerwać tę ryzykowną dla mnie rozmowę.

A dyrektor nigdy już do tego tematu nie powrócił.

W gronie paru zaprzyjaźnionych osób zastanawialiśmy się później, co nim kierowało, gdy wygłaszał przed nami swoją opinię — czy chęć przekonania nas, że nie warto żałować czasów przedwrześniowych, czy też była to prowokacja mająca na celu wywołanie naszych wypowiedzi, które kiedyś zostaną wykorzystane przeciwko nam.

Unikaliśmy zdecydowanie rozmów z politrukiem, bo nie mogliśmy uwolnić się od przeświadczenia, że rozpoczyna je w podejrzanym intencjach. Pewnego razu powiedział, że Polska zniknęła z mapy Europy i że żadnej Polski nigdy już nie będzie (*Nikakoj Polszi nikogda nie budiet*).

Wiedziałem, oczywiście, jak doszedł do tego twierdzenia, bo znałem tekst deklaracji, ogłoszonej przez Mołotowa przez radio we wrześniu 1939 — w chwili rozpoczynania najeżdzu sowieckiego na państwo polskie. Powtarzanie tej opinii przez cały aparat propagandy sowieckiej było jednym ze sposobów manifestowania przed Rzeszą hitlerowską idealnej harmonii, która doprowadziła do paktu w sprawie czwartego rozbioru Polski i która trwała niezmiennie.

Nie na wszystkie prowokacje mogłem zareagować otwarcie. Często jednak próbowałem osłabić ich siłę. Tak było i w

tym przypadku. Powiedziałem więc, że powstanie granicy między Niemcami a Związkiem Sowieckim na Bugu i Sanie jest wydarzeniem historycznym, a historia nie zna rozwiązań wiecznych. Tymczasem wojna trwa, a nikt nie może wiedzieć, jaki będzie jej dalszy przebieg i co w końcu przyniesie.

Politrukowi zabrakło argumentów i milczał, czemu nie należy się dziwić, bo ich nie otrzymał od aparatu propagandy. A propaganda, kładząc swojemu sojusznikowi, chciała utrzymywać mieszkańców ZSSR w stanie euforii z powodu sukcesu, jakim były nabytki terytorialne, które przesunęły zachodnią granicę Związku Sowieckiego o kilka kilometrów na zachód.

Dopiero klęska Francji — błyskawiczna i zupełna — miała posiąć niepokój w głowach nie pozbawionych do końca zdolności przewidywania.

Liczne utarczki słowne z dyrektorem czy politrukiem nie pociągały za sobą uchwytnych dla mnie złych następstw. Dlaczego?

Odpowiedzi na to pytanie mogłem się tylko domyślać. Aby jednak moje domysły uprawdopodobnić, trzeba było sięgnąć do dziewięciu lat mojej pracy w Krzemieńcu.

Rozpocząłem ją bezpośrednio po studiach — w roku 1930. Uczyłem języka polskiego i propedeutyki filozofii w ośmioletnim gimnazjum ogólnokształcącym oraz w mieszczącym się w tym samym gmachu seminarium nauczycielskim. Już w ciągu pierwszego roku pracy doprowadziłem do matury najstarsze klasy w obu tych szkołach. Kiedy w wyniku reformy ustroju szkolnego w roku 1935 uległo likwidacji nasze seminarium nauczycielskie, powołano do życia nowy zakład kształcenia nauczycieli — dwuletnie Pedagogium. Przyjmowano do niego maturzystów po ukończeniu ośmioletniego gimnazjum. Miało ono wydział humanistyczny i przyrodniczo-geograficzny. Prowadziłem zajęcia dydaktyczne na pierwszym z nich w zakresie nauki o języku, nauki o literaturze współczesnej oraz nauki o literaturze dla dzieci i młodzieży. Programy nauczania opracowywaliśmy sami, a zatwierdzane były przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Moje przedmioty nauczania zarówno w ośmioletnim gimnazjum jak i w Pedagogium były najściślej związane z problematyką światopoglądową, wymagały więc ukazywania mojego stosunku do omawianych dzieł i pisarzy w zakresie zagadnień moralnych, społecznych i psychologicznych.

Również obowiązki opiekuna klasy stwarzały sytuacje, w których młodzież poznawała wyznawany przeze mnie system wartości oraz mój stosunek do człowieka, jego problemów i zachowań. We wszystkich latach pracy miałem też kontakty z młodzieżą podczas zajęć pozalekcyjnych, na przykład podczas wielodniowych wycieczek; w toku przygotowywania imprez scenicznych, a także przy sprawowaniu w ciągu sześciu lat (1933-1939) funkcji opiekuna uczniowskiego miesięcznika *Nasz Widnokrąg*, który — drukowany w jednej z miejscowych firm — ukazywał się bardzo regularnie (dziewięć numerów rocznie). Mój udział w życiu społecznym i kulturalnym miasta przejawiał się m.in. w pracach redakcyjnych miesięcznika *Życie Krzemienieckie*. Przez szereg lat zamieszczałem tu recenzje z widowisk objazdowego Teatru Wołyńskiego i innych imprez teatralnych.

Gdy w roku 1937 Zrzeszenie b. Wychowanków LK zaczęło wydawać swój miesięcznik — *Drogę Pracy* — to już w następnym roku zostałem zaproszony do udziału w komitecie redakcyjnym, mimo, że nie byłem absolwentem Liceum. Moje nazwisko umieszczono w składzie komitetu na okładce pisma we wrześniowym numerze z roku 1938.

Od grudnia 1931 — z roczną przerwą — prowadziłem aż do września 1939 roku Komisję Wieczorów Dyskusyjnych działającą w Zjednoczeniu Organizacji Społecznych Krzemieńca. Prelegentami na naszych wieczorach byli najczęściej pracownicy nauki z Warszawy, Krakowa i Wilna, od czasu do czasu powierzaliśmy wygłaszanie prelekcji ludziom miejscowym. Nasze wieczory odbywały się w Sali Kolumnowej, a brało w nich udział po kilkadziesiąt osób. Dyskusje były żywe, czasem gorące. Jako stały przewodniczący tych wieczorów starałem się tak wpływać na bieg dyskusji, aby utrzymywała się ona w zakresie omawianego tematu, nie krępowałem jednak nikogo w swobodnym wypowiedzianiu swoich poglądów. Także te wieczory były miejscem, gdzie mogłem ukazywać i moje zainteresowania i stosunek do wielu zagadnień współczesnego życia.

Wszystkie te sytuacje i działania czyniły mnie człowiekiem w środowisku krzemienieckim znanym bardziej wszechstronnie niż wielu moich kolegów z licealnego grona.

W grudniu 1932 roku, w dziesiątą rocznicę śmierci Gabriela Narutowicza, a więc w dwa lata po moim przybyciu do Krzemieńca, zamieściłem w *Życiu Krzemienieckim* artykuł, który nie mógł się podobać ludziom o określonych przeko-

naniach politycznych. Napisałem między innymi: „masy robotnicze i chłopskie, których głosami w pierwszym rządzie wybór [Gabriela Narutowicza] został dokonany, dały wyraz oburzeniu za podeptanie woli większości. Próba wprowadzenia — nie drogą prawa, bo to było wtedy niemożliwe — lecz obyczaju, by cenniejsze były głosy jednych obywateli państwa niż drugih, nie udała się (...) masy powołane do równego udziału w życiu społecznym (...) gotowe były bronić praw rzeczywistej równości w nowoczesnym państwie demokratycznym, nie uznającym podziału na obywateli pierwszej i drugiej klasy, zależnie od pochodzenia lub wyznania”. Wybór przecież został dokonany „zgodnie z demokratyczną a uznaną przez wszystkich konstytucją. (...) Wyboru drugiego prezydenta dokonano w Zgromadzeniu Narodowym zupełnie tymi samymi głosami. Wojciechowski tak samo jak Narutowicz nie miał za sobą większości głosów «lepiej polskich». I nie tylko zbrodnia się nie powtórzyła, ale niesłyszalne już były głosy protestów. Jak się to stało — wszak nie przedsięwzięty został żaden krok fizycznej przemocy? (...) — śmierć Pierwszego Prezydenta dała dojrzeć i wyzwolić się powszechnej świadomości, że skończył się na zawsze czas społecznych przywilejów jednych obywateli kosztem drugih, w duszy narodu został złamany zły cień przeszłości...”.

Wiem, że Ukraińcy i Żydzi zauważyli ten artykuł i uznali jego słuszość. Mój stosunek do tych narodowości znajdował wyraz także w wielu moich późniejszych wypowiedziach, a przede wszystkim w moim realnym postępowaniu.

Byłem zwolennikiem idei ewolucyjnego poszerzania współpracy polsko-ukraińskiej. Idea ta — moim zdaniem — powinna być na terenie Wołynia konsekwentnie i uczciwie wcielana w życie.

Oczywiście, nie mogło się to podobać licznym w Krzemieńcu wyznawcom poglądów nacjonalistycznych oraz mocarstwowych, którzy po roku 1935 stawali się coraz bardziej aktywni, a nawet agresywni.

Jednym z konkretnych dowodów nasilania się tych tendencji także w sferach rządowych było usunięcie z Wołynia w kwietniu 1938 roku, a więc kilkanaście miesięcy przed wybuchem wojny, wojewody Henryka Józewskiego, konsekwentnego realizatora współpracy polsko-ukraińskiej. Przesłano na jego miejsce zacieklego wroga tej idei, długoletniego dygnitarza w służbach resortu spraw wewnętrznych.

Na złe skutki tej zmiany na stanowisku wojewody

wołyńskiego społeczeństwo licealne nie czekało długo. W tym samym 1938 roku — na jesieni — usunięto z Wołynia Kazimierza Banacha, kierownika licealnego uniwersytetu ludowego w Różynie koło Kowla, a na początku roku 1939 zmuszono do opuszczenia Krzemieńca Mieczysława Zadroznego, dyrektora Biblioteki Naukowej LK. Byli oni mocno zaangażowani w prace Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej, w tygodnik *Młoda Wieś-Mołode Selo* i w szeroko rozgałęzione poczynania oświatowe, na przykład w konkursy dobrego czytania oraz w akcję bibliotek wędrownych.

Na takim tle należy stawiać mój — wspomniany wyżej — artykuł pt. „Sienkiewicz w drugim czytaniu”, wydrukowany w miesięczniku *Zrzeszenia b. Wych. LK*.

Niewątpliwie i moja działalność i działalność moich kolegów z Liceum znajdowały się pod obserwacją mieszkańców Krzemieńca.

Polskie środowisko nacjonalistyczne dało wyraz swej niechęci do mnie, kiedy w roku 1939 w jednym z marcowych numerów *Samoobrony Narodu* — pisma wychodzącego w Poznaniu — zamieszczona została opinia o mnie jako o przyjacielu Ukraińców i Żydów, co w rozumieniu anonimowego autora rzucało na mnie cień. Krzemienieckim przedstawicielom narodowości ukraińskiej i żydowskiej głoszone przeze mnie przekonania i realna działalność były oczywiście znane. Były też niewątpliwie komentowane. Myślę, że głównie ze środowiska żydowskiego, a po części ukraińskiego, zostały przekazane władzom sowieckim już w pierwszym okresie ich funkcjonowania w Krzemieńcu opinie o bardziej znanych przedstawicielach społeczności licealnej.

Było dla mnie uderzające, że podczas zgromadzenia pracowników Liceum Krzemienieckiego, które odbyło się już następnego dnia po wkroczeniu Armii Czerwonej do Krzemieńca, z urzędowej mównicy wymieniono nazwiska pięciu nauczycieli LK z zaznaczeniem, że nowe władze szkolne spodziewają się, iż osoby te pomogą w uruchomieniu nauki w szkołach. Byli to — oprócz autora tego tekstu — kole-dzy: Franciszek Mączak — nauczyciel geografii i dyrektor licealnego Muzeum Ziemi Krzemienieckiej, dr Zdzisław Opolski — nauczyciel przyrody, Stanisław Sheybal — nauczyciel rysunków i członek redakcji miesięcznika *Życie Krzemienieckie*, Borys Wesołowski — nauczyciel języka ukraińskiego.

F. Mączak i dr Z. Opolski zostali od dnia 1 stycznia

1940 roku zaangażowani jako wykładowcy w powołanym właśnie do życia ukraińskim Instytucie Pedagogicznym, umieszczonym w gmachach Liceum Krzemienieckiego, z których usunięto polskie placówki. Jakąś formą pozytywnego stosunku do mnie było powierzenie mi w polskiej dziesięciolatce — oprócz pracy nauczyciela — także obowiązków opiekuna jednej z klas dziesiątych.

Wymienieni tu czterej polscy nauczyciele byli znani przed wojną w Krzemieńcu jako ludzie aktywni społecznie w życiu pozaszkolnym. Czytelny dla otoczenia był ich pozytywny stosunek do ludności ukraińskiej i żydowskiej. Warto dodać, że F. Mączak był przez kilka lat opiekunem jednego z kursów seminarium nauczycielskiego. Odnosił się z ojcowską troską do wszystkich swoich wychowanków, nie wyróżniając nikogo — a w jego klasie była spora gromadka młodzieży ukraińskiej. Utalentowany muzycznie — zorganizował w swojej klasie chór, do którego należeli wszyscy uczniowie. Chór śpiewał pięknie i pieśni polskie, i ukraińskie.

Dla wymienionego wyżej nauczyciela rysunków nie było w dziesięciolatce programowych zajęć w zakresie jego przedmiotu. Aby stworzyć mu możliwość pracy, zaangażowano go jako nauczyciela matematyki na poziomie klas średnich (piątej i szóstej), gdzie jego kwalifikacje mogły być wystarczające.

Nasze grono nauczycielskie dobrze zdawało sobie sprawę, jak cenną rzeczą w tamtych warunkach było powołanie do życia polskiej dziesięcioletniej szkoły średniej. Dodajmy, że polska szkoła siedmioletnia, pełniąca przed wojną rolę szkoły ćwiczeń dla zakładu kształcenia nauczycieli, została przez władze sowieckie utrzymana z dotychczasowym gronem nauczycielskim. Jej kierownikiem pozostał kolega Stanisław Bieda. Przestała istnieć, gdy Krzemieniec w roku 1941 dostał się pod okupację niemiecką.

Ogół polskiej młodzieży także doceniał wartość istnienia polskiej szkoły średniej. Muszę wyraźnie powiedzieć, że w tamtych trudnych warunkach nie mieliśmy z prowadzeniem naszej młodzieży większych trudności. Rozumiała ona, że nie należy robić rzeczy, które mogłyby posłużyć jako pretekst do rozwiązania szkoły, do represji indywidualnych czy zbiorowych. Rozumiała konieczność stosowania przez nas pewnych form kompromisu, ale umiała docenić nasze akty oporu, jak wspomniany wyżej przypadek z filmem o Suworowie czy z próbą kaleczenia języka polskiego przez instruktora przypodobienia wojskowego.

W ciągu dwóch szkolnych lat istnienia dziesięciolatki mam do zanotowania tylko jeden przykry, a wywołany przez uczniów incydent. Było to włamanie w nocy przez okno do gabinetu dyrektora szkoły. Zabrano stamtąd dywanik sprzed biurka i aparat radiowy. Sprowadzone na miejsce przestępstwa psy policyjne wysłedziły, gdzie zanieśiono te przedmioty. Aresztowano obu sprawców włamania. Byli to uczniowie klasy ósmej, a więc młodzieńcy w wieku 16-17 lat. Stało się to w pierwszych tygodniach istnienia dziesięciolatki. Obaj byli od dawna znani w szkole z tego, że choć mało zdolni — nie przykładali się należycie do nauki. Na tym tle mieliśmy z nimi kłopoty także przed wojną. Indagowany w tej sprawie przez NKWD przeciwstawiłem się sugestii, jakoby sprawców incydentu było więcej. Nie wiem, czy ktoś jeszcze oprócz mnie był w tej sprawie wzywany do NKWD. Jedno jest pewne, że nie pociągnęła ona dalszych następstw i nikt do współodpowiedzialności pociągnięty nie został. Społeczność szkolna zachowała spokój i potraktowała to zdarzenie jako nieodpowiedzialny wybryk, mimo późniejszego dorabiania do niego przez rodziny tych dwóch uczniów patriotycznej motywacji. Obaj młodzieńcy wyszli z więzienia w dniach ewakuacji władz sowieckich z Krzemieńca na przełomie czerwca i lipca 1941 r.

Społeczność szkolna musiała być bardzo czujna na ewentualne prowokacje. Nasza szkoła nie cieszyła się ani sympatią, ani zaufaniem władz szkolnych i politycznych. Na jednym z takich zebrań powiedział przedstawiciel *part-komu*, że nasza 10-latka to *bnizdyczko kontrrewolucji*.

Na ogólnomiejskich zebraniach nauczycieli krytykowano nasze metody nauczania i wychowania. Miano nam m.in. za złe, że tylu uczniów ma oceny zaledwie dostateczne, że za mało stawiamy piątek, a za dużo ocen niedostatecznych. Jeśli są takie oceny, to znaczy, że źle uczymy i nie mobilizujemy młodzieży do osiągnięcia lepszych wyników.

Miano nam też za złe, że tak opornie poddajemy się wymaganiom w sprawie organizowania „socialistycznego współzawodnictwa”, które takie dobre wyniki daje w kopalniach węgla i hutach żelaza. Zalecenia w sprawie współzawodnictwa przewidywały trudną do policzenia mnogość jego form. Powinno więc być współzawodnictwo między poszczególnymi uczniami, między grupami uczniów w tej samej klasie (na przykład między rzędami ławek), między uczniami klas równoległych, a także pomiędzy nauczycielami uczącymi w róż-

nych klasach tego samego przedmiotu, pomiędzy opiekunami klas itd.

Władze partyjne a więc i władze szkolne widziały w „socjalistycznym współzawodnictwie” zbawienny zabieg przeciw wszelkim trudnościom w osiąganiu dobrych wyników. A my uważaliśmy, że ta prymitywna z punktu widzenia teorii dydaktyki krzatanina pozoruje tylko działalność metodyczną w nauczaniu. Uważaliśmy, że musi ona sprzyjać powstawaniu nadużyć w wystawianiu dobrych ocen dla osiągnięcia zwycięstwa — tak mile widzianego przez władze. Na przewidywane przez nas objawy zwyrodnienia nie czekaliśmy długo. Już koniec pierwszego roku szkolnego obnażył na egzaminach rocznych w szkołach krzemienieckich wiele rzeczy złych i kompromitujących. Nasza szkoła wyszła z próby egzaminów rocznych wcale nieźle, nie kwestionowali tego nawet urzędowi kontrolerzy. My, nauczyciele, starając się pracować dobrze, odwoływaliśmy się do różnych form wzajemnej pomocy uczniów opartej o ideę koleżeństwa i pomagaliśmy w tworzeniu zespołów samopomocy. Ta forma pracy dawała pozytywne wyniki w szkołach Liceum Krzemienieckiego. Było to szczególnie żywe i powszechne w warunkach pracy w naszym systemie daltońskim.

Wielokrotnie powtarzano nam frazes, że *nie ma złych uczniów; są tylko źli nauczyciele*. Kryła się w tym zdaniu sugestia o wszechodpowiedzialności nauczyciela za wyniki nauczania i wychowania, tak jak gdyby na uczniów nie oddziaływały żadne inne czynniki prócz nauczyciela. Ten frazes był podawany jako nie ulegający żadnej wątpliwości dogmat. Stwarzało to sytuację, w której można było każdego nauczyciela w każdej chwili oskarżyć o złe wykonywanie obowiązków zawodowych, bo przecież zawsze byli uczniowie, którzy nie osiągali w jakimś zakresie dobrych wyników w nauczaniu, albo były z nimi jakieś kłopoty wychowawcze. To twierdzenie, które traktowano urzędowo jako kryterium oceny pracy nauczyciela, miało go czynić posłusznym i bezkrytycznym narzędziem służącym do wprowadzania w życie szkoły wszelkich nakazów władz bez liczenia się z prawami psychologii i pedagogiki.

W lecie 1940 roku zmieniono w Związku Sowieckim obowiązujący od szeregu lat tydzień pracy. Zamiast pięciu dni roboczych (*piatidniewki*) i dnia wolnego (*wychodnoj dzień*) przywrócono ogólnie na świecie obowiązujący tydzień siedmiodniowy, a więc złożony z sześciu dni pracy i wolnej niedzieli.

Oznaczało to powiększenie liczby dni pracy w ciągu roku o dziewięć. Równocześnie uległa bardzo drastycznym zaostreżeniom dyscyplina obecności w pracy oraz punktualnego jej zaczynania. Rychło miałem się o tym przekonać na własnej skórze.

W nowym roku szkolnym — w pierwszych dniach września 1940 roku — dyrekcja naszej szkoły nie ogłosiła od razu tygodniowego planu zajęć, lecz podawała nam rozkład godzin na jeden lub dwa dni naprzód. Kiedyś ukończyłem swoje zajęcia po czwartej lekcji, zanotowałem sobie przy tablicy ogłoszeń w pokoju nauczycielskim swój rozkład godzin na dzień następny i poszedłem do domu. Okazało się, że dyrektor po moim wyjściu ze szkoły wywiesił zmieniony plan. Nie wiedząc o tym, przyszedłem następnego dnia na drugą lekcję i opuściłem w ten sposób jedną godzinę zajęć. Dyrektor nie uznał mojego tłumaczenia i przekazał meldunek do inspektora szkolnego, który — zgodnie z nowymi przepisami — skierował sprawę do sądu. Już po paru dniach odbyła się normalna rozprawa sądowa. Kazano mi usiąść na ławie oskarżonych. Nie uznano mojego tłumaczenia i zgodnie z nowymi przepisami o dyscyplinie pracy zostałem skazany na karę pieniężną w wysokości pełnych poborów miesięcznych. Ich potrącenie zostało rozłożone na trzy miesiące. Wyrok przewidywał, że jeśli w ciągu tych trzech miesięcy naruszę dyscyplinę pracy choćby w najmniejszym stopniu — na przykład przez spóźnienie się do pracy o parę minut — wtedy oprócz orzeczonej kary zostanę skazany na trzy miesiące więzienia.

Kara i zagrożenie były dla mnie zaskakująco surowe i w pierwszej chwili — niezrozumiałe. Po namyśle omówiony incydent pozwolił mi zdać sobie sprawę z wielu rzeczy. Przede wszystkim uświadomiłem sobie, że z dyscypliną pracy w tym małym mi znanym kraju musi być niedobrze, jeśli uznano za konieczne wprowadzenie aż tak surowych rygorów. Równocześnie jednak dostrzegłem, że w tym kraju, gdzie — jak mówiono — władza należy do klasy robotniczej, zastosowano drakońskie metody brutalnego wymuszania dyscypliny pracy. To, o czym mówię, działo się prawie ćwierć wieku po rewolucji październikowej, po wielu latach pokoju. Jeśli komunistyczna władza w ciągu tak długiego okresu nie wychowała zbiorowości pracowniczych w duchu należytego stosunku do obowiązków i zdecydowała się wprowadzić takie rygory, to wystawiała sobie samej i systemowi ponure świadectwo. Jeśli w

kształtowaniu postaw pracowniczych — przez zakład pracy i przez własną władzę państwową — odrzuca się takie etapy oddziaływania na człowieka jak rozmowa, perswazja, upomnienie i nagana, a zaczyna się od ciężkiej kary pieniężnej i od razu grozi się więzieniem — to taka metoda postępowania nie wychowuje, lecz łamie.

Likwidacja pięciodniowego tygodnia pracy i zaostrezenie rygorów wobec pracowników zostały przeze mnie i ludzi mi bliskich przyjęte jako konsekwencja klęski Francji. Mogło być tak, że ZSSR przewiduje jakieś ważne i daleko idące wydarzenia, które wymagają wzmożonej pracy i napiętej gotowości.

W czasie wakacji 1940 roku ani po wakacjach nie doszły do mnie wiadomości ani o nowych aresztowaniach, ani o wysiedleniach. To mogło coś znaczyć.

W połowie października otrzymałem od dyrektora szkoły polecenie, abym zorganizował w listopadzie uroczystości związane z 85-tą rocznicą śmierci Adama Mickiewicza. Byłem tym zaskoczony, bo przecież w ciągu pierwszego roku władzy sowieckiej na Wołyniu nie wykazywała ona żadnego zainteresowania sprawami polskiej kultury. Również taka właśnie, 85-ta rocznica, która miała być obchodzona, nie należała do ogólnie przyjętych zwyczajów. Do tej pory wszystkie obchody organizowane w naszej dziesięciolatce, a nakazane przez władze, były związane z wydarzeniami o jakimś znaczeniu dla Związku Sowieckiego. Przygotowywaniem ich zajmował się drugi nauczyciel rysunków, dla którego także nie było zajęć mieszczących się w planie lekcji. Był więc zatrudniony jako organizator imprez pozalekcyjnych.

Wkrótce okazało się, że wielki obchód mickiewiczowski ma się odbyć w tym samym czasie we Lwowie. Dowiedziałem się o tym od Wincentego Rzymowskiego, który wkrótce po wybuchu wojny przywędrował do Krzemieńca i tu pozostał, choć wielu intelektualistów polskich spośród tych, którzy w pierwszych dniach września przybyli tutaj, odjechało ku granicy rumuńskiej i dalej. Jeździł on co pewien czas do Lwowa i spotykał się tam ze znajomymi pisarzami, których burza wojenna wypędziła z Warszawy. Od niego dowiedziałem się, że w przygotowaniu mickiewiczowskiego obchodu we Lwowie bierze między innymi udział Tadeusz Boy-Żeleński, naówczas profesor filologii francuskiej na Uniwersytecie Lwowskim. Sam on o swej pracy mówił dowcipnie, że jest *polskim* profesorem, który wykłada *francuską* literaturę w

ukraińskim uniwersytecie żydowskim studentom.

Okazało się, że obchody w związku z 85-tą rocznicą śmierci Adama Mickiewicza mają się odbyć na terenach opatrzonych przez ZSSR we wrześniu 1939 roku we wszystkich ośrodkach, gdzie znajdowały się większe skupiska ludności polskiej i gdzie funkcjonowały szkoły z polskim językiem nauczania. Decyzja w tej sprawie — wedle informacji przywiezionych ze Lwowa — pochodziła od Stalina. W zainicjowaniu tej akcji nie brała chyba udziału Wanda Wasilewska, gdyż lwowscy literaci mówili, że była ona tym zarządzeniem zaskoczona.

Ten gest władz sowieckich bardzo mnie zdziwił. W ciągu dziesięciu miesięcy — od września 1939 do czerwca 1940 roku — poza przywróceniem działalności pewnej tylko liczby polskich szkół — nie uczyniono przecież niczego, co mogłoby świadczyć o pozytywnym stosunku do kultury polskiej na naszym terenie. Natomiast były posunięcia władz świadczące o czymś wręcz przeciwnym. Oto dowody.

W sierpniu 1939 roku ukończono w prywatnym zakładzie W. Cwika w Krzemieńcu — na zamówienie Komitetu Roku J. Słowackiego — pracę nad wydrukowaniem dziesięciu tysięcy egzemplarzy „Balladyny”. Opracowałem to wydanie dla teatrów ludowych, a na robienie korekty poświęciłem prawie całe swoje wakacje. Arkusze książki leżały w drukarni w stosach. Pierwszych kilkanaście egzemplarzy introligator oddał nam pod koniec sierpnia. Jeden z nich wysłałem do brata mieszkającego w Łodzi i ten egzemplarz ocalał i stał się podstawą mojego drugiego wydania „Balladyny” w roku 1984 w W-wie. Ponieważ w końcu sierpnia 1939 roku introligator został powołany do wojska, prawie cały nakład książki pozostał w arkuszach. Kiedy po 17-tym września władze sowieckie przejęły nadzór nad drukarnią, wszystkie te arkusze zostały odesłane na przemiał bez próby porozumienia się z ludźmi zainteresowanymi.

Bibliotekę Naukową Liceum Krzemienieckiego zaczęto organizować w parę lat po wskrzeszeniu naszej uczelni, ale jej intensywny rozwój rozpoczął się dopiero w roku 1927, gdy wizytatorem Liceum został Juliusz Poniatowski. Biblioteka ta była zupełnie niezależna od bibliotek szkolnych, a zasięgiem swoim obejmowała cały Wołyń. Wiele pracy w gromadzenie książek oraz udostępnienie ich czytelnikom wkładał dyrektor biblioteki mgr Mieczysław Zadrozny oraz zespół jego pracowników.

W ciągu przeszło dziesięciu lat udało się dyr. Zadroz-nemu zgromadzić i udostępnić czytelnikom ponad dwanaście tysięcy tomów książek — w znacznej większości naukowych — obejmujących wszystkie podstawowe dziedziny wiedzy.

Wiosną 1940 roku doszła do mnie wiadomość, że z Biblioteki Naukowej wywożone są od kilku dni książki na przemiał. Nie mogłem w to uwierzyć. Uczniowie, którzy przynieśli mi tę wiadomość, powiedzieli jednak, że mogę to zobaczyć. Trzeba było w tym celu zejść pod tylne drzwi pomieszczeń bibliotecznych. Poszedłem i zobaczyłem duży wóz prawie już pełen książek z oderwanymi okładkami. Wóz był wysoki, wspiałem się na palce i sięgnąłem po jedną z tych książek. Nie pamiętam jej tytułu ani autora, zapamięta-łem tylko, że była to książka przyrodnicza i że miała na stronie tytułowej pieczęć Liceum Krzemienieckiego. W pewnej chwili w drzwiach zobaczyłem dwóch robotników dźwiga-jących pełen kosz książek z oderwanymi okładkami. Jego zawartość wysypali w mojej obecności na wóz. Na moje pytanie, czy dużo jeszcze mają roboty, jeden z nich odparł, że dużo — całą bibliotekę.

Nie stosowano tu palenia książek, jak u Hitlera, ale niszczone je równie skutecznie. W imię jakich racji?

Po takich doświadczeniach mogłem więc traktować ze zdziwieniem i nieufnością polecenie sowieckich władz politycznych w sprawie mickiewiczowskich uroczystości. Na pyta-nie, co spowodowało tę zmianę w stosunku do społeczności polskiej i jej kultury, odpowiedź stawała się dla mnie wyraź-na: po klęsce Francji nadszedł czas, aby nic nie kosztującymi i do niczego nie zobowiązującymi gestami zacząć stwarzać *pozory* zmiany stosunku w celu zjednywania sobie zaufania zbiorowości polskiej w ZSSR. Ta kilkumilionowa zbiorowość mogła się kiedyś na coś przydać.

Wieczór mickiewiczowski miał się odbyć w Sali Kolum-nowej rozwiązanego Liceum Krzemienieckiego, największej i najpiękniejszej sali w mieście, pochodzącej z epoki Tadeusza Czackiego. Sala ta już od przeszło roku była dla nas niedostępna.

Z tą salą związane było wiele przeżyć w ciągu dziewięciu lat mojej pracy w Liceum Krzemienieckim. Zaczęły się one od prelekcji dla młodzieży i nauczycielstwa w związku z 25-leciem strajku szkolnego, obchodzonym przez szkołę kilka tygodni po rozpoczęciu przeze mnie pracy w LK we wrześ-niu 1930 roku. W tej sali słuchało się pięknych koncertów

organizowanych przez Muzyczne Ognisko Wakacyjne LK z cennymi prelekcjami prof. Bronisława Rutkowskiego, z udziałem Grażyny Bacewiczówny, Ireny Dubiskiej, Stanisławy Szymanowskiej, Eugenii Umińskiej, Witolda Małcużyńskiego, Tadeusza Ochlewskiego, Henryka Sztompki i wielu innych artystów. Tu wystawiliśmy na przełomie lat 1931/32 w reżyserii Izy Kunickiej niezapomnianą „Pastorałkę” Leona Schillera. Wykonawcami byli uczniowie, nauczyciele i pracownicy administracji LK. Wspaniała była atmosfera podczas licznych prób, a potem entuzjastyczna reakcja publiczności, wypełniającej salę po brzegi przez cztery wieczory. Pamiętam bardzo udane kreacje aktorskie: Feliksa Guzika jako św. Józefa, inż. architekta Zdzisława Celarskiego jako Heroda i wiele innych. Bardzo piękne opracowanie muzyczne całego spektaklu było dziełem nauczycieli śpiewu Jerzego Gaché i Mariana Ośki. Miał też w tym swój udział F. Mączak, który przygotował wykonanie kilku pieśni chóralnych.

Takie były początki moich związków z tą salą, a w ciągu dziewięciu lat występowałem tu wielokrotnie jako prelegent, a także jako przewodniczący wieczorów dyskusyjnych, organizowanych pod egidą Zjednoczenia Organizacji Społecznych Krzemieńca. Ze szczególnym wzruszeniem wspominam zmontowany przeze mnie, a reżyserowany przez Iżę Kunicką wieczór poświęcony inscenizacji i recytacji utworów napisanych przez byłych uczniów Liceum Krzemienieckiego. W programie tym znajdowała się inscenizacja fragmentów „Marii” Antoniego Małczewskiego oraz „Tadeusza Bezimiennego” Józefa Korzeniowskiego. Były też wiersze i pieśni Maurycego Gosławskiego, Tomasza Olizarowskiego i Tymka Padurzy oraz „Warszawianka”, której tekst polski napisał Karol Sienkiewicz (1793-1860).

Otóż w tej sali miał się odbyć wieczór mickiewiczowski: jednego dnia dla władz miasta i zaproszonych gości, a drugiego — dla młodzieży i nauczycielstwa.

Ustalając koncepcję programu uznałem, że powinien on ukazać możliwie wielostronnie poetycką twórczość Mickiewicza. Polecono mi przygotowanie referatu. Zdając sobie sprawę z politycznych ograniczeń, jakie narzuciła ówczesna sytuacja, zdecydowałem się — nie uprzedzając dyrektora — nie wygłaszać referatu, lecz zastąpić go słowem wiążącym poszczególne punkty programu. To mi dawało większą swobodę wypowiedzi i uwalniało od dawania pełnej charakterystyki działalności Mickiewicza w sposób przystosowany do

obowiązujących w tamtych warunkach doktryn. Mój projekt programu miał w zasadzie układ chronologiczny. Zaczynał się od „Ody do młodości” (recytacja zbiorowa), potem następowały „Lilie” (inscenizacja), parę „Sonetów Krymskich” (śpiew z muzyką Moniuszki), „Farys” (recytacja indywidualna), „Pomnik Piotra Wielkiego” (recytacja indywidualna), „Sen Senatora” (recytacja indywidualna). Największą pozycją zaprojektowanego programu była inscenizacja Sceny VII z „Dziadów” cz. III — czyli „Salonu Warszawskiego”. Potem zamierzałem dać parę fragmentów „Pana Tadeusza”, a na zakończenie „Do przyjaciół Moskali” (recytacja indywidualna). Po zastanowieniu usunąłem z mojego projektu fragmenty „Pana Tadeusza”.

Uczyniłem to w sytuacji bardzo szczególnej. Układałem przecież swój projekt programu w październiku 1940 roku, a więc w parę zaledwie miesięcy po brutalnym zagarnięciu Litwy przez Związek Sowiecki, a niewiele więcej niż rok po wtargnięciu na polskie ziemie wschodnie. Treść epopei mickiewiczowskiej, atmosfera optymizmu wypełniająca utwór, cały system wartości, na których zostało zbudowane dzieło, były nie do pogodzenia z warunkami, w jakich miałby być wygłaszany tekst. Byłyby nie do przyjęcia dla polskich słuchaczy — ciężko zranionych niedawnymi wydarzeniami i świadomych ogromu poniesionych strat.

Projekt złożyłem dyrektorowi, który bez zmian przekazał go do zatwierdzenia przez rejonowy komitet partii. Czekalem parę dni. Kiedy przyszedłem do referatu politycznego okazało się, że projekt został zatwierdzony z jednym wyjątkiem. Odrzucono „Pomnik Piotra Wielkiego”. Na moje pytanie o przyczyny tej decyzji odpowiedział mi jeden z trzech moich rozmówców. Był to miejscowy inteligent narodowości żydowskiej. Mówiono, że już przed wojną był członkiem partii komunistycznej. Stwierdził on, że negatywna ocena postaci Piotra I w poemacie Mickiewicza jest niezgodna ze współczesnymi poglądami sowieckiej historii. Poprosiłem o rzeczowe wyjaśnienie, gdyż w moim rozumieniu w Rosji pod rządami tego jedynowładcy pogłębiła się niedola mas chłopskich, stanowiących olbrzymią większość ludności kraju i w ogóle wzmogła się tyrania cara. Wyjaśniono mi, że car Piotr unowocześnił i udoskonalił organizację zarządzania państwem oraz podniósł jego potęgę, zapewniając dalszy rozwój sił Rosji, która za czasów Piotra stała się zdolna zniszczyć armię Karola XII pod Połtawą, a kilkadziesiąt lat

później była w stanie odeprzeć inwazję napoleońską.

Zrozumiałem, że dalsza dyskusja byłaby beznadziejna. Pomyślałem jednak, co o Piotrze mówił Mickiewicz w swoim poemacie: był to dla niego... „car knutowładny w todze Rzymianina”... Przypomniałem też sobie tekst zakończenia wiersza mówiący o pomniku:

*Car Piotr wypuścił rumakowi wodzę;
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,
Zgadniesz, że spadnie i prysnie w kawały.
Od wieku stoi, skacze i nie spada,
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie: —
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa.*

Ale „kaskada tyraństwa” nie tknięta przez „słońce swobody” wciąż mocno stoi na miejscu wyznaczonym przez carycę, a lud rosyjski nigdy nie pomyślał o odesłaniu jej do muzeum historii.

Przygotowanie wieczoru zabrało nam sporo czasu, nie było jednak dla młodzieży zbyt uciążliwe, gdyż realizacja była rozłożona na wiele osób. Oczywiście najwięcej pracy i kłopotów było z przygotowaniem inscenizacji „Salonu Warszawskiego”. Ten punkt programu mógł budzić we mnie niepokój o to, czy będzie zatwierdzony przez cenzurę polityczną.

Na próbę generalną przyszedł kierownik referatu politycznego w rejonowym Komitecie partii. To do niego właśnie byłem wzywany w styczniu 1940 roku w sprawie mojej opinii o Suworowie. Ku mojemu zdziwieniu zaprezentowany na próbie generalnej program został zaakceptowany prawie w całości. Jeden tylko dwuwiersz trzeba było usunąć z opowiadania Adolfa o Cichowskim:

*Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.*

Trzeba jednak powiedzieć, że opowiadanie o Cichowskim zawierało wiele więcej miejsc o dużej aktualności i mimo

to nie zostały one zakwestionowane. Odczuliśmy to jako sukces. Pomyślnie przeszedł przez ogień cenzury końcowy czterowiersz „Salonu”, wypowiedziany przez Piotra Wysociego do patriotycznej młodzieży:

*Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi;
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.*

Nasz pierwszy wieczór mickiewiczowski odbył się w dzień rocznicy śmierci poety. Wykonawcy zebrali się wcześniej w obszernym korytarzu przylegającym do Sali Kolumnowej.

Przed przystąpieniem do urządzenia sceny wszedłem na salę, w której nie byłem od przeszło roku i zobaczyłem, że dawne podium dla orkiestry zamieniono na scenę z kulisami. W głębi sceny na słupie podtrzymującym poprzeczki, do których były przymocowane kulisy, wisiał w ozdobnej ramie duży, kolorowy portret Stalina. Podeszedłem do tego portretu i jednym ruchem ręki przeniosłem płat ciemnego materiału, na tle którego wisiał portret tak, że jego połowa została zasłonięta.

W tej chwili z głębi nie oświetlonej jeszcze sali usłyszałem wzburzony głos dyrektora naszej dziesięciolatki: „Co wy robicie?”. Odpowiedziałem, że zasłaniam portret. Znowu wołanie: „Ale to jest portret Stalina!”. I moja spokojna odpowiedź: „Bo wieczór jest poświęcony Mickiewiczowi”. I zasłoniłem drugą połowę portretu.

Punktem programu, do którego przywiązywałem szczególne znaczenie — oprócz „Salonu Warszawskiego” — była recytacja zamykająca wieczór, to znaczy wiersz „Do Przyjaciół Moskali”.

Są tu miejsca o wyjątkowo dużym znaczeniu, gdy idzie o stosunki między narodem polskim i rosyjskim. Zwrotka druga, mówiąca o śmierci Rylejewa, kończy się słowami: „Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki”. Ten tekst był przez recytującego ucznia wygłoszony bardzo mocno i wyraziście. Wydawało się, że powinien on być zauważony przez rosyjskich i ukraińskich słuchaczy.

Zwrotka szоста ukazuje stan zniewolenia narodu rosyjskiego i wyraża przeświadczenie Mickiewicza, iż jego słowa powinny zwiastować tej „krajnie lodów” — wolność, która

tu przyjdzie od „wolnych narodów”, wśród których Poeta obecnie przebywa. Jest on świadom, że opór przeciw dążeniom do wolności stawiać będą nie tylko despotyczni rządcy tego kraju, ale także szeroki ogół ludzi sparaliżowanych strachem, nie czujących własnego zniewolenia i nie dojrzałych do walki o swoje wyzwolenie.

*Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do długo i cierpliwie noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać rękę, co ją targa.*

Ten wiersz wygłaszany w ówczesnych warunkach przez ucznia polskiej szkoły powinien był powiedzieć sowieckim słuchaczom rzeczy, o których im nikt i nigdy na pewno nie mówił.

Wieczór przeznaczony dla władz miasta przyjęty został z dużą uwagą, lecz raczej chłodno — i mimo braw — chyba bez głębszego zrozumienia. Ale i bez protestu, bo przecież mogła kogoś z bystrzejszych i wrażliwszych słuchaczy osiągnąć mickiewiczowska „gorycz wyssana ze krwi i łez mej ojczyzny”, mógł ktoś domyślić się, jak jest znów aktualny sens zacytowanej przed chwilą zwrotki.

Natomiast podczas wieczoru dla naszych uczniów i nauczycieli reakcja sali była zupełnie inna. Opowiadania o Cichowskim słuchano w wielkim skupieniu i ciszy — ze ściśniętym gardłem — jak mi powiedział ktoś później.

Czterowiersz Piotra Wysockiego, zamykający Scenę VII. „Dziadów” („*Nasz naród jak lawa...*”) przyjęto grzmotem długo nie milnących oklasków. Po skończonym wieczorze młodzież i nauczyciele przychodzili za kuliszy, żeby podzielić się wzruszeniem.

W parę miesięcy później, zimą 1940/41 — orientując się w uchwytnej zmianie atmosfery politycznej i zmianie stosunku władz sowieckich do społeczności polskiej — zwróciłem się do dyrekcji dziesięciolatki o zgodę na zorganizowanie imprezy poświęconej Juliuszowi Słowackiemu z okazji dziewięćdziesiątej drugiej rocznicy jego śmierci, przypadającej dnia 3 kwietnia. Inspektor szkolny udzielił zezwolenia z zastrzeżeniem, że program będzie się mieścił w zakresie lektury szkolnej i że poranek odbędzie się w szkole wyłącznie dla naszych uczniów.

Przyjąłem te warunki, bo wpłynąć na ich zmianę nie

mogłem. W zaprojektowanym i zatwierdzonym przez dyrektora programie umieściłem:

1. Fragmenty „Godziny myśli” (*„tam pod okiem pamięci, pomiędzy gór szczytem piękne rodzinne miasto”*),

2. apostrofę do matki, będącą początkowo epilogiem do piątej pieśni „Beniowskiego”,

3. fragmenty „Ojca Zadżumionych”,

4. czwarty akt „Marii Stuart”.

Recytacje uczniów były bardzo dobre, a spośród osób grających w wybranym fragmencie dramatu szczególnie duże wrażenie zrobiły kreacje Marii i Nicka.

Poranek ten był dla całej naszej gromady szkolnej dużym przeżyciem, wywołanym nie tylko przez to, cośmy słyszeli ze sceny, ale także przez to, czego w programie umieścić nie było można. Był jakimś nawiązaniem do imprez niedawnego Roku Słowackiego — tak dramatycznie nie doprowadzonego do końca. Z okazji trzeciego kwietnia nie mała gromadka naszej młodzieży była przed dwoma laty w Krakowie z hołdem złożonym poecie u jego grobu.

Ani dyrektor, ani politruk nie domyślali się nawet, czym stał się dla nas ten poranek. Kiedy myślę o tym teraz, z perspektywy czterdziestu kilku lat, uświadamiam sobie, że była to ostatnia uroczystość szkolna poświęcona w Krzemieńcu Juliuszowi Słowackiemu z udziałem kilkuset polskich uczniów i nauczycieli.

Dalszy ciąg roku szkolnego 1940/41 przebiegał bez mocniej poruszających naszą szkolną społeczność wydarzeń. Nowych aresztowań i deportacji polskich rodzin na Syberię nie było, ale też nikogo z wcześniej aresztowanych nie zwolniono i nikomu z wysiedlonych nie pozwolono wrócić do Krzemieńca. Po tych, którzy zostali aresztowani i wywiezieni z miasta, wszelki słuch zaginął. Rodziny nigdy nie dowiedziały się o ich losie.

W drugim roku władzy sowieckiej na naszym terenie propaganda polityczna stała się nieco mniej hałaśliwa i wszechobecna, wiece zwoływano rzadziej, ale po dawnemu po wymienieniu przez mówcę nazwiska Stalina wszyscy podnosili się z miejsc i stojąc klaskali. Inicjatywa przerywania braw i siadania na stołkach mogła wyjść tylko od prezydium zgromadzenia. Taka była liturgia kultu i nikt nie mógł jej naruszyć.

Ten kult manifestowany był wszędzie i przy każdej nadarzającej się okazji. Przybysze ze wschodu prześcigali się w

tej swoistej bigoterii. O ile w pierwszym roku sowieckiej władzy w Krzemieńcu mogło się wydawać, że chodzi o zaszczepienie tej czołobitności ludziom na nowym, obcym politycznie terenie — i stąd ta hałaśliwa nadgorliwość — to drugi rok wykazał, że bałwochwalczy stosunek do Stalina wynika z cech całego systemu władzy. Wymagane było nie tylko pełne podporządkowanie wodzowi całej zbiorowości ludzi i wszystkich form społecznego życia, ale także ślepe wyznawanie głoszonych przez niego poglądów i systemu wartości w zakresie politycznym, filozoficznym, moralnym, ekonomicznym i wszelkim innym.

Kult musiał być krzykliwe manifestowany. We wrześniu 1939 roku, tuż po opanowaniu miasta przez władzę sowiecką — w każdej klasie szkolnej, w każdym sklepie, w oknach wystawowych pojawiały się duże fotografie Stalina. Stanisławowi Szczepańskiemu, jednemu z naszych nauczycieli rysunków, polecono namalować gigantycznych rozmiarów portret wodza, który umieszczono na frontowej fasadzie głównego gmachu Liceum.

Po uruchomieniu polskiej dziesięciolatki jedną z pierwszych czynności dyrekcji szkoły było ustawienie w budynku szkolnym pomnika Stalina. Miał on chyba z pięć metrów wysokości. Ten wielkolud był odlewem gipsowym składającym się z kilku poziomych segmentów, produkowanych masowo systemem przemysłowym. Wystarczało ustawiać je na betonowym, mocnym piedestale i pomalować całość płynnym gipsem, aby dzieło było gotowe.

Kiedyśmy przyszli pewnego ranka po jednym dniu wolnym od nauki w styczniu 1940 roku, zobaczyliśmy to dzieło sztuki wzniesione przez kilku robotników pod kierownictwem byłego nauczyciela rysunków w seminarium nauczycielskim i szkole ćwiczeń, Stanisława Sheybala. Pomnik stał na parterowym podeście wysokiej klatki schodowej, utrudniając dostęp do schodów.

Nieco później dowiedzieliśmy się, że podobnych pomników Stalina było w Związku Sowieckim nieprzeliczone krocie. Stały one wszędzie: we wszystkich szkołach i innych obiektach społecznego użytku, na placach i przy drogach. Dla moich wyobrażeń o władzy w państwie, którego konstytucja głosiła równość i demokrację, były to rzeczy niepojęte. Ale przybysze ze wschodu na każdym zebraniu, na które nas zwoływano, prześcigali się w manifestowaniu swojego zachwyty i wiernopoddańczego oddania panującej władzy i

systemowi rządów. Widząc to — my, polscy nauczyciele — nigdy nie próbowaliśmy nawet zabierać głosu, bo każde odezwanie publiczne miało charakter polityczny. Polityczne było wszystko. Nawet powiedzenie w prywatnej rozmowie, że są długie kolejki po chleb.

Jedynym mówcą polskim, który zabierał głos i to wielokrotnie w ciągu tych dwóch lat, był przybysz z Warszawy, pracujący w uruchomionej właśnie kopalni węgla brunatnego na dalekim przedmieściu Krzemieńca. Był to inż. Józef Sigalin, ten sam, który po wojnie zajmował się odbudową Warszawy. Zawsze był pełen entuzjazmu dla stanu rzeczy, który nastąpił na tamtych ziemiach po wrześniu 39 roku.



Jak wspomniałem wyżej, po drugim wykwaterowaniu mnie wiosną 1940 roku otrzymałem nieduży pokój i kuchenkę o powierzchni zaledwie kilku metrów kwadratowych. Mieszkanie położone było przy ulicy Wiśniowieckiej, stanowiącej jedną z dwóch głównych arterii wylotowych miasta. Ruch panował tu duży i był dla nas bardzo dokuczliwy, bo dom stał w bezpośrednim sąsiedztwie jezdni. Nie dzieliła go od niej nawet szerokość chodnika. Chcąc zapewnić naszemu trzyletniemu dziecku lepsze warunki — przynajmniej na okres lata — wynajęliśmy letniskowy domek w uroczej dolinie położonej między górą Bony i Czerczy. Było tu czyste powietrze, zieleń i — najbardziej upragniona przez nas — cisza. W niedalekim sąsiedztwie stało kilka niedawno wzniesionych domów, gdzie mieszkali ludzie nie tylko w lecie, ale przez cały rok. Nie czuliśmy się więc osamotnieni. Tam zastała nas wiadomość o nowej wojnie: niemiecko-sowieckiej.

Nocowałem razem z moją matką na Wiśniowieckiej, aby opiekować się mieszkaniem. W pierwszych dniach wojny przechodziły tą ulicą w kierunku frontu nieprzeliczone kolumny czołgów, samochodów ciężarowych i piechoty. Po paru jednak dniach ruch ten ustał, a zaczęły do nas docierać wieści o szybko postępującej ofensywie wojsk niemieckich. W Krzemieńcu rozpoczęła się pełna chaosu i nerwowości ewakuacja sowieckich władz. W ciągu kilku dni front na naszym odcinku dotarł od Sanu do Ikwy, rzeki przepływającej kilka kilometrów na zachód od krzemienieckiego jaru, i tu się zatrzymał.

W ewakuacyjnym chaosie straż więzienna bez wiedzy swoich władz porzuciła swój posterunek i wyruszyła na wschód, a więźniów pozostawiła zamkniętych w celach. Gdy zorientowali się oni, że dozorczy uciekli, zaczęli wyłamywać się z cel. Początek tej akcji dali Polacy. Część innych poszła za ich przykładem. I oto pewnego ranka zjawił się w pobliżu „daczy”, w której mieliśmy spędzić lato, uciekinier z więzienia — nasz kolega z dziesięciolatki, Jan Targoński, nauczyciel wychowania fizycznego w LK. Gdy dostrzegł moją żonę, zbliżył się i prosił o schronienie, bo do swojego mieszkania bał się wracać. Okazało się następnego dnia, że ta ostrożność była uzasadniona, bo straż więzienna została przez swoje władze zawrócona do Krzemieńca. Tuż potem zaczęło się gwałtowne poszukiwanie uciekinierów przy użyciu psów policyjnych. Tropiciele dotarli także do nas, ale już Janka Targońskiego nie zastali, bo po spędzeniu u nas dnia i nocy powędrował o świcie dalej. To go uratowało od prześladowców.

Front znad Ikwy po paru dniach ruszył znowu i drugiego lipca Krzemieniec został zajęty przez wojska niemieckie bez strzału.

To był koniec dwudziestu dwóch miesięcy przeżytych pod władzą sowiecką. Zaczynał się nowy rozdział naszego życia. Inny, jeszcze straszniejszy.

Warszawa, 1984 r.

Kazimierz GROSZYŃSKI

Krystyna OPPENAUER-ŚRENIOWSKA

LWOWSKIE OSSOLINEUM W LATACH 1939-1941

Wrzesień 1939 r. W dniu 1 września 1939 bombardowanie lotniska w Skawlowie oznajmiło mieszkańcom Lwowa wybuch wojny. Mieszkaliśmy wraz z rodzicami na obrzeżach miasta. Tu toczyły się walki, przez willową ulicę Grochowską

przebiegał front. Dom, w którym mieszkaliśmy, przechodził z rąk polskich w niemieckie, artyleria polska okopana na pobliskiej Wólce ostrzeliwała oddziały niemieckie. Siedzieliśmy stłoczeni w piwnicy. 17 września wszystko ucichło. Wojsko nieprzyjacielskie oraz polskie opuściło teren. Pozbawieni kontaktu z miastem byliśmy zdani jedynie na pieszy marsz do Lwowa. Zanim jednak wyruszyliśmy — dotarły wieści o oddziałach wojsk sowieckich stojących na rogatkach Łyczakowa. Wyruszyłam wraz z ojcem pieszo do miasta i tam przy ul. Kopernika napotkaliśmy maszerujące obce wojska. Wyglądali żałośnie. Obszarpane mundury, karabiny niekiedy przewieszane na sznurku przez ramię. Nasza bezsilność, gniew — wycisnęły jedynie łzy z oczu. Szliśmy w milczeniu — my i oni — w złowrogim milczeniu. Taki był początek sowieckiej okupacji Lwowa.

Przed wojną w 1937 r. ukończyłam studia historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W czasie studiów bywałam pilnym czytelnikiem literatury w Ossolineum. Skrytym moim marzeniem była praca w tej instytucji. W warunkach przedwojennych nie było to możliwe z uwagi na sytuację finansową fundacji. Musiała się zadowolić szczupłym personelem.

We wrześniu w czasie działań wojennych zmarł nagle na serce dyrektor Ossolineum Ludwik Bernacki. Ossolineum przeszło w ręce okupanta pozbawione dyrektora. Wkrótce Lwów wypełniła fala uchodźców z zachodniej i centralnej Polski. Zmierzali oni przeważnie pieszo na Wschód uciekając z terenów objętych działaniami wojennymi. Wśród nich przybyła grupa polskich komunistów. Obrotny, pełen inicjatywy Jerzy Borejsza uzyskał u władz sowieckich nominację na dyrektora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. On to roztoczył mecenat nad liczną grupą uczonych, intelektualistów, literatów polskich zatrudniając ich w Ossolineum. Kogóż tam nie było! Profesorowie Stanisław Ossowski, Józef Chałasiński, Józef Feldman, Roman Grodecki, Nina Assorodobraj. Literaci: Adam Polewka, Tadeusz Peiper, Julian Przyboś. Jerzy Kreczmar — po wojnie zasłużony reżyser teatralny, Roman Lutman — dyrektor Instytutu Śląskiego z Katowic. Obok nich dawni pracownicy Ossolineum, p. Kazimierz Giebułowski redaktor Biblioteki Narodowej, którą przed wojną przejęło Ossolineum. Zatrudniono intrologikator-artystę, konserwatora starodruków i rękopisów Aleksandra Semkowicza (znany kolekcjoner mickiewiczianów!). Nieco póź-

niej przyjęto Bolesława Olszewicza z Warszawy, Kazimierę Hłowską i in.*

Byłam lwowską prowincjuszka. Ów świat — wyżyny intelektu — przyszedł do mnie. Mogłam go podpatrywać, chłonąć. Byłam olśniona, onieśmielona — choć czułam się tu gospodarzem, bo Lwów był mój i Ossolineum było moje.

Biblioteki Lwowa połączono z Ossolineum w tzw. kombinat, który przekształcono w filię kijowskiej Biblioteki Akademii Nauk. W jej skład weszły zbiory Dzieduszyckich, Baworowskich, Ukraińskiego Towarzystwa im. Szewczenki, skarby greckokatolickiej archidiecezji, kahału Lwowa i in.

Zbiory te pozostawiono w ich dotychczasowych pomieszczeniach jak również ich personel.

Przedwojenna społeczność Lwowa — miasta wielonarodowego — żyła obok siebie, a nie zawsze z sobą. Były tam obwarowane twierdze kulturowe, szczególnie dotyczyło to Ukraińców, częściowo Żydów przywiązanych do tradycji. Środowiska mieszane polsko-żydowskie, polsko-ukraińskie (często były tam małżeństwa mieszane) ciążyły ku polskości. Żydzi zrywający więzy religijne i kulturowe — stawali się Polakami. Niektórzy Ukraińcy rozluźniali stosunki z rodzinnym środowiskiem — przystawali do Łachów.

Władza sowiecka tworząc „kombinat” zmuszała do współżycia, współpracy. Spotykaliśmy się często na wspólnych zebraniach Związku Zawodowego („profspiłka”) także z okazji uroczystości np. rocznicy Rewolucji Październikowej, Dnia Kobiet, 1 Maja itp. Jerzy Borejsza objął we władanie dużą część gmachu Ossolineum zajętą dotychczas przez kuratora Zakładu ks. Lubomirskiego, który traktował tę posiadłość jak prywatną rezydencję. Książę kurator przebywał wówczas pod okupacją niemiecką za Sanem (wrócił po zaję-

* Pozostawiono przedwojenny personel Biblioteki. Pracowali tam kustosze: Kazimierz Tyszkowski, zmarły w kwietniu 1940 r. oraz Władysław Wisłocki, zamordowany przez Gestapo. Nadto Stefan Ingot, Tadeusz Lutman, Janina Kelles-Krauz, Halina Kiernicka, Marian Jakubiec, Stanisława Bruckmann, Zosia (nazwiska nie pamiętam), Franciszek Pajęczkowski, Eugenia Kurkowa, p. Homme, sekretarką dykcji była p. Helena Devechy. Do Oddziału Rękopisów przydzielono Stanisławę Czołowską-Karczewską. Pomocnikiem Aleksandra Semkowicza został p. Safal, introligator. Spośród wożnych pamiętam Harmazego oraz (niestety nie zapamiętałam nazwiska) magazyniera — zucha, który wrócił w mundurze z kampanii wrześniowej i z owym mundurem się nie rozstawał.

ciu Lwowa przez Niemców). Pomieszczenia biblioteczne były ściśnięte w prawym skrzydle gmachu. Teraz salony księcia pana stały przed nami otworem. W kilku salach lokowano Zakład Marksizmu-Leninizmu obsługiwany przez przybyłe z Warszawy towarzyszek partyjne: Wandę Markowską, tow. Sznajder, szwagierkę Wiktora Grosza. Nieco później przybył z Kijowa bibliotekarz nazwiskiem Chmielnicki. Innych nazwisk nie pamiętam.

W Ossolineum panowały na ogół dobre stosunki koleżeńskie z reprezentantami innych nacji. Trafiały się zgrzyty. Prof. Krypjakiewicz z Towarzystwa Szewczenki przygadał publicznie Lachom. Tow. Granas (nie pracowała w Ossolineum) przy okazji jakiegoś wystąpienia tłumaczyła, że Lwów nie jest miastem polskim — co nas bolało. Jednak stosunek nas wszystkich niezależnie od narodowości do skarbów tego miasta był solidarny. Łączyła nas również niechęć do władzy sowieckiej. Wszakże Ukraińcy, którzy znaleźli się teraz w granicach wschodniej Ukrainy pod władzą sowiecką — nie chcieli takiej narzuconej im władzy. Oni walczyli przecież o niezawisłą od Moskwy Ukrainę, której symbole to herb Tryzub oraz niebiesko-żółta flaga, nie sierp i młot z czerwoną gwiazdą.

Pamiętam niektóre epizody. W parku otaczającym gmach biblioteki stała XVII-wieczna, barokowa figura Matki Boskiej. Pewnego dnia zniknęła. Został pusty cokół. Wszczęto awanturę. Interwencja towarzyszek partyjnych u dyrektora, które tłumaczyły iż to zabytek, dzieło sztuki — poskutkowało. Matka Boska wróciła na dawne miejsce.

Wszyscy obowiązkowo winni byli należeć do „profspiłki”. Na zebraniu ogólnym należało podać życiorys z prośbą o przyjęcie. M.in. kazano wystąpić księdzu grekokatolickiemu, bibliotekarzowi stauropigii lwowskiej. Ksiądz miał nikłe szanse, szczególnie gdy pytano go o stosunek do marksizmu, religii itp. Stał bezbronny, milczący. Wówczas Polacy wystąpili w jego obronie (m.in. Roman Łutman — o ile dobrze pamiętam). Nic nie wskórali wobec sprzeciwu dyrekcji.

Z owych nudnych i bezsensownych zebrań związku zawodowego chętnie uciekaliśmy, tym bardziej, że odbywały się one po ośmiu godzinach pracy a ciągnęły się 2-3 godziny. Po pewnym czasie dyrekcja nakazała zamykanie drzwi na klucz i w ten sposób zapewniała frekwencję. Prowadzono obowiązkowe szkolenie ideologiczne. Naszym wykładowcą był — młody wówczas — Adam Schaff. Nie przypominam sobie,

by dopuszczano do dyskusji. Profesor Ossowski — w rozmowie z dyrektorem (Zelenką, o którym niżej) napomknął o takiej możliwości — usłyszał w odpowiedzi: „Co? dyskutować? Nie! Będziemy się uczyć, towarzysze!”.

Przeżyliśmy dwa obowiązkowe pochody pierwszomajowe w 1940 i 1941 r. Sprawdzano obecność. Organizowano „manifestację” obdzielając nas szturmówkami oraz portretami przywódców zatkniętymi na drągu. Okropność! Wstydziałam się uczestnictwa w owym przymusowo organizowanym entuzjazmie, ale skoro inni szli posłusznie, bez sprzeciwu — nie miałam odwagi się wyłamywać. Po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam w nakazanej z góry manifestacji. W Polsce nie wiedzieliśmy, że istnieją przymusowe uroczystości. Broniliśmy się humorem, kpina, opowiadaniem dowcipów i tylko czekaliśmy okazji, by zostawić gdzieś pod murem dygnitarza na kiju i zwiać.

Nasze posłuszeństwo polegało na strachu, ale również na szukaniu świętego spokoju, skoro traktowaliśmy stan rzeczy jako tymczasowy. Udział w referendum na rzecz przyłączenia Zachodniej Ukrainy do ZSSR nie był również traktowany na serio. Wydawało się, że nie będzie to miało znaczenia wobec tymczasowości tej władzy. Jakże się myliliśmy! Mój ojciec inaczej. On twardo stał na gruncie oporu, odrzucał polecenia narzuconej siłą władzy i w tym duchu oddziaływał na otoczenie.

Trudno przez 8 godzin katalogować lub opracowywać zbiory rękopiśmiennicze. Na szczęście budynek posiadał liczne zakamarki, pomieszczenia zawalone papierami. Tam gromadzili się intelektualiści omawiając wydarzenia teatru wojny, lektury, plany reformy studiów (np. historii) po wojnie. Tu omawiano też wydarzenia bieżące: aresztowania, koszarne nocne wywózki na Sybir. Niepewność jutra, groza zaciskającej się pętli NKWD, wszystko to kładło się cieniem, przytłaczało — choć był to dopiero początek dramatu — lat 1940-41 i następnych. To co działo się na zewnątrz murów Ossolineum i to co w naszej pracy, stanowiło jakby dwie oddzielne płaszczyzny. Praca to pozory normalności, spełnianie obowiązków jakby nic się wokół nas nie działo. Niby czym innym była rzeczywistość naszego miasta, naszych rodzin i nas samych. Owa dwoistość: praca-życie była dla mnie pierwszą szkołą istnienia w warunkach totalitarnych. Tak jak gdyby to, co poza pracą, nie miało wpływu na jej przebieg. Wchodząc w mury zakładu pracy masz przebywać

„w normalności”. Niby nic się nie dzieje. Nie nasłuchiwałeś czujnie nocą łomotu do drzwi, nie słyszałeś po kogo przyszli, kogo zabrali. Niby nie towarzyszysz im myślami w nieludzkiej podróży. Trudno było pojąć absurd niszczenia najwyczajniejszych ludzi. Te nasze ówczesne dociekania — na jaką kategorię ludności polują. Wywiezionych dzielono najwyraźniej na różne grupy: polscy komuniści, rodziny oficerów, tzw. bieżęncy czyli ci, którzy we wrześniu 1939 r. uciekali na Wschód, inteligencja różnego typu i szczebla: sędziowie, działacze polityczni, literaci, policja itp. Spośród zatrudnionych w Ossolineum aresztowano Tadeusza Peipera. Adam Polewka wołał przejść przez zieloną granicę do Generalnej Guberni — co mu się udało.

Gospodarkę przekształcano gwałtownie, z dnia na dzień. Stąd przeżywaliśmy głębokie wstrząsy. Np. pewnego dnia nakazano zamknąć wszystkie sklepy — bowiem należały do prywatnych kupców i przeprowadzono reprywatyzację. Podobnie rzecz się miała z wymianą pieniądza. Od jutra przestawały być ważne złotówki, środkiem płatniczym miały być jedynie ruble. Ponieważ nie funkcjonowały polskie instytucje i urzędy, ludzie utracili pracę. Szukano nowej, ale nielatwo było się zatrudnić. Mój ojciec — sędzia — pracował w Zakładzie Oczyszczania Miasta, zdobywając w ten sposób zaświadczenie pracy jako *czarnoraboczyj* i próbując bronić się w ten sposób przed zsyłką. Werbowano do pracy w kopalniach Donbasu — znaleźli się chętni.

Przytoczone przykłady zagrożeń, terroru, niedostatki żywności to skrótowy i wrywkowy obraz warunków życia Lwowa pod okupacją sowiecką. Nasze domy przestały już być przystanią, opoką. Nie można w nich było swobodnie oddychać skoro rekwirowano pokoje dla NKWD-ystów, oficerów i ich rodzin. Zjeżdżała owa żałosna nędza, kobiety z dziećmi ledwie przyodziani, choć zima była sroga. Nie byli butni, raczej pokorni i prymitywni, współczucia godni.

Zyliśmy więc w „wielkim strachu” (Strykowski!) pocucani o wyższości komunizmu nad ustrojem pańskiej Polski. Ludność zza Zbrucza powtarzała, że u nich „wsio jest”, że mają wszystkiego „mnogo”. Twierdzili, że nieobca im wiedza o nędzy i ucisku ludności w „bywszej pańskiej Polsce” i że oto właśnie wyzwolili nas z koszmaru tamtej rzeczywistości. Wiadomo, że lwowiaczy to wesoły ludek. Krążyły więc po mieście satyryczne wierszyki, jak ów zapamiętany przeze mnie:

*Wyzwoleni z polskich knutów
Z polskich spodni, z polskich butów
Wraz z radzieckich ludów grupą
Świecić będziemy gołą...*

Ludność napływowa ze Wschodu była zafascynowana naszymi skromnymi mieszczańskimi domami, ich wyposażeniem. Niektórzy zapragnęli posiąść owe codzienne „luksusy”. Należał do nich następca Borejszy, dyrektor Ossolineum — niejaki Zaikyn.

Zasiadł on w fotelu dyrektorskim w sposób przedziwny (dla nas!) i zagadkowy. Jerzy Borejsza udał się służbowo do Kijowa na kilka dni, a kiedy wrócił, zastał urzędującego w gabinecie dyrektorskim owego Zaikyna. W ten oto sposób dowiedział się, że już nie jest dyrektorem Ossolineum. Jednak Zaikyn krótko rządził. Podobno w niedługim czasie urządził sobie dość zasobne mieszkanie, właśnie w „burżuazyjnym” stylu. I spadł ze stołka. Jego miejsce zajął towarzysz Zełenko, pracownik Biblioteki Akademii Nauk w Kijowie. Widzieliśmy w nim reprezentanta surowej proletariackiej moralności. Wierzyliśmy w jego rzetelność, wiarę w ideały rewolucji. Był ponoć człowiekiem z awansu społecznego. Mówiono, że kiedyś pracował jako chłopiec do posług w hotelu. Rządził nami surowo jeśli idzie o dyscyplinę pracy, obowiązkowość itp. Jako zwierzchnik nie był jednak przykry ani dokuczliwy. Nie umiem ocenić jego kwalifikacji zawodowych. On to sprowadził z Kijowa troje bibliotekarzy. Ciekawie im przyglądaliśmy się. Rzucały się w oczy ich mocno ograniczone horyzonty intelektualne, zabiedzenie, zastrachanie, milkliwość.

Tymczasem na terenach zajętych przez władze sowieckie dokonywała się rewolucja. Dla nas objawem jej były m.in. zwożone masowo księgozbiory i archiwalia z rezydencji i dworów — widocznie konfiskowane dotychczasowym właścicielom, których los mogliśmy sobie wyobrazić.

Ossolineum posiadało drukarnię po drugiej stronie ulicy oraz pomieszczenia na składy wydawnictw. W tych oto pokojach składano świeżo zrabowane skarby. Warunki wywozu nie spełniały wywozu wymogów należnych zabytkom kultury. Oto w ulewny deszcz na otwartych lorach zwieziono bezcenne starodruki Dzieduszyckich z Poturzycy. Bez wezwania rzuciliśmy się gromadnie od naszych biurków do rozładunku. Do dziś mam w oczach prof. Józefa Feldmana dźwigającego księgi, Jerzego Kreczmara rozścielającego gazety na podłodze i układającego troskliwie starodruki.

Archiwalia były jak spakowane sięgały sufitów. Przekopywaliśmy się przez owe góry sporządzając prowizoryczne inwentarze, by dojść jakie zespoły archiwalne przypadły nam w udziale. Podobny magazyn mieścił się w Bibliotece Baworskich. I tam w zimnym, nieopalonym pomieszczeniu inwentaryzowaliśmy zasoby archiwalne.

Na skutek konfiskat tworzyła się w Ossolineum swoista Bibliothèque Nationale.

Władza sowiecka znalazła fundusze, by zatrudnić sporą ilość ludzi. Np. Oddział Rękopisów, który liczył przed wojną 3 osoby — obecnie miał do dyspozycji 8 pracowników o wysokich kwalifikacjach. Dlatego opracowywanie zbiorów dość szybko posuwało się naprzód. Wymienię przykładowo ważniejsze zespoły rękopiśmiennicze: Archiwum Zaleskich (b. namiestnik Galicji), Bolesława i Marii Wysłouchów, Fredrów, dyrektora Bernackiego, kolekcję teatraliów, rękopisy i korespondencję Oswalda Balzera i in. Drukowany inwentarz wówczas opracowywanych zbiorów wydano po wojnie we Wrocławiu.

W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki. Zajęcie Lwowa poprzedziła ucieczka władz okupacyjnych, morderstwa w więzieniach, niejasna rola uzbrojonych nacjonalistów ukraińskich, którzy liczyli na oparcie ze strony Niemiec. Przychodziliśmy do Ossolineum, przeżywaliśmy tam bombardowanie miasta. Gmach położony u stóp usytuowanej na górze cytadeli mógł stać się łatwym celem bomb nieprzyjaciela. Wówczas jeszcze ocalał. Wkroczyli Niemcy. Zanim ukonstytuowała się władza nowego okupanta, przeżywaliśmy ciężkie chwile. Pierwsze pogromy Żydów, głód. Zdobywaliśmy żywność wyprawiając się na wieś, gdzie papierosy czy używana odzież stanowiły środek płatniczy, a raczej wymienny na produkty. Pieniądzy nie mieliśmy, ponieważ znów nastąpiła wymiana waluty. Już nie ruble tylko złotówki tzw. młynarki były obowiązującym środkiem płatniczym.

Ossolineum opustoszało. Koledzy Żydzi sami opuszczali miejsce pracy, „bieżący” czynili starania o powrót do swych rodzin w Warszawie. Aresztowano kustosza Władysława Wisłockiego — nie wyszedł żywy z rąk Gestapo.

W Ossolineum zjawił się Herr Abb, który objął we władanie w imieniu władz niemieckich zbiory Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Pracowałam tam jeszcze do marca 1942 r. Potem zaś na zawsze opuściłam Lwów.

Krystyna OPPENAUER-ŚRENIOWSKA

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

POWSTANIE WARSZAWSKIE W OCZACH FRANCUZÓW

Przebieg Powstania Warszawskiego i późniejsza ocena jego celowości są zwykle łączone w opinii Francuzów z powstaniem, jakie wybuchło, również w sierpniu 1944 roku, w Paryżu. Oprócz zbliżonej daty i faktu, że były to jedyne stolice w okupowanej przez Niemców Europie, w których wybuchło powstanie, trudno doszukać się innej analogii. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że podczas gdy w czasie całej wojny Warszawa była stolicą Państwa Podziemnego, Paryż — jak potwierdza historyk francuski — „był stolicą służalców, kolaborantów okupanta... a stolicą Franzuzów, którzy nie pogodzili się z klęską, był Londyn z generałem de Gaulle'em i 'Wolną Francją'”¹; Paryż dopiero „w sierpniu 1944 roku stawiał opór”². Inny historyk również przypomina, że „Paryż nie zaznał losu Stalingradu ani losu Warszawy, stolica nie została zalana morzem krwi i ognia, a walki nigdy nie przerwały kolejek gospodyń przed piekarniami”³.

Wspólne w pewnym stopniu dla Paryża i Warszawy były wahania co do daty powstania. W Warszawie, w wyniku zbliżającej się ofensywy armii sowieckiej, porwano się do walki, żeby opanować miasto i postawić Moskwę wobec faktu dokonanego: oswobodzona Warszawa, stolica Państwa Podziemnego, miała

1. Henri Michel, *Paris allemand*, Albin Michel, Paryż 1981, str. 9 i 10.

2. Henri Michel, *Paris résistant*, Albin Michel, Paryż 1982, str. 328.

3. Jean-Pierre Azéma, *De Munich à la Libération 1938-1944*, Editions du Seuil, Paryż 1979, str. 347.

stać się stolicą wyzwolającego się niepodległego Państwa Polskiego.

Podobnie było z Paryżem. Tutaj trzeba przypomnieć, że Alianci nie uznając oficjalnie prowizorycznego rządu Francji z siedzibą w Algierze, mieli zamiar narzucić Francji administrację wojskową na wzór tej, jaką wprowadzili we Włoszech i w tym celu przygotowali już okupacyjną monetę⁴. Powstanie w Paryżu, przy zdecydowanej postawie gen. de Gaulle'a, było istotnym czynnikiem, który wpłynął na zmianę stanowiska Aliantów w stosunku do Francji. Jest to również wymowny przykład zasadniczej różnicy w podejściu do powstańczych walk, jakie wykazali Alianci z Zachodu wobec Paryża i ci ze Wschodu wobec Warszawy.

Dla pełniejszego obrazu tego stanu rzeczy warto przypomnieć, chociażby w telegraficznym skrócie, rozwój sytuacji we Francji. Generał Eisenhower, dowódca armii alianckiej, w skład której wchodziła francuska 2-ga Dywizja pancerna gen. Leclerca, po zwycięskiej kampanii w Normandii (północna Francja), nie miał zamiaru zdobywać Paryża; przewidywał okrążenie miasta (pierwsza połowa sierpnia 1944 r.) i skierowanie ofensywy wojsk sprzymierzonych w innym kierunku.

W tym samym czasie w Paryżu wybuchają strajki, komunikacja miejska jest sparaliżowana. Rząd „Wolnej Francji” w Algierze daje instrukcje, żeby nie wywoływać powstania bez jego rozkazu, z czym związane było uzgodnienie walki ze sztabem Aliantów. Wbrew temu nakazowi, dnia 16 sierpnia, paryski Komitet Wyzwolenia (*Comité parisien de Libération*) z przewagą komunistów, ogłasza wybuch powstania.

Dwa dni później, kiedy na ulicach Paryża pojawiają się nieliczne jeszcze grupy powstańców, generał Chaban-Delmas, delegat „Wolnej Francji”, telegrafował z Paryża do gen. Koeniga, komendanta sił zbrojnych francuskiego ruchu oporu (*Forces françaises de l'Intérieur* — F.F.I.), który znajdował się przy sztabie wojsk alianckich że: „Lud paryski wyległ na ulice, wierząc że słyszy huk armat i czeka z godziny na godzinę przybycia Aliantów. Wszystkie wstępne przygotowania do powstania są zrealizowane... Wobec tego, jeżeli sytuacja militarna pozwoli, jest konieczne, żebyście interweniowali u Aliantów i domagali się szybkiego zajęcia Paryża. Jeżeli byłoby to niemożliwe, należy *primo*, uprzedzić nas kablem, jakie mamy wydać instrukcje; *secundo*, oficjalnie ostrzec ludność w sposób jasny i precyzyjny, przez B.B.C., aby uniknąć nowej Warszawy”⁵. Wówczas już

4. Zob. Henri Michel, *La seconde guerre mondiale*, tom II, PUF, Paryż 1969, str. 262.

5. Zob. Adrien Dansette, *Histoire de la Libération de Paris*, Fayard, Paryż 1966, str. 130.

powstańca Warszawa była symbolem klęski.

Grupy powstańcze w Paryżu zajęły w międzyczasie ważniejsze budynki państwowe. Dzięki zabiegom gen. de Gaulle'a i gen. Koeniga Amerykanie zmieniają plany i upoważniają dywizję gen. Leclerca do marszu na odsiecz Paryża, gdzie od 22 sierpnia zaczęły ukazywać się pierwsze numery nie konspiracyjnej, lecz wolnej już prasy, informujące o zbliżaniu się wojsk sprzymierzonych i zachęcające ludność do walki z okupantem.

Ogromne tytuły na pierwszych stronach tej prasy nie wymagają teraz komentarzy: „Powstańczy Paryż czeka nadejścia Aliantów”⁶. „Alianci są u bram Paryża”⁷; w rzeczywistości do Paryża jeszcze nie dotarli i jak pisał inny dziennik: „Kolumna amerykańska maszeruje w kierunku na Paryż”. W tym samym numerze tego dziennika, co ma również swoją wymowę, podano komunikat, że „z powodu zaszłych okoliczności ciągnięcie losów loterii państwowej, które miało się odbyć 24 sierpnia, zostało odłożone na późniejszą datę...”⁸. W innym dzienniku czytamy: „Paryż wyzwala się z pęt”⁹ i dalej podana jest wzmianka o walkach w Warszawie w dzielnicy Dworca Towarowego.

Dnia 25 sierpnia wkraczają do Paryża pierwsze oddziały Dywizji gen. Leclerca, a nazajutrz Paryżanie witają entuzjastycznie generała de Gaulle'a. Prasa pisze z triumfem: „Paryż miał wczoraj dzień chwały”¹⁰. „Paryż jest pomszczony... Gorycz zdradzonego narodu ciążyła na każdym z nas... Nagle Paryż odzyskał swoją dumę...”¹¹. „Powiew wolności rozsądza nasze piersi... Cały Paryż okazuje ogromną radość... Wielkie demokracje obiecały przywrócić Francji jej wielkość i integralność (jakże tutaj nie wspomnieć o niespełnionych obietnicach i gwarancjach tych samych demokracji wobec Polski — T.W.). Francja, dzięki niespożytej energii i swoim szefom uformowanym w walce, odzyskała swoją świetność”¹².

Jest rzeczą pewną, że „Niemcy mogli wyrządzić Paryżowi wielkie szkody, tak jak Warszawie”¹³, ale Paryż, „stolica Zachodu ukształtowana przez pięćdziesiąt pokoleń, zachował swe nadzwyczajne szczęście”¹⁴ i nie został zburzony jak Warszawa,

6. *Combat* z 22 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

7. *Le Paris libéré* z 23 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

8. *Le Figaro* z 24 sierpnia 1944, Paryż, str. 1 i 2.

9. *Libération* z 22 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

10. *Libération* z 27 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

11. *Le Paris libéré* z 26 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

12. *Le Paris libéré* z 25 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

13. Zob. Henri Michel, *La Guerre de l'Ombre. La Résistance en Europe*, Editions Bernard Grasset, Paryż 1970, str. 351.

14. Emmanuel d'Astier de la Vigerie, *De la chute à la libération de Paris 25 août 1944*, Gallimard, Paryż 1965, str. 226.

zwana ongiś Paryżem Północy. Tak też było i z ofiarami w ludziach: w Powstaniu Warszawskim zginęło około 200.000 osób (dokładna liczba nigdy nie została ustalona), a w Paryżu było 989 zabitych i 3.859 rannych”¹⁵.

Wraz z krótkimi wzmiankami o Powstaniu w Warszawie, na łamach prasy francuskiej ukazują się informacje odnośnie dążeń do porozumienia rządu polskiego w Londynie z rządem sowieckim, do czego przede wszystkim miała przyczynić się wizyta Mikołajczyka w Moskwie. Oto jeden przykład z paryskiej prasy z 28 sierpnia, gdzie w komunikacie pt. „Ku połączeniu władz polskich. Rząd polski z Londynu aprobuje projekt porozumienia ze Związkiem Sowieckim” czytamy: „Rząd polski z Londynu przyjął znakomitą większością projekt premiera Mikołajczyka, mający na celu zawarcie układu między Polską a Rosją, projekt który przewiduje połączenie Rządu polskiego i polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z Lublina. Gabinet upoważnił Mikołajczyka do wyjazdu do Warszawy, gdy tylko miasto będzie uwolnione, ażeby tam utworzyć nowy rząd w porozumieniu z siłami ruchu oporu i Komitetem Wyzwolenia”¹⁶.

W numerze z następnego dnia redakcja tego czasopisma podawała dużymi literami: „Wszystkie dzwony w Anglii, milczące od pięciu lat, zabrzmiały na oswobodzenie Paryża”. Później, na drugiej stronie, w komunikacie z frontu wschodniego podano do wiadomości, że „wrze bitwa o Warszawę... Niemcy sprowadzili posiłki i atakują polskie oddziały gen. Bora, który nieugięcie stawia opór na Starym Mieście”¹⁷.

W tym samym czasie gdy uwolnionemu Paryżowi bito w dzwony, inny dziennik francuski zamieścił komunikat tej treści: „Radio-Warszawa (chodziło zapewne o radiostację „Błyskawica” — T.W.) zwróciło się z pilnym apelem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i do krajów neutralnych w związku z traktowaniem przez Niemców ludności cywilnej. Po zburzeniu całych dzielnic Niemcy wywieźli kobiety, dzieci, starców i chorych do obozu koncentracyjnego położonego 20 km od Warszawy, gdzie dziesiątkami tysięcy umierają z głodu. Radio Warszawa prosi o natychmiastowe wysłanie, pod ochroną flagi Czerwonego Krzyża, misji ratunkowej”¹⁸.

Prasa francuska niewiele poświęcała miejsca toczącej się walce w Warszawie, a to co podawała było przeważnie tendencyjne, niejednokrotnie zupełnie błędne, zwłaszcza gdy dotyczyło

15. Według *Résistance* z 14 września 1944, Paryż, str. 1.

16. *Le Populaire de Paris* z 28 sierpnia 1944, Paryż, str. 2.

17. *Le Populaire de Paris* z 29 sierpnia 1944, Paryż, str. 1 i 2.

18. *Le Figaro* z 27 sierpnia 1944, Paryż, str. 1.

armii sowieckiej. Oto przykłady: „W Warszawie Rosjanie, po przekroczeniu Wisły, atakują teraz lewy brzeg rzeki i według informacji niemieckich walczą już podobno w centrum stolicy Polski”¹⁹. Inny dziennik pisał: „W Warszawie toczą się jeszcze zażarte walki. Według ostatnich wiadomości wojsko sowieckie przekroczyło Wisłę i nawiązało łączność z patriotami polskimi”²⁰.

W londyńskiej radiostacji B.B.C. była sekcja francuska, prowadzona przez Francuzów. W audycji z 11 sierpnia transmirowano do Francji wiadomość, że „Armia Czerwona bije się na przedmieściach Warszawy. Wkrótce stolica Polski będzie całkowicie oswobodzona. Długotrwałe cierpienie wreszcie skończy się... Na nic się zdały szaleństwa nazistów przez cztery lata... Mężczyźni i kobiety nie upokorzyli się. Najeźdźca nie mógł znaleźć Quislinga... Ciernista droga niezupełnie się jeszcze skończyła. Podczas gdy armia sowiecka otacza Warszawę, na ulicach walczą patrioci... Niemcy palą miasto... Oswobodzenie będzie drogo kosztowało. Ale ofiarny czyn Warszawy pozostanie w pamięci ludzi, jako jeden z największych dokonanych dla sprawy wolności”²¹.

Dwa tygodnie później — kiedy generał niemiecki Dietrich von Choltitz podpisywał, dnia 25 sierpnia, kapitulację Paryża — na falach tej samej radiostacji słuchacze dowiedzieli się, że „we Francji walczyła wspaniale polska Dywizja Pancerna (chodzi o Dywizję dowodzoną przez gen. Maczka — T.W.), tak jak walczy Warszawa, która nie jest jeszcze oswobodzona i o której mówił w tych dniach jeden z lotników, iż ogarnięta jest tak silnymi pożarami, że można by ją odnaleźć samym nawet węchem (po swędzie zgłiszcz), jeżeli byłby ktoś niewidomy”.

Następnie jest mowa o apelu nadanym z Warszawy w języku francuskim, skierowanym do żołnierzy ruchu oporu we Francji: „Jesteśmy dumni z faktu — brzmiał apel — że nasi żołnierze z polskiej Dywizji Pancerniej i nasi lotnicy uczestniczyli w walce, która doprowadziła do tego wspaniałego zwycięstwa (oswobodzenia Paryża). Ten wielki sukces Francji toruje drogę do totalnej klęski naszego wspólnego wroga”. Dalej autor tej audycji dodaje od siebie: „Ale słuchajcie bezpośrednio głosu radia Warszawy, które mówi do was po francusku”²². W rzeczywistości nie chodziło o stałą audycję w języku francuskim,

19. *Libération* z 21 września 1944, Paryż, str. 2.

20. *Combat* z 23 września 1944, Paryż, str. 1.

21. Zob. Louis Lévy, *Ici Londres... Les voix de la liberté*, Tom 5 9 mai-31 août 1944, La Documentation Française, Paryż 1976, str. 156-157.

22. Jacques Duchesne, *supra*, str. 213.

gdyż takiej w ogóle nie było i w danym wypadku, jak pisze Nowak-Jeziorański, odszukano schronionego w piwnicy Belga, którym posłużono się wówczas jako spikerem w nadaniu apelu²³. Równocześnie warto zwrócić uwagę na to, że nigdzie nie spotkałem we Francji śladu tego apelu, oprócz publikacji z ostatnimi z niego zdaniami, które wyżej przytoczyłem.

Sytuacja Polski nie była w ogóle tematem, który chciano by odpowiednio naświetlić. To też było m.in. powodem — jak napisze po wojnie odnośnie Powstania w Warszawie jeden z głównych szefów francuskiego ruchu oporu — że „dowiedzieliśmy się dopiero dużo później, iż zaczął się tam rozgrywać jeden z wielkich dramatów wojny, który doprowadził do zmiażdżenia przez oddziały niemieckie generała Bora i jego bohaterских żołnierzy, którym Stalin, niewzruszony, nie udzielił najmniejszej pomocy”²⁴.

Po upadku Powstania prasa francuska niezbyt kwapiła się do gruntowniejszej i bardziej bezstronnej oceny sytuacji. W grę wchodziły m.in. wpływy prosowieckiej polityki „Wolnej Francji”, będące w dużym stopniu skutkiem niechętnego nastawienia Anglosasów, zwłaszcza Amerykanów, do gen. de Gaulle’a, który z kolei szukał poparcia w Moskwie²⁵.

Jeśli chodzi o samą tragedię Powstania Warszawskiego, to jeden zwłaszcza organ prasowy, bez poruszania co prawda perfidii Sowieców, starał się informować swoich czytelników o tym, co przeżywała ludność polskiej stolicy. W artykule pt. „Podczas 62 dni, milion istot ludzkich... żyło w piwnicach w Warszawie, gdzie właśnie skończyła się bitwa o ruiny”; autor pisze o warunkach wybuchu Powstania, walkach na Starym Mieście, Żoliborzu, bohaterstwie kobiet, braku żywności i broni. Artykuł zakończony jest jednak nic nie mówiącym zdaniem: „W przeddzień kapitulacji przedmieścia Pragi zostały oczyszczone przez oddziały sowieckie”²⁶.

Trzy tygodnie później ten sam dziennik zamieścił na pierwszej stronie zdjęcie kolumny ludności cywilnej, która opuszczała Warszawę eskortowana przez żołnierzy niemieckich. Na

23. Zob. Jan Nowak-Jeziorański, *Kurier z Warszawy*, Odnowa, Londyn 1978, str. 349-350.

24. Henri Frenay, *La Nuit finira*, Editions Robert Laffont, Paryż 1973, str. 444-445.

25. Zob. Tadeusz Wyrwa, „Prorosyjskość 'Wolnej Francji' gen. de Gaulle'a” w *Zeszytach Historycznych* nr 63, str. 207-221, oraz tegoż autora książka: *L'idée européenne dans la Résistance à travers la presse clandestine en France et en Pologne 1939-1945*, Nouvelles Editions Latines, Paryż 1987, str. 123 i nast.

26. Roger Massip w *Libération* z 4 października 1944, Paryż, str. 1.

czele tej kolumny widać nosze z chorą kobietą, a po tym krótki artykuł tej treści: „Żadne miasto na świecie nie ucierpiało w takiej mierze jak Warszawa. To dokumentarne zdjęcie, rozdzielające smutkiem serce, odnosi się do jednego z ostatnich epizodów dramatu, jaki zboczył krwią stolicę Polski. Kobieta na zdjęciu, która w czasie walk ciężko zachorowała, została zniesiona do piwnicy, podczas gdy artyleria niemiecka kończyła burzenie miasta. Żołnierze Wehrmachtu wynieśli ją z gruzów. Położona na noszach, zajmie swoje miejsce w żalosnym orszaku ludności cywilnej, który wyrusza w kierunku obozu koncentracyjnego”²⁷.



W tym samym czasie, gdy po kapitulacji Warszawy powstańcy składali broń i szli do niewoli, a ludność cywilna, która ocalała, była ewakuowana, na łamach centralnego organu francuskiej partii socjalistycznej ukazał się artykuł znamieny dla atmosfery, w jakiej była przedstawiana sprawa Polski w lewicowych środowiskach na Zachodzie, środowiskach wywierających wówczas i później największy wpływ na opinię publiczną, co siłą rzeczy spaczyło ocenę problemów związanych z Powstaniem Warszawskim. Chodzi o organ Leona Bluma, premiera rządu Frontu Ludowego z lat 1936-1937, który w 1943 roku był deportowany do Niemiec, następnie uwolniony przez Amerykanów w maju 1945 r., i został ponownie premierem na przełomie 1946-1947.

Artykuł, o którym mowa, zatytułowany „Konflikt między Polakami emigrantami i Polakami z kraju pogłębia się”, podpisany inicjałami F.G., ukazał się w *Le Populaire de Paris* — (ze wzmianką w nagłówku: dyrektor polityczny Léon Blum, deportowany w Niemczech), w numerze z 4 października 1944 roku. „Kłótnie między Polakami — czytamy tam — emigracyjnym rządem, komitetem z Lublina, gen. Sosnkowskim i gen. Berlingiem, wydawały się dotychczas zbyt nieprzyjemne, bo nie na miejscu, żeby o tym pisać. Napięcie, do jakiego te kłótnie obecnie doszły, nie pozwala już dłużej ich przemilczać. Po długich protestach przeciw terytorialnym roszczeniom Związku Radzieckiego i niekończących się reklamacjach u rządów w Londynie i Waszyngtonie, premier Mikołajczyk udał się w lecie do Moskwy i chociaż nie zawarto formalnie żadnego układu, to jednak doszło do ustnej ugody, w wyniku której konflikt został zawieszony, co jest już pewnym osiągnięciem. Innym irytującym

27. *Libération* z 29-30 października 1944, Paryż, str. 1.

tematem jest postawa naczelnego wodza, gen. Sosnkowskiego, którego nie na czasie dzienne rozkazy są skierowane bądź to przeciwko Polakom z Moskwy, bądź przeciw Żydom, bądź to nawet przeciwko Anglii, której nieustrudzone wysiłki mediacji wydają się temu wojskowemu zdradą”.

Dalej mowa jest o potrzebie zmiany na stanowisku naczelnego wodza. „Komitet (*sic*) londyński myśli o zastąpieniu gen. Sosnkowskiego gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim... Otóż gen. Bór, żołnierz bez opinii politycznej, odmówił objęcia stanowiska po gen. Sosnkowskim, którego nawet zapewnił o swojej z nim solidarności, składając mu wzruszający hołd. Konflikt między rządem polskim z Londynu i komitetem z Lublina wybucha coraz silniej, tym bardziej że obecnie ma ideologiczną bazę: rząd z Londynu jest za utrzymaniem konstytucji autorytarnej z 1935 roku, a komitet z Lublina jest za powrotem konstytucji demokratycznej z 1921 roku”.

„W kontrowersji tej — czytamy w ostatnim paragrafie — nie zajmujemy stanowiska. Chwilowo wydaje się nam ona drugorzędna i jedyną kwestią naszym zdaniem jest odrodzenie Polski niepodległej i suwerennej. Ale musimy stwierdzić z żalem, że tak dzisiaj, jak i w całej historii, kierownicze warstwy Polski niczego się w niedoli nie nauczyły. Dzieje się tak nie z braku inteligencji, gdyż warstwy te mają umysły żywe i subtelne, ale dlatego, że ciągle nie potrafią utrzymać się w granicach poświęceń dla wspólnego dobra”²⁸.

Tydzień później to samo czasopismo, powołując się na brytyjską agencję prasową Reutera, podawało, że Mikołajczyk czeka w Londynie na zaproszenie do Moskwy i że „pewni członkowie komitetu polskiego z Londynu nie mają już teraz nadziei, żeby mogli królować w swoim kraju. Kilku z nich, a szczególnie gen. Sosnkowski, miało kupić w Brazylii duże gospodarstwa rolne”²⁹.

Podobne insynuacje i opinie nie były odosobnione, wręcz przeciwnie, umiejętnie inspirowane przeważały wszędzie na Zachodzie. Konflikt polsko-sowiecki ograniczono do roszczeń terytorialnych, sprawy rządu do problemów personalnych i konstytucyjnych, stawiając na równi rząd polski w Londynie i komitet lubelski, a klęskę Powstania Warszawskiego przypisywano wyłącznie dowództwu polskiemu, z całkowitym przeważnie pominięciem roli Moskwy.

We Francji główny ośrodek oczerniania Polski skupiał się wokół partii komunistycznej z jej dziennikiem *L'Humanité* i

28. *La Populaire de Paris* z 4 października 1944, str. 1.

29. *La Populaire de Paris* z 11 października 1944, str. 2.

różnymi publikacjami, które — wśród mało zorientowanych czytelników, a takich była i jest cała masa — wyrządzały ogromne szkody. Jakże mogło być inaczej, gdy w publikacjach tego rodzaju pisano, w języku francuskim, że Powstanie spowodowali Niemcy, którzy dostarczyli nawet powstańcom broni celem wywołania ataku Sowietów, aby móc następnie łatwiej zniszczyć armię czerwoną, a wszystko to jest skutkiem „kryminalnej polityki przywódców polskich”. Nie zawahano się nawet twierdzić³⁰, że wiadomości te pochodzą od Wojciecha Trąpczyńskiego (zmarł w 1953 roku), marszałka Sejmu w latach 1919-22 i Senatu w 1922-1927. Czytelników znających język polski „uświadomiono” z kolei, że „Powstanie Warszawskie było ostatnim większym wybuchem szlacheckiego awanturnictwa kliki reakcyjnych polityków polskich, graniczącego ze zdradą narodu”³¹.

Największy wówczas wpływ wśród lewicy miał wspomniany komunistyczny dziennik *L'Humanité*, hojnie wspomagany przez Moskwę. Do chwili upadku Powstania w Warszawie nie ukazała się tam żadna na ten temat wzmianka. Dopiero w numerze z dnia 4 października 1944, z powołaniem się na komunikat „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” (P.K.W.N.) z Moskwy, redakcja tego dziennika pisała na pierwszej stronie, że „pułkownik Monter, działający w imieniu gen. Bora, który był nieobecny podczas całego powstania, zdecydował się skapitulować, wydając Niemcom swoich żołnierzy i ich broń. Pułkownik ten porzucił myśl przebiecia się na prawy brzeg Wisły, gdzie znajduje się armia wyzwolenicza... Przywódcy powstania zakończyli rewoltę kapitulacją, nie biorąc pod uwagę losu bohaterów, którymi dowodzili, woleli wydać ich raczej Niemcom niż dołączyć do armii polskiej”. W tym samym numerze, na stronie drugiej, zamieszczono artykuł pt. „Warszawska awantura polskich faszystów”, gdzie autor o nazwisku M. Magnien wylewa kubły pompy na gen. Bora, płk. Montera, Arciszewskiego, a zwłaszcza na gen. Sosnkowskiego, gloryfikując jednocześnie Rosję i komitet lubelski³². Wzmianka w podobnym stylu ukazała się w numerze z 8-9 października.

Dużo bardziej perfidny i znamieny dla prowadzonej na Zachodzie propagandy przeciwko Polsce był artykuł napisany przez Jacques Duclos (jednego z filarów partii komunistycznej),

30. Jean Radvanski, *La vérité sur Varsovie*, Editions France d'Abord, Paryż 1945, str. 7, 9-11.

31. *Tragedia Warszawy*, bez autora, Wydawnictwo P.K.W.N. we Francji, Paryż 1945, str. 14.

32. *L'Humanité* z 4 października 1944, Paryż, str. 1 i 2.

jaki ukazał się kilka dni później na łamach *L'Humanité*. W artykule tym pt. „Antysowietyzm i zdrada”, autor nie waha się twierdzić, że Francuzi wiedzą z doświadczenia „iż antysowietyzm spowodował kolejne zdradzieckie poczynania, które wpędziły Francję w nieszczęście”. Antysowietyzm miał też uniemożliwić zawarcie w sierpniu 1939 roku wojskowej konwencji francusko-angielsko-sowieckiej³³, która przeszkodziłaby Hitlerowi w rozpętaniu wojny, no i oczywiście, że winę za to ponosiła „klika faszystowskiego rządu Polski”. Następnie przestrzega przed niebezpieczeństwem antysowietyzmu, jaki reprezentują gen. Sosnkowski, gen. Anders i w ogóle nasz rząd w Londynie.

W dalszym ciągu artykułu Duclos, porównując walkę powstańczą w Warszawie i w Paryżu, pisze, że powstanie w stolicy Polski wybuchło „bez wzięcia pod uwagę stanu, w jakim znajdowały się masy”. W Paryżu natomiast powstanie, wywołane w odpowiednim momencie „dzięki przenikliwości naszej wielkiej partii” (komunistycznej oczywiście — T.W.) było czynem „mas ludności paryskiej”. Powstanie Warszawskie było zaś skazane na niepowodzenie dlatego, że „szerokie masy nie mogły być wciągnięte do walki z powodu faszystowskiego i antyludowego charakteru tego powstania”.

Wstęp ten służyć miał do podstawowej tezy artykułu, gdzie czytamy: „Obecna wojna jest wojną przeciwko faszyzmowi, który trzeba zniszczyć wraz z korzeniami; to jest wojna o demokrację, o suwerenność ludów i Francji, która toczyła walkę z nazistami i nie będzie teraz darzyła sympatią emigrantów z Londynu, lecz P.K.W.N., który reprezentuje Polskę demokratyczną i postępową, przyjaciółkę Francji republikańskiej i demokratycznej. Antysowietyzm kosztował naród polski i francuski wiele łez i krwi; dlatego rzecznicy antysowietyzmu okazują się coraz bardziej agentami wroga, zdrajcami... Nie potrzeba nawet już mówić, że zwiastuni antysowietyzmu winni być ścigani i ujawniani jako wrogowie niepodległości i wielkości Francji”³⁴. Tego rodzaju argumentacją torowano drogę komitetowi lubelskiemu i satelickiemu rządowi, jaki Moskwa narzuciła Polsce.



Nie brak było na szczęście i innych głosów, przychylnych

33. Na ten temat zob. książkę François Delpla, *Les Papiers secrets du général Doumenc. Un autre regard sur 1939-1940*. Olivier Orban, Paryż 1992, oraz recenzję o tej książce w *Zeszytach Historycznych* nr 102, str. 172 i nast.

34. Jacques Duclos „Antisoviétisme et trahison” w *L'Humanité* z 11 października 1944, str. 1-2.

Polsce, nielicznych co prawda i nie zawsze wspartych należytych rozeznaniem sytuacji. Sympatycznie jak zwykle ustosunkowany do Polski Władimir d'Ormesson, w artykule na łamach *Le Figaro* z 18 listopada 1944, ubolewa że Polska znowu padła ofiarą tej wojny, czego dowodem jest dramat Powstania Warszawskiego. „Obserwowaliśmy z niepokojem, ze współczuciem — pisze d'Ormesson — perypetie tej nierównej walki. Nikt nie może lepiej zrozumieć niż my paryżanie, co działo się w przyjacielskiej stolicy. Powstanie przeciwko nowoczesnej armii nie mogłoby trwać tak długo, gdyby nie było prowadzone przez bohaterów. Sto lat temu Montalembert powiedział o Polsce, że była «śmiertelnym grzechem Europy». Dzisiaj jest jej boleścią. Jutro będzie jedną z rękojmi jej odrodzenia”³⁵. W dalszym ciągu artykułu d'Ormesson wyraża nadzieję, że prowadzone wówczas w Moskwie rozmowy rozwiążą pomyślnie problemy dotyczące Polski.

W podobnie przyjaznym duchu i ze spojrzeniem na Polskę w europejskim kontekście, pisał autor w wydanej po francusku w Genewie, w grudniu 1944 roku, małej książeczce: „Warszawa już nie istnieje... poległa na polu walki... ale Polska musi powrócić do życia... Los Polski jest ściśle związany z losem Europy. Dopóki Polska nie odzyska niepodległości, dopóty Europa będzie miała wyrzuty sumienia. Zależnie od sposobu, w jaki zostanie rozwiązany problem Polski, świat będzie mógł ocenić ostateczny sens tej wojny i rzeczywiste intencje zwycięzców”³⁶.

We Francji pierwsza książka o Powstaniu Warszawskim — nie licząc publikacji komunistów — ukazała się w 1946 roku i została napisana w Paryżu przez księcia de Parcent, pół-Polaka i pół-Hiszpana, *attaché* honorowego poselstwa hiszpańskiego w Warszawie, gdzie przeżył całą wojnę. Opublikowana była jednocześnie po francusku w Paryżu³⁷ i po hiszpańsku w Madrycie³⁸. Autor książki opisał grozę okupacji, obozy koncentracyjne, zagładę Żydów, prześladowania religijne, niszczenie biologiczne i kulturalne społeczeństwa, jego walkę z najeźdźcą i na tym tle przedstawił dramat Powstania, kończąc swą książkę słowami: „Warszawa skończyła po bohatersku na polu walki, polu walki sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych”³⁹.

35. Władimir d'Ormesson, „Les épreuves de la Pologne” w *Le Figaro* z 18 listopada 1944, str. 1.

36. André Lenoir, *Varsovie 1944*, Préface de Georges Rigassi, Editions de la Frégate, Genewa 1944, str. 8 i 45.

37. Duc de Parcent, *Le Drame de Varsovie*, La Jeune Parque, Paryż 1946.

38. Duc de Parcent, *El Drama de Varsovia*, S.H.A.D.E., Madryt 1946.

39. Duc de Parcent, *Le Drame de Varsovie*, op. cit. str. 268.

Do literatury pisanej wkrótce po wojnie, z wyczuciem tragedii Polski, należy też rozdział poświęcony Warszawie w książce Francuza, pilota „Wolnej Francji” z czasów wojny. W rozdziale tym pt. „Burza nad Warszawą”, autor opisując dramatyczny lot z 6 września 1944 załogi polskiej do Warszawy i heroiczną walkę stolicy, przypominał — co zwłaszcza wówczas było bardzo ważne — że Warszawie zadano potworną klęskę „na oczach cywilizowanego świata. Stalin, po wyeliminowaniu z zimną krwią w Katyniu i na Syberii piętnastu tysięcy oficerów polskich, po osiągnięciu uznania przez Roosevelta linii Curzona, utrwalającej pakt Ribbentrop-Mołotow, mógł zniszczyć w Warszawie, tanim kosztem, potężny ruch polskiego oporu, który stanowił przeszkodę w jego zaborczych planach”. Następnie autor zapytuje: „Po cóż więc było redagować Kartę Atlantyczną i pozować na championa obrońcy prawa i ludzi uciemnionych, by później ze spokojem pozwolić na dokonanie podobnej zbrodni?”. Z dużą też przenikliwością pisał, że „była to tylko zapowiedź obojętności wobec tylu innych zbrodni”⁴⁰.



Historiografia francuska nie jest bogata w opracowania na temat Powstania Warszawskiego. Spotyka się tu i ówdzie wzmianki, częściej krytyczne w stosunku do dowództwa polskiego, że nie uzgodniło wybuchu Powstania z armią sowiecką, tak jak to zrobił francuski ruch oporu w Paryżu, gdy zbliżała się armia aliancka. Jest to zupełne pomieszanie pojęć, skutek lewicowych tendencji, jakie dominowały w świecie intelektualno-naukowym nie tylko we Francji, ale w ogóle na Zachodzie.

Najbliższy rzeczywistości, z wiernym na ogół oddaniem faktów o Powstaniu Warszawskim, jest historyk francuski Henri Michel. W kilku jego książkach, dotyczących drugiej wojny światowej, znajdują się rozdziały o Powstaniu, a ostatnią, jaką napisał przed śmiercią, poświęcił całkowicie Polsce. W książce tej pt. „I Warszawa została zburzona”, autor — po krótkim zarysie historii Polski przedwojennej, gdzie krytycznie ocenił zwłaszcza politykę ministra Becka — uwypuklił rolę Warszawy w podziemnej walce Polaków podczas okupacji niemieckiej.

W rozdziale o Powstaniu Warszawskim autor pisze, że „prawdopodobnie jest ono najpotworniejszym w Europie dramatem drugiej wojny światowej”. Rozpoczynając Powstanie Polacy „ulegli romantycznej tradycji bohaterstwa i historycznej woli

40. Pierre Clostermann, *Feux du Ciel*, Editions Flammarion, Paryż 1951, str. 146 i 150.

zapewnienia, w każdych okolicznościach i za wszelką cenę, niepodległości Polski". We wstępie swojej książki Michel przypomina, że „historia Polski jest ustawicznym rozpoczynaniem tej samej walki”, a w konkluzji, nawiązując do sytuacji po 1945 roku, nie zawsze najszcześliwiej komentowanej, przypuszcza, iż „istotną nauką jaką wysnuto z Powstania Warszawskiego, jest zgon romantyzmu; era bohaterskich powstań jest skończona”⁴¹.

Inny historyk francuski pisze: „Jest rzeczą pewną, że Powstanie, jako odważna demonstracja niepodległości, miało rozgłos w świecie i stanowi jeden ze składników obecnego prestiżu Polski. Przemawiało do «sumienia świata», jeżeli takowe istniało... przyczyniło się prawdopodobnie do ochrony Polski przed duchowym ujarzmieniem”⁴². Nie ulega wątpliwości, że z legendy powstań naród czerpał zawsze siłę duchową w ciężkich chwilach, ale otwarta jest ciągle kwestia, czy gleba polska jest rzeczywiście tak jałowa, że trzeba ją użyźniać krwią setek tysięcy ofiar?

Tadeusz WYRWA

41. Henri Michel, *Et Varsovie fut détruite*, Albin Michel, Paryż 1984, str. 13, 336, 337, 421.

42. Henri Rollet, *La Pologne au XX siècle*, Editions A. Pedone, Paryż 1984, str. 413-414.

LISTY DO REDAKCJI

Hajfa, 20 czerwca 1993

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za opublikowanie mego listu w numerze 104 *Zeszytów Historycznych*. Miałem już kilka telefonów od znajomych i nieznanymi mi osobie ludźmi, którym opowiedziałem dodatkowe szczegóły.

Jednocześnie byłbym Panu Redaktorowi wdzięczny gdyby znalazła się możliwość sprostowania błędu (prawdopodobnie korektorskiego). Otóż w ustępie dotyczącym starego cmentarza żydowskiego wydrukowano, że jest on z XIX wieku, podczas gdy w rzeczywistości były tam, do roku 1939, nagrobki z XIV wieku. Cmentarz i nagrobki były szczegółowo opisane w pracach prof. dr. Bałabana, rabina dr. Kahane i innych.

Z poważaniem

Joachim GETZEL



Dunrobin, ON, 12 czerwca 1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* (nr 104) zamieszczone zostało w związku z rocznicą powstania w getcie przemówienie Józefa Rybickiego, wygłoszone pod murem żydowskiego cmentarza w Warszawie w dniu 18 kwietnia 1988 r. Patrząc na datę — 18.IV.1988 r. — sądziłem, że jest to po prostu dość przykry błąd drukarski, bowiem Józef Rybicki zmarł 9 maja 1986 r. w Warszawie.

Nie jest natomiast zwykłą pomyłką drukarską przedostatni akapit przemówienia Józefa Rybickiego, gdzie wyraźnie mówi: „Dziś w 45-tą rocznicę powstania w getcie...” Rocznicą tą przypadała w 1988 r., a więc w dwa lata po Jego śmierci.

Nie wiem kiedy rzeczywiście ogłoszone zostało to przemówienie; najwidoczniej był On jednak już tak ciężko chory, że uszło Jego uwadze pomieszanie dat.

Byłbym wdzięczny Panu Redaktorowi za zamieszczenie sprostowania lub ewentualnego wyjaśnienia.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Henryk KOZŁOWSKI



Warszawa, 31.05.93

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie byłem gorylem gen. W. Jaruzelskiego, co sugeruje notatka zamieszczona w 103 numerze *Zeszytów Historycznych*. Od 35 lat jestem oficerem Wojsk Ochrony Pogranicza (od roku 1991 Straży Granicznej). Przez pierwsze 20 lat pełniłem służbę w różnych jednostkach na granicy państwa, a następnie współredagowałem (jako kierownik działu wojskowego, zastępca red. nacz. i red. naczelny) pismo *Granica* (od roku 1991 *Straż Graniczna*). Opublikowałem kilkaset artykułów i kilkanaście książek poświęconych działalności służb specjalnych (m.in.: „Spotkania z Fejginem”, „7 rozmów z gen. Pożogą...”, „Czas bezprawia”, „Rozstrzelany grudzień”, „Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie. Pożoga”). „Byłem gorylem Jaruzelskiego” (wyd. Reporter 1993) jest reporterskim zapisem rozmów z dziewięcioma osobami, ministrami, generałami i oficerami służb specjalnych (w tym z byłym gorylem gen. Jaruzelskiego, płk. Arturem Gotówką), z którymi, oprócz przeprowadzenia wywiadów, nic mnie nie łączy.

Z poważaniem

Henryk PIECUCH

SPIS TREŚCI

Antoni Stefan Koper: <i>Prasa polska w Niemczech</i>	3
Mieczysław Biesiekierski: <i>Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 – wrzesień 1944)</i>	38
Józef Lewandowski: <i>Kwestia narodowa w Europie wschodniej na przełomie epok (moskiewskie sympozjum)</i> ...	64
Józef Lewandowski: <i>Historia i polityka (bratysławskie sympozjum)</i>	71
Michail Rogaczow: <i>Transporty podążały do Komi</i>	80

WSPOMNIENIA

Zygmunt Chmielewski: <i>Sangorodok</i>	91
Kazimierz Groszyński: <i>Dwadzieścia dwa miesiące</i>	180
Krystyna Oppenauer-Śreniowska: <i>Lwowskie Ossolineum w latach 1939–1941</i>	216

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Powstanie Warszawskie w oczach Francuzów</i>	224
--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Joachim Getzel: <i>Sprostowanie błędów w liście do Redakcji (Zeszyty Historyczne Nr 104)</i>	237
Henryk Kozłowski: <i>Wyjaśnienie w związku z przemówieniem Józefa Rybickiego (Zeszyty Historyczne Nr 104)</i>	237
Henryk Piecuch: <i>Oświadczenie</i>	238

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 1^{er} SEPTEMBRE 1993
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 3^e trim. 1993

N° d'imprimeur : 1697

Photocomposition : **AKTIS S.A.R.L.**
42, av. de Wagram
75008 PARIS

